

BONNIE MACDOUGAL

**ZŁAMANE
PRZYRZECZENIE**

CZĘŚĆ PIERWSZA

PRZESŁUCHANIE

1

Gdziekolwiek pojawił się Dan Casella, zwracały się ku niemu wszystkie głowy, rozstępowały tłumy. Jenny widywała to już wcześniej w salach sądowych i konferencyjnych, ale nigdy na lekcji baletu. Pianista pomylił się i przestał grać, a ostatnia fałszywa nuta wibrowała jeszcze przez chwilę w niespodziewanej ciszy. Monsieur duBret wykonał doskonały piruet na swoich sześćdziesięcioletnich palcach i spojrzał na intruza spod ściągniętych brwi. Jenny zamarła, niemal zahipnotyzowana pojawieniem się Dana w tym miejscu, o tej porze, podczas gdy smukłe ciała tancerzy przy poręczy zafalowały niespokojnie niby zasłona na wietrze.

Dan minął ich jakby byli świadkami w kolejce do przesłuchania i podszedł do Jenny. Tkwiła zawieszona nad podłogą w *grand plie*; jej wdzięk znikł nagle, wyprostowała się jak nieporadny żreback po raz pierwszy stający na nogi. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że ma na sobie przepocony trykot, a koński ogon opada jej smętnie na kark.

W lustrze ukazała się twarz Leslie. Wykrzywiła się do Jenny, otworzyła szeroko usta i oczy w przesadnej pantomimie pytania: „To ON?”

Jenny potrząsnęła głową, chociaż to rzeczywiście był on.

- Jennifer, potrzebuję cię - powiedział Dan swoim zawodowym, poufnym tonem.

Nie należało pytać dlaczego: Dan był jej zwierzchnikiem.

- Pójdę się przebrać - zaproponowała.

- Nie ma czasu. Zarzuć tylko coś na siebie. Spotkamy się na zewnątrz.

Skinęła głową i ruszyła do przebieralni.

- Hco to się hdzieje? - warknął maestro.

-Przepraszam, monsieur. - Jenny zatrzymała się przed nim na sekundę.

- Pilna sprawa w biurze.

- Hza dużo hzajęć pani thaci!

- Bo ma chrapkę na co innego - odezwała się Leslie z końca linii.

Monsieur duBret spiorunował ją wzrokiem i Jenny skorzystała z okazji, by umknąć.

- Do zobaczenia, malutka! - zawołała Leslie.

W przebieralni Jenny zasunęła za sobą kotarę kabiny, zdjęła baletki i owijacze, włożyła szary żakiet i plisowaną spódnicę. Dan powiedział, że nie ma czasu na

przebieranie się i Jenny wzięła sobie do serca jego słowa. Wcisnęła baletki do torby, włożyła pantofle i w niecałe pięć minut była gotowa.

Dan czekał, z rękami w kieszeni prochowca, równie swobodny w zakurczonym westybulu pałacu sztuk pięknych, jak w każdym innym miejscu na ziemi. Kobiety - tancerki i studentki muzyki - mijały go, unosząc brwi i uśmiechając się zachęcająco, zaintrygowane niezwykłym zestawieniem jego mrocznej, niebezpiecznej urody z aparycją filadelfijskiego prawnika.

- Co się stało? - Płaszcz włożyła już w drzwiach, które przed nią otworzył.

- Nowa sprawa! - powiedział. - Kryzys!

Na ulicy było zimno, zapadał zmierzch. Styczniowe dni były coraz dłuższe, ale jeszcze nie na tyle, by się to dało odczuć. Jenny biegła truchtem Broad Street, by dorównać długim krokom Dana.

- Kim jest klient? - zapytała. Studia ukończyła dopiero dwa lata temu, ale już wiedziała, o co pytać w pierwszej kolejności. Najpierw ogólna perspektywa, dopiero potem fakty.

- Harding & McMann.

Harding & McMann nie byli klientami, lecz konkurencją; główną prawniczą firmą filadelfijską, popularniejszą nawet niż ich własna - Foster, Bell & McNeil. Jeżeli Harding & McMann potrzebowali adwokata, mogli skorzystać z dwustu własnych. Dlaczego zwrócili się do Dana?

- Co to za kryzys? - zapytała.

- Przyłapali jednego ze swoich.

- Kradł z firmy?

- Gorzej! - Dan zatrzymał się przed czerwonymi światłami na Chestnut. - Okradał klienta.

Światło się zmieniło i Dan dwoma krokami przemierzył ulicę.

- Co teraz? - zapytała, biegnąc za nim.

- Teraz chce to ogłosić światu. - Dan odwrócił głowę i uśmiechnął się po raz pierwszy i ostatni tego wieczoru. - A my musimy go powstrzymać.

Klientami Harding & McMann była stara filadelfijską arystokracja finansowa i najpoważniejsi menedżerowie, firma zajmowała więc górne piętra w starej kamienicy na Broad Street. Inni przenieśli się do nowych biurowców na Market West, ale H & M trzymała się twardo South Broad. Stuletnia historia firmy łączyła ją z tym miejscem - utrzymywali jej wspólnicy; trzeba było chronić tradycję, nie mówiąc o sporych udziałach w przedsiębiorstwie, które było właścicielem

budynku. Przecznice dalej stał pomnik Williama Penna, surowego kwakra, ulokowany dość niefortunnie na tle empirowej architektury ratusza.

Budynek był już zamknięty na noc, ale strażnika uprzedzono o ich przybyciu. Dan powiedział do interkomu swoje nazwisko, zamek odskoczył i weszli do windy, która zawiozła ich na dwudzieste piętro. Jenny spoglądała ukradkiem na Dana, gdy przeczesywał dłonią kędzierzawe włosy i poprawiał okulary, tego dnia w rogowej oprawie. Zmieniał je jak inni mężczyźni krawaty, więc nigdy nie stały się integralną częścią jego wyglądu. Bez nich jego twarz stawiała się niepowtarzalna.

W mosiężnych drzwiach windy Jenny widziała swoją równie niepowtarzalną twarz, szczupłą i owalną, pozbawioną makijażu, o jasnych, głęboko osadzonych oczach, zbyt wysokim czole, którego nie tuszowały długie, brązowe włosy ściągnięte w kucyk. Szybko spuściła wzrok, ale zdążyła jeszcze pochwycić odbicie swoich nóg w różowych rajstopach.

Drzwi windy się otworzyły i z krzesła w recepcji poderwał się wysoki, łysiejący blondyn.

- Cześć, Dan! - powiedział z wyraźną ulgą.

- Cześć, Charlie. - Dan powitał go uściskiem dłoni bez uśmiechu. - Jest tu jeszcze?

- Trwa na posterunku. W sali konferencyjnej.

Jenny pomyślała, że to musi być Charles Duncan, partner Harding & McMann. Bez marynarki, w rozluźnionym krawacie, ze znękaną twarzą.

- Charlie, to moja współpracownica, Jennifer Lodge. A to jest Charlie Duncan.

Duncan skinął z roztargnieniem głową i poprowadził ich przez hol. Biura były pogrążone w mroku, ale na końcu korytarza błyskała lampka, niby ostrzeżenie o nadchodzącej burzy. Drzwi się rozwarły i w prostokącie światła ukazała się czterdziestoparoletnia kobieta. Miała na sobie wymiętą bluzkę, niedbale wetkniętą w spódnice, w ręku pusty dzbanek na kawę.

- Płaszcz... - powiedziała, zbyt zmęczona, by nadać słowu ton prośby.

Oddali jej okrycia, kobieta zniknęła za rogiem, a Duncan wprowadził ich do sali konferencyjnej.

Każda filadelfijską firma prawnicza, o ile jest warta papieru, na którym spisano jej statut, ma paradną salę konferencyjną, przeznaczoną na ważne ceremonie i okazje, kiedy trzeba wywrzeć na kimś wrażenie. Sala Harding & McMann miała cztery metry wysokości i kasetonowy sufit. Na ścianach wyłożonych jakimś

egzotycznym drewnem wisiały portrety założycieli w dziewiętnastowiecznych strojach i fryzurach. Stół z polerowanego drewna mierzył niemal dziesięć metrów.

Siedzieli wokół niego mężczyźni bez marynarek, można powiedzieć - śmietanka filadelfijskiego Klubu Prawników. Jenny domyśliła się, że ma przed sobą zarząd Harding & McMann. Tu równouprawnienie nie docierało: wszyscy byli biali i powyżej czterdziestego roku życia. Wyglądali jednak mniej dystygowane niż zwykle, w zmiętych koszulach, z cieniami zarostu, które zdawały się wypełzać spod kołnierzyków.

Na tym tle Dan wyglądał świeżo i rzeško. Twarze zebranych pojaśniały na jego widok.

- Dan, jak dobrze, że jesteś!

- Dzięki, że tak szybko przyszedłeś.

U końca stołu konferencyjnego siedział siwy mężczyzna, przygarbiony, ze zwieszoną głową, jakby ugiął się pod ciężarem winy. Spojrzenia obecnych wyraźnie go omijały.

W drugim końcu sali stał pod ścianą młodszy mężczyzna, szczupły, dobrze zbudowany blondyn, bez marynarki, równie wymięty jak inni, ale o dobre dwadzieścia lat świeższy. W jego postawie znać było napięcie, które Jenny dobrze знаła. Miał się na bacności, mięśnie przeżyły się pod białą bawełnianą koszulą. Młodszy prawnik w sali pełnej szefów. Żaden z nich nie był nim może oficjalnie, ale każdy posiadał pełnowartościowy głos w wyborach następnego wspólnika firmy. Mężczyzna popatrzył na Jenny i zanim ukrył uśmiech - rozbawiony dziwnym wyglądem dziewczyny - jego oczy przybrały ciepły odcień błękitu.

Zaczyna karierę, pomyślała Jenny, i ta iskra pokrewieństwa była niemal warta zażenowania, jakie w tej chwili odczuła.

- Dan, to jest Tucker Podsworth, prezes naszego departamentu nieruchomości - powiedział Duncan.

Siwy mężczyzna wstał i Dan uściskał mu rękę. Zbytek uprzejmości wobec złodzieja - zdaniem Jenny. Ona przywitała go krótkim skinieniem głowy.

Kobieta, która wzięła ich płaszcze, wróciła z nowym dzbankiem kawy. Postawiła go na kredensie i usiadła. Przed nią leżał blok do stenografowania, na pierwszej stronie widniały gniewne esy-floresy. Jenny zajęła miejsce w połowie długości stołu i wyjęła z aktówki żółty notes, z którym się prawie nie rozstawała.

- A więc - zagaił Duncan - od czego chcesz zacząć, Dan?

Dan zdjął marynarkę, powiesił ją starannie na oparciu krzesła, po czym zasiadł u szczytu stołu. Jenny nigdy nie widziała, żeby zajmował jakieś inne miejsce. „Chcę mieć pewność, że będę wszystkich widział” - powiedział kiedyś z rozbijającą szczerością, a potem przejął kontrolę nad oszołomionymi ludźmi, którzy nawet nie zdawali sobie z tego sprawy. Miał dopiero trzydzieści siedem lat, był młody jak na prawnika, najmłodszy na sali, jeżeli nie liczyć czujnego urzędnika pod ścianą. Nawet tutaj, w obecności byłego sędziego federalnego, nie było wątpliwości, kto przewodniczy zebraniu.

- Od pana Scotta - powiedział Dan i zwrócił spojrzenie na młodego blondyna. - Proszę od początku.

Jenny aż drgnęła ze zdziwienia, uświadomiwszy sobie, że złodziejem jest sprężony młodzik, nie zaś stary człowiek uginający się pod ciężarem winy. Rzuciła mu przestraszone spojrzenie, a on oblał się rumieńcem - przekleństwo ludzi o jasnej karnacji, którzy nie potrafią ukryć wstydu. Jenny wbiła wzrok w notatnik. Tylko Dan patrzył na Scotta. Inni spoglądali na Dana - naturalna reakcja - woleli patrzeć na potencjalnego wybawcę, niż na człowieka, który mógł ich zrujnować.

Złodziej wyprostował się na swoim posterunku przy ścianie.

- Mam klienta... - zaczął, po czym odchrząknął. - Czy może powinienem powiedzieć - miałem?

Zapadła gniewna cisza. Jenny rzuciła mu ukradkowe spojrzenie. Ich oczy się spotkały i miała wrażenie, że w sposobie, w jaki mężczyzna stara się utrzymać kontakt wzrokowy, jest prośba, by mógł patrzeć na coś innego niż plecy swoich szefów i twarz inkwizytora.

- Dalej - powiedział Dan.

- Zarządzałem rachunkiem powierniczym ustanowionym na mocy testamentu zmarłej Elizabeth Mason Chapman.

Znane nazwiska. Masonowie i Chapmanowie byli najstarszymi, najbardziej arystokratycznymi rodzinami w mieście. Obie wzbogaciły się na początku dziewiętnastego wieku w przemyśle, potem przerzuciły się na bankowość, a teraz zajmowały się głównie końmi i działalnością charytatywną.

- Kto jest beneficjentem funduszu?

- Wdowiec Reese Chapman otrzymuje dożywotnią rentę, córka Catherine wypłaty okazjonalne. Po śmierci Reese'a otrzyma kapitał.

- Kto jest powiernikiem?

- Brat pani Chapman, Curtis Mason. Wujek Curt powierzył mi zarządzanie funduszem.

- Wujek? - przerwał mu Dan.

- Nie, nie jesteśmy spokrewnieni. - Scott zwracał się już wyłącznie do Jenny. - On i mój ojciec są starymi przyjaciółmi. Razem chodzili do Lawrenceville.

Brwi uniosły się wokół stołu. Tacy właśnie byli ludzie Harding & McMann, ludzie, których ojcowie chodzili do szkoły z Masonem, którzy obracali się we właściwych kręgach, sprowadzali odpowiednią klientelę, którzy byli, jeżeli nie genialni, to przynajmniej przewidywalni i odpowiedzialni. Z pozoru. Brwi opadły.

Jenny rzuciła spojrzenie Danowi, ale jego twarz była nieprzenikniona.

- Dalej - powiedział.

- Wystawiałem чеки. Dwadzieścia tysięcy miesięcznie dla Reese'a Chapmana, zgodnie z warunkami funduszu. Różne kwoty Catherine, w zależności od potrzeb. Podatki i honoraria księgowych, także nasze własne, skoro już o tym mowa.

Charlie Duncan zbladł i pochylił szybko głowę, żeby to ukryć.

- Jak podpisywał pan чеки?

- Curtis G. Mason, powiernik.

- Czy Mason wiedział, co pan robi?

- To wiedział.

- A czego nie wiedział?

Scott zaczerpnął powietrza.

- Nie wiedział, że zacząłem wypisywać чеки gotówkowe i deponować je na własnym koncie bankowym.

Jenny wlepiła w niego wzrok, ale Danowi nawet nie drgnęła powieka. Pozostał niewzruszony.

- Od jak dawna i ile? - zapytał.

- Od czterech miesięcy. Około dwóch milionów dolarów.

Takimi właśnie sumami operowali Masonowie i Chapmanowie: nikt nie okradał ich na kilka tysięcy dolarów. Jenny zastanawiała się, na co poszły pieniądze. Spłata pożyczki na opłacenie studiów, raty za bmw, nawet weekendowa narkomania nie pochłonięłyby ułamka tej sumy.

Ale Dan chciał wiedzieć, jak, zanim zapytał: „dlaczego”.

- Do jakiego banku przelewał pan pieniądze?

- Do maklera. Connolly & Company. U niego też założono fundusz powierniczy, na koncie z prawem wystawiania czeków.

- Kto otrzymywał wyciągi z konta tego funduszu?
- O ile wiem, to Curtis G. Mason.

Dan milczał przez chwilę, zanim zadał następne pytanie. Tonem pogawędki, jakby chciał po prostu zaspokoić ciekawość.

- Jak pan wpadł?

Ruchem głowy Scott wskazał Tuckera Podswortha, który rozprostował ramiona, odchrząknął i powiedział tonem równie patrycjuszowskim, jak jego nazwisko:

- To był przypadek. Wszedłem do gabinetu Scotta po pewne akta. Zostawił na biurku otwartą książeczkę czekową. Czek był już wystawiony i podpisany nazwiskiem Masona.

- Skąd pan wiedział, że to bezprawne działanie?
- Atrament jeszcze nie wysechł. A rano dzwoniłem do Curta do Palm Beach.

Dan odwrócił się do Scotta i zmierzył go długim, szacującym spojrzeniem.

- Ma pan rację - przyznał Scott. - Duża nieostrożność. Zasłużyłem sobie na wpadkę.

- Albo chciał pan tego.

Napięcie pękło i Scott odbił się od ściany w nagłym przypływie podniecenia.

- Nie, nie! Widzi pan, zamierzałem to wszystko oddać. Gdybym miał czas sfinalizować...

- Co sfinalizować?

- Inwestycje wujka Curta.

- Chciał pan powiedzieć - inwestycje funduszu.

- Nie. Prywatne inwestycje wujka Curta. To na nie poszły te dwa miliony. Na rozruch inwestycji wujka Curta.

Dan popatrzył na Jenny i przez całą długość stołu wyczuła sygnał, elektryzujący impuls, który mówił, że może jednak da się zbudować na czymś linię obrony.

- Jeszcze raz, od początku - powiedział Dan. - Pieniądze poszły na pana prywatne konto.

- Początkowo. Potem wystawiałem чеки na ten rachunek - realizowane przez bank w obecności właściciela konta. Podpisywałem je nieczytelnym zakrętasem i robiłem przelew na rachunek maklerski wujka Curta.

- Po co?

Scott uśmiechnął się krzywo, co w innych okolicznościach mogłoby się wydać Jenny czarujące.

- Lubię grać na giełdzie. Jestem w tym dobry, naprawdę. Ale nigdy nie miałem dość gotówki. I nie będę miał, aż skończę trzydzieści pięć lat i zostanę beneficjentem funduszu babki. Więc bawiłem się, tworząc nieistniejące pakiety papierów wartościowych. I patrzyłem, jak opłacałaby się inwestycja, gdybym je faktycznie kupił. Na papierze byłem już kilka razy milionerem. Wujek Curt skarżył się, że jego makler nie osiąga pożądanych rezultatów, więc pokazałem mu swoje wyniki. Był pod wrażeniem. Powiedział: „Nie chciałbyś robić tego dla mnie? Zajmij się moimi transakcjami, rozmów się z maklerem i zobaczmy jak ci pójdzie”. Powiedział: „Makler dostaje prowizję, ale powiem ci, co zrobimy: zapłacę ci jak za doradztwo, a jeżeli coś zarobisz, możesz się spodziewać pokaźnej premii”. Zgodziłem się, choć - prawdę mówiąc - zrobiłbym to nawet za darmo. To była moja szansa, by zagrać naprawdę, a jeżeli cały zysk zgarnie wujek Curt... Cóż, zawsze podsyłał mi klientów, dawał zarobić - pomyślałem, że to uczciwa wymiana. Przelał sto tysięcy na rachunek inwestycyjny, dał mi pełnomocnictwo i kazał brać się do roboty.

- Nazwisko maklera? - zapytał Dan.

- Brian Kearney. Connolly & Company.

- Ten sam człowiek, u którego jest zdeponowany fundusz powierniczy?

Scott skinął głową. Śpieszył się, żeby opowiedzieć resztę swojej historii.

- Więc otworzyłem nowe akta, Mason, Doradztwo Inwestycyjne, i poświęciłem mu cały swój czas. Poszedłem na całość. Chciałem szybkich efektów, żeby pokazać wujowi Curtowi, na co mnie stać. Makler powiedział, że zbytnio ryzykuję, ale ta gra wymaga agresji.

- I wszystko pan przegrał.

- Wcale nie - odparł Scott. - Po miesiącu na rachunku było już dwieście tysięcy. Podwoiłem jego inwestycję! Ale potem rynek zawiódł. Wszystkie pozycje spadały na łeb, na szyję tak szybko, że nie nadążałem ich łapać. Wujek Curt wydzwaniał. „Jak nam dzisiaj poszło?” Nie miałem odwagi powiedzieć mu prawdy. Zresztą, pomyślałem: „nie musi wiedzieć, nadrobię straty”. Więc mówiłem: „Świetnie, wczoraj zarobiłeś pięćdziesiąt tysiaków na tej zwyżce IBM”. Potem poszło już lawinowo. Po trzech miesiącach na rachunku nie było ani dolara, a wujek myślał, że ma dwa miliony.

Dan rzucił Jenny spojrzenie mówiące: „To ważne, zapisz”.

- Myślał, że inwestycja przyniosła mu dwa tysiące procent zysku w trzy miesiące?

Scott skinął głową, krótko i zdecydowanie.

- Tak mu powiedziałem. Ufał mi.

- Więc wziął pan pieniądze z funduszu powierniczego.

- Aż się prosiło. Dziesięć milionów dolarów. Reese Chapman dostaje tylko dwadzieścia tysięcy miesięcznie, a Catherine nie ma wielkich wymagań. Majątek przejdzie na nią po śmierci Chapmana, który ma dopiero pięćdziesiąt parę lat. Nikt na tym nie ucierpiał. Więc tak, okradłem Catherine, żeby spłacić wujka Curta.

- I Mason nic o tym nie wiedział?

- Oczywiście, że nie.

- Nie ciekawiło go, skąd pochodzą te czeki?

- Powiedziałem mu, że to dochód. Zysk z transakcji.

- Nadal prowadzi pan te transakcje?

- Tak. Nadrabiam straty.

- Ile wynosi dzisiaj saldo rachunku Masona?

- Około miliona siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Zyskałem pięćdziesiąt tysięcy od zeszłego miesiąca.

- Zyskał pan? - powiedział Dan głosem jak brzytwa, rezerwowanym na takie właśnie okazje. - Podsumujmy: uszczuplił pan majątek powierniczy o dwa miliony, przegrał sto tysięcy Masona, jego saldo jest o dwieście pięćdziesiąt tysięcy niższe, niż mu pan powiedział. Według moich obliczeń, jest pan stratny dwa miliony trzysta pięćdziesiąt tysięcy.

Wysysał krew. Twarz Scotta pobiadła, oparł się plecami o ścianę.

- Tak-bąknął.

2

Zapadła noc i z szerokiej rzeki światła, w jaką zmieniała się po zmroku Schuylkill Expressway, zrobił się wąski strumyczek. Zegarek Jenny spoczywał w noskach baletek, ale obliczyła, że jest po dziesiątej. Kawa, której nikt nie pił, wydzielala kwaskowaty zapach, same opary utrzymywały ich w stanie pobudzenia. Kobieta, która przyniosła dzbanek, siedziała w sekretariacie i przerabiała notatki Jenny na oświadczenie, które Dan mógł, ale nie musiał podsunąć Scottowi do podpisu.

Uzyskał ogólny obraz sytuacji i przystąpił do uzupełniania szczegółów. Kiedy i w jakiej kolejności wystawiono czeki? Jakie sumy wpłynęły i kiedy to miało miejsce? Jakich transakcji dokonano? Rozmowy z maklerem. Rozmowy z Masonem. Z gabinetu Scotta, piętro niżej, przyniesiono akta i rozłożono na stole. Dan nachylał się nad nimi, wytyczał papierowy szlak, strzelał pytaniami, kiedy brakowało danych. Scott aż się palił do pomocy.

- Nie, to było najpierw - powiedział, zmieniając układ dokumentów. - Proszę spojrzeć na datę. Wtedy to zrobiłem.

Dan powtarzał pytania sprzed godziny i sprawdzał starannie, czy otrzymuje te same odpowiedzi. Scott zdawał sobie z tego sprawę, ale nie protestował. „Hej, nie żywię urazy, bracie - zdawał się mówić. - Wykonujesz tylko swoją pracę. Rozumiem”.

Pytanie „dlaczego” nadal dręczyło Jenny. Dlaczego ten człowiek zaprzepaścił ogromne możliwości, zanim mógł je w pełni wykorzystać? Mieli ze sobą tyle wspólnego. Podobnie jak ona, przebrnął przez studia prawnicze, przetrwał przynajmniej kilka ataków zwątpienia, jakie są nieodłączną ich częścią. Wstąpił na praktykę do firmy, która traktowała współpracowników jak ludzkie zera, pracujące dwa tysiące godzin rocznie za określoną stawkę, zawsze w cieniu wspólników niechętnie dzielących się sławą i fortuną. Scott ma trzydzieści dwa lata, wiedziała więc, że kończy staż i wkrótce rozpocznie starania o status wspólnika firmy - prawdziwego prawnika; cel, do którego ona będzie dążyła całymi latami. Wszystko to nie mieściło jej się w głowie.

Nikt inny nie dostrzegał w tym nic niezwykłego. Komitet szefów rozproszył się po korytarzu, skąd dochodził szmer rozmów. Żołądek Jenny kurczył się z głodu na wspomnienie sałaty, która była jego ostatnim gościem, o dwunastej w południe.

Pisk drukarki ucichł i sekretarka weszła na salę z plikiem kartek. Dan oddał je Jenny, a ona z miejsca zabrała się do pracy. Skup się na działaniach firmy, a raczej na jej bierności, poinstruował ją Dan, na jej wiedzy, a raczej niewiedzy. Stąd w oświadczeniu znalazły się sformułowania: „Nikt w Harding & McMann nie uczestniczył...”, „Działalem sam, bez niczyjej wiedzy...”, „Podjąłem następujące kroki, by ukryć swoją działalność przed firmą...”.

W dole ostatniej strony, pod wykropkowaną linią na podpis widniało nazwisko wydrukowane. Scott Bartlett Sterling.

Jenny aż podskoczyła. Podniosła wzrok i odszukała go wzrokiem. Stał, wpatrując się we własne odbicie w ciemnych szybach okien. Scott złodziej był

Scottem Sterlingiem? Znała to nazwisko. Przez ostatni rok Leslie próbowała umówić ją z kolegą swojego narzeczonego ze studiów, prawnikiem o nazwisku Scott Sterling. Bruce i Leslie byli przekonani, że Scott i Jenny są dla siebie stworzeni, ale ona stawiała opór i nic z tego nie wyszło. Mimo to wiedziała o nim niemało. Pochodził ze starej filadelfijskiej rodziny, jego ojciec był kimś ważnym w przemyśle. Ożenił się z kapryśną dziedziczką, która rzuciła go dla gracza polo. Miał dziecko, które rzadko widywał.

Zobaczył w lustrze, że na niego patrzy. Odwróciła wzrok zażenowana, zastanawiając się, czy i on skojarzył sobie jej nazwisko, czy pamiętał nagabywania swego kumpla Bruce'a. Zebrała swoje papiery i umknęła na korytarz.

Dwadzieścia minut później zredagowane oświadczenie wyszło z drukarki i szefowie wrócili na salę konferencyjną. Popołudniowe cienie na ich brodach rozwinęły się w regularną szczecinę, która podchodziła niemal pod zapuchnięte oczy.

- Proszę to przeczytać - powiedział Dan do Scotta, kładąc przed nim dokument.
- Sprawdzić, czy wszystko się zgadza.

Nikt się nie odezwał, kiedy Scott czytał oświadczenie. Słyszeć było tylko jak czyjś staroświecki zegarek głośno odmierza sekundy. Cykanie stawało się głośniejsze z każdą chwilą.

W końcu Scott podniósł głowę. Twarz mu spoważniała.

- Tak, to wszystko prawda - powiedział. Jenny - i być może tylko ona - wychwyciła nutę niedowierzania w jego głosie: nie, to nie może być prawda.
- Scott!

Zmiana w głosie Dana była bardzo subtelna, ale Jenny wiedziała, co oznacza. Koniec przesłuchania. Pora na współpracę.

- Myślę, że wyrażę opinię wszystkich obecnych, jeżeli powiem, że to, co pan tu dzisiaj zrobił jest godne podziwu. Ktoś inny mógłby się zamknąć w sobie i pozwolić firmie błądzić po omacku. Cholernie ułatwił mi pan zadanie i znacznie poprawił sytuację firmy. Doceniam to i wiem, że wszyscy na tej sali czują podobnie.

Nie wyglądało na to. Wystarczyłoby jedno spojrzenie na ich twarze, by się o tym przekonać, ale Scott wpatrywał się gorliwie w Dana.

- Zrobiłem to, co uważam za słuszne - powiedział. - Nabałaganilem, więc chcę posprzątać.

Dan wstał i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, nadal wiszącej na oparciu krzesła. Wyjął pióro i podał Scottowi.

Wszyscy ci ludzie, którzy przez ostatnie parę godzin starannie omijali Scotta wzrokiem, nagle zapomnieli o względach przyzwoitości i zgodnie gapili się na niego. Postawa Scotta zmieniła się w jednej chwili. Stracił czujność i nabrał poczucia ważności. „W końcu raczyliście zwrócić na mnie uwagę, co?”, zdawał się mówić.

Dan pochylił się nad nim, wskazując miejsce do podpisu. Oczy Scotta powędrowały na koniec strony, palce zacisnęły się mocniej na piórze.

Nagle podniósł głowę i odszukał spojrzeniem Jenny. Poczucie własnej ważności znikło, pozostała jedynie niepewność. I jeszcze coś - błaganie o pomoc.

Nie, pomyślała z przerażeniem. Nie u mnie jej szukaj. Nie rozumiesz, że jestem po przeciwnej stronie?

Ale jego oczy ją zaklinały: „Co mam zrobić? To nie moja liga”.

Wzrok Dana pobiegł za jego spojrzeniem. Wyprostował się i wbił w Jenny wzrok równie uporczywy jak Scott. Ale w oczach Dana nie było pytania. Był rozkaz.

Jenny przywołała na usta cień zachęcającego uśmiechu i skinęła leciutko głową.

Scottowi nie trzeba było nic więcej. Złożył zamaszysty podpis.

Salę przebiegło zbiorowe westchnienie ulgi.

- Parafować pozostałe? - zapytał Scott tonem prawnika, w którego obecności podpisano setki testamentów. Nie czekając na odpowiedź, nabazgrolił swoje inicjały w rogu każdej strony.

- Nie będziemy już pana zatrzymywać - powiedział Dan. - Odprowadzę pana do windy.

Wstając, Scott omiół wzrokiem zgromadzonych, ale nie zaryzykował pożegnania.

Krzesła jęknęły, kiedy stukilowe ciała odchyliły się na oparcia. Napięcie prysło jak bańka mydlana.

- Miałeś rację, Charlie - odezwał się jeden z mężczyzn, trąc dłonią szczecinę. - Casella jest dobry. Nie wierzyłem, że mu się uda.

- Mamy cholerne szczęście, że się zgodził.

- Ale nawet Dan Casella nie uratuje nam tyłków.

Ostatnia uwaga, wygłoszona dźwięcznym głosem sędziego Moore'a zwarzyła nastroje.

Dan wrócił, ocierając rękę o rękę, jakby właśnie skończył grzebać w śmieciach. Skinął głową Charliemu Duncanowi i Duncan odchrząknął.

- Maggie?

Sekretarka podniosła z trudem głowę.

- Nie będziesz nam już dzisiaj potrzebna. Wróć do domu taksówką.

Kobieta wstała i skierowała się do wyjścia. Dan zamknął za nią drzwi i odwrócił się do mężczyzn przy stole.

- Co dalej? - zapytał Duncan.

- Zwolnijcie go.

Jenny skuliła się w sobie, choć takie rozwiązanie było nieuniknione.

- Wszyscy są za? - zapytał Duncan i ręce powędrowały w górę.

- Napiszę wypowiedzenie i przedstawię ci do podpisu, Charlie. Doręczycie mu jutro do domu.

- A jeżeli przyjdzie do pracy? - zatroskał się Tucker Podsworth.

Nikt nie miał wątpliwości, że Scott jest do tego zdolny.

- Wręczycie mu list - powiedział Dan. - Jeżeli będzie chciał zlikwidować biuro, nie przeszkadzajcie mu, ale niech ktoś z nim zostanie i patrzy, co pakuje. Jeżeli będzie sprawiał kłopoty, zadzwońcie do mnie.

- Tucker, zostałeś oddelegowany - powiedział Duncan i Podsworth ciężko westchnął.

- Ustawcie kogoś przed jego gabinetem - ciągnął Dan. - Opieczętnujcie drzwi do czasu, gdy będziemy mogli przejrzeć zawartość. Wejdźcie w jego komputer i wyciągnijcie wszystkie dane.

- Charlie, jutro rano zadzwonimy do Curtisa Masona. Tucker, jak to wygląda z prawnego punktu widzenia? Czy mamy obowiązek powiadomienia Reese'a Chapmana i jego córki? Czy prawo - to zrobić?

Podsworth zwlekał z odpowiedzią. Jenny myślała już, że zapomniał, jak brzmiało pytanie, kiedy się w końcu odezwał.

- W przypadku tak wyraźnych dowodów zaniedbania obowiązków powierniczych ze strony Masona... Powiedziałbym, że mamy prawo i obowiązek zawiadomić Chapmana o tym, co się stało.

- Co z jego córką?

Nastąpiła kolejna pauza, potem Podsworth potrząsnął głową.

- Powiadomienie ojca wystarczy.

- Okay. Jutro zadzwonimy do Masona i Chapmana, powiemy, co się stało i poprosimy, żeby tu przyszli - oddzielnie - przedyskutować sprawę. Panie sędzio, możemy liczyć na pana obecność?

Sędzia Moore skinął głową. Wiekowi wspólnicy-figuranci znali swoje obowiązki.

Dan zacisnął dłonie na oparciu krzesła.

- Potem zadzwonimy do prokuratora okręgowego.

Rozległ się szmer protestu.

- To chyba nie jest konieczne - odezwał się John Warrington.

Dan odwrócił się w jego stronę.

- Czy ktoś ma wątpliwości, że zostało popełnione przestępstwo? - Czekał, ale nikt się nie ośmielił. - Czy ktoś chce przeszkodzić wymiarowi sprawiedliwości? A może odpowiadać za współudział?

Warrington potrząsnął głową.

- Jeżeli to ułatwi sytuację, sam do niego zadzwonię - zaproponował Dan. Nikt się już nie odezwał.

- I ostatnia kwestia. Oświadczenie do prasy, wyjaśniające co się stało i jakie kroki zostały podjęte w celu zaradzenia złu.

- Nie! - Kilka osób zaprotestowało głośno, inni kręcili przecząco głowami.

- Wolicie, żeby Mason przedstawił prasie własną wersję wydarzeń?

- Nie zrobi tego - powiedział Podsworth. - Jest jednym z nas.

Dan puścił krzesło i wsunął dłonie do kieszeni.

- Jeden z was wyjął dwa miliony dolarów z konta powierniczego i przelał na własne. Masonowi nie pozostaje nic innego, jak dotrzeć do prasy przed wami.

- Dan, nie możemy podać tego do publicznej wiadomości - powiedział Duncan.

- Połowa klientów z funduszami powierniczymi wycofa się w przeciągu tygodnia.

- Wycofają się wszyscy - wtrącił Warrington - jeżeli pomyślą, że nie mogą mieć zaufania do własnych prawników.

- A co pomyślą, jeżeli przeczytają wersję Masona?

Duncan wzruszył ramionami.

- Możemy mieć tylko nadzieję, że uznają go za wariata. On będzie mówił swoje, my swoje.

Dan czekał niezadowolony z werdyktu, ważąc szansę na odwołanie.

- Ty jesteś klientem - powiedział w końcu.

Wymieniono niemrawe życzenia dobrej nocy. Dan włożył marynarkę i ruszył do drzwi. Jenny poszła za nim.

3

Dan milczał podczas długiej jazdy windą w dół. Jenny już nieraz widywała go pochłoniętego walką, planowaniem następnej kampanii, obojętnego na to, co się wokół dzieje. Od pół roku był jej zwierzchnikiem, ale nie czuła się z nim ani trochę swobodniej niż w dniu, kiedy została wezwana do gabinetu słynnego Casella. Teraz też nie chciała przerywać jego zamyślenia, nawet po to, by spytać, czego od niej oczekuje.

Ocknął się dopiero, kiedy wyszli na chłodne nocne powietrze.

- Gdzie zostawiłaś samochód? - zapytał. - Odprowadzę cię.

Jego galanteria zawsze wprawiała ją w zakłopotanie.

- Przyjechałam pociągiem - odparła, kręcąc głową. - Stacja jest zaraz za rogiem.

- Jest pierwsza w nocy. Pociągi przestały chodzić o północy.

- O! - Jak ten czas leci, pomyślała, ale uznała, że lepiej nie mówić tego głośno.

- Chodź, odwiozę cię.

- Nie! - zaprotestowała. - Nie możesz... To znaczy... mieszkam aż w Radnor.

- Chodź - powtórzył i ruszył w stronę parkingu.

Zawahała się. Nie chciała go irytować dalszymi protestami, bała się, że już to zrobiła, zmuszając dojazdy na przedmieścia Main Line w środku nocy. Mieszkał nie dalej niż dziesięć przecznic od centrum. Ale po chwili pobiegła za nim i szli dalej w milczeniu. Puste ulice pełne były bursztynowego światła i cieni w kolorze sepii. Chłód przenikał do kości.

Samochód Dana stał samotnie na firmowym piętrze garażu. Czarny i smukły, przyczajony do skoku niby dziki kot, od którego wziął swoją nazwę. Jenny wsunęła się na fotel pasażera, trzymając w objęciach torebkę, aktówkę i worek z baletkami. W samochodzie było jeszcze zimniej niż na dworze i Jenny skuliła się pod płaszczem.

- Wiedziałem, że będę cię dzisiaj potrzebował - powiedział Dan. - Ale nie sądziłem, że aż tak. - Przekreślił kluczyk w stacyjce. Nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy oświetlonej poblaskiem z deski rozdzielczej.

- Napisałam tylko oświadczenie - powiedziała.

- Gdyby nie ty, w ogóle by go nie było. - Wycofał samochód z miejsca parkingowego i zaczął zjeżdżać z rampy. - Nie widziałaś, co się stało? Zaczął się wahać. W końcu przypomniał sobie, że jest prawnikiem, na litość boską! Wtedy popatrzył na ciebie i to przesądziło sprawę.

- Myślałam, że dajesz mi sygnał - powiedziała Jenny, jakby chciała się usprawiedliwić.

- Dałem. - Znaleźli się na poziomie ulicy i Dan wyjechał na Market Street. - Wykorzystałem to, że nawiązałaś z nim kontakt.

Kontakt, pomyślała. Wahała się, czy powiedzieć mu o swojej niedoszłej znajomości ze Scottem Sterlingiem, o tym, że przyjaciele chcieli ich wyswatać. Ale wydawało się to trywialne wobec wydarzeń wieczoru i problemów, jakie przed nimi stały. Tylko głupiec mówiłby o takich sprawach w tej chwili, a Jenny nie mogła znieść myśli, że może wydać się Danowi głupia.

- Co zrobisz z tym oświadczeniem? - zapytała. - Przekażesz prokuraturze?

Potrząsnął głową.

- Jest mi potrzebne wyłącznie do ochrony H & M.

Ochrony przed czym? Czegoś tu nie rozumiała.

Pamiętała radę, jaką usłyszała podczas szkolenia młodych pracowników zeszłej jesieni. Jeden ze starszych wspólników firmy powiedział: „Żadne głupie pytanie nie jest tak głupie, jak niezadane w ogóle. Pytajcie!” Dodał, że jest to najlepsza rada, jaką kiedykolwiek usłyszą.

Ale łatwiej było jej udzielić, niż się do niej zastosować. Jenny otworzyła usta, żeby powiedzieć: „Czegoś tu nie kapuję”, ale wydukała: „Nie jestem pewna, czy w pełni rozumiem, na czym polega zagrożenie”. Skrzywiła się, słysząc własne słowa. - Chciałam powiedzieć... Pieniądze zostały użyte niezgodnie z przeznaczeniem, ale nie zostały stracone. Są prawie w całości na koncie Masona.

- Myślisz, że on je po prostu odda?

- Musi. Nie są jego.

- Nie są? Gdyby tak zwany doradca inwestycyjny spełnił swoją obietnicę, Mason miałby dzisiaj na koncie dwa miliony dolarów. Sterling nie podebrał forsy z funduszu powierniczego dla zabawy. Zrobił to, żeby pokryć straty poniesione na giełdzie.

- Chcesz powiedzieć, że H & M może być odpowiedzialna nie tylko za te dwa miliony skradzione z konta funduszu, ale także za dwa miliony zysków, które nigdy nie istniały?

- Na początek.

- Ale Sterling nie jest maklerem. H & M nie ponosi odpowiedzialności za jego prywatne interesy z Masonem.

- Właśnie! - powiedział Dan, zadowolony, że ich myśli biegają jednym torem. - Mason jest sprytny. Kazał Sterlingowi otworzyć nowe akta, Mason Doradztwo Inwestycyjne. Argument na to, że wszystkie jego interesy były prowadzone w ramach firmy.

- Myślisz, że to Mason za tym stoi?

- Kto jeszcze na tym skorzystał?

- H & M przez swoje faktury - wyrzuciła z siebie Jenny.

Brwi Dana powędrowały w górę.

- To znaczy, może ktoś... - wyjąkała.

- Nie... - przerwał jej. - Masz rację. Oni też na tym zyskują; powinni to nadzorować.

Dan przeniósł wzrok z powrotem na szosę, a Jenny przypomniła sobie dwa incydenty z ich krótkiej znajomości. Pierwszy zdarzył się przed kilkoma miesiącami. Dan rzucił zdawkową uwagę, o której prawdopodobnie natychmiast zapomniał. „Wiesz co, byłabyś cholernie dobrym prawnikiem, gdybyś nauczyła się obstawiać przy swoim”.

Drugie zdarzenie miało miejsce na samym początku ich współpracy. Dan wygrał właśnie wielki proces antytrustowy, złożono apelację i Jenny, świeżo upieczona urzędniczka sądu apelacyjnego, została oddelegowana do jego biura.

- Chcę, żebyś przejrzała protokoły sądowe - powiedział, a ona skrupulatnie notowała jego słowa. - Opracuj wszystkie kwestie, jakie mogą wypłynąć w trakcie rozprawy. Przeanalizuj je. Potem przedstaw mi szkic... - Jenny już kiwała głową, wiedząc, co będzie dalej. -... podsumowania drugiej strony.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Nie będę wiedział, co mam powiedzieć w swoim podsumowaniu, jeżeli nie będę wiedział, co oni powiedzą w swoim - wyjaśnił. - Jennifer - dodał, kiedy zbierała się do wyjścia. - Zrób to z uczuciem.

Dobra lekcja, jedna i druga. Młody prawnik mógł się sporo nauczyć od Dana Caselli i dlatego tylu kolegów zazdrościło Jenny przydziału.

Dan zjechał z autostrady, skręcił w lewo, w stronę jej domu.

- Jaka to ulica? - zapytał.

- Coventry Road. Skręć w następną. Potem prosto jakieś trzy kilometry.

Dobrze utrzymane podmiejskie domy ustąpiły miejsca otwartym polom. Po prawej stronie ukazał się dwumetrowy mur z kamienia i ciągnął się wzdłuż drogi na przestrzeni stu metrów.

- Na szczycie wzgórza w lewo - powiedziała Jenny.

Dan zwolnił, skręcił i samochód minął dwa kamienne słupy, które kiedyś przytrzymały bramę z kutego żelaza. We mgle nie widać było nic poza gęstym lasem.

- Co to za miejsce? - zapytał w końcu Dan.

- Stara posiadłość Dundee. Mieszkam w wozowni.

- Dundee? To ci ludzie od Heritage Cereal?

- Tak. Na rozwidleniu dróg w lewo.

Światła reflektorów przesuwali się po zachwaszczonych polach i gęstych zagajnikach jakby czegoś szukały, aż spoczęły na starej budowli. Była kryta gontem i z trzech stron obejmowała dziedziniec. Wyglądała bardziej jak stodoła niż dom. Samochód podskoczył na kocich łbach dziedzińca. W obu skrzydłach mieściły się garaże, środek został przerobiony na dwupiętrowy budynek mieszkalny, wzniesiony wokół masywnego komina.

- Niezły lokal - zauważył Dan.

- Wietrzny i dach przecieka, ale mnie się podoba.

- Mieszkasz tu sama?

Pytanie nie miało podtekstu. Młode prawniczki zatrudnione w śródmiejskich firmach rzadko mieszkaly w odludnych wozowniach na wsi, to wszystko.

- Nie - powiedziała. - Mam współlokatorkę - dodała pośpiesznie - moją przyjaciółkę Leslie... - Nawet to wyjaśnienie wydało się niewystarczające, brnęła więc dalej. - Koleżankę z baletu.

- I kilku podopiecznych - zauważył Dan.

Wielki żółty pies, którego Jenny karmiła od miesiąca, stał w drzwiach i machał dość niepewnie ogonem, podczas gdy dwa koty plątały mu się między nogami.

- Nie, to tylko przybłądy. - Jenny wzięła w jedną rękę torebkę, aktówkę i torbę na baletki, drugą otworzyła sobie drzwi. - Dzięki za podwiezienie.

Była już w drzwiach, kiedy Dan opuścił szybę.

- Jennifer!

- Tak? - Odwróciła się, oślepiona przez reflektory, ale już zamieniona w słuch, gotowa przyjąć nowe zlecenie.

- Nie wiedziałem, że jesteś tancerką.

Okno się zamknęło, samochód okrążył dziedziniec i zniknął.

4

Dan dociskał pedał gazu, dopóki wskazówka prędkościomierza nie dosięgnęła setki. Droga była wąska i kręta, ale o tej godzinie praktycznie należała do niego. Wiejskie krajobrazy migają za oknami osnute smugami sinej mgły. Poruszył ramionami, próbując rozluźnić napięte mięśnie karku. Chryste, co za noc! H & M dał ciała, ale wszyscy oczekiwali, że wyciągnie coś z kapelusza i uratuje ich firmowy tyłek. Co więc powinien zrobić? Szukać rozpaczliwie w kapeluszu, czy przekonać klienta, że kapelusza nie ma?

Ciemny kształt mignął w świetle reflektorów i Dan nadepnął na hamulec. Samochód zatrzymał się z piskiem opon. Dwa metry od maski stał jelen, drżąc z przerażenia.

Dan wstrzymał oddech. Wstęgi mgły otaczały zwierzę niesamowitą poświatą. Nacisnął klakson; jelen zadrżał mocniej, ale nie poruszył się. Dan przypomniał sobie, że światło działa na zwierzęta paralizująco i zgasił reflektory. Kiedy znów je włączył, oświetliły pustą szosę.

Ogarnęło go dziwne uczucie dezorientacji. Main Line była dla niego obcym terytorium, ale nie chodziło tylko o to. To miejsce miało w sobie coś nierealnego - mgła, jelen, dom Jennifer, zupełnie nie z tego świata. Przez chwilę miał wrażenie zagubienia w czasie i przestrzeni. Przekręcił klucz w stacyjce i ryk silnika przywrócił mu poczucie rzeczywistości. Ruszył w stronę domu.

Apartamentowiec stał kilka przecznic na południe od budynku sądu federalnego, gdzie Dan rozpoczynał karierę, ścigając handlarzy narkotyków i polityków. Od czasu, gdy zrezygnował z posady rządowej, fortuna się do niego uśmiechnęła, ale zamiast się wyprowadzić, zamieszkał na wyższym piętrze. Teraz był właścicielem małego penthouse'u - penthouse'u, ponieważ był najlepszy, małego - ponieważ nadal potrzebował jedynie sypialni i łazienki.

Oświetlenie mieszkania, chłodne i ostre, miało harmonizować z minimalistycznym wystrojem, za który dekorator wnętrz zainkasował maksymalne honorarium. Dan klepnął przycisk i lampy rozbłysły nad skórzanymi meblami w kolorze ołowiu. Był to widocznie dzień sprzątania, bo mieszkanie pachniało cytryną i ajaksem.

Czerwone światelko automatycznej sekretarki błyskało w holu. Dan odwiesił płaszcz, ściągnął krawat i marynarkę. Zdjął okulary. Nie potrzebował ich - szkła

miały minimalną moc - ale wiedział z doświadczenia, że większość ludzi nie przypisuje inteligencji komuś, kto ma włoskie nazwisko i śródziemnomorskie rysy twarzy. Okulary pomagały.

Włączył odtwarzanie i zwiększył głośność, żeby słyszeć z kuchni. Zamaszystym ruchem otworzył lodówkę. Sześciopak piwa i kartonik z resztkami chińskiego jedzenia.

- Dan! - tchnął z aparatu kobiecy głos. - Myślałam o tobie. Minęło tyle czasu. Może wpadniesz? Do zobaczenia.

Dan pociągnął łyk piwa i przeklął w myśli wszystkie kobiety, które nie przedstawiają się automatycznym sekretarkom. Poszedł do holu, żeby cofnąć taśmę, ale właśnie rozpoczęło się drugie nagranie.

- Danny, tu Teresa - powiedziała jego siostra, jedyna kobieta, której głos rozpoznawał zawsze, nawet wtedy, gdy drżał z napięcia. - Tony się do ciebie nie odzywał? Jest po północy, a on jeszcze nie wrócił do domu. Miałysmy z nim dzisiaj trochę kłopotu i mama się zamartwia. Zadzwoń, co?

Chwycił słuchawkę i wykręcił numer, zanim nagranie dobiegło końca. Teresa odebrała po pierwszym sygnale.

- Tony?

- Jezu! - Dan spojrzał na zegarek. Dochodziła druga. - Jeszcze go nie ma?

- To Danny. - Ponad głosem siostry dobiegł go szloch matki. - Co robić, Dan? Dzwonić na policję?

- Nie. - Jego brat skończył ledwo czternaście lat, ale miał już tak zababraną kartotekę, że wystarczyłoby na całe życie. - Nic nie róbcie. Zaraz tam będę.

Od szeregowych domów na Gasker Avenue, upchanych tak ściśle, że niemal wchodziły na siebie, dzieliło go dziesięć przecznic i kilka światów. W połowie drogi Dan uświadomił sobie, że powinien wziąć taksówkę, bo będzie miał kłopot z zaparkowaniem. W tej dzielnicy starzy ludzie przesiadywali całymi dniami na ogrodowych krzesłach na ulicy, rezerwując miejsca parkingowe dla synów, którzy wrócą wieczorem z pracy. Dan nie mógł liczyć, że ktoś zrobi to dla niego.

W domu matki paliły się światła, musiał jednak objechać kwartał i wrócić na Broad, zanim znalazł pięć metrów wolnego krawężnika. Bez marynarki było mu zimno, kiedy biegł chodnikiem, a potem po marmurowych schodach, które matka szorowała do połysku. W oknie ujrzał twarz Teresy. Na widok Dana opuściła zasłonę i poszła otworzyć drzwi. Była w płaszczu.

- Nie pokazał się?

Pokręciła głową. Mary, ich matka, siedziała w kącie kanapy, ubrana w kwiecistą podomkę, która zlewała się z pokrowcami w kapuściane róże.

- Co się stało? - zapytał Dan. Ostry ton jego głosu sprawił, że Mary zakołysała się, zaciskając ręce na brzuchu. Tony pojawił się w jej życiu zbyt późno; szalała na jego punkcie od dnia, w którym się urodził.

Teresa opadła na kanapę, nadal w zapiętym płaszczu.

- Zmył się. Powiedziała, żeby został dzisiaj w domu choć raz - nigdy nie wiemy, dokąd i z kim idzie. Doprowadził mamę do rozpacz i się zmył.

Uniosła rękę i odgarnęła z oczu kosmyk włosów. Purpurowy ślad znaczył policzek - odcisk pięści.

Gniew chwycił Dana za gardło.

- Zabiję go! - wychrypiał. Odwrócił się i wybiegł z domu.

- Danny, nie! - zawołała za nim Mary. Teresa nie odezwała się. Dan biegł, w dół marmurowych schodów, w dół ulicy aż do skrzyżowania. Nie czuł już zimna. Oczy zaszyły mu mgłą, zatrzymał się na rogu, zamrugał powiekami, żeby odzyskać ostrość widzenia.

Był u siebie, w dzielnicy, której plan mógł kiedyś narysować z zawiązanymi oczami. Teraz jednak było to terytorium wroga. Domy były ciemne, w bramach, poza kręgiem świateł latarni, czaiły się cienie. Kiedyś grasował na tych ulicach, nietykalny, nieśmiertelny, teraz emanowały zagrożeniem.

Z Broad wyjechała furgonetka i pełzła ulicą, ciemna, z przydymionymi szybami. Minęła dom matki i zatrzymała się na rogu. Dan zaczął się cofać, pozostając w cieniu budynków. Wewnątrz furgonetki zapaliła się lampka, oświetlając trzech mężczyzn na przednim siedzeniu. Odezwały się stłumione, gardłowe głosy, tylne drzwi otworzyły się i ciemna postać stanęła na chodniku. Twarz, którą ujrzał w świetle latarni, należała do Tony'ego.

- Hej! - krzyknął Dan.

Na dźwięk jego głosu drzwi zatrzasnęły się, furgonetka ruszyła i skręciła za róg.

Tony zamarł na chodniku. Był muskularny i z pewnej odległości, ubrany tak jak teraz w motocyklową kurtkę i wojskowe buty, mógł uchodzić za dużo starszego. Ale z bliska nadal był chłopcem o gładkich policzkach, jedwabistych czarnych lokach i oczach jak gwiazdy. Te oczy biegały teraz w prawo i lewo, szukając drogi ucieczki, podczas gdy umysł formułował alibi. Ale Dan nie dał bratu czasu ani na jedno, ani na drugie. Chwycił go obiema rękami za przód kurtki.

- Co jest grane? Kim byli ci faceci? Wiesz, która godzina?
- Nie znam ich. - Odpowiedział Tony. - Tylko mnie podwieźli.
- Podwieźli skąd? Gdzie ty byłeś, do cholery?!

- Puszczaj! - Chłopiec podbił ręce brata i wykonał błyskawiczny zwrot. Dan przytrzymał go od tyłu. W wewnętrznej kieszeni kurtki wyczuł twardy, kanciasty przedmiot.

- Co to jest? - zapytał, wyciągając rękę.
- Odpieprz się!

Dan wykręcił Tony'emu ramię i dobrał się do jego kieszeni. Wyciągnął rewolwer.

- Jezu Chryste! - powiedział zdławionym głosem.
- Nie! Oddaj. To nie moje!

Kaliber 30, ciężki, zimny i śmiercionośny. Dan sprawdził bębenek, ale odkrycie, że jest pusty, nie przyniosło mu ulgi. Zatknał broń za pasek, a kiedy Tony skoczył, żeby ją odzyskać, wymierzył bratu cios w szczękę. Chłopiec krzyknął.

Drzwi otworzyły się i w progu stanęła matka. Jednego ich przynajmniej nauczyła w dzieciństwie: porządni ludzie nie załatwiają spraw osobistych na ulicy. Dan chwycił Tony'ego za kołnierz i wciągnął do domu.

- Danny, dobrze już, on wrócił! - Mary chwyciła go za ramię.

Teresa stała milcząc, siniak na jej policzku krzyczał do niego z drugiego końca pokoju.

Tony wyrwał się i rzucił ku schodom. Dan strząsnął rękę matki i pobiegł za nim, przesadzając po dwa stopnie. Zdyszany dotarł na drugie piętro w chwili, gdy Tony zatrzasnął drzwi. Rozległ się chrobot klucza. Ale Dan znał dobrze zamki w rodzinnym domu. Podniósł nogę i kopnięciem wyważył drzwi.

Brat był już przy oknie, próbując unieść żaluzję. Dan znał również okna i wiedział, że nie otwierają się wtedy, gdy potrzeba.

- Ostrzegłem cię - powiedział. - Jeszcze jedna taka wpadka i wybiję ci z głowy chuligaństwo!

Tony zostawił okno i odwrócił się, gotowy do walki.

- To ona do ciebie zadzwoniła?! - krzyknął. - Ta cipa...

Dan odpiął pasek od spodni i wyszarpnął go jednym ruchem. Tony próbował przemknąć pod jego ramieniem, ale Dan chwycił go za głowę i wymierzył pół tuzina razów.

Mgła wściekłości opadła, ale jego gniew nadal wibrował w powietrzu. Tony dał nura na łóżko i skulił się pod ścianą. Dan wsunął pasek na miejsce, ale nie zapiął klamry, na znak gotowości. Z korytarza dobiegły szepty kobiet, szarpnięciem otworzył więc drzwi. Mary weszła do pokoju, rzuciła mu spojrzenie i podbiegła do Tony'ego. Zapłakany chłopiec wyciągnął ku niej ręce, a ona tuliła jego głowę, kołysała syna w ramionach.

- Cicho, cicho, maleńki - powtarzała.

Dan popatrzył na Teresę. Przewróciła oczami.

- Odejdź ode mnie! - krzyknął nagle Tony i pchnął matkę tak mocno, że upadła na łóżko.

- Tego już za wiele! - Dan chwycił Tony'ego za ramię i postawił na nogi.

- Nie, Danny - powiedziała Teresa cicho. - Wystarczy.

- Nie, nie wystarczy - odpowiedział, ale opuścił ręce.

Tony klapnął z powrotem na łóżko. Z kącika ust płynęła mu strużka krwi. Wyglądał na młodszego, niż był w rzeczywistości. Wyglądał jak mały chłopiec, który był kiedyś beniaminkiem rodziny.

Teresa pomogła Mary wstać i obie popatrzyły niepewnie na Dana.

- Tak. Co teraz? - mruknął. Przeczesał włosy dłońmi i wypadł z pokoju.

Na korytarzu oparł się o popękana ścianę. Od pięciu lat chciał to wyremontować. Przy okazji przydałoby się zainstalować nowe oświetlenie, żeby klatka schodowa nie wyglądała tak ponuro. Życie matki i Teresy było wystarczająco posępne.

- Co teraz? - powtórzył.

Pięć minut później wrócił do pokoju. Kobiety nadal stały na środku, czekając, aż Dan wytyczy nowy kurs. Tony przyciskał chusteczkę do wargi i obserwował go przez rzęsy.

- Teresa, przynieś walizkę - powiedział Dan. - Dużą. Mamo, pomożesz mi. - Otworzył górną szufladę komody. Bielizna, skarpetki, numery „Hustlera”.

- Danny, co zamierzasz? - zapytała Teresa.

- On się wyprowadza - odparł. - Do mnie.

- Nie! - pisnął Tony.

- Zamknij się! - Pochylił się nad nim groźnie. - Ani słowa!

- On już będzie grzeczny - powiedziała Mary. - Prawda, Tony? Powiedz Danny'emu, że już będziesz grzeczny.

- Daj spokój - zakpiła Teresa. - Nie możesz tego zrobić. Pracujesz dwanaście godzin na dobę. Podróżujesz po całym kraju. Kto się wtedy nim zajmie?

- Kto zajmie się wami, jeżeli on zostanie?

- Potrafimy zatroszczyć się o siebie.

- Tak? - Kiedy dotknął siniaka na jej policzku, skrzywiła się i odepchnęła jego dłoń. Wyciągnął broń zza paska i podetknął siostrze pod nos.

- Chcesz zobaczyć, co będzie, jak użyje tego następnym razem?

- On nigdy by... - zachłysnęła się Mary.

- Przynieś walizkę - powiedział Dan i Teresa wyszła bez słowa.

Dan wprowadził samochód na miejsce parkingowe. Było zarezerwowane dla niego, tyle że nie przez staruszkę na ogrodowym krzeselku, a przez końcówkę numeru konta, na które wpłacał co miesiąc sto dolarów. Włożył rewolwer do skrytki i zamknął na klucz. Jedną ręką ujął ramię Tony'ego, drugą chwycił walizkę, wyciągnął chłopca z wozu i wpakował do windy. Na poziomie parteru wcisnął „stop”.

- Dzień dobry, Al! - zawołał do portiera.

Murzyn podniósł głowę znad gazety i przeniósł wzrok z Dana na Tony'ego.

- To jest mój brat. Zamieszka ze mną na jakiś czas.

- Aha - powiedział strażnik z twarzą bez wyrazu.

- Zrób mi przysługę - ciągnął Dan. - Jeżeli kiedykolwiek zobaczysz, że wychodzi z mieszkania beze mnie, dzwoń najpierw na policję, potem do mnie.

- Załatwione, panie Casella.

Nikt nie spał w pokoju gościnnym od czasu, gdy starzy kumple Dana z prokuratury przyjechali służbowo do miasta i chcieli zaoszczędzić diety. Niech go licha, jeżeli pościeliłóżko. Dzieciak może spać na gołym materacu. Ale kiedy ściągnął narzutę okazało się, że łożko jest pościelone, dzięki uprzejmości sprzątaczk, a może tej rudej, z którą umawiał się przez tydzień w zeszłym miesiącu. Chciała się wprowadzić i bawić w dom.

- Do łożka - powiedział.

- Mogę się najpierw wysikać? - zapytał Tony kpiąco. - Czy mam się odlać w tę fikuśną pościel?

Dan wskazał ruchem głowy łazienkę i patrzył, jak chłopiec rusza ku niej niespiesznie, a potem zatrząskuje za sobą drzwi.

Boże, ależ był zmęczony! Stał przy oknie i próbował rozciągnąć kręgosłup, rozmasować zeszywniały kark. Miał z okna widok na południe, aż poza stadiony.

Wydawało mu się, że widzi swoją starą dzielnicę; pamiętał dobrze, jak rozpaczliwie pragnął stamtąd uciec. A teraz przywłókł do domu to, co w niej było najgorszego. Ignorancję, przemoc, wściekłość, wszystko to w osobie jednego czternastolatka.

Tony wyszedł z łazienki i z nadętą miną zrzucił z siebie ubranie. Spuchła mu połowa dolnej wargi i Dan wiedział, że powinien przynieść lód na okład, ale nie był w stanie się ruszyć. Tony wśliznął się pod kołdrę i odwrócił plecami do brata.

- Chodzę do szkoły - powiedział w poduszkę.

- Na pewno do niej nie wrócisz. Już widać, że zakonnice cię nie wychowają. Jeszcze jedno zadanie na jutro - znaleźć szkołę dla Tony'ego.

- To co ze mną będzie? Mam chyba prawo wiedzieć?

- W przyszłym roku Vince odchodzi z marynarki. - Plan formułował w trakcie mówienia, ale trzymał się kupy. Jego starszy brat unikał obowiązków rodzinnych od dziewiętnastu lat. Najwyższy czas, żeby zaczął nadrabiać zaległości. - Do tego czasu zostaniesz ze mną.

- Zdaje ci się.

Dan jednym skokiem znalazł się przy łóżku, szarpnięciem odwrócił Tony'ego na plecy.

- Coś ci powiem, cwaniaczku! - Zbliżył twarz do twarzy brata. - Tylko spróbuj uciec! Nie dojdiesz nawet do rzeki. Pracowałem w FBI, zapomniałeś? Mam tam wielu przyjaciół. Jeden telefon i będziesz ich miał na karku. I nie będą tak delikatni jak ja dzisiaj.

Twarz Tony'ego nie zdradzała żadnych uczuć. Dan nie potrafił powiedzieć, czy brat się go boi, czy nim pogardza. Obu ich wychowała ulica, według tej samej zasady: naucz się sam bronić.

Wyszedł z pokoju i znalazł piwo, które otworzył przed dwoma godzinami, teraz już ciepłe. Była czwarta rano. Za pięć, sześć godzin będzie z powrotem w kwaterze Harding & McMann, zadzwoni do Curtisa Masona i Reese'a Chapmana z propozycją, by na dwa lata zmienili jego życie w piekło. Myśl o Scotcie Sterlingu przygnębiła go jeszcze bardziej. Kolejny łobuz, tyle że nie potrafi się obronić.

Podszedł do okna w jadalni i oparł czoło o zimną szybę. Na rogu Sixth Street stał wóz policyjny, błyskając kogutem na oblegający go tłumek. Dan był przekonany, że to właśnie Tony'ego szukają. Bóg jeden wie, gdzie był dzisiaj w nocy i co zrobił.

Zemdliło go na myśl o rewolwerze. Powinien pójść na policję, oddać broń, sprawdzić, w co jego brat się wpakował. Wiedział jednak, że wrzuci rewolwer do rzeki przy pierwszej okazji.

Pół godziny później zjrzał do sypialni. Tony spał na brzuchu, odkryty. Dan naciągnął na niego kołdrę. Chłopiec poruszył się, wydał ni to jęk, ni szloch, ale nie obudził się.

Podobieństwo między nimi było uderzające. Brano ich za ojca i syna. Zdarzały się chwile - dawno temu, kiedy Tony był jeszcze uroczym chłopczykiem, darem pozostawionym przez ojca, a nie udręką ich życia - kiedy Dana to bawiło.

Jego miłość do brata mieszała się pół na pół z gniewem i poczuciem winy. Miał dwadzieścia trzy lata, kiedy urodził się Tony. Był na pierwszym roku prawa, świat stał przed nim otworem. Wszystko było ustalone, pożyczki zaciągnięte, stypendia zdobyte. Ciężko pracował, a dzień rekompensaty był bliski.

Tak się wydawało aż do pewnego wieczoru, kiedy ojciec stracił przytomność za kierownicą, skasował kilometr drucianej siatki, zwałił się z nasypu i wylądował na środku autostrady numer trzydzieści. Sekcja zwłok wykazała łagodny atak serca. Przeżyłby go bez trudu, gdyby nie urwało mu głowy w katastrofie.

Kiedy po pogrzebie goście rozjechali się do domów, matka zebrała ich w bawialni i wyszłochała wiadomość, którą trzymali z mężem w sekrecie: za sześć miesięcy urodzi następne dziecko.

Vince służył już wtedy w marynarce i ani mu się śniło rezygnować z kariery, wrócić do domu i utrzymywać małego braciszka. Dan pracował na kilku etatach, żeby zarobić na własne utrzymanie, a jego plany nie przewidywały, że matka rzuci pracę i urodzi następne dziecko.

Spadło to więc na Teresę, absolwentkę liceum z własnym planem życiowym. Wycofała podanie o przyjęcie na studia, zatrudniła się jako sekretarka w pobliskim zakładzie pogrzebowym i poświęciła swoje dochody i swoje życie matce i Tony'emu. Była najpiękniejszą dziewczyną w południowej Filadelfii, wystarczająco inteligentną, by robić w życiu to, co jej się podobało. Teraz miała trzydzieści trzy lata, wymizerowaną twarz i pracę śmiertelnie - w dosłownym znaczeniu tego słowa - nudną. I to wszystko dla tego łobuza. Nieprawda! To wszystko po to, żeby Vince mógł pływać, a Dan piąć się w górę.

Wrócił na swój posterunek przy oknie w jadalni i spojrzał w dół. Wóz policyjny zniknął, ale tłumek trwał na miejscu, omawiając zdarzenie, które sprowadziło policję. Zza rogu Washington Square wyjechał samochód, o wiele za szybko, jego

światła wyłowiły ludzi z mroku, przylapały w pozie znamionującej winę. Scena przypomniła Danowi jelenia w świetle reflektorów na bocznej drodze w Radnor.

Niespodziewanie jego myśli pobiegły ku Jennifer Lodge. Uważał ją za pracowitą, zdolną prawniczkę, ale nie przeoczył również jej spokojnej urody, lśniących brązowych włosów, przejrzystych oczu i płynnych ruchów. Nie wiedział, że jest tancerką, nie zdziwił się jednak, kiedy jeden ze współpracowników podpowiedział mu, gdzie jej szukać. Jakże nieprawdopodobnie wdzięcznie wyglądała, gdy odnalazł ją wzrokiem na sali. Nachylona nisko, niby wierzba gnąca się na łagodnym wietrze. A kiedy podszedł bliżej, jak dzikie zwierzątko, jak tamten jelen, gotowa była do ucieczki. Cóż za piękność. Dundee albo jakaś ich krewna. I mieszka w domu, który wydał się Danowi nie z tego świata.

Obejrzał się na pokój, gdzie spał jego młodszy sobowtór, jego złe, drugie ja.

To nie twoja liga, Casella, pomyślał i dopił piwo.

5

Na biurku Scotta Sterlinga stała fotografia małej, puciołowatej dziewczynki o włosach delikatnych jak jedwab, z uśmiechem igrającym na ustach. Jenny wracała spojrzeniem do zdjęcia, przeszukując szuflady biurka. Fotograf uchwycił dziecko na plaży, z ramionkami wyrzuconymi w górę, buzią wystawioną do słońca jak do pocałunku. Taki widok może rozczulić każdą bezdzietną kobietę dobiegającą trzydziestki.

Jenny wiedziała z zeznań podatkowych w lewej dolnej szufladzie, że dziewczynka nazywa się Amanda Bennington Sterling i nie ma jeszcze trzech lat. Wiedziała z akt oznaczonych „Sterling, Scott - stosunki rodzinne”, że matka dziewczynki, Valerie Bennington Sterling Ross, mieszka na Florydzie. Z faktur American Express wynikało, że Sterling odwiedza córeczkę raz w miesiącu. Czy koszty z tym związane mogły pchnąć go do kradzieży? Jenny odłożyła rachunki na stos dokumentów do kserowania.

Spędziła cały ranek, grzebiąc w szczątkach osobistego życia Sterlinga. Tucker Podsworth i jego ludzie przejrzeni dokumenty funduszu powierniczego Chapman i Mason Securities Advice, a potem zabrali się do innych „niezgodności”. Wyciągi z banku i domu maklerskiego, чеки bankowe, potwierdzenia transakcji

giełdowych z Connolly & Company - wszystko to znalazło się w sali konferencyjnej w końcu korytarza, gdzie zespół rewidentów księgowych odtwarzał przepływ pieniędzy. W gabinecie Sterlinga pozostały jedynie rzeczy osobiste, a do nich Dan oddelegował Jenny.

Przekartkowała jego kalendarz i grafik, notatnik i rolodex. Miał zapisane numery rejestru ksiąg metrykalnych i sądów rodzinnych w samej Filadelfii i czterech sąsiednich hrabstwach. Miał starannie wykaligrafowane fiszki z danymi Curtisa Masona (dom), Curtisa Masona (Floryda) i Curtisa Masona (Maine). Układał długopisy według koloru i kształtu, ale w szufladzie trzymał okruszki precli i papierki po cukierkach.

W niej też Jenny znalazła staroświecki kieszonkowy złoty zegarek. Na jednej ćwiartce tarczy widniał misternie wyryty herb przedstawiający ogiera spiętego do skoku, na drugiej gołąb z gałązką oliwną w dziobie. Była tam jeszcze jedna fotografia, przedstawiająca dwunastoletniego chłopca na koniu, w typowo angielskim stroju: dżokejka, bryczesy i błyszczące buty do kolan. Delikatne rysy twarzy kazały się domyślać Scotta Sterlinga, zdradzał go krzywy uśmiech.

W głębi szuflady znajdowały się ścinki papieru zapisane literowymi skrótami i liczbami. Były to zapewne nazwy firm i kursy akcji. Jenny dorzuciła je do reszty dokumentów. Na samym końcu znalazła zmiętą kartkę papieru. Położyła ją na blacie i rozprostowała zagięcia. Był to list od Charlesa Dun-cana i Tuckera Podswortha do Scotta Sterlinga, z listopadową datą i nagłówkiem „Roczna ocena pracownika”.

Jenny przeszły ciarki. Nigdy nie pogwałciła niczyjej prywatności tak bardzo, jak w tej chwili. Wysiłki Sterlinga oceniono jako mierne, wyniki jako niezadowolające; klienci uważali, że jest nieodpowiedzialny. Jego szansę zostania współnikiem równały się zeru.

Treść listu była z pewnością znana szefom firmy, ale tylko Jenny wiedziała, że Sterling zgniótł go w kulkę i wrzucił do szuflady ze śmieciami.

Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, co czuje człowiek po otrzymaniu takiego listu. Gdyby ją to spotkało, z pewnością chciałaby odczytać go w samotności, tak żeby nikt nie był świadkiem jej upokorzenia.

Nie zdobyła się na to, by dorzucić list do stosu dowodów przeciwko Sterlingowi. Zdradzieckie zagięcia papieru miały coś z aktu samooskarżenia, przed którym Sterlinga należało bronić. Zmiała kartkę w kulkę i umieściła na dawnym miejscu, żeby ją sam usunął, kiedy będzie opróżniał biurko.

Jeżeli kiedykolwiek to zrobi. Jenny wahała się tylko sekundę, po czym chwyciła kartkę i wrzuciła do kieszeni spódnicy.

Zadzwonił telefon na biurku, Jenny drgnęła jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku.

- Jennifer - odezwał się Dan, zanim zdążyła się zastanowić, co powiedzieć. Był z Charliem Duncanem po drugiej stronie miasta, w siedzibie towarzystwa ubezpieczeniowego H & M, które z miejsca odmówiło pokrycia kosztów przestępczej działalności Scotta Sterlinga. - Sprawdź, czy Sterling ma numer Masona na Florydzie.

- Ma - powiedziała Jenny, kartkując rolodeksa. - Skończyłeś z towarzystwem ubezpieczeniowym?

- Oni skończyli z nami. To była strata czasu.

Podala mu numer telefonu, o który prosił.

- Znalazłeś coś? - zapytał.

- Nic ciekawego.

- Wygląda na to, że wszyscy tracimy czas. - Odwiesił słuchawkę.

- Właśnie - powiedziała już tylko do siebie. Trzymała z roztargnieniem słuchawkę w ręku, przebywając myślami o tysiące kilometrów od gabinetu Sterlinga. Gniewne buczenie aparatu wyrwało ją z zamyślenia.

- Ciii.

Jenny poderwała się na krzesło. Scott Sterling stał w drzwiach i przyciskał palec do ust.

- Nie mam prawa tu być - wyszeptał. Był w eleganckim garniturze, wymuskany, złocistą czuprynę miał starannie wyszczotkowaną.

Jenny wstała pośpiesznie.

- To pana biuro.

- Już nie. - Klepnął się po kieszeni marynarki. - Właśnie dostałem wymówienie. Interesujące, nieprawdaż?

Odsunęła się od biurka.

- Mam kogoś zawołać?

Potrząsnął głową.

- Muszę tylko wziąć coś z biurka.

Otworzył szufladę ze śmieciami i Jenny miała wrażenie, że list wypala jej dziurę w kieszeni.

- Jest! - Sięgnął do szuflady i wyjął kieszonkowy zegarek. - Mój talizman. Coś mi mówi, że będę go potrzebował. - Spojrzał ze smutkiem na okruchy precli, zasunął szufladę i ruszył do drzwi. - Przepraszam za bałagan.

Podrzucił zegarek na dłoni. Błysnął złotem, zanim wylądował z powrotem w dłoni Scotta, a potem w jego kieszeni.

Dochodziła siódma wieczorem, gdy Dan zadzwonił ponownie.

- Przyjdiesz na górę?

Była jego asystentką od sześciu miesięcy, a on nadal nie wiedział, że jej biuro mieści się dwa piętra wyżej. Wzięła teczkę, w której znajdowała się dwustronicowa inwentaryzacja zawartości biurka Sterlinga i dziesięciostronicowy opis jego stosunków z klientami, defraudacji, nadużycia zaufania, konwersji i nielegalnego wzbogacenia się, słowem - wszystkich zagadnień, o których omówienie Dan mógł ją poprosić.

Rozmawiał przez telefon, kiedy weszła i wskazał jej krzesło. Jego gabinet był sterylnym pomieszczeniem; nic tylko wypolerowany chrom i czarna skóra, ani jednej fotografii w polu widzenia. Za to lokalizacja pokoju o sześciu oknach, z widokiem na muzeum sztuki, była namacalnym świadectwem pozycji Dana w firmie.

- Z kim rozmawiam? Bobby? - Zniżył głos i odwrócił się na kręconym fotelu, bokiem do Jenny. - Wyświadczysz mi przysługę? Poślij po jakieś żarcie i każ je wysłać do mojego mieszkania. Nie wiem. Hamburgery, frytki. Może jakiś koktajl czekoladowy. Dzięki, Bobby. Doceniam to.

To nie jest służbowy telefon, pomyślała Jenny, próbując wzbudzić w sobie irytację. Zamawia przekąskę dla leniwej kochanki, a mnie każe czekać. Ma baba apetyt.

Dan odwiesił słuchawkę i obrócił się przodem do biurka.

- Przepraszam - powiedział. Tego dnia nosił okulary w drucianej oprawce, zbyt wąskiej, żeby ukryć cienie zmęczenia pod oczami.

- No dobrze. - Przerzucił papiery. - Widziałem się dzisiaj z prokuratorem okręgowym.

Jenny głowiła się nad tym od poprzedniego dnia. Położyła notatki na biurku i pochyliła się na krześle.

- Jeżeli jest to przypadek defraudacji papierów wartościowych, sprawa leży chyba w gestii prokuratury federalnej.

- Gdyby to był przypadek defraudacji papierów wartościowych. Jeżeli zgłosimy to federalnym, przyznamy tym samym, że tak jest.

Natychmiast pożałowała swojego pytania.

- Tak, oczywiście - mruknęła.

- To nie była defraudacja papierów wartościowych - Dan podniósł głos. - Koniec, kropka.

- Tak - powtórzyła Jenny, również podniesionym głosem. - Rozumiem.

Dan zdjął okulary i przesunął dłonią po oczach.

- Przepraszam.

Jego oczy były nieprzeniknione, jak czarne bryłki węgla.

- Do jakiej szkoły chodziłaś, Jennifer? - zapytał po chwili.

Więc jej pytanie było aż tak głupie? Dan najwyraźniej kwestionował jej kwalifikacje.

- Penn.

- Nie, chodziło mi o ogólniak.

- Alexander School - powiedziała zbита z tropu.

- Alexander. To w centrum, prawda?

- Tak. Na Parkway.

- Dobra szkoła?

- Bardzo dobra.

Dan włożył okulary i nie wdając się w żadne wyjaśnienia, sięgnął po notatki.

- Rano rozmawialiśmy telefonicznie z Masonem i Chapmanem. Mason przyleci z Florydy jutro rano. Mamy spotkanie z Chapmanem o dziesiątej, z Masonem o drugiej.

- Jaka zareagowali?

- Chapman był zdezorientowany. Nie wiedział, o którym funduszu powierniczym mowa. Jezu, ma ich tyle, że nie bardzo może się połapać, wyobrażasz sobie? Nie wiedział nawet, kto to jest Scott Sterling i odesłał nas do powiernika.

- A Mason?

- Mam zacytować? - Dan zajrzał do notatek. - „Te pieniądze to mój zysk z transakcji giełdowych. Nie obchodzi mnie, skąd się wziął. Poza tym, jesteście mi winni jeszcze więcej”.

Jenny szeroko otworzyła oczy.

Rzucił papiery na biurko.

- To oznacza wojnę - powiedział.

6

Zapowiadano opady śniegu i kiedy Jenny jechała do domu, lodowate powietrze kłuło igiełkami mrozu. Tylko trzy kilometry dzieliły posiadłość Dundee od stacji kolejowej, więc samochód nie zdążył się nagrzać. Jenny drżała jak w febrze.

Znalazła zwierzaki skulone na kamieniach przed drzwiami. Koty zapomniały o odwiecznej animozji i lgnęły do psa w poszukiwaniu ciepła. Pies rzucił jej ponure spojrzenie, a kiedy zadzwoniła kluczami, niepocieszony uderzył ogonem w kamienne płyty. Otworzyła drzwi na oścież.

- Do środka!

Koty przemknęły obok niej, zbyt mądre, by rozmyślać nad szczęśliwą odmianą losu, pies popatrzył na nią wzrokiem pełnym zdumienia i nadziei.

- Ty też - powiedziała. Przemknął cichaczem przez próg i obejrzał się na nią pytająco.

- Tak, mówię poważnie. - Roześmiała się. Dopiero, kiedy zamknęła za sobą drzwi zrozumiał, że to prawda i pobiegł za kotami.

Parter wozowni był jednym ogromnym pomieszczeniem z wielkim dwustronnym kominkiem wyrastającym jak kręgosłup ze środka pokoju. Pod schodami w lewym rogu znajdowała się kuchnia, przed kominkiem jadalnia, składająca się z czterech różnych krzeseł i dębowego stołu, który Jenny kupiła na pchlim targu. Po drugiej stronie pokoju kanapa, nakryta patchworkiem, tuliła się do gasnącego ognia. Jedyne porządne meble stały, niby ołtarz, pod frontową ścianą: zabytkowa szafa, która należała do Leslie i która odjedzie w kwietniu razem z nią.

Dołożyła do ognia i ruszyła w stronę schodów, kiedy zza ściany buchnęła muzyka Leo Delibesa. Niezbyt subtelnie Leslie dawała jej do zrozumienia, że spóźnia się na trening.

- Już idę! - zawołała, po czym zaczęła szeptem przywoływać zwierzęta: - Chodźcie, tędy, marudy. - Zwabiła je do garażu, ukrywając przed wzrokiem Leslie. Podniosłaby krzyk, że sprowadza czworonogi do domu. Niewiele było ciepła w tym pomieszczeniu, ale z pewnością więcej niż na zewnątrz, a zwierzaki i tak wyglądały na wdzięczne. Zamknęła je i pobiegła na górę.

Piętro składało się z trzech pomieszczeń: pokoju Jenny, pokoju Leslie i ich wspólnej łazienki. Jenny rozebrała się w biegu i rzuciła ubranie na łóżko. Kolejne zgorzienie dla Leslie. Zaopatrywała renomowane sklepy z konfekcją damską i

traktowała odzież z szacunkiem, jaki na ogół wzbudzają wielkie dzieła sztuki. Jenny zamknęła drzwi pokoju, żeby oszczędzić jej cierpienia, i zbiegła na dół w trykotowym pajacyku i rajstopach.

Drzwi z jadalni prowadziły do drugiego garażu i tam, przy piecu na drewno w kącie sali czekała Leslie.

- Hco to hjest?! - zawołała, doskonale parodiując pana duBreta, balet-mistrza. Była drobniutką kobietką z burzą czarnych loków i uroczym poczuciem humoru, które ratowało ją przed samotnością. - Ósma piętnaście, mademoiselle!

- Pardonie! - Jenny złożyła jej głęboki dworski ukłon i zajęła miejsce przy poręczu.

W dawnych czasach w wozowni stały kryte powozy, potem packardy i bentleye, wszystkie kolejne modele samochodów aż po mercedesy, ale przed kilkoma laty marsz ku nowoczesności nagle się skończył. Dundee zniknęli, ich dwór zrównano z ziemią, a wozownię Jenny zmieniła w studio baletowe. Stara betonowa podłoga prześwitywała po bokach, ale środek zajmowała platforma do tańca, którą Jenny kupiła okazjnie na licytacji firmy zajmującej się organizacją imprez. Na trzech ścianach zawiesiła lustra, przy czwartej zamontowała poręcz do ćwiczeń.

„Wyrzucanie pieniędzy”, powiedział Greg. Stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach i patrzył krytycznie na jej poczynania.

To Greg wynalazł wozownię. Zatrudniono go do pomiarów terenu, który miał zostać przeznaczony pod budowę osiedla domków jednorodzinnych i namówił przedsiębiorcę, żeby wynajął mu budynek do czasu, gdy zostanie wyburzony. Sześć miesięcy później po powrocie z pracy Jenny znalazła umowę najmu, klucze Grega i jedno słowo listu: „Wybacz”. Miała mnóstwo pretensji do Grega, ale nigdy nie żałowała, że zbudowała studio. Przetrwało dłużej niż jej narzeczeństwo.

- Battement tendu! - zawołała, chwytając za poręcz i przesuwając nogę do przodu, w bok, do tyłu. W lustrze widziała, jak Leslie naśladuje jej ruchy. Leslie miała drobniutkie, płaskie ciało baleriny, ale tańczyła od niedawna; to Jenny była poważną adeptką baletu. Sprawdziła swoją postawę w lustrze. Była za wysoka i zbyt piersiasta na tancerkę, ale cieszyła się ze swoich umiejętności.

- Dosyć! - zawołała Leslie.

- Tendu jête.

- Jenny! To był on?

- Kto?

- Ten sławny Dan Casella? Czego od ciebie chciał?

- A jak myślisz? Pracy.

- Jest wspaniały! - Leslie mogła sobie pozwolić na takie deklaracje. Za trzy miesiące wychodziła za mąż. Bruce wiedział, że jest uwielbiany.

- Grand battement jete! - powiedziała Jenny. Jej mięśnie rozgrzały się tak, że mogła unieść wyprostowaną nogę na wysokość talii i zatoczyć nią półkole.

- Wczoraj wieczorem dzwoniła twoja mama - powiedziała Leslie, wykonując to samo ćwiczenie. - Kazała ci przekazać, że nie liczy na to, że oddzwonisz. Powiedziałam jej, co u ciebie słychać.

- Nic nie słychać. Poza tym, dzwoni, żeby porozmawiać z tobą. Inaczej zadzwoniłaby do mnie do biura.

- Nie wiem dlaczego przypuszczała, że o dwudziestej drugiej będziesz już w domu. Jeszcze do niej nie dotarło, że twoim prawdziwym domem jest biuro.

- Nieprawda. Port de bras. - Prowadząc dłonią, Jenny skłoniła tułów do przodu, potem odgięła się w tył.

- Ale czy można mieć ci to za złe? W końcu dzielisz lokal z takim wspaniałym facetem.

Jenny próbowała zignorować słowa przyjaciółki, ale Leslie wykrzywiła się do niej, z głową pomiędzy nogami, i obie wybuchły śmiechem.

Lustra odbiły światła reflektorów, z dziedzińca dobiegł trzask zamykanych drzwiczek.

- Jest Bruce! - wykrzyknęła Leslie, jak gdyby narzeczony nie zjawiał się co wieczór o tej właśnie porze. - Muszę lecieć.

- Powiem monsieur duBret! - zawołała za nią Jenny.

- Skarżypyta!

Jenny dokończyła ćwiczenia, zawiązała baletki i nastawiła Pawane Faure'a. Stała na środku platformy i kiedy dostojne tony skrzypiec wypełniły studio, zaczęła tańczyć, wykorzystując stare układy i nowe pomysły. Tańcząc, pozwoliła myślom wędrować do miejsc, od których starała się zwykle trzymać z daleka, gdzie marzenia nie mają granic i prawie zawsze się spełniają, z dala od tego domu, gdzie jej przeznaczeniem było tęsknić do czegoś, co nie mogło się spełnić.

Choćby do baletu. Był jej pasją, odkąd skończyła pięć lat, ale okres dojrzewania położył kres jej karierze tancerki. Powinna wtedy rzucić balet. Powinna rzucić go teraz - miała dwadzieścia siedem lat, na miłość boską! Mało prawdopodobne, by Barysznikow zaangażował ją do swojego corps de ballet - ale rozczarowanie stało

się chyba przyzwyczajeniem, jak dłubanie językiem w chorym zębie. Uzależniła się od tęsknoty za rzeczami, których nigdy nie zdobędzie.

Gdy wróciła do salonu, Leslie i Bruce tulili się do siebie przed kominkiem.

- Halo! - Przeszła przez pokój, starając się na nich nie patrzeć.

- Cześć, Jenny! - zawołał Bruce.

Przez jedną chwilę na schodach zastanawiała się, czy nie powiedzieć mu o kłopotach jego przyjaciela Scotta Sterlinga. Nie wyrządziłoby to nikomu szkody, lada chwila sprawa i tak dotrze do wiadomości publicznej. Ale ugryzła się w język nie tylko dlatego, że nadal przestrzegała etyki zawodowej. Wiedziała, że Bruce natychmiast zadzwoniłby do Scotta. Ten zaś mógłby pomyśleć, że ona o nim plotkuje. Nie życzyła sobie tego.

Granatowa garsonka leżała na łóżku, tam gdzie ją rzuciła przed godziną. Coś zaszeleściło, gdy odwieszała spódnice. Wsunęła rękę do kieszeni i wyjęła list zabrany z biurka Sterlinga. Zaczerwieniła się ze wstydu i wrzuciła go do kosza na śmieci, jakby parzył.

7

Poranne niebo wisiało nisko, ciężkie od śnieżnych chmur. Dan spoglądał na nie przez okno klasy, zastanawiając się, czy Mason doleci z Florydy. Jeżeli nie, będą musieli odłożyć popołudniowe spotkanie na poniedziałek, co da Danowi więcej czasu na analizę faktów i ustalenie, co naprawdę zaszło między Masonem a Sterlingiem. Ale da to również czas Masonowi na poinstruowanie prawników i dopracowanie zeznań. Remis.

Spojrzał na zegarek. Dziewiąta piętnaście. Jeżeli każą mu czekać jeszcze parę minut, spóźni się na spotkanie z Reese'em Chapmanem o dziesiątej. Nie, nie spóźni się. Zrezygnuje z rozmowy z wicedyrektorką szkoły i Alexander będzie mógł sobie poszukać innego frajera, który zapłaci niebotyczne czesne.

Tony nerwowo chodził po sali. Żaden z nich nie usiadł, Dan, żeby nie odnawiać znajomości ze szkolną ławką, Tony, ponieważ nie mógł ustać w miejscu. Miał źle zawiązany krawat - Dan nie potrafił zrobić węzła windsorskiego na czyjejś szyi - a jego włosy dopominały się o fryzjera. Ale wygląd chłopca nie miał znaczenia, skoro nic prócz pięści nie zmazałoby gburowatego wyrazu jego twarzy.

- Przepraszam, że kazałam panu czekać. - Te słowa brzmią szczerze tylko wtedy, gdy są wymawiane bez tchu, a kobieta weszła do klasy normalnym krokiem, nienagannie uczesana na pazia, w szykownym mundurku dyrektorki renomowanej szkoły - wełniany żakiet, plisowana spódnica, pantofle na płaskich obcasach.

- Dziękuję, że zechciała nas pani przyjąć - powiedział Dan. Przeszedł przez pokój i mocno uściśnął jej rękę. Tony wsparł się niedbale o parapet. - Nazywam się Dan Casella. Mam przyjemność z panią Abby Greenley, prawda? Jak się pani miewa?

Uwodził kobiety i komplementował klientów od lat. Potrafił wykorzystać swoje umiejętności również na innym polu. Przysunął dyrektorce uczniowskie krzesło, żeby pozbawić ją szansy zajęcia miejsca za katedrą.

- Miała pani okazję przejrzeć podanie mojego brata?

Kobieta skinęła chłodno głową i otworzyła teczkę. Dan ponownie ją uprzedził.

- Wobec tego wie już pani, że przez dziewięć lat uczęszczał do szkoły parafialnej, że jego wyniki testów standaryzowanych są mocno powyżej średniej, ale jego oceny pozostawiają wiele do życzenia. Panno Greenley, Tony musi zmienić środowisko. Powinien to zrobić od razu, zanim będzie za późno.

Była to dobra mowa wstępna, niestety, z miejsca stracił ławę przysięgłych. Oczy dyrektorki nie spoczywały na Danie, gdzie było ich miejsce, lecz patrzyły na Tony'ego.

- Mógłbyś tu podejść i usiąść? - spytała.

Tony popatrzył wilkiem. Dan przeszedł całą długość pokoju, żeby znów przyciągnąć jej uwagę.

- Jest jeszcze coś, co powinna pani o nim wiedzieć. Nasz ojciec umarł przed jego urodzeniem. W wychowaniu Tony'ego zabrakło silnej, męskiej ręki. To moje niedopatrzenie, które staram się teraz naprawić. Tony od niedawna mieszka ze mną. W naszych stosunkach pozostało jeszcze parę spraw do rozwiązania. Jeżeli wyczuwa pani napięcie, wynika ono właśnie z tego faktu. Ale bardzo się staramy przezwyciężyć trudności i odpowiednia szkoła może mieć decydujące znaczenie.

- Tony - powiedziała dyrektorka. - Chcesz chodzić do Alexandra?

Chłopiec wyprostował się i spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie - powiedział i wyszedł z klasy.

Teraz dopiero kobieta poświęciła uwagę Danowi. Popatrzyła na niego i potrząsnęła głową.

Dan się uśmiechnął.

- Mogę panią przeprosić na chwilę?

Dogonił Tony'ego w końcu korytarza, chwycił za przód koszuli i przycisnął do ściany pokrytej boazerią.

- Wrócisz tam i będziesz odpowiadał jak należy - wyszeptał chrapliwie. - Słyszysz?

Oczy Tony'ego nie wyrażały nic, ale skinął głową. Dan odprowadził go z powrotem do klasy i dopiero w progu puścił jego ramię.

- Chciałem powiedzieć „tak” - oznajmił Tony.

- Nagła zmiana decyzji?

Wzruszył ramionami.

- Powiedziałem „nie”, żeby wkurzyć brata. Wie pani, mamy parę spraw do rozwiązania. - Rzucił Danowi krzywe spojrzenie. - Tak naprawdę to całe życie marzyłem o tym, żeby chodzić do... Jak ta szkoła się nazywa? - Dan zrezygnował z zachowania pozorów i popatrzył błagalnie na dyrektorkę.

- Mam nadzieję, że mu pani wybaczy - powiedział bez większej nadziei.

Kobieta zamknęła teczkę, wstała z krzesła i ruszyła do drzwi.

- To nie jest zakład poprawczy, panie Casella.

- To nie jest zakład poprawczy, panie Casella - powtórzył Dan z goryczą, wpychając Tony'ego do windy. Dyrektorka była niezdolnie protekcyjna, co rozwścieczyło go nie mniej niż zachowanie Tony'ego.

- Myślisz, że wygrałeś, co? - powiedział, walcząc z zamkiem u drzwi. - No to idź po swoją nagrodę, cwaniaczku! - Wepchnął brata do mieszkania. - Masz bezterminowy zakaz wychodzenia z domu i nie licz na szybsze zwolnienie za dobre sprawowanie. Miłej zabawy. - Zatrzęsął drzwiami, odwrócił się na pięcie i pomaszerował do windy.

Kiedy parkował samochód w centrum, chmury zdawały się wisieć tuż nad ziemią, zimny wiatr hulał po przelotowych ulicach. Dwie przecznice dzieliły garaż od Harding & McMann, ale mróz zdążył poszczypać go w policzki.

Dotarł do siedziby firmy za pięć dziesiątą. Winda w holu była nieczynna z powodu sprzątanía. Wcisnął guzik i otworzył aktówkę w poszukiwaniu notatek. Nie było ich.

Zjechała druga winda i kiedy ruszył do niej sprintem, aktówka otworzyła się i papiery rozsypały po całym holu. Dan rzucił się je zbierać, czując pulsowanie w

skroniach. W windzie zdążył przygładzić włosy, ale poza tym wszystko zdawało się wymykać spod kontroli.

Jennifer Lodge czekała na niego w recepcji.

- Chapmana jeszcze nie ma - powiedziała cicho. - Pan Duncan i sędzia Moore przed chwilą weszli do sali konferencyjnej. Przyniosłam twoje notatki.

Promieniowała spokojem i Dan się odprężył.

- Co ja bym bez ciebie zrobił? - mruknął.

Jennifer spuściła oczy. Jej spokojna, głęboka uroda działała na niego jak magnes. Z niechęcią przypomniawszy sobie, że pochodzi ze świata, do którego on się nie wkręci ani przez miłość, ani przez pieniądze.

Charlie Duncan był równie blady jak w środowy wieczór, wyglądał przy tym tak, jakby nie spał od trzydziestu sześciu godzin. Dan ścisnął mu ramię i poszedł przywitać się z sędzią Moore'em.

- Dziękuję, że jest pan z nami, panie sędzio.

W czasach, gdy nie oddawał się wyłącznie zaspokajaniu namiętności żony do pieniędzy, Moore przewodniczył posiedzeniom sądu federalnego. Dan stawiał przed nim pierwsze prokuratorskie kroki i choć teraz uważał Moore'a za głupca, nie stracił dla niego szacunku. Do dziś pamiętał jego nudny wykład o zasadzie niedopuszczalności dowodów ze słyszenia. Dan uważał już wtedy, że sędzia się myli, teraz wiedział to na pewno. Jednak Moore udzielił mu cennej lekcji: zadaniem adwokata jest przekonać sędziego, że się myli, nie demaskując przy tym jego głupoty. To była wyższa szkoła jazdy.

- Jakież wieści od rewidentów? - zapytał Duncan.

- Wstępny raport: każdy cent szedł na konto Masona w Connolly - powiedział Dan.

- Czy to dobrze?

Dan usiadł u szczytu konferencyjnego stołu, Jennifer zajęła miejsce w drugim końcu.

- O tyle, że Sterling nie czerpał żadnych zysków. Z drugiej strony, zaprzepaścił niezłą fortunę. Nasi ludzie twierdzą, że nie mógłby gorzej inwestować, nawet gdyby chciał stracić pieniądze.

Twarz Jennifer przybrała w tym momencie ostry wyraz i Dan zastanawiał się dlaczego. Poczuli, że jego myśli ciążyły ku niej, jak igła kompasu szukająca kierunku „północ”.

- Zróbmy przegląd sytuacji - powiedział, odwracając się gwałtownie do obu mężczyzn. - Majątek powierniczy został okrojony o dwa miliony z groszami. Na koncie Masona znajduje się milion siedemset pięćdziesiąt tysięcy. Nasza propozycja wyjściowa: jeżeli Mason zwróci pieniądze, Harding & McMann pokryją różnicę wraz z procentami. Zgoda?

- Tak. - Duncan skinął głową.

Dan sięgnął po notatnik i zaczął szkicować plan rozmowy z Chapmanem. Charlie Duncan bębnił nerwowo palcami w stół. Wydawało się, że tylko sędzia Moore nie ulega napięciu. Lata spędzone w sędziowskiej ławie nauczyły go cierpliwości.

Rozległ się brzęczyk interkomu.

- Pan Chapman i jeszcze jakiś pan, panie Duncan.

- Proszę ich wpuścić.

- Wziął sobie adwokata - powiedział Dan i wstał.

Drzwi się otworzyły i na salę wkroczył nachmurzony facet.

- Curt! - zawołał Duncan. - Spodziewaliśmy się ciebie dopiero po południu.

- Reese powiedział mi, co się tu szykuje - obwieścił Mason. Wskazał na mężczyznę za swoimi plecami. - Dziel i rządź, co?

- Wcale nie, panie Mason - zaprzeczył Dan. - Cieszymy się, że dotarł pan tak szybko. Lepiej dla nas, że spotkamy się wszyscy. Jestem Dan Casella.

Wyciągnął rękę.

Mason zmrużył oczy. Był wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną o przerzedzonych siwych włosach, mocno cofniętych za linię czoła. Rozciągnął usta w imitacji uśmiechu, błyskając bielą zębów w opalonej twarzy. Ujął mocno dłoń Dana.

- Więc to pan jest Casella. Rozpytywałem o pana. Mówią, że był pan kiedyś niezłym łobuzem.

Uwaga była w zamierzeniu obraźliwa i tak właśnie Dan ją odebrał.

- Och, teraz walczę prawie wyłącznie w sądzie - odparł. - Pan Chapman? - Wyciągnął rękę do mężczyzny stojącego za Masonem.

Chapman był młodszy, szczuplejszy i wydawał się bardziej miękki w swoich rogowych okularach, wiecznie zjeżdżających z nosa. Siwiejące brązowe włosy opadały mu na brwi, a biały jedwabny szalik opasywał szyję, jakby Chapman właśnie wybierał się do opery.

- Witam pana - powiedział z wystudiowanym angielskim akcentem.

Charlie Duncan i sędzia Moore spotkali już obu gości w przyjemniejszych okolicznościach, wymamrotali więc tylko słowa powitania i uścisnęli sobie ręce ponad stołem.

- Moja współpracownica, Jennifer Lodge - powiedział Dan.

Mason ją zignorował, za to Chapman podszedł, by się przywitać, a potem zajął miejsce obok, na końcu stołu, skutecznie wycofując się poza obręb bezpośrednich walk.

Drzwi sali się otworzyły i sekretarka Duncana, Maggie, wniosła tacę ze srebrną zastawą do kawy i talerzem eleganckich ciasteczek.

- A więc - zaczął Dan, kiedy wszyscy zostali obsłużeni - najgorsze już wiecie: Scott Sterling podjął dwa miliony dolarów z rachunku powierniczego. Zebraliśmy się tu dzisiaj, żeby znaleźć najszybszy, najlepszy sposób zwrotu tych pieniędzy.

Mason zerwał się jak oparzony.

- Więc po to mnie wezwaliście? Wychodzę!

Charlie Duncan wstał niezdarnie, bledszy niż kiedykolwiek przedtem.

- Curt, poczekaj...

Dan odchylił się na krześle. Był znów sobą. Ogarnął wzrokiem obecnych. Sędzia Moore wyglądał na znudzonego, Jennifer była pełna oczekiwania, Reese Chapman dziwnie rozbawiony.

- A o czym chce pan rozmawiać? - zapytał Dan. - O swoich zyskach z transakcji giełdowych?

- Właśnie! - odpalił Mason.

- Proszę więc usiąść i rozmawiać.

Mason rzucił mu twarde spojrzenie, przyglądał włosy rękoma i usiadł. Dan odchylił się jeszcze bardziej i ułożył palce w namiotik, całym ciałem sygnalizując niezachwianą pewność siebie. Skinął nieznacznie głową Jennifer, żeby robiła notatki. Niepotrzebnie, była gotowa.

- Scott powiedział mi, że robi dla mnie pieniądze - odezwał się Mason. - Telefonicznie podawał mi ceny kupna i sprzedaży akcji. Kontrolował przyrost zysków. Wierzyłem mu. Ufałem mu. Oczekiwałem, że spełni to, co obiecywał. A teraz oczekuję, że Harding & McMann spełni to, co obiecywał.

- A konkretnie? - zapytał Dan.

Mason wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kartkę papieru i rozłożył ją bez pośpiechu.

- W poniedziałek saldo na moim rachunku powinno wynosić dwa miliony sto tysięcy dolarów. Okazuje się, że jest tylko milion siedemset. Jesteście mi winni różnicę.

- Wyjaśnijmy to sobie - powiedział Dan. - Chce pan zachować dwa miliony należące do funduszu, a także uzyskać dodatkowo trzysta pięćdziesiąt tysięcy od Harding & McMann?

- Masz rację, do cholery! - rzucił Mason ostro, rozeźlony szyderczym tonem Dana.

- A straty funduszu?

- Harding & McMann muszą je wyrównać.

Dan popatrzył na Chapmana.

- Pan także jest tego zdania?

Chapman odchrząknął niepewnie.

- Decyzja nie należy do mnie. - Jego głos stanowił przyjemny kontrast z gburowatym tonem Masona. - Curt jest powiernikiem. Ja jestem jedynie beneficjentem, w dodatku mało znaczącym.

- Główny udział ma pańska córka, prawda?

- O, tak. Ale Curt zawsze pilnował interesów Catherine. Jestem pewny, że robi to również teraz.

Dan obserwował Masona, kiedy ten patrzył na Chapmana. Patrzył przez zmrużone powieki, ale nie był w stanie ukryć pogardy dla szwagra.

Dan spisał kwoty, jakich domagał się Mason.

- Skąd pan wie, jaki był stan konta w poniedziałek?

- Z wyciągu - powiedział Mason pogardliwie.

- Takiego samego, jak te, które makler przysyła panu co miesiąc od czasu otwarcia rachunku?

Widać było jak Masonowi pracują szczęki.

- Scott powiedział mi, że wkradł się błąd komputerowy. Ale monitorował stan konta i potwierdzał go codziennie u maklera.

- Makler to panu powiedział?

- Scott mi to powiedział! - ryknął Mason.

- I pan mu uwierzył?

- Niech pan spyta Scotta! Powie, czy mu wierzyłem.

- Scott nie może nam tego powiedzieć. Tylko pan wie, w co wierzy, a w co wątpi.

Mason wlepił w niego wzrok.

- Co pan sugeruje? Wpoilem Scottowi przekonanie, że może mnie okpić? Dobry Boże, ciekawe jak pan o tym przekona ławę przysięgłych?

- Nie mówmy teraz o ławach przysięgłych - wtrącił Duncan. - Musi istnieć jakieś rozsądne wyjście z sytuacji.

- Może - powiedział Mason, rzucając groźne spojrzenie. - Wyproście tego łobuza, to może dojdziemy do porozumienia.

Dan uniósł obie dłonie, jakby chciał się poddać.

- Nie będę wam stawał na drodze. Charlie, panie sędzio, chcecie to sami załatwić?

Nie sądzę - oznajmił sędzia. - Zostań, Dan. Curt, podaj nam swoje minimum.

Mason wyglądał na zadowolonego, jakby obalił ostatnią barierę.

- Dwa miliony dla funduszu plus trzysta pięćdziesiąt tysięcy dla mnie.

- To jest minimum? - powiedział Duncan. - Curt, więcej już żądać nie możesz.

- Ha! - zakpił Mason. - Są jeszcze odszkodowania za straty moralne. Mnóstwo się o nich dowiedziałem w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

- Więc już pan wie, jak często zasądza się kary wobec powiernika, który nie wypełnił swoich powierniczych obowiązków - powiedział Dan.

- Niczego nie zaniedbałem.

- Dał pan Sterlingowi nieograniczony dostęp do pieniędzy, które zostały panu powierzone.

- Te pieniądze znajdowały się pod pieczęcią Harding & McMann, jednej z najbardziej poważanych firm prawniczych w tym mieście. Poza tym - Mason zaśmiał się krótko - kto mnie oskarży o nadużycie zaufania? Reese? Catherine? Nigdy w życiu.

Zahuczał interkom.

- Słucham! - rzucił do mikrofonu zirytowany Charlie Duncan.

- Panie Duncan, jest tu ktoś, kto twierdzi, że bierze udział w zebraniu.

Teraz Mason odchylił się na krześle i skrzyżował ramiona na piersiach.

- Kto? - zapytał Duncan zdziwiony.

Dały się słyszeć szept, po czym ponownie głos recepcjonistki.

- Pan Robert Perlman.

Curt Mason rozciągnął wargi w szerokim uśmiechu.

- I co pan na to? - zwrócił się do Dana. - Ja też mam swojego łobuza.

- Proszę natychmiast przerwać zebranie - zawołał Bob Perlman od progu. - Masz nerwy, Casella, żeby spotykać się ze stronami pod nieobecność ich adwokata.

Perlman miał więcej w talii i mniej włosów na głowie niż w czasach, gdy pracowali razem w biurze prokuratora generalnego, ale nadal był fotogeniczny. Dan śledził jego karierę w prasie. Brał wszystko, od spraw o morderstwo, po fuzje i rozwody, a jego klienci mieli jedną cechę wspólną - notoryczność.

- Uspokój się, Bob - powiedział Dan. - Nikt nam nie powiedział, że tu będziesz.

- Zebranie skończone - oznajmił Perlman. - Jeżeli powiedziano na tej sali coś, co może zaszkodzić mojemu klientowi, zostanie to unieważnione zgodnie z artykułem 408.

- Zaszkozić? - zapytał Dan nieszczercze. - Na przykład to, że pan Mason wiedział z dokładnością co do centa, ile pieniędzy przeszło z rachunku powierniczego na jego własne konto? A może to, że pan Mason powiedział Sterlingowi, żeby to zrobił?

Perlman rzucił szybkie spojrzenie Masonowi, upewniając się, czy to prawda.

- Bardzo śmieszne, Casella. Zobaczmy, czy to cię rozbawi.

Położył przed Danem dużą brązową kopertę, drugą podał Charliemu Duncanowi.

- Pozew - powiedział. - Curtis Mason, powiernik i Curtis Mason, we własnym imieniu, kontra Harding & McMann i Scott Sterling. Defraudacja papierów wartościowych, zaniedbanie obowiązku powierniczego, konwersja i zwyczajne oszustwo.

- Pominąłeś spisak antytrustowy? - zapytał Dan.

- Śmieć się, ważniaku - powiedział Perlman. - Twój klient będzie płakał całą drogę z banku do domu.

- Na ile nas pozywacie? - wyszeptał Charlie Duncan.

- Piętnaście milionów tytułem odszkodowania.

- Dobry Boże-jęknął sędzia Moore.

- Chodź, Bob - powiedział Dan. - Usiądź. Zjedz ciasteczko. Wiesz, że tę sprawę można załatwić jedynie polubownie, więc zróbmy to dzisiaj.

- Słyszałeś roszczenia - powiedział Mason. Perlman gestem nakazał mu milczeć, ale Mason go zignorował. - Dwa, przecinek trzydzieści pięć albo występujemy o odszkodowanie za straty moralne.

- Daj spokój! - powiedział Dan do Perlmana. - Jakim cudem uzyskasz odszkodowanie?

Perlman uśmiechnął się szeroko, bez wesołości.

- No więc, Danny chłopcze, tak się składa, że wiem coś, czego ty nie wiesz.

- Chcesz się podzielić swoją wiedzą?

- Mamy Sterlinga na taśmie. Curt, Reese, idziemy. Panowie, do zobaczenia w sądzie.

8

Długo zapowiadany śnieg zaczął sypać koło dwunastej i późnym popołudniem biura Foster Bell & McNeil świeciły pustką. Połączenie śnieżycy z początkiem weekendu wystarczyło, by wygnać do domu największych pracusiów. Kiedy Jenny skończyła pisać prośbę o udostępnienie nagrań, jej sekretarki już nie było. Sama przepisała dokument, a potem zaczęła się przed męską toaletą i osaczyła gońca, kiedy zapinał rozporek. Niechętnie zgodził się dostarczyć pismo do biura Perlmana.

Dan gapił się w okno na płatki śniegu. Wszystko poszło nie tak. Kiedy Mason wdarł się na spotkanie, stracili szansę przeciągnięcia Chapmana na swoją stronę. Kiedy pojawił się Perlman, stracili jakąkolwiek szansę uniknięcia sprawy sądowej. Potrafił radzić sobie z takimi niespodziankami, ale wiadomość o istnieniu taśm trochę nim wstrząsnęła.

- Napisałam prośbę o wydanie nagrań - odezwała się Jenny. - Wysłałam gońca do Perlmana.

- Ma trzydzieści dni na odpowiedź. Może upłynąć jeszcze sześćdziesiąt, zanim dostaniemy je do ręki.

Odwrócił się od okna i Jenny odkryła ze zdumieniem, że wcale nie jest zgębiony. Przeciwnie, podniósł mu się poziom adrenaliny, a umysł pracował na pełnych obrotach. Jenny udzieliło się jego podniecenie.

- Usiądź, proszę. - Ku jej zdumieniu wskazał fotel za biurkiem. - Chcę, żebyś zatelefonowała. Włączymy głośniki, ale nie mów mu, że tu jestem.

- Komu?

- Scottowi Sterlingowi. Tu jest jego domowy numer.

Przysiadła na brzeжку fotela.

- Co mam powiedzieć?
- Powtórz to, co powiedział Perlman. Zapytaj, czy wie, że był nagrywany.
- Dan, może lepiej ty...
- Nie. Z tobą będzie rozmawiał.

Jenny wykręciła numer. Dan okrążył biurko i stanął obok niej. Odezwał się jeden sygnał, drugi, trzeci, czwarty.

- Chyba nie ma go... - zaczęła.
- Halo? - rozległ się w głośniku głos Sterlinga.

Dan skinął głową.

- Panie Sterling, nazywam się Jennifer Lodge. Pracuję w Foster Bell & McNeil. Spotkaliśmy się...

- Jasne. Balerina.
- Tak - zaśmiała się niepewnie. - Reprezentujemy Harding & McMann...
- Tak, wiem. Hej, pani głos brzmi jak z sali koncertowej. Może wyłączymy to pudło?

Jenny popatrzyła na Dana. Wzruszył ramionami.

Podniosła słuchawkę i przyłożyła do ucha.

- Teraz lepiej?
- Znacznie lepiej. - Jego głos przybrał nagle intymne brzmienie.
- Przepraszam, że pana niepokoję, ale mieliśmy dziś rano spotkanie z prawnikiem pana Masona, który powiedział coś, co wzbudziło naszą ciekawość. - Z zadowoleniem stwierdziła, że jej wypowiedź wypadła zdawkowo i spojrzała na Dana, oczekując aprobaty. Skinął głową.

- Adwokat wujka Curta? Który?
- Robert Perlman.
- Perlman? Ten kryminalista? Od kiedy jest adwokatem wujka Curta?
- Zdaje się, że od wczoraj.
- Jezu!
- Powiedział, że pana nagrali. Wie pan coś o tym?

Nastąpiła długa cisza. Dan przytknął ucho do słuchawki.

- Boże! - wybuchnął Sterling. - Mówi pani, że mnie nagrywali?

Jenny słyszała oddech Dana, był tak blisko, że czuła zapach śniegu i wiatru w jego włosach.

- Rozumiem, że pan o tym nie wiedział?

- Nie! To znaczy, dlaczego mieliby to robić? Co to było? Nasze rozmowy telefoniczne? Czy wtedy, gdy poszedłem do niego do domu?

- Nie wiemy. Staramy się o kopie. Ma pan jakieś pojęcie, co się znajduje na tych taśmach?

- Nie mogę uwierzyć, że on to zrobił. Zasluguje na to, żeby mnie ścigać jak skunksa, ale przecież wujek Curt o tym nie wiedział!

Jenny napotkała wzrok Dana.

- A może wiedział - powiedziała. - Może nie ufał panu tak bezgranicznie.

Dan rozchylił usta w uśmiechu i Jenny miała wrażenie, że śnieg stopniał, wiatr ustał i na niebie zaświeciło słońce.

- Nie mogę w to uwierzyć - powtórzył Scott. - Cokolwiek nagrał, będzie to ciągle ta sama śpiewka. - Jego głos zabrzmiał radosnym podnieceniem, kiedy parodiował własne słowa: - „Wujku Curt, zgadnij, ile zarobiłeś na wczorajszej zwyżce GM? Jesteś do przodu o kolejne dziesięć patoli! Pewnie, że będę się dalej starał, jak długo się da!” To właśnie usłyszycie dodał normalnym tonem.

Dan wyprostował się i podszedł do okna.

- Rozumiem. - Jenny nie mogła ukryć rozczarowania. - No cóż, dziękuję za... dziękuję za... Dziękuję panu.

Odłożyła słuchawkę i wbiła wzrok w plecy Dana, wiedząc, że są to kolejne złe wieści. Ale Dan odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Jennifer, to było piękne - powiedział ciepło. - Sprawiałaś, że zaczął wątpić we własną wersję wydarzeń. Kiedy w końcu stanie przed ławą przysięgłych, będzie się dziwił, jak kiedykolwiek mógł myśleć, że Mason mu wierzył. Może przypomni sobie wszystkie uwagi Masona o wykorzystaniu pieniędzy z funduszu do gry na giełdzie. Może zrozumie, że to on jest ofiarą Masona, a nie na odwrót.

- Uważasz, że to on jest ofiarą Masona?

Dan zakasał rękawy koszuli.

- Istnieje taka możliwość. Chodź, zabieramy się do roboty.

Późnym popołudniem przenieśli się do sali konferencyjnej. Na stole leżały kopie pozwu razem z notatkami Dana, notatkami Jenny, wstępnym raportem rewidentów i tomami kodeksu prawnego otwartych na paragrafach, na które powoływał się Perlman. Dan spacerował po pokoju z dyktafonem w ręku. Potok bezładnych na pozór zdań układał się powoli w strategiczne memorandum.

- Dowiedzieć się, czy Mason zapłacił już podatek kwartalny. Wątpliwe - tacy faceci robią to w ostatniej chwili. A jeśli zapłacił, to czy uwzględnił swoje

nieistniejące zyski handlowe. Makler musiał mu wysłać formularz 1099, który nie wykazywał żadnych zysków. Co wtedy myślał? Że i tym razem komputer się pomylił? Uzyskać kopię formularza 1099 od Connolly'ego. Przejrzeć korespondencję Masona z jego doradcą podatkowym. Wystąpić o wgląd w akta księgowego. Z pewnością omówili, co Mason musi uwzględnić w zeznaniach. Jennifer, dowiedz się, w jakich przypadkach w Pensylwanii da się uchylić przywilej tajności relacji pomiędzy księgowym a jego klientem.

Poderwała głowę na dźwięk swojego imienia, ale Dan mówił do niej tak, jakby czytał, jakby w ogóle nie było jej w pokoju. Wstała i wyszła na korytarz.

Noc zaciągnęła czarny welon na okna i Jenny nie potrafiła powiedzieć, czy śnieg nadal pada. Było po siódmej, a oni od rana nie mieli nic w ustach, jeżeli nie liczyć ciasteczek podczas konferencji o dziesiątej. Poszła do swojego biura i zamówiła pizzę.

Miała wiadomość od Leslie. Poczta głosowa zarejestrowała ją o osiemnastej piętnaście.

„Cześć, mam nadzieję, że jesteś już w drodze do domu, bo jeżeli nie, nawet nie próbuj dojechać - jest strasznie! Zostaję na noc u Bruce'a. Do zobaczenia kiedyś, jak już nas odkopią”.

Pół godziny później zjawił się dostawca pizzy, cały obsypany śniegiem.

- Piekielna noc na dostawy - mruknął. - Kurewskie drogi.

Kiedy wróciła na salę konferencyjną, Dan spacerował ciągle z dyktafonem w ręku. Zrobiła miejsce na stole i otworzyła pudełko z pizzą. Zapach sosu marinara rozszedł się po pokoju. Sięgnął machinalnie po trójkąt pizzy.

- Wiarygodność Masona jest sprawą zasadniczą. Porozmawiać z Charliem o zatrudnieniu prywatnego detektywa, który przeprowadzi regularne śledztwo w terenie. Gdzie Mason spędza czas, gdzie i z kim wydaje pieniądze? Czy jest zadłużony i na ile? Czy można go czymś zaszantażować? Upewnić się, że śledztwo będzie prowadzone pod naszą kontrolą, w ramach prac adwokatury.

Urwał, pochłoniął kolejny kawałek pizzy i ponownie sięgnął po dyktafon.

- Mamy dwadzieścia dni na złożenie odpowiedzi na skargę. Napisz wniosek o odrzucenie z braku jurysdykcji federalnej. H & M nie jest biurem maklerskim, nie sprzedaje papierów wartościowych i nie podlega w żadnym przypadku prawom regulującym obrót tymi papierami. Skoro nie jest ich podmiotem, nie może być sądzony przez jurysdykcję federalną. Jeżeli uda się nam wepchnąć sprawę do sądu

stanowego, Perlman będzie miał perspektywę trzyletniego oczekiwania na proces, i chcąc nie chcąc, pójdzie na ugodę.

Dan odgryzł kolejny kęs i zapadła chwila ciszy.

- Ale najprawdopodobniej nasz wniosek zostanie odrzucony - dokończył. - Jeżeli defraudacja Sterlinga była powiązana z nabywaniem i sprzedażą papierów wartościowych, a była, przynajmniej w szerokim znaczeniu, wtedy Perlmanowi uda się przepchnąć sprawę do federalnego.

Jenny sprzątnęła resztki pizzy, wyrzuciła pudło i serwetki i wróciła na salę konferencyjną z dwiema puszkami wody mineralnej. Dan przeglądał swoje notatki w milczeniu, pociągając z puszki.

- Memorandum odnośnie tego, co się naprawdę wydarzyło - zaczął znowu. - Teoria numer jeden: wygląda na to, że Sterling zaczął grać na giełdzie dla Masona, trochę go poniosło i nie miał odwagi powiedzieć Masonowi prawdy. Więc kłamał. Z początku były to drobne kłamstewka. Nieszkodliwe, jak zapewne uważał, skoro przestaną istnieć w chwili, gdy zawrze kilka udanych transakcji i wyrówna straty. Ale taka okazja nigdy nie nadeszła. Kłamstwo zaczęło żyć własnym życiem i Sterlingowi nie pozostało nic innego, jak podebrać pieniądze z funduszu.

Teoria numer dwa: tak jak powyżej, z tą różnicą, że Mason wie, co się dzieje. Otrzymuje wyciągi od maklera, wie, kiedy Sterling faktycznie zawiera transakcje, a kiedy kłamie. Zna go od dziecka, wie, jaki jest łasy na pochwały. Wie, że Scott musi podawać mu wymyślone kwoty, żeby wujek Curt nadal miał o nim wysokie mniemanie. Ale pozwala mu kłamać, udaje, że dał się nabrać, ponieważ wie, że Scott chce wyrównać straty. Wie też, skąd wziąć pieniądze na to wyrównanie. Sam dał mu książeczki czekowe.

Jennifer słuchała uważnie, od czasu do czasu robiąc własne notatki. Każdą teorię Dana uzupełniła tabelką „za” i „przeciw”. Przy pierwszej po stronie „za” wpisała: „Zarówno ofiara jak przestępca przysięgają, że tak było”. A po stronie „przeciw” - „To niemożliwe”. Obok teorii drugiej, „Za”: „Scott mówi prawdę tak, jak ją postrzega; Mason kłamie”. „Przeciw”: „Jak my to udowodnimy?”

- Teoria trzecia - ciągnął Dan. - Jak wyżej, z tym, że pomysł kradzieży z funduszu narodził się w głowie Masona. Złapał Sterlinga ze spuszczonej spodniami i zagroził, że go zdemaskuje, pozbawi praw uprawiania zawodu, jeżeli Sterling nie wyrówna strat. Sterling powiedział: „Nie zbiorę takiej sumy”. Mason na to: „Wiesz, skąd ją wziąć”.

Jenny napisała: „za” - Mason kłamie. „Przeciw” - Scott też.

- I w końcu teoria czwarta. Dzieje się coś jeszcze innego, co nie ma nic wspólnego ani z majątkiem powierniczym, ani z rachunkiem inwestycyjnym Masona. Ktoś próbuje zniszczyć Scotta Sterlinga? A może Scott Sterling próbuje zrujnować Harding & McMann?

- Betty, załóż teczkę. Porozmawiaj z Charliem o wzięciu Sterlinga pod obserwację.

Dan wyłączył dyktafon i stał w milczeniu na środku sali, ze wzrokiem utkwionym w jakiś punkt dywanu.

Jenny zerknęła w jego stronę. Mimo późnej godziny i pracowitego dnia nadal tryskał inteligencją, nadal był ożywiony i tak przystojny, że oczy bolały patrzeć.

Patrzyła jednak. Patrzyła, jak jego włosy zwijają się w pierścienie na karku, a barki rozpierają białą bawełnianą koszulę. Powiodła wzrokiem wzdłuż linii szczęki do dołeczka w brodzie i pełnych ust.

Dan uniósł głowę i ich oczy się spotkały.

- Jennifer - powiedział ze zdziwieniem. - Byłaś tu przez cały czas?

- Tak - powiedziała, nie mogąc oderwać wzroku od jego warg. - Przez cały czas.

Nagle zeszytniała z przerażenia. On widział! Na jej twarzy malowała się tęsknota nieodwzajemnionej miłości i tym razem on to zobaczył.

Zerwała się z krzesła i zaczęła spieszenie zbierać papiery na kupkę, udawać, że robi to w jakimś porządku. Poupychała dokumenty do teczek, zamknęła z trzaskiem grube tomy. Czuła, że Dan ją obserwuje, ale nie śmiała podnieść oczu.

- Przepraszam, nie zdawałem sobie sprawy - powiedział. - Straciłem poczucie czasu. Nie zamierzałem trzymać cię tak długo, zwłaszcza w piątkowy wieczór. Mam nadzieję, że nie pokrzyżowałem ci planów.

- Nie miałam żadnych. - Jennifer przycisnęła do piersi kodeks cywilny niby tarczę. - Pójdę odłożyć to na miejsce - powiedziała.

- Zostaw. Betty zrobi to w poniedziałek.

- Żaden...

- Jennifer, zostaw to. - Położył lekko dłoń na jej ramieniu. Przeszył ją dreszcz. - Chodź, odwiozę cię do domu.

- Jest dopiero dziesiąta. Pociągi jeszcze kursują.

- Ale pada śnieg. Wiesz, że kolejka nie chodzi w taką pogodę. - Pochylił się ku niej i Jenny wstrzymała oddech.

- Nie możesz mi odmówić - powiedział.

Kiedy wyjeżdżali z miasta, wycieraczki wybijały szalony rytm na przedniej szybie. Śnieżyca nadciągnęła z północy i pokryła kilkunastocentymetrową warstwą pobocze drogi. Ruch na autostradzie był niewielki, ale zrobiło się ślisko i Dan jechał wolno. Nie odzywali się do siebie. Raz tylko, kiedy mijali samochód, który tańczył na szosie, Dan powiedział: „O la la!” Były to jedyne słowa, jakie padły aż do skrzyżowania na St. Davids.

Jazda była trudna już na autostradzie; a stała się prawie niemożliwa na bocznej drodze Coventry Road. Autostrada lśniła czernią od topniejącego śniegu; szosa była biała,znaczona jedynie ciemnym torem opon samochodu, który przejechał przed nimi.

- Dan, zatrzymaj się! - zawołała Jenny. - Nie przedostaniemy się.

Popatrzył na nią i się roześmiał.

- Staniemy i co dalej? Będziemy obozowali, aż przyjadą pługi?

- Wracaj na autostradę - upierała się. - Sama dojadę do domu.

- Jennifer, do domu masz z sześć kilometrów. Co zrobisz, pójdziesz piechotą? - Oderwał oczy od szosy i przesunął wzrokiem po jej nogach, aż do botków na wysokich obcasach. - Nie sądzę.

Wycieraczki wybijały dalej swój monotonny rytm, jazda ciągnęła się w nieskończoność. Pokonali szczęśliwie pierwsze strome wzgórze, ale przy drugim podejściu jedno z kół straciło przyczepność. Jenny zacisnęła dłonie tak mocno, aż zdrętwiały jej palce. Dan cofnął wóz i spróbował jeszcze raz. Koło obróciło się w miejscu z gwałtownym piskiem. Wycofał się, przekręcił kierownicę do oporu i ustawił samochód bokiem do wzgórza. Wjechali bez problemu.

Wyprostował koła i ruszyli wolniutko. Minęli samochód unieruchomiony w rowie. Jenny zrobiła kółko w zaporowanej szybie i wyjrzała, szukając wzrokiem pasażerów, ale zobaczyła jedynie ślady stóp na śniegu.

Od godziny Coventry Road nie jechał żaden samochód, nie było śladów opon, które wytyczyłyby drogę. Śnieg chrząścił pod kołami, chwilami tak głośno, że Jenny była pewna, że złapali gumę. Gdy w zasięgu wzroku ukazały się kamienne słupy, jaguarem zarzuciło i wpadli w poślizg, miotając się po szosie. Jenny wciągnęła głośno powietrze, a Dan walczył z kierownicą. Samochód obrócił się wokół własnej osi, po czym znieruchomiał niemal nad skrajem rowu.

Dan odetchnął głośno, włączył bieg i powoli docisnął pedał gazu. Ruszyli i posuwali się mozolnie w górę, aż dotarli na dziedziniec.

Ulga była krótkotrwała. Ona wprawdzie dotarła bezpiecznie do domu, ale Dana czekała straszna jazda. Nie wiedziała, co zrobić. Gdyby byli tylko kolegami z pracy, zaprosiłaby go do środka. Gdyby był jej szefem, wezwałaby pomoc i poczęstowała go kawą. Ale dzisiaj opuściła gardę i w rezultacie nie czuli się już swobodnie w swoim towarzystwie.

Wyłączył silnik, a ona spojrzała mu w twarz.

- Obawiam się, że jesteś na mnie skazana na jakiś czas - powiedział.

- Proszę, wejdz - wymamrotała, a serce waliło jej tak gwałtownie, że słyszała szum krwi w uszach.

Zapaliła światła, powiesiła płaszcze. Usadziła Dana w fotelu w saloniku i nastawiła telewizor na prognozę pogody. Wypuściła zwierzęta z garażu i nałożyła jedzenie do trzech misek na podłodze w kuchni. Podkreśliła termostat i piec olejowy włączył się z głośnym pomrukiem.

- Mogę rozpalić ogień?! - zawołał Dan zza kominka.

- Proszę bardzo.

Zwierzęta wylizały miski i Jenny otworzyła dla nich tylne drzwi. Włączyła światło na werandzie i patrzyła, jak koty suną przez patio, ostrożnie stawiając łapy. Śnieg pokrył białym całunem metalowe meble ogrodowe i ciągle padał.

Dan kucnął przy kominku, z podwiniętymi - mimo chłodu - rękawami koszuli. Jenny podała mu poranną gazetę na rozpalkę. Odwróciła wzrok od gęstych ciemnych włosów na jego rękach.

- Gdzie twoja współlokatorka? - zapytał.

- Została u swojego narzeczonego, z powodu śnieżycy.

- Co za szkoda - powiedział tonem, jakiego jeszcze u niego nie słyszała.

Zwierzęta wróciły pod drzwi, wpuściła je więc do domu i zapędziła do garażu. Zamknęła drzwi i udawała, że poświęca całą uwagę telewizji. Prezenter mówił właśnie, że burzowe chmury mogą się przesunąć nad morze lub zostać tam, gdzie są i wysypać nad doliną Delaware pół metra śniegu.

Dan rozpalił ogień i usiadł na podłodze, z satysfakcją wycierając ręce z sadzy. Rozejrzał się po pokoju.

- Niezwykłe miejsce - powiedział. - Jak je znalazłaś?

- Wyszukał je mój znajomy.

- Chłopak?

Zawahała się.

- Narzeczony.

Uniósł brwi.

- I co się z nim stało?

Jenny potrząsnęła głową.

- Miał inne zainteresowania.

- Jakie na przykład? - Uśmiechnął się szeroko. - Kolekcjonowanie znaczków? Kanibalizm?

- Inna kobieta.

Uśmiech Dana przygasł.

- Co za głupiec - powiedział wolno.

Odwróciła twarz, odchrząknęła.

- Napijesz się czegoś? Kawy?

Dan wstał.

- Przydałoby mi się coś mocniejszego po tej jeździe. Tobie pewnie też.

- Niestety, mam tylko wino.

- Wspaniale.

Poszła do kuchni na miękkich nogach. Znalazła butelkę cabernet sauvignon i próbowała wkręcić korkociąg, ale wypadł jej z ręki i upadł z brzękiem na ladę.

Dan podszedł od tyłu i położył dłoń na jej ręce.

- Ja to zrobię.

Otworzył butelkę i nalał do kieliszków, potem zaprowadził Jenny przed kominek. Usiadła na dywanie, chowając nogi pod fałdy spódnicy. Usiadł obok i podał jej kieliszek.

- Za śnieżycę - powiedział.

Wino połyskiwało głęboką czerwienią w świetle płomieni. Przytknęła kieliszek do warg, ale była tak zdumiona toastem, że ręka poleciała jej w górę i jednym łykiem opróżniła pół kieliszka.

Dan zdjął okulary i położył je na podłodze. Kiedy znów odwrócił się ku Jenny, jego twarz miała już inny wyraz. Oczy przestały być nieprzeniknione: były wyraziste, rozmigotane pożądaniem.

Pokój rozmył się w oczach Jenny, ale poczuła, jak dłoń Dana wślizguje się pod jej włosy na karku, ciepła od ognia. Zadrzała, chociaż ledwo musnął jej skórę. Włożył palec pod opaskę przytrzymującą koński ogon i ściągnął ją wolno. Włosy rozsypały się na ramionach. Położył dłoń na policzku Jenny i odwrócił jej twarz ku sobie.

- Jennifer - wyszeptał, zanim pochylił głowę, szukając jej ust.

Serce Jenny ścisnęło się niedowierzaniem, ale zapomniała, że to się nie mogło stać i pamiętała tylko, jak bardzo go pragnie. Przyłgnęła do Dana całym ciałem. Tęsknota stała się nie do zniesienia i Jenny wydała krótki szloch z wargami na jego ustach.

Dan odsunął się i ujął twarz dziewczyny w obie dłonie.

- Powiedz nie, jeżeli tego nie chcesz - wyszeptał.

Nie chce? Słowa odbiły się echem w jej umyśle. Nie pragnęła niczego więcej, od chwili gdy go po raz pierwszy zobaczyła, po kres czasu.

- Chcę - powiedziała z westchnieniem.

Pochylił ku niej twarz.

Ciepło ognia napływało jak gęsta ciecz i ogarniało pokój. Czuła dłonie Dana na twarzy, na włosach, piersiach. Ubranie opadło z niej niby stara skóra, pod którą była świeża, naga, wyczulona na dotyk. Spleceni ramionami opadli na dywan przed kominkiem. Ogień grzał mocno i Jenny poczuła, że promienieje. Położyła się na plecach, rozchyliła nogi i przyjęła Dana w siebie z cichym okrzykiem.

Poruszał się niespiesznie, czerpiąc przyjemność z każdej chwili, całował ją, głaskał i pieścił. Odchylił się, by wejść głębiej i Jenny przezwyciężyła pragnienie zamknięcia oczu. Chciała patrzeć, ale widok był tak nierealny jak fantazje, które snuła na jawie. Zresztą, w tej chwili nie miało to znaczenia, ponieważ oczy zasłży jej mgłą, a oddech wydobywał się z jękiem. Dan poruszał się coraz szybciej, jakby w rytm jej oddechu, aż wygięła się w łuk ze zdławionym krzykiem.

Polana trzaskały w kominku i był to jedyny dźwięk aż do chwili, gdy usłyszała długi, spazmatyczny jęk Dana. Przyciągnął ją do siebie i wtulił głowę w zagłębienie jej szyi. Jego włosy łaskotały ją w policzek, oddech unosił w górę i w dół, niby kołysanie statku.

A śnieg padał coraz gęstszy, przysypał samochód, który stał się jedynie niewyraźną, białą zjawą na jej podjeździe.

9

Curtis Mason był wściekły. Zamiast grać w golfa z Gerrym Fordem tkwił unieruchomiony przez śnieg w zatęchłym mieszkaniu z pustą lodówką. Gospośia twierdziła, że nie może dostać się pociągiem do Devon, a restauracja, która obsłużyła jego trzy ostatnie przyjęcia miała czelność zamknąć podwoje z powodu

złych warunków atmosferycznych. Niech lichy porwie tego chłopaka, szkoda, że się w ogóle urodził!

Trzeba było wyprowadzić Otta. Odkładał to z godziny na godzinę, ale trzeba to było zrobić. Burza nie burza, rottweiler rekordzista musiał otrzymać swoją dzienną porcję ruchu. Mason zadzwonił do Brewerów, sąsiadów z naprzeciwka, próbując obarczyć tym obowiązkiem ich syna - oczywiście za dobrą zapłatą - ale pani Brewer powiedziała, że syn jest zaziębiony i nie wypuści go z domu w taką pogodę. Pieści się z bachorem i w rezultacie wychowa go na drugiego Scotta Sterlinga, mięczaka bez charakteru.

Przypiął smycz do obroży Otta, gotując się ze złości. Kiedy wczoraj rano otrzymał wiadomość od Charliego Duncana, zadzwonił do Edgara Sterlinga. To jego chłopak nawarzył tego piwa, niech go teraz wypije. Ed wysłuchał go w milczeniu, a następnie, bardzo uprzejmie, powiedział, żeby się odwalił. Mason nie wierzył własnym uszom. Jeszcze trzykrotnie dzwonił do Eda i za każdym razem otrzymywał tę samą informację: „Pan Sterling jest nieosiągalny”. Do diabła z nim!

Nie miał już do tego zdrowia ani cierpliwości. Inwencja też mu się skończyła. Wyglądało na to, że będą musieli iść za radą Perlmana, chociaż dostarczą w ten sposób żeru dziennikarzom. Rzecznik prasowy Macoal wykręcał się jak piskorz, ale trzeba będzie czegoś więcej, żeby Mason nie wyszedł na idiotę, jeśli nie gorzej. To dlatego Reese Chapman wyglądał wczoraj jak kot, który zjadł kanarka.

Otto warknął, przynaglając go do pośpiechu. Mason ujął smycz jedną ręką, drugą nasadził kapelusz mocno na głowę. Kiedy otworzył drzwi, tuman śniegu wpadł do holu. Dorrie będzie się pieklić, tak jak wczoraj, kiedy stało się jasne, że musi wpuścić Boba Perlmana do swojego salonu.

- Nie rozumiem, dlaczego Dickinson Barlow nie może tego załatwić? - zapytała. Dorrie żyła we własnym wyimaginowanym świecie, pełnym miłych ludzi i dobrych uczynków. Nie miała pojęcia, w jak delikatnej sytuacji znajduje się on, Mason. Na dworze było już prawie ciemno; powinien wyjść wcześniej, ale skąd mógł wiedzieć! W Palm Beach o tej porze świeciło słońce. Brnął przez zasypy wyższe niż jego wellingtony. Skoro mały Brewer nie mógł dzisiaj wyprowadzić psa, jest mało prawdopodobne, żeby pozwolili mu jutro odśnieżyć ścieżkę. Mason próbował sobie przypomnieć, czy w okolicy mieszkają jeszcze jakieś dzieci, ale szybko się poddał. Będzie musiał zapytać Dorrie; miała głowę pełną takich błahych informacji.

Śnieg i wiatr cięły go w twarz. W Palm Beach było dzisiaj dwadzieścia stopni i ani jednej chmurki. Niech diabli porwą Harding & McMann. Dlaczego nie poczekali do wiosny ze swoim wielkim odkryciem?

Otto nie był bernardynem, ale potężną piersią odgarniał śnieg i zostawiał za sobą ścieżkę, którą posuwał się Mason. Na ulicy nie było żywego ducha. Wszyscy pojechali na Południe, pomyślał, a ja bym też stamtąd nie ruszył tyłka, gdyby nie ten cholerny chłopak.

Otto podniósł tylną łapę i wypuścił żółtą smuzkę na wirujący śnieg.

- Dobry piesek - powiedział Mason.

Na wystawie psów Otto zdobył dwa złote medale z rzędu i nic nie stało na przeszkodzie, żeby zdobył trzeci. Utrzymanie go kosztowało majątek, ale Mason nie żałował. To był przynajmniej pies, w przeciwieństwie do stworzeń, jakie jego znajomi hodowali na Florydzie. Jezu Chryste, nie dość, że trzeba znosić ludzkie miernoty, to żeby jeszcze hodować psie popaprańce!

Otto pociągnął go przez ulicę do parku. Wiatr wzmógł się jeszcze i śnieg zasypywał natychmiast ich ślady. Ścieżka rowerowa przecinała park i Otto ruszył w tamtym kierunku.

- Nie idziemy dalej! - zawołał Mason, ale Otto brnął przed siebie.

Zrobiło się ciemno i Masonowi burczało w brzuchu. Co, u licha, będzie z kolacją? Nikt im niczego nie dostarczy do domu, a w lodówce nie znalazł nawet mrożonek. Spiżarnia pełna była puszek, ale Dorrie nie ugotowała nic od dziesięciu lat. Będą musieli iść do sąsiadów, wyżebrać gościnę u Brewerowej i jej zasmarkanego bachora.

Z lasu dobiegł trzask i coś świsnęło Masonowi koło ucha.

- Co jest?! - ryknął, obracając się w miejscu.

Otto stanął jak wryty i zaczął naszczekiwać we wszystkich kierunkach.

- Kto tam?! - krzyknął Mason.

Las był pełen cieni, nie potrafił rozeznaczyć kształtów. Wiatr wył i Mason zaczął się zastanawiać, czy się nie przesłyszał. Może to tylko sucha gałąź oderwała się od drzewa? Jednak kula przeszła obok jego głowy - był tego pewny.

- Otto, do domu!

Ale Otto nie pozwolił ruszyć się z miejsca; pociąganie za smycz nic nie dało.

Rozległ się drugi trzask i Otto w końcu się ruszył, wyskoczył w powietrze ze skowytem. Wylądował w zaspie, z głową przekrzywioną na bok, a wokół rozlała się kałuża krwi.

Mason rzucił się na ziemię i zakrył głowę ramionami. Pies ucichł.

10

Bladym świtem Dan wysunął się z łóżka Jennifer i zszedł cicho do kuchni. Znalazł telefon i wystukał numer. Automat włączył się dopiero po czwartym sygnale.

- Tony, odbierz telefon! - powiedział Dan. - Wiem, że tam jesteś, bo jak nie, to masz przechlapane!

Odpowiedzią był szum przesuwanej taśmy.

Nie ma powodów do paniki. Zegar na piecu pokazywał piątą pięćdziesiąt. Tony prawdopodobnie śpi w swoim pokoju, za zamkniętymi drzwiami, i jeżeli nie obudził go dźwięk telefonu, nie obudzi go również głos. Zwłaszcza, że Dan szeptał, osłaniając dłońmi słuchawkę, żeby nie obudzić Jennifer.

Rozłączył się i wykręcił numer ponownie.

Telefon wydzwonił swoje cztery obowiązkowe sygnały.

- Tony, do ciężkiej cholery!

- Dan? - Rozległ się głos Tony'ego.

- Tony! Gdzie byłeś?!

- W łóżku. Lepiej powiedz, gdzie ty jesteś?

- Posłuchaj, utknąłem w tej śnieżycy. Jestem unieruchomiony na przedmieściu.

- O!

Głos Tony'ego był beznamiętny jak zawsze, mimo to Danowi wydało się, że słyszy w nim żalowaną nutę.

- Wszystko w porządku? Potrzebujesz czegoś?

- W porządku.

- W lodówce jest pełno żarcia.

- Powiedziałem: w porządku!

- Trzymaj się. Wrócę, jak tylko odkopię drogi.

- Aha - powiedział Tony z naciskiem.

Dan poczuł się winny, ale nie zamierzał tłumaczyć się przed nikim, zwłaszcza przed czternastolatkiem, nawet jeżeli w jego głosie brzmiało pytanie: Dlaczego dzwonisz dopiero o szóstej rano? Dlaczego szepczesz? Dlaczego w ogóle pojechałeś na przedmieście w środku burzy?"

- Słuchaj no! - powiedział Dan. - Nawet nie myśl o wyjściu z mieszkania. Dzwoniłem do portierni. Będą mieli na ciebie oko.

Rozległ się trzask, a potem ciągły sygnał.

Klnąc cicho, odłożył słuchawkę i wszedł na schody.

- Gdzie byłeś? - wymamrotała Jennifer sennie, kiedy wsunął się pod kołdrę.

- Przepraszam - wyszeptał. - Nie chciałem cię obudzić.

- Coś się stało?

- Nie. - Przyłgął do niej całym ciałem. - Przeciwnie. Powiedziałbym, że wszystko jest w idealnym porządku.

Z twarzą wtuloną we włosy Jennifer, sięgnął do jej piersi. Pachniała dobrym, zwyczajnym mydłem. Różniła się na sto sposobów od znanych mu kobiet, ale ten wydał mu się najlepiej uchwytny. W jej zapachu nie było nic sztucznego, nie było w nim również ciężkiej woni seksu, jaką wydzielają niektóre kobiety. Pachniała po prostu czystością.

Była już wilgotna, kiedy wsunął rękę między jej uda. Rozłożył ją na plecach, a ona rozchyliła nogi, żeby go przyjąć. Wciągnęła gwałtownie powietrze, kiedy w nią wszedł, ale się nie odezwała - żadnego świntuszenia, żadnych próśb i zaklęć - jedynie ciche jęki, które podniecały go bardziej niż słowa. Tym razem spełniła się razem z nim, gwałtownie, z gardłowym okrzykiem. Nigdy by nie uwierzył, że mogła go wydać Jennifer Lodge.

Kiedy się obudził, słońce świeciło jasno, miejsce obok niego było puste, a z kuchni napływał zapach kawy. Naciągnął ubranie i zszedł na dół. Jennifer stała przy piecu w aksamitnym szlafrocisku w kolorze kości słoniowej.

- Cześć - tak szepnęła nieśmiało, jakby był całkiem obcym człowiekiem.

- Cześć. - Odwrócił dziewczynę ku sobie. Rozchylił poły jej szlafroka i odnalazł ustami piersi.

- Och! - szepnęła bez tchu, kiedy się odsunął. - Naleśniki! - Obróciła się ku płycie, ciągle w rozpiętym szlafroku.

- Śliczna kucharka topless - powiedział z zadowoleniem. - Myślę, że to się przyjmie.

Zebrała poły i zawiązała pasek.

- Nie zakrywaj się z mojego powodu - powiedział. Kiedy zamierzyła się na niego łopatką, wiedział, że jej nieśmiałość zniknęła.

Usiedli przy dębowym stole, tuż koło siebie. Pili kawę, jedli naleśniki i kawałki melona, a ich oczy biegły ku sobie, za nimi podążały ręce i usta. Dan znał to uczucie upojenia z początków związku; wiedział, że tak jest zawsze, znał ten głód, jakby nie można się było sobą nasycić, uzależnienie niemal narkotyczne. I

wiedział, że to za każdym razem wydaje się inne, niezależnie od tego, ile razy przedtem się zdarzyło. Ale teraz naprawdę wydawało się inne, może dlatego, że Jennifer była inna, z innego świata, spoza jego wymiaru czasu i przestrzeni.

- Opowiedz mi o swojej rodzinie - poprosił.

Uśmiechnęła się i zgarnęła włosy na jedno ramię, owijając wokół dłoni.

- No więc, mam starszą siostrę, Meg. Wyszła za mąż za angielskiego profesora, mają dwóch synków. Moja matka mieszka teraz z nimi, w Madison, w Wisconsin.

- A twój tata?

- Zmarł cztery lata temu.

- Przykro mi. - Po chwili dodał: - Nie widział, jak kończysz studia.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Tak! To bolało najbardziej. Byłby taki dumny, gdyby tego dożył. Skąd wiedziałeś?

- Doświadczyłem tego samego. Mój ojciec umarł, zanim zacząłem studia.

- Byłby z ciebie bardzo dumny - powiedziała Jennifer. - Nie tylko z powodu studiów prawniczych. Z tego wszystkiego, czego dokonałeś.

Skinął głową, choć miał pewne wątpliwości. Nie pamiętał, żeby ojciec kiedykolwiek użył słowa „prawnik” i nie dodał synonimu - słowa „oszust”. Opowiadał kawały o prawnikach na wiele lat przed tym, jak weszły w modę.

- Co robił twój tato? - zapytał Dan.

- Pracował dla banku.

Dan uznał, że w kategorii niedomówień odpowiedź Jennifer zajęłaby jedną z wyższych pozycji. Najprawdopodobniej tatuś siedział w radzie nadzorczej i zajmował się przerzucaniem milionów dolarów z jednej kolumny do drugiej. Koneksi z rodziną Dundee nadal były tajemnicą.

- Jak to się stało, że zostałeś tutaj, zamiast przeprowadzić się z resztą rodziny do Wisconsin? - zapytał. Było to jedno z tych dogłębnych pytań, w których celował. Ale odpowiedź zawiodła jego oczekiwania.

- Byłam już na studiach no i... - Cień przemknął po twarzy Jennifer, zagryzła wargę.

- No i co? - żartobliwie ujął ją pod brodę, uniósł twarz. Ale kiedy potrząsnęła głową i odwróciła wzrok, domyślił się, co było dalej.

- A, narzeczony.

Odsunęła talerz i podniosła filiżankę z kawą.

- Greg - powiedziała w końcu. - Miał tu pracę, więc zostałam.

Dan nie wiedział, co powiedzieć. Faceci to kretyni? On stracił, zyskała Filadelfia?

Ale Jennifer wybawiła go z kłopotliwej sytuacji.

- Chodźmy na dwór, pobawić się w śniegu - powiedziała nagle, rozpromieniona.

- Bawić się w śniegu? - powtórzył sceptycznie. - Co to jest? Jakiś rytuał godowy wyższych sfer?

- Pojeżdżamy na sankach albo ulepimy bałwana. Chodź! - Zerwała się ze śmiechem i pobiegła na górę.

Dan posprzątał ze stołu i postanowił, że sobie daruje. Dzieciaki z południowej Filadelfii nie przepadały za sankami i lepieniem bałwanów. Ale pięć minut później, kiedy Jennifer zbiegła ze schodów, ubrana w niebieskie dzinsy, które opinały jej zgrabny tyłeczek, z włosami rozpuszczonymi na ramiona i rozpromienioną, świeżo umytą twarzą, pomyślał, że nigdy nie jest za późno na naukę nowego sportu.

Na dziedzińcu śnieg leżał do kolan, nie było śladu podjazdu. Słońce przebijało się przez chmury, chwytalo w pryzmat płatki śniegu, rozświetlając powietrze. Jennifer wzięła garść śniegu, ubiła w śnieżkę i zaczęła ją turlać już od frontowych drzwi. Kiedy dotarła do skrzynki na listy, kula osiągnęła wielkość otoczaka. Drugą kulę utoczyli wspólnie, Dan nasadził ją na pierwszą i zabrali się do trzeciej.

- Zaraz wracam! - zawołała i pobiegła do domu.

Umocował bałwanowi głowę. Po kilku minutach Jennifer wróciła z koszykiem, z którego wyciągnęła dwa polana do kominka.

- To jego ramiona - powiedziała i Dan posłusznie zatknął je na miejsce.

- Jego oczy. - Podała mu dwa kapsle do butelek. - Nos i usta - powiedziała, wręczając łupinę melona i marchewkę.

- Gotowe - uznał.

- Nie tak prędko!

Patrzył, jak owija bałwanowi szyję białym szalikiem, lepi zawadiacki loczek na jego czole i nasadza na marchewkę porzucone okulary Dana.

- No - powiedziała. - Reese Chapman.

Ryknął śmiechem, po czym chwycił ją w zimny, wilgotny uścisk i okręcił ramionami tak mocno, że znalazła się w powietrzu.

Urządzili śnieżną bitwę i kiedy trafił Jennifer w pupę, pisnęła i uciekła za wozownię. Spodziewając się zasadzki, Dan okrążył dom z drugiej strony. Nie

dostrzegł jej i miał już się wycofać, kiedy słońce padło na miejsce, gdzie leżała na plecach, z rozrzuconymi rękami i nogami. Podeszedł cichutko i położył się obok. Oczy miała zamknięte, a spadające płatki zbierały się na rzęsach i brwiach. Ucałował jej oczy, potem wargi.

- Ostrożnie - westchnęła. - Stopimy cały śnieg i nie będę mogła cię dłużej więzić.

Omiał jej nie obiecał, że może to robić, jak długo zechce.

Tego wieczoru jedli przy wysokich, białych świecach, na obrusie z białego adamaszku. Siedzieli naprzeciwko siebie i nawet ta krótka rozłąka wzmacniała tęsknotę za tym, co nastąpi. Podała cielece eskalopki z dzikim ryżem i zielonym groszkiem, a do tego butelkę pinot noir. Postanowił, że w następny weekend zjedzą kolację u niego, przy zgaszonych światłach, mając całe miasto u stóp.

Po kolacji stali przez chwilę w tylnych drzwiach i patrzyli, jak pada śnieg, miarowo, niespiesznie. Dan otoczył Jennifer ramionami, tak że wspierała się o jego piersi i obserwowali, jak biały puch zbiera się na parapetach, zmieniając szyby w zimowe pejzaże. Przez gęste, czarne żywopłoty otaczające ogród nie przenikało żadne światło z zewnątrz. Było tak, jakby znaleźli się na końcu świata, sami pośród śnieżnej burzy.

- Pięknie, prawda? - wyszeptała.

- Mhm - wymruczał z ustami na jej szyi.

Zaprowadził Jennifer na kanapę. Rozebrali się wzajemnie w świetle padającym z kominka.

- Masz jakąś muzykę? - zapytał.

- Mmmm, to byłoby miłe. - Niechętnie oderwała od niego dłonie i wstała z kanapy. - Nigdzie nie odchodź.

- A dokąd ty się wybierasz?

- Odtwarzacz CD jest w studiu. Muszę...

- Studio?

- Baletowe.

Wstał.

- Pokaż mi je.

Okryli się patchworkami z sofy i zaprowadziła go do studia. Kiedy zapaliła światło, okręcił się wolno, patrząc jak jego odbicie wędruje za nim krok w krok. Jennifer włączyła CD i salę wypełniła muzyka. Dorzuciła kilka polan do pieca, a

kiedy się odwróciła, Dan był już przy niej. Pochylił się i przytknął wargi do jej ucha.

- Masz świece?

Zapalił kilka i ustawił wzdłuż ścian. Potem zgasił górne lampy i lustra rozbłysły dziesiątkami płomyków. Jenny patrzyła na to otulona ściśle narzutą. Dan stanął przed nią nagi a Jenny nagle ogarnął żar. Nie stawiała oporu, kiedy wyjął końce narzuty z jej palców, pozwoliła, by opadła na podłogę. Dan położył się i pociągnął ją za sobą. Uległa z cichym jękiem.

Rachmaninow ogarnął ich niby potężna fala, świece płonęły jak gwiazdy. Dan widział wszędzie odbicia Jennifer - każde było inne, żadne nie było dziewczyną, którą znał.

11

Dan wrócił do miasta w niedzielę po południu, jak tylko plugi przetarły Coventry Road. Czerwone światelko automatycznej sekretarki błyskało w holu, pomyślał, że może dzwoniła Jennifer. Rozejrzał się po mieszkaniu. Było zarzucone częściami garderoby i opakowaniami po jedzeniu, ale poza tym nietknięte. Tony leżał na kanapie i oglądał MTV.

- Wróciłem.

- Aha. - Nawet się nie odwrócił.

Dan podniósł z podłogi mokry ręcznik kąpielowy. Kilogramy śniegu, które przerzucił rano, nagle dały o sobie znać bólem w plecach. Wyprostował się z trudem. Wrzucił ręcznik do łazienki i wcisnął „odtworzenie”.

- Panie Casella - odezwał się ostry, kobiecy głos. - Nazywam się Liz Nofert. Jestem reporterką działu biznesu „Inquirer”. Rozumiem, że będzie pan reprezentował firmę Harding & McMann w procesie, jaki wytoczono firmie w piątek. Chciałabym zadać panu kilka pytań.

Kobieta wyrecytowała swój numer, ale z tonu jej głosu nie wynikało, żeby spodziewała się telefonu. Dan był ciekaw, w jaki sposób dziennikarka zinterpretuje jego nieobecność. Daniel Casella był nieuchwytny? A może - Daniel Casella nie pofatygował się, żeby oddzwonić w wiadomej sprawie? Nie było na to rady. Otrzymał wyraźne instrukcje - żadnej prasy.

Kolejna wiadomość, znów kobiecy głos, tym razem pełen pretensji.

- Dan, tu znowu Lisa. - Lisa, przypomniał sobie, klepiąc się w czoło. To ona była tą niezidentyfikowaną rozmówczynią z poprzedniego dnia. - Może jednak do mnie zadzwonisz?

- Panie Casella, tu Abby Greenley z Alexander School - odezwał się kolejny głos. - Rada szkoły obradowała podczas weekendu i zdecydowała się przyjąć pana brata na okres próbny. Może się zapisać i przyjść na lekcje jutro o ósmej.

Dan zawołał „hura!” i cofnął nagranie.

- Tony! Chodź tu i słuchaj.

Kiedy Tony przywłókł się do holu, włączył automat. W głosie kobiety znać było wyraźny niesmak. Poniosła porażkę, a to oznaczało, że Dan wygrał.

- Przyjęli cię! - Chciał klepnąć Tony’ego w plecy, ale brat zrobił unik.

- Nie pójdę tam! - krzyknął. - Pieprzyć to! Nie pójdę! - Odwrócił się na pięcie.

- Stój!

Tony ruszył w kierunku swojego pokoju. Dan dogonił go, zanim brat zdążył zamknąć drzwi. Chłopiec odwrócił się i rzucił do ataku. Wyrzwał Dana głową w klatkę piersiową, jedną pięścią waląc w żołądek, drugą w bok. Cios pozbawił go tchu, wypchnął z powrotem na korytarz, gdzie uderzył mocno głową o ścianę. Tony rzucił się za nim ze zdławionym okrzykiem, młóćąc ramionami.

- Przestań, do cholery! - krzyknął Dan.

Zamknął ramiona wokół chłopca, chwytając go w żelazny uścisk. Ten próbował się uwolnić, ale Dan trzymał mocno. Tony był silny i dobrze zbudowany jak na swój wiek, ale Dan nadal miał nad nim przewagę czternastu centymetrów wzrostu i dwudziestu kilogramów wagi. Potrząsnął bratem z całej siły.

- Przestań, Tony! Natychmiast!

Brat schował twarz na jego piersi i Dan poznał po drganiu jego ramion, że płacze. Potrząsnął nim po raz ostatni.

- Mam ci dać w skórę, czy usiądziemy i porozmawiamy spokojnie?

- Nie obchodzi mnie, co ze mną zrobisz! Nie pójdę tam!

Dan czuł, jak na potylicy rośnie mu guz. Do bólu pleców dołączył się ból głowy i nadwężonych żeber.

- Daj spokój - odezwał się, kiedy mógł już normalnie oddychać. - Siadaj!

Chwycił go za rękę i pchnął na łóżko. Tony odwrócił się do niego plecami i ukrył twarz w poduszce. Dan wyciągnął się obok, wspierając bolące ramiona o ścianę. Pomacał tył głowy i znalazł guz. Nadal rósł, ale nie krwawił.

- Co jest takiego strasznego w Alexandrze, że wolisz lanie?

- Nienawidzę tej szkoły - powiedział Tony w poduszkę.

- Dlaczego?

- Muszę mieć powód?

- Nie. Dla mnie to nawet lepiej.

- Nie jestem tacy jak oni!

- Niby dlaczego? Jesteś mądry, przystojny i poradzisz sobie z nimi w każdej dziedzinie sportu.

- Tam chodzą same bogate dzieciaki - burknął.

- A ty masz brata z forszą.

Chwilę trwało, zanim Tony wysunął następny argument.

- Chcę wrócić do moich kumpli.

- Nie ma mowy.

Znowu zapadła cisza. Dan ogarnął wzrokiem surowy wystrój pokoju. Szary dywan, białe ściany, srebrne żaluzje w oknach, białe laminowane biurko i komoda. Może czas zrobić przemeblowanie, tym razem na własną rękę, bez pomocy zawodowych dekoratorów. Dodać odrobinę koloru. Dom Jennifer był pstrą kolekcją używanych mebli, które razem tworzyły ciepłe, żywe wnętrze.

- Jaki jest twój ulubiony kolor? - zapytał nagle.

Tony przetoczył się na plecy.

- Co?!

- Twój ulubiony kolor. Masz jakiś?

- Nie wiem. Niebieski?

- Brzmi nieźle. - Może ciemnoniebieski z kilkoma czerwonymi akcentami? Dan wsparł się na łokciu.

- Tony, słyszałeś, co mówiła ta pani przez telefon. Okres próbny. Wypróbujesz Alexandra, zobaczysz, czy ci się spodoba.

Twarz Tony'ego wykrzywił grymas.

- Nie wydaje mi się, żeby ona tak to rozumiała.

- A jak inaczej miałyby to rozumieć? - Dan otworzył szeroko oczy. - No, co powiesz?

- Mam wybór?

- Oczywiście. Możesz iść tam dobrowolnie albo pod przymusem.

Tony przewrócił oczami.

- A mogę po prostu pójść?

- Jasne!

Tego wieczora Tony zasnął, ledwo przyłożył głowę do poduszki, jak mały chłopiec. Nie pamiętał już o swojej histerii i walce z bratem. Ale Dan nie mógł zapomnieć. Siedział długo w noc, rozmyślając. Ataki furii Tony'ego zaczynały go przerażać. Gdzie kończą się normalne zaburzenia okresu dojrzewania, a zaczyna coś o wiele gorszego?

Potrafił sobie wyobrazić, co powiedziałby ojciec na widok swojego pogrobowca. „Temu dzieciakowi przydałyby się porządne baty”. Nie uważał swojego ojca za wyrocznię. Nie był dobrym ojcem dla trójki starszych dzieci, nie było więc powodu przypuszczać, że wykazałby się mądrością w przypadku Tony'ego.

Dan wiedział też, co zrobiliby jego koledzy z pracy, gdyby życie postawiło ich przed takim problemem. Odesłaliby chłopaka na terapię: tysiąc dolarów miesięcznie wydatnie zmniejsza poczucie winy i nie wymaga poświęcenia nawet pięciu minut z prawniczej praktyki. Jednak nie zamierzał już najmować profesjonalistów do tego, co powinien zrobić sam.

Położył się w końcu, próbując znaleźć wygodną pozycję dla obolałych pleców. Znowu pomyślał o Jennifer mieszkającej niby księżniczka w bajkowym świecie. Niesamowite, że taka dziewczyna zakochała się w nim, ale przekonał się o tym na własne oczy w piątek wieczorem, kiedy ocknąwszy się z zamyślenia, zobaczył, jak na niego patrzy.

Uwielbienie ze strony pięknej dziewczyny łatwo uderza do głowy. Przez cały dzień fantazjował, że przyprowadza ją do swojego mieszkania, pokazuje wspaniały widok z okien, przedstawia Tony'ego, siadają razem do kolacji. Kiedy odebrał telefon z Alexandra i zrozumiał, że wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu załatwił Tony'emu przyjęcie do szkoły, przez około trzydzieści sekund czuł, że wszystko jest możliwe. Aż do chwili, gdy Tony wpadł w bojowy szal.

Naprawdę wyobrażał sobie, że Jennifer może stać się częścią jego życia? Zmusił się do zaśnięcia.

12

W poniedziałek rano Jenny wyszła spod prysznica i zaczerwieniła się na widok własnego ciała w lustrze. Minęły dwadzieścia cztery godziny, odkąd Dan się z nią

kochał, a ją ciągle podniecało muśnięcie ręcznika. Po raz pierwszy w życiu poszła z mężczyzną do łóżka bez miłosnych wyznań i deklaracji małżeństwa, ale było jej to obojętne. Po raz pierwszy w życiu nie pomyślała o środkach ostrożności, ale było jej wszystko jedno. Na szczęście zadbał o to Dan. Wiedziała, że nie ma powrotu do tego, kim była przedtem - inteligentną, skromną współpracownicą, adorującą go potajemnie - i co z tego?

Wróciła do pokoju, żeby się ubrać. Wyjęła z szafy granatową garsonkę i białą bawełnianą koszulę, ale pod wpływem impulsu odwiesiła koszulę i wyciągnęła jedwabną bluzkę. Dzisiaj chciała czuć dotyk jedwabiu na skórze.

Na stacji kupiła poranną gazetę. Pierwsza strona była niemal w całości poświęcona burzy śnieżnej, ale sekcję biznesową rozpoczynał artykuł, który przykuł jej uwagę.

FIRMA PRAWNICZA OSKARŻONA O KRADZIEŻ MILIONÓW

Curtis Mason, były dyrektor operacyjny Macoal Corporation, pozwał do sądu Harding & McMann, jedną z najpoważniejszych firm prawniczych w mieście. Domaga się zwrotu dwóch milionów dolarów ukradzionych z rodzinnego majątku powierniczego przez prawnika Scotta Sterlinga. Mason twierdzi również, że Sterling zdefraudował trzysta pięćdziesiąt tysięcy z jego osobistego konta.

Charles Duncan, wspólnik i dyrektor Harding & McMann potwierdził nieprawidłowości w sposobie, w jaki Sterling zarządzał funduszem i oświadczył, że umowa o pracę ze Sterlingiem została rozwiązana.

Nie zdołaliśmy się skontaktować z Danielem Casellą, reprezentującym Harding & McMann.

Jenny poczuła, jak krew napływa jej do twarzy, ale czytała dalej:

Sterling, który udzielił gazecie wywiadu w domu swych rodziców w Galdwyne, złożył następujące oświadczenie: „Głęboko ubolewam nad tym, co zrobiłem, nad stratami, jakie spowodowałem. Mam tylko nadzieję, że będę mógł je wyrównać”.

U dołu strony naszkicowano życiorys Sterlinga: Akademia Episkopalna, Williams College, Szkoła Prawnicza Cornelia, następnie udana, choć niczym niewyróżniająca się praktyka w dziale nieruchomości i powiernictwa w Harding &

McMann. Syn Edgara Sterlinga, prezesa firmy farmaceutycznej Phoenix. Ojciec odmówił komentarza.

Jenny czytała dalej.

Curtis Mason zgłosił na policji, że strzelano do niego w sobotę wieczorem, w Laurelwood Park, podczas spaceru z psem, co wydaje się nie mieć związku ze sprawą. Wprawdzie Mason nie odniósł obrażeń, ale jego pies, rottweiler, złoty medalista, zginął od kuli z karabinu. Zdaniem policji, incydent był wynikiem przypadkowej strzelaniny, a sprawca pozostaje nieznany.

Dan przeczytał artykuł zaraz po przyjściu do pracy. Stwierdził z ulgą, że potraktowano go łagodnie - „nie zdołaliśmy się skontaktować” brzmiało lepiej niż „był nieuchwytny”, a już zdecydowanie lepiej, niż „nie oddzwonił w wiadomej sprawie”.

Ale ulga trwała krótko. Publiczne pokajanie się było najgorszą rzeczą, jaką Sterling mógł zrobić. Trudno będzie teraz udowodnić, że jest ofiarą, nie przestępcą. Ze złością odrzucił gazetę. Jednak kto wie, czy nie nadejdzie dzień, kiedy uzna wersję Sterlinga za prawdziwą, w takim razie należałoby wyciągnąć wnioski z tej historii. Nie obiecuj więcej, niż możesz spełnić, a nie będziesz się musiał lękać strasznej chwili, gdy prawda wyjdzie na jaw. Lekcja dla Dana: nie obiecuj Charliemu Duncanowi obrony doskonałej, a nie zawiedziesz go.

Jeszcze jedna nauczka: nie obiecuj nic Jennifer, a nie zranisz jej.

Musiał się z nią koniecznie zobaczyć. Wstał zza biurka i minął sekretarkę, udając, że nie dostrzega jej pytającego spojrzenia. Ale po kilku krokach zawrócił.

- Na którym piętrze urzęduje Jennifer Lodge?

- Na czterdziestym drugim - odparła Betty.

Zobaczył, że pisze imię Jennifer w swoim sekretarskim bloczku, kontroluje każdy jego ruch, jak na dobrą sekretarkę przystało.

Wysiadł na czterdziestym drugim i wpadł na Jima Feldmana.

- Dan, masz minutę? - Nie zwalniając kroku, Feldman zgarnął Dana do swojego gabinetu i zamknął drzwi.

- Tylko minutę. O co chodzi?

Feldman był prezesem Foster Bell i lubił pozować na zapracowanego dyrektora. Przez cały dzień chodził bez marynarki i pilnował, żeby jego biuro było zawsze zavalone papierami, jakby chciał powiedzieć: tu się pracuje. Przysiadł na krawędzi biurka, jedynym skrawku wolnym od makulatury, założył nogę na nogę i pochylił się konspiracyjnie nad Danem.

- Ken odchodzi.

- Stively? - Ken Stively był współnikiem, starszym od Dana o kilka lat. Przyjacielem.

- Przechodzi do Jackson Rieders.

- Dlaczego?

- Złożyli mu ofertę, której nawet nie próbowaliśmy przebić.

Więc jakim cudem Jackson Rieders mogli sobie na niego pozwolić? Odpowiedź była oczywista.

- Zabiera Tramco?

- Tak mu się wydaje. Ale ty poświęciłeś sprawom Tramco prawie tyle samo czasu, a cieszysz się lepszą opinią. Masz tam paru dobrych przyjaciół.

- Chryste! - mruknął Dan z nagłym zrozumieniem. - Chcesz, żebym walczył z Kenem o klienta?

- Ten klient jest wart trzy miliony dolarów rocznie - Feldman uniósł brwi. - Jest o co powalczyć, nie sądzisz?

- Jestem starym prawnikiem rządowym. Nie wdaję się w walkę o pieniądze.

- Bzdura! - Feldman wstał i obszedł biurko. - Daj spokój, Dan, pomóż nam trochę. Tramco zajmuje ważną pozycję w naszych finansach. Utrata takiego klienta uderzy nas wszystkich po kieszeni. - A kiedy Casella pozostał niewzruszony, Feldman dodał: - Zresztą nie oczekujemy, że zrobisz to za darmo. Przyjrzymy się twoim udziałom.

Poderwał głowę.

- Z jakim rezultatem?

Teraz, kiedy już zainteresował Dana, Feldman zrobił się ostrożny.

- Wiesz co? Przyjdź na zebranie kierownictwa o piątej. Naostrzymy ołówki.

- Byle dobrze.

Ken nie może narzekać, uznał Dan, wędrując korytarzem w poszukiwaniu biura Jennifer. Profesja prawnika stała się zwykłym biznesem. Jeżeli będzie musiał konkurować ze Stivelym, postara się wygrać. Pojedzie do Hartford i będzie urabiał Tramco, będzie zabiegał o względy rady nadzorczej i zorganizuje spotkanie z dyrektorem zarządzającym. Przygotuje odpowiednią prezentację. Szczegółowy raport o Tramco, a do tego kompletny wykaz wszystkiego, co Foster Bell zrobił dla firmy bez udziału Kennetha Stively'ego.

Jennifer zbierze to do kupy i naszkicuje przemówienie. Może powinien zabrać ją ze sobą do Hartford. Klienci lubią dobrą obsadę na niższych szczeblach, bo jest

tania. A Jennifer prezentowała się dobrze nawet wtedy, gdy nie wiedziała, jak się sprzedać. Prawdę mówiąc, prezentowała się wspaniale, pomyślał z uśmiechem.

Uświadomił sobie nagle, że sprawa nie jest prosta. Pieprzył ją, na litość boską! Nie mógł przydzielić jej do nowego projektu, w ogóle nie mógł już z nią pracować. Firma miała w tych sprawach niewzruszone zasady, Dan również. Należało dbać o pozory. Słabości, prędzej czy później, wychodzą na jaw. Jennifer była zbyt prostolinijna. Nie potrafiłaby brać udziału w tej maskaradzie. Obawy potwierdziły się w chwili, gdy wszedł do jej gabinetu. Podniosła wzrok znad jakichś papierów, oczy jej zogromniały, policzki okryły się rumieńcem, na szyi zadrgała żyłka. Dan zamknął drzwi, podszedł do niej i przycisnął usta do tego pulsującego punktu. Zadrżała jeszcze silniej.

- Tęskniłem - wymruczał.

- Ja też - szepnęła i uniosła twarz do pocałunku.

Odsunął papiery, żeby przysiąść na biurku i natknął się na wycinek z „Inquirera”.

- A więc widziałas już ten artykuł.

- Co o tym sądzisz?

- Sami są sobie winni. Radziłem, żeby sprzedać prasie naszą wersję w piątek rano. Może wtedy Sterling namyśliłby się, zanim zaczął kłapać ozorem.

- Strasznie się obciąża.

- Wchodzi w fazę samodestrukcji. Mam tylko nadzieję, że jego stary załatwi mu dobrego adwokata, który powstrzyma go, zanim narobi jeszcze gorszej biedy.

- Nad czym mam dzisiaj pracować?

Dan uśmiechnął się znacząco i podniósł Jennifer z krzesła, ustawiając ją sobie między kolanami.

- Niech pomyślę. Czego ja dzisiaj od ciebie chcę?

Roześmiała się radośnie, przyjmując jego pocałunki, potem spoważniała.

- Mam zacząć od wniosku o odrzucenie, czy uważasz, że najpierw powinniśmy postarać się o wgląd w jego zeznania podatkowe?

Przygładził jedwabiste kosmyki, które wymknęły się z końskiego ogona.

- Wiesz co? Odlóżmy wszystko do czasu, gdy będę miał okazję porozmawiać z Charliem. Zatrudnili całą gromadę prawników, którzy mogą mieć własne pomysły.

- Więc nad czym mam pracować?

- W tej chwili chyba nic dla ciebie nie mam - powiedział Dan po namyśle. - Zadzwoń do Jima. Sprawdź, czy on cię nie potrzebuje.

Młodzi współpracownicy chodzili po przydział do Jima Feldmana tylko w ostateczności, żeby nie otrzymać spraw-ogonów, którymi nikt inny nie chciał się zająć.

- Okay - powiedziała.

- Hej! - Ujął jej podbródek i uniósł twarz. - Jakie masz plany na wieczór?

Skrzywiła się.

- Balet. Ale mogę się urwać.

Oczyma wyobraźni ujrzał jej postać sklonioną nisko do podłogi.

- Nie, nie chcę, żebyś z tego rezygnowała.

- Zajęcia są dopiero o siódmej. Wybierzemy się na wczesną kolację?

- Mam spotkanie o piątej. Może jutro wieczorem?

- Wspaniale.

- A więc jesteśmy umówieni.

Wychodząc, zamknął za sobą drzwi, żeby mogła ochłonać. Jennifer miała piękną twarz, ale ta twarz zdradzała każdą myśl i uczucie. Zdradzi również jego, jeżeli nie będzie ostrożny.

13

Członkowie kierownictwa Harding & McMann boleśnie odczuli poniedziałkowe nagłówki w prasie, we wtorek rany zaczęły się jątrzyć. Zwołano zebranie dla omówienia aktualnego stanu spraw, ale dla większości była to okazja, żeby popsioczyć na Charliego Duncana, nieobecnego szczęśliwca Tuckera Podswortha oraz Dana Casellę.

- Wczoraj odebrałem dwadzieścia telefonów - żalił się John Warrington. - Dobrzy klienci, poważni klienci, wszyscy chcieli wiedzieć jedno: co się, u licha, dzieje?

Inni przytaknęli głowami. Otrzymali podobne telefony.

- To się musi skończyć i to szybko.

Uwaga pochodziła od prawnika podatkowego. Dan obrzucił go swoim prokuratorskim spojrzeniem.

- A w jaki sposób?

- To pan powinien wiedzieć.

- Jeżeli ktoś widzi podstawy do umorzenia, zgodnie z artykułem 12(b) paragraf 6, proszę mnie powiadomić - powiedział Dan. - Jeżeli nie, istnieje tylko jeden sposób, by to szybko zakończyć. Zapłaćcie Masonowi.

- Może rzeczywiście powinniśmy - odezwał się Warrington.

- Istnieje szansa na obronę - przypomniał Charlie Duncan.

- Jak wysoka? - zapytał gość od podatków. - Skończy się na tym, że zapłacimy Masonowi tyle, ile żąda i rachunek Caselli.

- Dan - powiedział Warrington. - Jakie mamy szansę na zwycięstwo?

- Znajdź sobie innego bukmachera, John - odparł Dan. - Przestałem się bawić w określanie szans w dniu, w którym skończyłem prawo.

- Ale musisz mieć jakieś odczucia...

- I są to tylko odczucia - uciął Dan. - Instynkt mówi mi, że chodzi o coś więcej niż o defraudację. Ale widzieliśmy tylko czubek góry lodowej. Jeżeli ten czubek was przeraża, zapłaćcie Masonowi i skończcie z tym. Ale jeżeli chcecie się dowiedzieć, co siedzi pod poziomem wody, musicie bronić sprawy jak należy.

Dan popatrzył po obecnych i uzyskał ich niechętną zgodę.

Tucker Podsworth zjawił się, kiedy wyszli już wszyscy poza Danem.

- Opracowaliśmy to najlepiej jak się dało - poinformował Dana. - Pamiętaj, że nie prowadziliśmy spraw majątkowych pani Chapman, nie sporządziliśmy jej testamentu i nie mieliśmy nic wspólnego z administracją majątku.

- Powiedz po prostu, co wiesz.

- Pani Chapman była z domu Mason, a tym samym miała znaczące udziały w Macoal Corporation. Jak ci wiadomo, Masonowie założyli firmę początkowo pod nazwą Mason Coal Company. Dziś jest to regionalny konglomerat energetyczny, nadal przez nich kontrolowany.

- Zarząd prywatny?

- Publiczny, ale rodzina ma większość udziałów. Są one jednak rozproszone. Masonowie przypominają trochę duPontów - są płodni. Ale dzięki zabiegom Curta zawsze tworzyli jednolity front. Pamiętasz może tego korporacyjnego pirata - jak on się nazywał...

- Jack Stengel?

- Właśnie. W zeszłym roku podjął próbę wrogiego przejęcia. Analitycy uważali, że mu się uda, ale rodzina natychmiast zwarła szeregi.

- Więc jaka była rola pani Chapman w Macoal?

- Widzisz, Doody wyszła za mąż dopiero po czterdziestce. - Dan uśmiechnął się, słysząc przezwisko pani Chapman, ale Podsworth tego nie zauważył. - Rodzina zakładała, że nigdy tego nie zrobi i prawdopodobnie dlatego weszła w posiadanie niestosownie dużej części rodzinnego majątku, między innymi największego pakietu udziałów Macoal.

- Większego niż Curt?

- O wiele większego. Potem zaskoczyła wszystkich, poślubiając Reese'a Chapmana.

- Miał własne pieniądze?

- Niewiele. Właściwie nic.

- Dlaczego więc Doody za niego wyszła?

- Miała czterdzieści lat, a on dwadzieścia pięć. Podobno urzekła ją jego młodość.

Tym razem Dan nie starał się nawet ukryć uśmiechu.

- Chcesz powiedzieć, że Chapman był żigolakiem?

- Boże drogi, nie! Chapmanowie to stara filadelfijska rodzina. W każdym razie pobrali się i zaskoczyli rodzinę ponownie, wydając na świat córkę, Catherine.

- Ile ma lat?

- Prawie trzydzieści.

- Gdzie mieszka?

- Nie jestem pewien. Wyszła za niemieckiego księcia...

- Ma więc mnóstwo pieniędzy - powiedział Dan z nadzieją.

- Za zubożalego niemieckiego księcia - uzupełnił Podsworth, kręcąc głową. - Oni z reguły nie mają grosza przy duszy. W każdym razie, nie układa się im i podobno Catherine chce wrócić na stałe do domu.

- Okay, Doody umiera. Powiedz w skrócie, jak wygląda testament.

- Jest prosty. Kilka zapisów na cele charytatywne. Reszta na fundusz powierniczy. Curt zostaje mianowany powiernikiem. Reese ma zagwarantowaną pensję w wysokości dwudziestu tysięcy miesięcznie. Dochód wypłaca się Catherine, a po śmierci Reese'a przechodzi na nią również kapitał.

- Prztyczek w nos dla Chapmana, prawda?

Podsworth odchylił się na krześle i przesunął dłonią po wydatnym brzuchu.

- Chyba nie ująłbym tego w ten sposób. Ale faktycznie, Chapman dostaje o wiele mniej, niż wyniósłby jego udział z racji powinowactwa.

- Możesz mi to wytłumaczyć?

- Pozostały przy życiu małżonek ma prawo wyboru. Może zgodzić się z postanowieniem testamentu lub wystąpić o jego obalenie i przyznanie jednej trzeciej majątku.

- I Chapman nadal może to zrobić?

- Już nie. Wniosek musi wpłynąć w ciągu sześciu miesięcy od daty poświadczenia autentyczności testamentu.

- Dlaczego tego nie zrobił?

- Może jest zadowolony z decyzji żony? W końcu te pieniądze przejdą na jego córkę.

- Ale Doody mogła mianować Chapmana powiernikiem. Wybrała swojego brata.

- Jej brat przez dwanaście lat kierował firmą z listy Fortune 500*. Reese Chapman nie przepracował ani jednego dnia w całym życiu.

Dan się roześmiał.

- I mimo to nie jest żigolakiem?

Podsworth zignorował uwagę.

- Mógł też zawiesić swoje prawo wyboru. Może zostać zawieszone - przed zawarciem małżeństwa, po zawarciu małżeństwa, przed śmiercią, po śmierci.

Dan zwrócił się do Tuckera.

- Mason musi coś mieć na Chapmana.

- Czy musisz wszędzie dopatrywać się brudów? - zaprotestował Podsworth. - To są uczciwi ludzie.

- Uczciwi ludzie, którzy procesują się z tobą o piętnaście milionów dolarów.

Podsworth wstał, kręcąc z oburzeniem głową.

- Zapewniam cię, że o niczym nie wiem.

- Cóż... - Dan również się podniósł, gotowy do wyjścia. - Zatrudniłeś mnie po to, żebym się dowiedział.

- Ma pan wiadomość od pana Feldmana - powiedziała Betty, kiedy Dan wrócił do biura.

Jim Feldman przedkładał wiejskie dróżki komunikacji nad elektroniczne przekazy infostrady. Na fotelu Dana, w miejscu, gdzie nie mógł jej przeoczyć, leżała kartka z wiadomością: „Kolacja u Mortona dzisiaj o ósmej, w sprawie kampanii Tramco. Ty, ja, Ray, Joe i Elliott”. Feldman podpisał się inicjałami.

Dan miał własne plany na wieczór i sięgnął po słuchawkę, żeby powiedzieć o tym Feldmanowi, ale zreflektował się, zanim skończył wykręcać numer. Wczorajsze zebranie kierownictwa przyniosło mu dodatkowo około pięćdziesięciu tysięcy rocznie netto, zależnie od poziomu dochodów z Tramco. Wprawdzie wyciągał już z firmy więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek uważał za możliwe, ale teraz jego wydatki wzrosły. Doszła edukacja Tony'ego: trzy

„Corocznie publikowana przez tygodnik „Fortune” lista pięciuset największych przedsiębiorstw w USA (przyp. red.). lata szkoły, a potem studia. Chciał też kupić dom dla matki i siostry, gdzieś na nabrzeżu, gdzie Teresa mogłaby się odprężyć, poznać kogoś odpowiedniego. Premia za Tramco będzie jak znalazł.

Wystukując inny numer, pomyślał, że z biurowych romansów wynikają właśnie takie kłopoty, jakich starannie unikał.

- Jennifer Lodge - odebrała oficjalnym tonem.

- Cześć.

- Cześć. - Jej głos się zmienił, stał się miękki, słodki i zmysłowy.

- Posłuchaj, dzwonię w sprawie dzisiejszego wieczoru, dostałem polecenie służbowe udania się na kolację z Feldmanem. Możemy przełożyć naszą randkę?

- O! - Tym razem w jej głosie zabrzmiało rozczarowanie. - Jasne.

- Jutro wieczorem?

- Mam balet.

Tym razem nie zaproponowała, że się urwie z zajęć i Dan to zauważył.

- Późna kolacja po zajęciach?

- Okay.

- Wspaniale. Do zobaczenia - powiedział i wcisnął intercom. - Betty, zadzwoń do Feldmana i potwierdź spotkanie.

14

Noc spadła na miasto i czarne lustra okien okrągłego budynku, w którym rezydował Foster Bell, odbijały ostre neonowe światła i postaci młodych prawników. Większość z nich snuła się po korytarzach lub plotkowała przy automacie z zimnymi napojami, nabijając godziny nadliczbowe. Jenny tkwiła nad

papierami rozłożonymi na biurku, a tuż obok połyskiwał ekran włączonego komputera.

W wolnych chwilach, kiedy nie miała innej sprawy, pisała artykuł do czasopisma prawniczego. Tematem było molestowanie seksualne w miejscu pracy, w oparciu o sprawę pro bono, którą prowadziła podczas warsztatów studenckich. Klasyczny przypadek, ale trudny do udowodnienia, ponieważ pracodawca świetnie zatarł za sobą ślady: po każdej odmowie odbycia stosunku seksualnego w aktach pracownicy pojawiała się nagana. Kiedy w końcu pracownica złożyła na niego skargę, miała tak zababraną kartotekę, że nikt nie brał jej poważnie. Jenny wygrała tylko dlatego, że udało się jej odnaleźć kobietę, która pracowała w firmie przed jej klientką i padła ofiarą tego samego zwierzchnika.

- Hej! - odezwał się głos od drzwi. Jenny podniosła głowę i zobaczyła Ricka Mancilla, swego kolegę i firmową świnię. - Chcesz coś chińskiego czy masz gorącą randkę?

Jenny popatrzyła mu prosto w oczy.

- Krewetki lo mein.

- O, pani do nas dołączy - powiedział i zniknął.

Pół godziny później zadzwonił, żeby przysłała do sali konferencyjnej w końcu korytarza. Ucieszyła się, kiedy zastała tam również Sharon Fiste i Brada Martina, raczących się chińskimi potrawami z pudełek na stole z drzewa tekowego.

- Ktoś słyszał jakąś dobrą plotkę? - zapytał Rick, nie przerywając jedzenia.

Sharon i Brad wymienili szybkie spojrzenia i pokręcili głowami.

- Założę się, że ty tak - zwrócił się do Jenny z lubieżnym uśmiechem. - Tyle czasu z Casellą! Ten facet to chodzący brukowiec.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Jenny popatrzyła na Sharon i Brada i znów wydało się jej, że dostrzega między nimi cień porozumienia. - O co chodzi?

- No wiesz... - Sharon wzruszyła ramionami. - On ma reputację.

- Jaką?

- Pieprzy i wyrzuca z roboty! - zachichotał Rick.

- Daj spokój...

Brad pochylił się nad stołem.

- A jego poprzednia asystentka? Jak ona się nazywała?

- Ta, która prowadziła sprawę defraudacji w banku? - zapytała Sharon.

- No! Była z niej...

- Właśnie! A potem jej koleżanka...

- Ludzie, ludzie! - wtrącił Rick. - Mam to wszystko czarno na białym, nie musicie się wysilać.

Poruszył znacząco brwiami i czekał na pytania Jenny. Ale ona wzięła swój kartonik i wstała od stołu.

- Muszę już wracać do pracy.

Głos Ricka biegł za nią pustym korytarzem.

- Przeleciał cztery asystentki i wylał je, kiedy miał dość. Wszystkie cztery są teraz w Lassiter & Conway. Mam ich nazwiska!

Jenny wrzuciła kartonik do kubła na śmieci i wróciła do komputera. Uruchomił się zapis i na ekranie tropikalna rybka płynęła przez niebieską wodę. Jenny patrzyła na to bezmyślnie.

Podczas weekendu obiecała sobie, że zamiast się martwić dziwnym zachowaniem Dana, będzie się cieszyć romansem, póki trwa. Złamała przyrzeczenie już we wtorek. Wyjechał w niedzielę rano, kiedy tylko pługi przetarły drogi, chociaż nic nie wzywało go do domu i mogli spędzić resztę dnia razem. Wyprosił poniedziałkowy wieczór, a teraz odwołał wtorek. Nic z tego nie rozumiała.

Uderzyła w klawiaturę i uruchomiła drukarkę. Przeczytała ostatnie akapity artykułu. Wszystko, co dotąd napisała, miało pokazać obraz mężczyzny molestującego kobietę w miejscu pracy.

„Wylał je kiedy miał dość”, powiedział Rick.

To nie była prawda; nie zamierzała się tym przejmować. Rick Mancill był świnią, zazdrościł każdemu, kto miał trochę więcej talentu i urody, czyli mniej więcej połowie ludzkości.

Jenny wyłączyła komputer i zapinała płaszcz, kiedy od drzwi odezwał się inny głos.

- Odwieźć cię do domu?

Miała wrażenie, że serce jej pęknie, wezbrane radością. Przeszła przez pokój i znalazła się w ramionach Dana.

- Czy to oznacza zgodę? - wyszeptał, kiedy oderwali od siebie usta.

- Mhm.

Wziął od niej aktówkę i poszli do windy.

- Dużo dzisiaj zrobiłaś?

- Nic - roześmiała się. - Brak koncentracji. A ty?

- Musisz się skupić, Jennifer - powiedział. - Nie możesz pozwolić, żeby emocje cię dekoncentrowały.

Pouczał ją, ale nie czuła się urażona, robił to często.

- Zgaduję, że kolacja była sukcesem - zauważyła, ciągle się uśmiechając.

- Za wcześnie, by o tym mówić. Jeszcze nic nie wiadomo.

Jaguar stał w garażu na swoim zwykłym miejscu. Dan uruchomił silnik, odwrócił się i otoczył Jennifer ramionami.

- Musi się trochę rozgrzać - wyszeptał z wargami na jej ustach.

- Samochód czyja? - zapytała bez tchu.

- Wrócimy do tej kwestii.

Boczne ulice były ciągle zasypane śniegiem. Dan manewrował ostrożnie między zaspami, aż wyjechali na czarną wstęgę autostrady. Wrzucił bieg i położył wolną rękę na udzie Jennifer.

- Czy twój narzeczony był jedyny przede mną? - zapytał nagle.

Oczy Jenny zrobiły się ogromne.

- Byłam aż tak nieudolna?

- Jennifer! Nie! - Roześmiał się i zacisnął palce na jej udzie. - Ale znasz pierwszą zasadę krzyżowego ognia. Zadaj właściwe pytanie, a może otrzymasz odpowiedź, na jakiej ci zależy.

- Bierzesz mnie w krzyżowy ogień?

- Krzyżowy ogień jest to sztuka zadawania pytań w ten sposób, by wygrać.

- Ominąłeś część definicji. Jest to sztuka zadawania pytań świadkom strony przeciwnej.

- A ty jesteś po mojej stronie? - zapytał Dan. - Mam taką nadzieję.

- Oczywiście, że jestem po twojej stronie. - Nakryła dłonią jego rękę i ich palce się splotły. - Ale powiedz mi, dlaczego właśnie taką odpowiedź chciałeś usłyszeć?

Uśmiechnął się głupio.

- Zdemaskowałam mnie. Jestem staroświecki. Mam nadzieję, że to cię zbytnio nie razi.

- Uważam, że to urocze. Trochę seksistowskie, ale urocze.

- Ale jak to się stało? Taka piękna dziewczyna - dlaczego nie było tuzina facetów przede mną?

- W młodości, przez lata kochałam chłopca, który o tym nie wiedział. Nie chciałam się umówić z nikim innym.

- Musiał być głupcem, że tego nie zauważył.

- Nie większym od ciebie - zażartowała. - Trzeba było sześciu miesięcy, żebyś zauważył.

- Masz rację - powiedział z nagłą powagą. - Jestem głupcem.

Pobiegła wzrokiem do jego twarzy, zdziwiona zmianą w głosie. Rzucił jej spojrzenie i odchrząknął.

- Jennifer, tamtej nocy... nie zaplanowałem sobie tego. Nawet nie przypuszczałem, że to możliwe. Gdybym to przewidział, prawdopodobnie starałbym się odwrócić bieg zdarzeń. Chcę powiedzieć, że to się przytrafiło w fatalnym dla mnie momencie.

- Nie rozumiem...

- Moje życie jest w tej chwili dość skomplikowane.

Jenny zacisnęła dłoń na brzegu fotela.

- Jest ktoś inny? - wykrztusiła.

- Nie. - Gdzieś z przodu błysnęły światła stopu. Dan rzucił okiem we wsteczne lusterko i uwolnił rękę, żeby zmienić bieg. - Chodzi o to, że mieszka teraz ze mną mój nastoletni brat.

Zalała ją fala ulgi.

- To fajnie! Ile ma lat? Mogę go poznać?

- Czternaście. Sytuacja wcale nie jest miła.

- O!

- Chodzi o to, że mój czas nie należy do mnie. Gdyby było inaczej, już bym się sprowadził do twojego mosiężnego łóżka.

Tylko to pragnęła usłyszeć. Nakryła dłonią jego rękę.

- Rozumiem - powiedziała. - Będziemy musieli zadowolić się czasem, który dla nas zostanie.

Popatrzył na nią z czułością.

- Hej, mój zjazd! - wykrzyknęła ze śmiechem. Spojrzał na drogę i skręcił ostro.

- Podwieziesz mnie do mojego samochodu? - zapytała. - Stoi na stacji Radnor.

- Jasne.

Jej wóz był jedyny na parkingu. Świeża czapa śniegu pokrywała dach i okna. Dan sięgnął po skrobaczkę.

- Oczyszczę go trochę, a ty włącz ogrzewanie.

Uruchomiła silnik, podczas gdy Dan odśnieżał wóz. Cienka warstwa lodu pokrywała szyby, włączyła więc odmrażanie. Dan wyciągnął ją z samochodu, wziął w ramiona.

Wsunęła ręce pod jego płaszcz i wtuliła się mocno.

- Czy teraz ja mam cię spytać o wszystkie kobiety w twoim życiu?

- Nie, teraz ja ciebie pocałuję.

Pochylił głowę i przycisnął wargi do jej ust. Stali w świetle latarni, z autostrady dobiegał szum aut, ale wiedziała, że są sami na parkingu. Dwa samochody ginące pośród oparów własnych spalin.

- Lód chyba już stopniał - powiedziała Jenny.

- Nawet się zagotował.

- Możesz pojechać dzisiaj ze mną do domu?

- Chciałbym.

- A więc wkrótce.

- Mam nadzieję. - Przesunął wargami po jej ustach. - Boże, mam nadzieję, że to będzie niedługo.

Całowali się, stojąc między dwoma prychającymi autami, aż zimny wiatr zwał resztki śniegu i oderwał ich od siebie.

15

W piątek rano niebo było czyste a słońce tak ostre, że Dan musiał założyć ciemne szkła. Odwoził Tony'ego do szkoły. Pięć dni w Alexander School i jak na razie - odpukać - zero kłopotów. Tony wstawał rano mniej więcej o czasie, dawał się odwozić do szkoły, wracał do mieszkania i dzwonił do Dana, tak jak to zostało ustalone. Dwa razy przyniósł nawet książki do domu.

Zatrzymał się na czerwonym świetle i oszacował brata wzrokiem. Nosił książki w wysłużonym plecaku, adidas do kostki i starą narciarską kurtkę Dana, i wyglądał jak każdy inny nastolatek wysiadający z samochodu przed szkołą.

Jedyna różnica polega na tym, że jest przystojniejszy, pomyślał i uświadomił sobie ze zdumieniem, że odczuwa zadowolenie w związku z osobą brata.

- Umowa stoi, no nie? - zapytał Tony, kiedy światło się zmieniło.

- Jaka umowa? - zapytał Dan z roztargnieniem.

- Hej! - zaprotestował Tony. - Obiecałeś!

- A tak, w porządku. Przebrniesz przez lekcje bez kłopotów i możesz jechać na noc do mamy.

Tony opadł na fotel uszczęśliwiony, że nie musi walczyć o swoje. Nie miał pojęcia, jak bardzo Dan liczy na wolny wieczór. Dzisiaj przyprowadzi do domu Jennifer. Zmienił pościel, wybrał wino, kupił coś do jedzenia. Przez cały tydzień coś stawało im na przeszkodzie. Nie pozwoli, żeby Tony wszedł mu dzisiaj w paradę.

- Jedną chwilę - powiedział, kiedy Tony otworzył drzwi wozu. - Jeszcze raz omówmy zasady. Po szkole idziesz prosto do metra, a potem prosto do mamy. Masz żeton?

- Mam.

- Zadzwoń, kiedy dojedziesz na miejsce.

- Tak.

- Masz być w domu o dziesiątej. A to znaczy, że przebywasz w nim, bez przerwy, aż do... powiedzmy, siódmej rano. Rozumiemy się?

- Jezu, Dan, mówisz jak prawnik.

- Jeżeli wszystko omówimy, nie będzie nieporozumień. Żadnego alkoholu i prochów...

- Mówiłem, że nie biorę...

- Przyjadę po ciebie około południa.

- Okay. - Tony wyskoczył na chodnik.

- I jeszcze jedno! - zawołał i brat nachylił się z cierpienniczą miną do okna. - Baw się dobrze.

Dan obdarzył go uśmiechem i Tony nie wiedział, co z nim zrobić. Ruszył biegiem do szkoły.

- Panie Casella - wyszeptała recepcjonistka, kiedy wyszedł z windy. - Ten pan czeka.

W adwokackiej praktyce Dana nie było miejsca na nieumówionych klientów. Dzięki ostrzeżeniu recepcjonistki mógł uniknąć spotkania; ledwo dostrzegalny ruch jej głowy powiedział mu, o kogo chodzi.

Ciemny, przysadzisty mężczyzna, na oko mniej więcej w jego wieku. Siedział w recepcji, a obok leżał nietknięty egzemplarz „Wall Street Journal”. Po pięciu latach pracy w prokuraturze Dan rozpoznawał gliniarza na kilometr, nawet jeżeli ten gliniarz wbił się w niedzielny garnitur. Nie spodziewał się tylko tego, że gliniarz rozpozna go z równą łatwością. W chwili, gdy ich oczy się spotkały, mężczyzna wstał i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Panie Casella, jestem detektyw Michael di Maio. Witam pana. - Wyciągnął odznakę, trzymał ją otwartą przez trzy sekundy, po czym schował z powrotem do kieszeni. - Mógłby mi pan poświęcić kilka minut w związku ze sprawą, którą zgłosił pan w prokuraturze w zeszłym tygodniu?

Dan zerknął z irytacją na zegarek.

- Kilka minut - powiedział. - Proszę.

Ruszył w stronę swojego biura, kątem oka obserwując di Maio. Był niski i krępy, ale stapał lekko, jak bokser. Dan opróżnił skrzynkę z korespondencją i gestem zaprosił policjanta do gabinetu.

- Rozumiem, że chodzi o sprawę Sterlinga? - Wskazał detektywowi krzesło.

- Tak.

- Kto prowadzi śledztwo?

- Ja.

Odrzucił pocztę na bok.

- A mówiłem, żeby przydzielili do tej sprawy zastępcę prokuratora okręgowego! Di Maio wzruszył ramionami.

- Robię, co mi każą.

- To skomplikowana sprawa - Dan podniósł głos. - Bardziej, niż się z pozoru zdaje.

Di Maio odchylił się na krześle i uśmiechnął z nagłą troską.

- O co chodzi, panie Casella? Boi się pan, że jestem kolejnym tępym gliną?

Dan z pewnością by się roześmiał, gdyby stawka nie była tak wysoka.

- Proszę nie brać mi tego za złe, ale tę sprawę powinien poprowadzić prawnik.

- Prokuratura ma takie widzimisię, że prawnicy powinni zajmować się prawem, a detektywi śledztwem. Głupie, no nie? - Dan chciał coś powiedzieć, ale di Maio nie dał mu dojść do słowa. - Zajmuję się przestępstwami gospodarczymi od pięciu lat, jeżeli to pana pociesza. A jeżeli nie, to powiem, że najprostszą rzeczą byłoby kupić w całości historyjkę Sterlinga, przymknąć go za defraudację i kradzież, i odpajkować sprawę. Ale szybkie sprawy przestały mnie rajcować, panie Casella. Zgłosił pan Sterlinga, bo pan musiał, ale wołałby pan go oczyścić, zamiast obciążać. Może ja też. Kto wie? Mam otwarty umysł.

Dan był pod wrażeniem.

- Wychodzi na to, że szerzej niż ja. Przepraszam. Ale wielu policjantów uznałoby to za proste przywłaszczenie.

- To już teraz nie wygląda tak prosto. Słyszał pan o psie Masona?

- Myślałem, że to była przypadkowa strzelanina.

Di Maio wzruszył ramionami.

- Kto wie? Śnieg przysypał ślady, zanim ktoś zdecydował się obejrzeć. Ale to pobudziło moją ciekawość. Może to był przypadkowy strzał, a może jakiś snajper próbuje dać Masonowi coś do zrozumienia? A może ma to związek z ukradzioną forszą?

- Jak mogę pomóc?

- Podzielić się swoimi informacjami, to na początek.

- Proszę uprzejmie - powiedział Dan. - Wszystko, co nie podpada pod tajemnicę zawodową i nie jest produktem pracy adwokatury.

- Sprawozdanie rewidentów?

- Produkt.

- To nie jest dobry początek.

Dan wstał i podszedł do okna, gdzie w szybie odbijała się postać detektywa. Di Maio był mądry; wiedział, że jest obserwowany i jego twarz nie wyrażała nic poza lekkim rozbawieniem. Widział już wiele takich twarzy, znał je z dzieciństwa: ostre południowe rysy złagodzone cieniutką powłoką amerykańskiego wychowania. Takie twarze mieli jego towarzysze chłopięcych zabaw, przyjaciele i wrogowie. Pamiętał jeszcze, że lepiej, gdy mają przyjaciela.

Odwrócił się od okna.

- Może dobilibyśmy targu.

- Mam coś, czego pan nie ma?

- Możliwość zdobycia dowodów rzeczowych.

- Słucham.

- Jeżeli podpowiem, gdzie ich szukać, podzieli się pan nimi?

Di Maio rozważał propozycję przez pół sekundy.

- Jeżeli dostanę sprawozdanie rewidentów jako część umowy.

- Stoi!

- Więc słucham.

- Mason ma nagrania swoich rozmów ze Sterlingiem.

Di Maio gwizdnął cicho, przeciągle.

- Wystąpiłem o udostępnienie, ale upłynie dużo czasu, zanim przekażą mi taśmy.

- I to oczekiwanie pana zabija, co?

- Nie chcę zwiedzić więcej ślepych zaułków, niż jest to konieczne.

Di Maio otworzył notatnik.

- Myśli pan, że Perlman je ma?

- Prawdopodobnie, ale radziłbym wręczyć nakaz również Masonowi. Inaczej zabawią się z nami w kotka i myszkę. - Zabuczał intercom, ale Dan go zignorował.

- Przyniosę taśmy w przyszłym tygodniu.

- Sprawozdanie rewidentów będzie czekało.

Di Maio wstał, wymienili uścisk dłoni.

W drzwiach ukazała się Betty.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie Casella, ale dzwonią z Alexander School. Twierdzą, że to ważne.

Krew odpłynęła Danowi z twarzy. Pochylił się nad biurkiem i wcisnął guzik aparatu.

- Dan Casella - warknął do głośnika.

- Paul Stover z tej strony, dyrektor Alexander School. Niestety, miał miejsce wypadek i pański brat odniósł obrażenia. Został odwieziony do szpitala Jeffersona.

- Jaki wypadek? Jakie obrażenia?

- Miała miejsce bójka. Nie znamy szczegółów.

Zamknął oczy, czując narastający ból w skroniach.

- Dziękuję za telefon - powiedział i rozłączył się.

Kiedy otworzył oczy, Mike di Maio stał tuż obok.

- Mam samochód przed budynkiem.

Dan kręcił głową.

- Mam własny.

- Ale ja mogę parkować gdzie chcę. Jedźmy!

Dwadzieścia minut później Dan pchnął wahadłowe drzwi izby przyjęć, prawie nie zdając sobie sprawy z tego, że di Maio depcze mu po piętach. Podbiegł do stanowiska pielęgniarek.

- Jestem Dan Casella.

- Stacy! - zawołała kobieta kogoś w korytarzu. - Jest ojciec chłopca.

Nie wyprowadził jej z błędu. Poszedł za pielęgniarką, minął jeszcze jedno wahadłowe drzwi, jakiś pokój, aż znalazł się za zasłoną, gdzie na wózku leżał Tony.

Żadnej krwi, żadnych złamań. Ulga Dana z miejsca przerodziła się w furję.

- Do ciężkiej cholery! - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Wystarczyło ci pięć dni, żeby spieprzyć sprawę? Musiałeś wdać się w bójkę, po prostu dla zabawy?

- To nie była moja wina! - krzyknął Tony. Głos mu drżał i dopiero wtedy Dan zauważył bladość chłopca. - Zwyczajnie stałem, podszedł jakiś gość i zaczął mnie bić. Nic nie zrobiłem!

Dan chwycił dłonie brata i przyjrzał się kłykciom. Nie były rozbite, odrapane, nie były nawet zaczerwienione. Skrzywił się. Tony patrzył na niego butnie, oskarżycielsko.

Mężczyzna w zielonym fartuchu stanął obok nich.

- Jestem doktor Goldstein. Pan jest bratem?

- Tak.

- Tony otrzymał kilka mocnych ciosów. Musimy zawieźć go na prześwietlenie i zobaczyć, jak to wygląda.

- Tak, oczywiście.

- Stacy, spis historię, zanim wrócimy.

- Panie Casella, poproszę tutaj - przywołała go pielęgniarka.

Mike di Maio położył mu rękę na ramieniu.

- Zaraz wrócę. Niech się pan tak nie przejmuje.

Tony nie był wpisany do jego książeczki ubezpieczeniowej i Dan nie wiedział, na co brat ma alergię i jakie choroby przebył w dzieciństwie. Fakt, że był tylko opiekunem dziecka, nie usprawiedliwiał tej niewiedzy.

- Kto może wiedzieć? - zapytała pielęgniarka z irytacją. Jego matka, ale Dan nie zamierzał do niej dzwonić. Stało na tym, że zapłaci gotówką, a historię chorób uzupełni się później.

Dopiero po godzinie kartkowania kolejnych numerów „People” przypomniał sobie o Jennifer. Młoda Murzynka okupowała jedyny aparat telefoniczny. Dan stał obok niej, podzwaniając kluczami w kieszeni. Raz się odwróciła. Uniosła brwi i przeszła do kolejnej fazy konwersacji.

Jennifer była u siebie i odebrała po pierwszym sygnale, co oznaczało, że czeka na jego telefon.

- Jennifer, tak mi przykro - powiedział bez wstępów.

- Co tym razem? - Już wiedziała.

- Coś mi wypadło. Nie mogę przyjść. Przepraszam.

- Co się stało?

Co miał powiedzieć? W jej Jennifer ludzie nie tłukli się na ulicy i nie mieli braci chuliganów, a jeżeli mieli, opiekowali się nimi o wiele lepiej niż on.

- Kłopoty rodzinne - powiedział w końcu.

- Twój brat?

- Tak. Słuchaj, mogę zadzwonić jutro?

- Będę w domu.

Kiedy odłożył słuchawkę, podszedł do niego Mike di Maio.

- Tony mówi prawdę - powiedział. - Został napadnięty.

Dan odwrócił się, zdumiony.

- Skąd pan wie?

- Pojechałem do Alexandra, popytałem. To się stało na oczach całej szkoły. Chłopak stoi spokojnie na dziedzińcu, podchodzi do niego gość, biały, dorosły. Krótka wymiana zdań, facet wymierza chłopcu trzy, cztery ciosy w żołądek, dzieciak upada, facet ucieka.

- Jezu! - jęknął Dan. Chłopak przetrwał zdrowo czternaście lat na ulicy i trzeba było tygodnia w ekskluzywnej prywatnej szkole, żeby oberwał.

Zjawił się lekarz.

- Ma dwa złamane żebra - powiedział. - Organy wewnętrzne raczej w porządku, nie ma śladu płynu w płucach, ale może wystąpić krwawienie wewnętrzne. Musi pan go obserwować, czy nie ma zawrotów głowy albo dreszczy.

- Złamane żebra - powtórzył Dan.

- Obandażowaliśmy go. Przez parę dni może odczuwać bóle. Damy panu jakiś środek przeciwbólowy i można zabrać go do domu. Jest pan samochodem?

- Tak - odpowiedział za niego Mike.

- Dziękuję - mruknął Dan. Słońce zachodziło i Mike stał przy oknie w salonie, patrząc jak niebo na południowym zachodzie różowieje, a potem nabiera barwy pomarańczy. - Sam bym go tu chyba nie doniósł.

- Cieszę się, że mogłem pomóc.

- Jest pan po służbie?

- Tak - odparł Mike. - I napiję się tego samego, co pan.

Dan wyciągnął z lodówki dwa piwa i rzucił mu jedną puszkę.

- Szkolne bójki nie wchodzą w zakres obowiązków detektywa od przestępstw gospodarczych.

Mike wzruszył ramionami.

- Wie pan jak to jest. Oberwie ktoś, kogo się zna, człowiek chce wiedzieć dlaczego.

- Ale pan nie zna Tony'ego.

Mike pociągnął łyk z puszki.

- Okazuje się, że znam.

Dan zamarł z ręką zawieszoną w powietrzu.

-Co?!

- Nic poważnego. Kilka miesięcy temu natknąłem się na grupę chłopaków. Trochę rozrabiali. Złapałem jednego - pańskiego brata. Odprowadziłem go do domu. Poznałem pana siostrę - Teresę, zdaje się. Koniec historii.

- Co robili?

- Dziecinne wybryki. Mówiłem, nic poważnego. Od jak dawna mieszka z panem?

Dan odetchnął głęboko.

- Od dziewięciu dni. - Zaśmiał się krótko. - Dziewięć dni i jeden kryzys po drugim. - Usiadł i położył nogi na szklanym stoliku do kawy. - Ale o tę dzisiejszą historię chyba nie mogę go obwiniać. Nie odpowiada za to, że ktoś postanowił mu przyłać.

Mike popatrzył na niego przeciągle.

- Jest tylko jeden mały problem - powiedział. - Te dzieciaki w szkole. Przysięgają, że pański brat znał tego gościa.

Dan gwałtownie odstawił puszkę i wstał. W paru krokach przemierzył korytarz i szarpnięciem otworzył drzwi sypialni. Tony, wyrwany z drzemki, popatrzył na Dana, a potem przeniósł podejrzliwy wzrok na Mike'a.

- Tony, kim był facet, który cię pobił? - zapytał.

Chłopiec zrobił wielkie oczy.

- Skąd mam wiedzieć?

- Świadkowie twierdzą, że go znałeś.

- Kłóciłeś się z nim - dodał detektyw.

- Pewnie! - Tony poruszył się pod kołdrą i skrzywił z bólu. - Chciał, żebym mu dał pieniądze, a ja powiedziałem „nie”.

- Powiedz prawdę!

- No dobrze, powiedziałem, żeby się odpierdolił. Może dlatego mnie znokautował. Słownictwo mu sienie spodobało.

Mike poruszył się za plecami Dana i Tony patrzył, jak policjant podnosi jego ubranie z krzesła pod oknem.

- Zauważyłem portfel w tylnej kieszeni spodni. - Wyjął go i rzucił Da-nowi.

W środku znajdowała się szkolna legitymacja Tony'ego i siedemnaście dolarów. Dan rzucił portfel na piersi brata.

- Co jest grane?

- O co chodzi? - poskarżył się Tony. - Dostaję łomot, a ty przyprowadzasz jakiegoś gline, żeby mnie przesłuchiwał? To ja oberwałem, no nie?

- Dlaczego nie zabrał ci pieniędzy, skoro o nie mu chodziło?

- Miałem dwadzieścia dolarów luzem w kieszeni kurtki. Znalazł je i zabrał.

Dan i Mike wymienili długie spojrzenie. Mike skinął głową.

- To możliwe.

- Przepraszam - wymamrotał Dan. - Podać ci coś?

- Dajcie mi spać. - Tony zamknął oczy na znak, żeby sobie wreszcie poszli.

- Moja wina - powiedział Mike w korytarzu. - Zawsze mam jakieś pytania, ale nie zawsze właściwe.

- Nic się nie stało. I tak byśmy się starli, jak nie o to, to o coś innego.

Mike znalazł swój płaszcz.

- Tak czy inaczej, postępuje pan słusznie, trzymając go tutaj.

- Co pan może o tym wiedzieć? - powiedział Dan ze znużeniem.

- Wiem, że pana siostra jest uroczą kobietą i nie powinna mieć do czynienia z takimi brudami.

Spojrzenie Dana pobiegło do lewej dłoni policjanta.

- Jestem samotny. - Di Maio roześmiał się.

- Lepiej sprawdzić - powiedział Dan. - Tylko tego brakuje, żeby koło Teresy zaczął się kręcić żonaty facet.

- Rozumiem. No nic, dzięki za piwo. Zgłoszę się w przyszłym tygodniu. Niech pan wymieni baterie w magnetofonie.

Dan wyciągnął rękę.

- Miło było pana poznać.

W sobotę rano Dan wszedł cicho do pokoju Tony'ego. Chłopiec spał, z głową w obramowaniu czarnych loków.

- Hej! - powiedział cicho. - Musisz to łyknać.

Wsunął dłoń pod głowę brata i uniósł ją lekko. Tony kiwał się sennie, ale otworzył usta, żeby przyjąć lekarstwo. Dan przytknął mu szklanę wody do warg.

- Przykro mi, że nie udał ci się wypad do domu. Może w przyszłym tygodniu.
- Nie ma sprawy - wymamrotał Tony.
- Chcesz śniadanie?
- Chcę spać.
- Muszę jechać po samochód. Mogę cię zostawić na jakiś czas?
- Chcę spać - powtórzył chłopiec, zasypiając.

Dan poszedł piechotą do centrum i wyprowadził samochód z garażu, ale zamiast na wschód, pojechał na zachód, w stronę autostrady.

Była dopiero ósma, kiedy zadzwonił do drzwi Jennifer. Zadzwonił raz, drugi. Po kilku minutach drzwi otworzyły się na oścież.

Święta naiwności! - pomyślał. Otwiera, nie patrząc komu.

Miała na sobie niebieski kąpielowy szlafrok, włosy potargane, oczy jeszcze zapuchnięte od snu. Zamrugła na widok Dana i jej twarz rozjaśniła się niczym letni poranek.

Wziął ją w ramiona. Mimo wszystko, pomyślał, wtulając twarz w jej szyję, musi znaleźć sposób, by stała się częścią jego życia.

Ale pierwszym krokiem będzie usunięcie jej z firmy.

16

W poniedziałek Jenny przyjechała do pracy wcześniej, usiadła w fotelu i rozejrzała się po pokoju o dwóch oknach. Przez ostatnie pół roku spędzała w nim większość życia, nic dziwnego, że zaczęła go traktować jak dom. Jej dyplomy wisiały na jednej ścianie, kopia ulubionego szkicu Degasa na drugiej. Krzesło miało właściwą wysokość w stosunku do biurka i siadała na nim z uczuciem, że jest ostatnim elementem układanki, dopasowanym idealnie do reszty obrazka.

Obróciła się w kręconym fotelu i zajrzała do tacki z korespondencją. Była nadal pusta. Chociaż Dan spędził u niej większość weekendu, nie rozmawiali o pracy. Nic z tego nie rozumiała. Odwołał piątkową randkę, ale zjawił się w sobotę rano, tak wcześnie, że jej łóżko było jeszcze ciepłe, kiedy na nie opadli. Wyszedł w południe, ale wrócił o szóstej i zabrał ją na kolację do gospody w pobliżu Chadds

Ford, tak daleko od miasta, że nie mieli prawa spotkać nikogo znajomego. Zjawił się nieoczekiwanie o świcie w niedzielę, a kiedy otworzyła mu drzwi, chwycił ją bez słowa za rękę i wciągnął na piętro, do łóżka. Wyszedł, zanim ich ciała obeschły z potu.

Jeszcze dziwniejsze było to, że po raz pierwszy od sześciu miesięcy Dan nie miał dla niej żadnych zleceń. Pragnęła wierzyć, że jest to z jego strony staroświecka galanteria, ale wtedy nie odsyłałby jej do Feldmana. A może taka jest cena za to, że z nim sypia? Nie była na to przygotowana. Kochała Dana mocno, od miesięcy, ale kochała również swoją pracę i nie wyobrażała sobie, że jedno będzie ceną za zdobycie drugiego.

Może nie rościć sobie pretensji do jego czasu, może nie mieć wpływu na to, kiedy przychodzi i wychodzi, ale była zdecydowana zachować kontrolę nad swoją pracą. W piątek wykończyła wszystko, co dało się wykończyć, dzisiaj mogła zgłosić się do Jima Feldmana albo spędzać czas, gapiąc się wpusty grafik. Chyba że... Pomyślała o nowym podejściu do kwestii *repondeat superior** w sprawie H & M. Czy to się Danowi podoba, czy nie, spędzi resztę dnia w bibliotece, szukając w archiwach sądowych poparcia dla swojej teorii.

Wyjęła z szuflady świeży notatnik, ale teczki z dokumentacją H & M nie było na regale, gdzie ją zostawiła. Wyszła na korytarz, żeby poszukać w katalogach i kiedy się pochyliła do dolnej szuflady, za jej plecami rozległ się przeciągły gwizd. Rzuciła wściekle spojrzenie przez ramię. Rick Mancill stał za nią, lubieżnie uśmiechnięty.

- To nie było śmieszne. - Wyprostowała się.
- Nie miało być. Słyszałaś o Kenie Stivelym?
- Nie. A co?
- Odchodzi. Zmywa się do Jackson Rieders. Umowa na wielką forszę.
- Naprawdę? - Jenny pomyślała o Sharon Fiscie, która pracowała niemal wyłącznie dla Kena. - Co będzie z Sharon?
- Idzie z nim. Transakcja łączona. Brad Martin też.
- Brad? Jakże on ma powiązania z Kenem?
- Żadne, ale sporo pracował dla Tramco, a Tramco jest biletem Kena.
- Szkoda. Ja też pracowałam dla Tramco.
- Uważaj! - powiedział Rick z kpiącym uśmiechem. - Ken może zażądać również ciebie.

Odwróciła się do niego plecami i podeszła do biurka sekretarki.

- Celeste, widziałas moje akta Harding & McMann? Jakoś nie mogę ich znaleźć.
 - Och, Betty zabrała je w zeszłym tygodniu.
- Jenny popatrzyła na nią pustym wzrokiem.
- Kto?
 - Sekretarka pana Caselli.

17

Dan stał przed studiem baletowym, przytupując z zimna i wypuszczając kłęby pary z ust. Koleżanki Jenny wychodziły parami lub w większych grupkach, a jej ciągle nie było. Powinien zadzwonić do biura, upewnić się, że będzie na zajęciach, ale unikał jak ognia wszelkich kontaktów w pracy. Jennifer stała się częścią jego życia prywatnego i musiał trzymać ją z dala od firmy. Dzisiaj wytłumaczy jej dlaczego.

- Przepraszam panią! - zawołał do młodej kobiety zbiegającej ze schodów. Przerzuciła torbę z baletkami przez ramię i podeszła do niego z uśmiechem.

- Czekam na Jennifer Lodge. Znają pani?

- Jasne. Została po zajęciach. Niech pan wejdzie. Ostatnie drzwi po prawej.

Spojrzał na zegarek. O dziesiątej musi być w domu, dać Tony'emu środek przeciwbólowy. Nie może stać dłużej na chodniku, czekając nie wiadomo na co. Wszedł na schody i pchnął ciężkie drewniane drzwi.

Hol tonął w ciemności, ale na końcu korytarza płonęło światelko. Stamtąd też dobiegały urywane dźwięki skrzypiec. Podeszedł do ostatnich drzwi i wsunął się do mrocznego westybulu.

Była sama na połyskującym parkiecie. Skrzypce wyśpiewywały jedną przeciągłą nutę i Jennifer zastygła w pozie równie lirycznej, jak muzyka. Lewa noga wysoko w górze, ciało schodzące prostą linią ku podłodze, palce omiatające podłogę pośród błyszczących włosów.

Muzyka zmieniła się nagle i Jennifer dostosowała do niej swoje ruchy. Dan cofnął się w cień i patrzył, jak mknie po parkiecie. Teatralne pozy i stylizowane emocje baletu nadawały jej wyniosłość, której nie miała. Przyjęła pozycję-ramiona ułożone w łuk nad głową, podbródek ku górze, głowa przechylona - i trwała w niej przez mgnienie, zanim muzyka uniosła ją dalej.

Wciągnął powietrze. Ta Jennifer, którą znał, była skromna i cicha, w niczym nie przypominała kobiety o wyzywających ruchach. Te aroganckie rysy nie należały do dziewczyny, w której się zakochał. Odgrywała jedynie rolę, jak aktorka na scenie, ale uderzyło go, że to może być jej drugie, ja”, w którym zakocha się w następnej kolejności. Patrząc na nią, dostał erekcji.

Muzyka umilkła. Jennifer zakończyła układ, potrząsnęła ramionami i sięgnęła po ręcznik leżący na stole obok magnetofonu. Odwróciła się, marszcząc brwi, kiedy Dan wyszedł z cienia.

- To było niesamowite - powiedział schrypniętym głosem.

Drgnęła, zaskoczona, rumieniec oblał jej policzki. To była jego dawna, nieśmiała Jennifer.

- Miałem nadzieję, że wypijemy drinka, zanim wsadzę cię do pociągu.

Może wcale nie była taka nieśmiała. Uniosła głowę i powiedziała stanowczo:

- Tak. Chcę z tobą porozmawiać o mojej pracy.

- Okay.

- Tylko się przebiorę.

Zniknęła za drzwiami damskiej przebieralni, a on stał wsłuchany w ciszę budynku, czując pulsowanie w lędźwiach. Minutę później poszedł za nią.

Przebiernia składała się z szeregu otwartych kabin. W jednej z nich stała Jennifer w kostiumie opuszczonym do pasa. Odwróciła się na odgłos kroków i jej piersi zakołysały się miękko.

Dan poczuł, jak coś go dławi w gardle. Widział te piersi już wcześniej, poświęcił im wiele uwagi, ale teraz wyglądały inaczej - ona wyglądała inaczej, niby jakaś zmysłowa, pierwotna istota, starożytna bogini seksu.

W trzech krokach był przy niej. Krzyknęła, kiedy chwycił ją w ramiona, więc znieruchomiał, oczekując reakcji. Przyłgnęła do niego całym ciałem, a wtedy zsunął z niej kostium i pociągnął dziewczynę na podłogę.

- Myślisz, że ktoś słyszał? - zapytał potem. Leżeli na czarno-białym linoleum, Jennifer całkiem naga, Dan ze spodniami wokół kostek.

Rzuciła mu uśmiech, jakiego nie znał, znaczący, pewny siebie.

- Przejmujesz się?

- Nie, jeżeli ty się nie przejmujesz.

Przeciągnęła się, z ramionami nad głową, ze ściągniętymi palcami u nóg.

- Muszę się ubrać.

Odepchnęła jego ręce, kiedy znów po nią sięgnął.

- Mój pociąg odchodzi za dwadzieścia minut.

- Chryste! - mruknął.

- Wiem, Dan, ale musimy gdzieś usiąść i porozmawiać. Muszę pracować.

Leżał na plecach i patrzył, jak się ubiera. Ależ z niego krety! Starannie przygotowana przemowa będzie musiała poczekać na lepszą okazję. Naprawdę chciał z nią porozmawiać, ale przeszkadzał im brak czasu i nadmiar pożądania. Uzmysłowił sobie, że jest większym idiotą, niż mu się wydawało. Po raz pierwszy od dziesięciu lat zapomniał o prezerwatywie. Zastanawiał się, czy powinien przeprosić, może zażartować ze swej nieokiełznanej namiętności, ale w końcu nic nie powiedział, zawstydzony jak jeszcze nigdy w życiu. Wstał i doprowadził ubranie do porządku.

- Dlaczego? - zapytał nagle.

- Co dlaczego?

- Musisz pracować?

- Z takiego samego powodu jak wszyscy. Żeby mieć dach nad głową i co do garnka włożyć.

- Daj spokój!

- Co, daj spokój?

- Amerykańskie, białe, protestanckie księżniczki zawsze mają gdzieś jakiś fundusz powierniczy. Jak Catherine Chapman.

- Księżniczki? - Roześmiała się. - Myślisz, że jestem białą, amerykańską, protestancką księżniczką?

- A nie jesteś?

- Mój ojciec był księgowym, matka pielęgniarką. Jako pierwsi w rodzinie pokończyli studia. Wierz mi, pochodzę z przeciętnego porządnego domu.

- Więc skąd te powiązania z rodziną Dundee?

- Nie istnieje żadne powiązanie poza tym, że wynajmuję od nich starą wozownię.

- Chodziłaś do Alexander School - przypomniał takim tonem, jakby przyłapał świadka na sprzecznych zeznaniach.

- Tylko do ogólniaka. I tylko dlatego, że moi rodzice ciężko pracowali i oszczędzali całymi latami. Wychowali mnie w tym samym duchu.

Przed tygodniem Dan uważał, że jej koneksje z rodziną Dundee określają jej osobowość. Zabawne, jak niewiele znaczyło odkrycie, że te koneksje nie istnieją.

- Więc nie jesteś dzieckiem funduszu powierniczego? - Chwycił ją w objęcia. - Muszę się zastanowić, czy wobec takiego obrotu sprawy nadal jesteś dla mnie atrakcyjna.

Udawiała, że się broni, potem zmieniła zdanie i przyciągnęła jego głowę do pocałunku.

Odprowadził ją pięć przecznic do stacji i zszedł na peron, żeby poczekać na pociąg razem z ostatnią partią pasażerów z biletami okrężnymi. To było niebezpieczne terytorium; mnóstwo pracowników Foster Bell mogło czekać na lokalny 9:15. Dan i Jennifer stali osobno, patrząc sobie w oczy.

Ale kiedy pociąg wjechał na stację, Dan wziął dziewczynę w ramiona i przywarł wargami do jej ust. Za parę dni ten romans stanie się wyłącznie ich sprawą.

18

Wujku Curcie! - rozległ się głos Scotta Sterlinga. - Super wiadomość! Masz długopis? IBM w górę trzy i trzy ósme. Bell Atlantic w górę dwa i ćwierć. Reebok w górę cztery. Microzen...

- O czym ty, u licha, mówisz? - przerwał Mason.

- Nowe emisje. Spółki technologiczne. Trzymaj się ich, wujku Curcie, i mnie, a daleko zajdziemy. W górę pięć i pół. Ostatnio jesteś jak król Midas. To czyste złoto!

- Słuchaj, czas upłynnić część tego pakietu. Zorientuj się, co najlepiej schodzi.

- Nie radziłbym - powiedział Sterling. - Akcje idą w górę i będą szły jeszcze przez jakiś czas. Będziesz okropnie żałował, jeżeli coś spieniężysz.

- Nie zbliża się czasem termin transakcji opcyjnych?

W głosie Sterlinga zabrzmiało wahanie.

- Chyba tak. Sprawdzę i oddzwonię. Jak żagle?

- Nie mogłoby być lepiej. Idealny wiatr. A propos, Dorrie przesyła pozdrowienia.

- Ja też ją pozdrawiam. Zadzwoń pod koniec dnia.

Sześciomiesięczny, skomplikowany związek Curtisa Masona i Scotta Sterlinga został zredukowany do dwuminutowych dialogów zebranych na jednej kasecie magnetofonowej. Dan zapomniał o notatkach i gapił się na magnetofon stojący na konferencyjnym stole.

Rozpoczął się nowy fragment nagrania:

- Scotty.

- Wujek Curt, jak...

- Co jest grane w tym durnym Connolly?! Dlaczego ich komputer nie może wypłuć wyciągu choć trochę przypominającego aktualny stan konta?

- Tam się dzieją straszne rzeczy - powiedział Sterling. - Rozmawiałem z dziesięcioma facetami, którzy mają ten sam problem. Mają wirusa w systemie i każdy rachunek opracowują ręcznie. Na dodatek nie chcą zatrudnić nikogo do pomocy. Ale uznają te błędy, wujku, wszystko jest w porządku.

- A jeżeli biuro podatkowe wezwie mnie na lustrację? Mam im pokazać te śmiecie? Zadzwońię zaraz do tych kretynów i...

- Nie, ja to zrobię, wujku. Jeżeli sam tego nie załatwię, wiesz co się stanie - nie potraktują mnie poważnie, kiedy wyniknie następny problem. Usiądę z Kearneyem, wszystko wyliczymy, choćbym miał sam stukać w klawiaturę.

Trzask sygnalizował zakończenie rozmowy. W chwilę potem zaczęła się następna:

- Scotty, mój chłopcze, jakieś dobre wieści?

- Cześć, wujku. Słuchaj, mam kogoś u siebie. Oddzwonię za dziesięć minut, dobrze? - Kolejny trzask. - Wujku, przepraszam, że kazałem ci czekać, ale nie chciałem mówić przy ludziach. Zarobiłeś trzydzieści pięć patoli na IBM!

- Wspaniale, chłopcze? Dobra robota!"

Trzask.

- Scotty, w sprawie funduszu powierniczego? Dzieje się coś?

- Kompletnie nic. To się prowadzi samo i tylko wypływa co miesiąc czek dla Reese'a Chapmana.

- Przyślij mi wyniki Macoal, jak tylko przyjdą. Niedługo zebranie udziałowców.

- Załatwione.

Kaseta się skończyła. Dan wyłączył magnetofon i sięgnął po notatki. Taśmy otwierały dziesiątki nowych opcji, które należało rozważyć. Odetchnął głęboko i włączył dyktafon.

- Betty, memo do... Do kogo? Już nie do Jennifer, chociaż będzie mu brakowało jej opinii. - Do akt. Ed O'Reilly prowadził parę lat temu sprawę, w której pojawiły się sfalszowane nagrania. Dowiedz się, kto był jego ekspertem. Niech to przesłucha. - Ale nie wiązał z tym większych nadziei, głos na taśmie z pewnością należał do Sterlinga.

- Pojawia się kwestia legalności nagrywania rozmów telefonicznych. Zależy, której jurysdykcji to podlega - federalnej czy stanowej. Pensylwania, Floryda, Maine, skądkolwiek dzwonił Mason. Trzeba to sprawdzić. Mason straciłby w oczach przysięgłych, gdyby się okazało, że złamał prawo.

- Kolejna kwestia: pytanie do przysięgłych. Jeżeli Mason tak bardzo ufał Sterlingowi, dlaczego potajemnie nagrywał ich rozmowy?

Dan odsunął się od stołu wraz z krzesłem i wstał. Czwartego punktu nie musiał dyktować: Scott Sterling był w stanie omotać każdego, Mason jadł mu z ręki.

W interkomie odezwał się głos Betty.

- Detektyw di Maio do pana.

- Zaraz idę.

Kiedy Dan wszedł do swojego gabinetu, di Maio kontemplował widok z okna.

- Lubi pan duże wysokości, co? - powiedział z uśmiechem.

- Ostatnio jakoś niespecjalnie. - Dan usiadł za biurkiem. - Dzięki za szybką dostawę kaset.

- Dzięki za wskazówkę. - Mike usiadł i rzucił mu chytre spojrzenie.

- I co? Dosłuchał się pan czegoś?

- Tak. Sterling nigdy nie odpowiada na pytania, kiedy Mason do niego dzwoni. Za każdym razem mówi, że oddzwoni.

- Ja też zwróciłem na to uwagę.

- Więc co robi Scotty między telefonami? - zastanowił się Dan. - Wertuje „Wall Street Journal” z kalkulatorem w ręku?

- Może robić wszystko. Może ma notatki w katalogach w holu i musi po nie pójść.

- Może. Ale w dniu, kiedy się przyznał do winy, znaleźliśmy akta „Mason, Doradztwo Inwestycyjne” w szufladzie jego biurka.

- Interesujące - powiedział Mike z naciskiem. - Wpadłem na coś jeszcze. Ma pan coś na wymianę?

- Weźmie pan weksel?

- Nie prowadzę tu operacji kredytowej. Ale zaproponuję coś innego. Wymienię informacje na kolację.

Brwi Dana powędrowały w górę.

- Chce pan zjeść ze mną kolację, Mike? Nie byłem nawet pewien, czy mnie pan lubi.

- Z panem i pańską siostrą Teresą. Pan też może przyjść z dziewczyną. I wybrać dzień.

Dan przestał się śmiać.

- Szybki jesteś, di Maio.

- Hej! - zaprotestował Mike, podrywając głowę. - Gdybym był szybki, nie czekałbym tak długo, żeby się z nią umówić. A już na pewno nie prosiłbym jej brata, żeby robił za przyzwoitkę.

Rozwagał propozycję, spięty i czujny. Może Teresa nie miałaby nic przeciwko kolacji na mieście, niezależnie od swojego nastawienia do Mike'a. I może wcale nie jest za wcześnie, by pokazać się z Jennifer publicznie, przedstawić ją siostrze.

- W porządku - powiedział. - Ale każdy płaci za siebie. A teraz, co dla mnie masz?

Mike rozsiadł się wygodnie, z uśmiechem satysfakcji na twarzy.

- Zacząłem szukać czarnych plam na reputacji wujka Curta. Nie - uniósł obie dłonie, widząc błysk podniecenia w oczach Dana. - Nie znalazłem kompletnie nic. Może jest sukinsynem, ale jest czysty.

- Więc co?

- Jego szwagier.

- Reese Chapman?

- Wygląda na to, że lubi chłopców.

- Żartujesz?

- Jakiś czas temu miał miejsce incydent - powiedział Mike. - Został zgrabnie zatuszowany.

Dan roześmiał się zjadliwie.

- Wiedziałem, że Mason coś na niego ma. To dlatego Chapman nie wystąpił o obalenie testamentu po śmierci Doody. I dlatego nie oskarży teraz Masona o nadużycie zaufania.

- Też tak sobie pomyślałem.

Dan wstał z fotela i zaczął spacerować po gabinecie, z rękoma wbitymi w kieszenie spodni.

- Chryste, co za ludzie! Czy to cię nie wkurza? - Mike potrząsnął głową na znak, że nie wie, co miałoby go wkurzać. - To jest arystokracja, tak? Powinni być o wiele lepsi od nas, motłochu, tak? A czym są? Tchórzami i szantażystami.

- Coś cię gryzie, chłopie?

- Daj spokój. - Dan obrócił się gwałtownie w jego stronę. - Czy to cię nie wkurza? Niby dlaczego są tacy wyjątkowi? Dlaczego mają być lepsi od nas?

- Od nas? - Detektyw tylko się roześmiał. - Coś ci powiem, Dan. Poza tym, że nazywałeś się Casella, masz o wiele więcej wspólnego z Curtisem Masonem niż ze mną. Dla mnie i ludzi mojego pokroju jesteś jednym z nich.

Zaprzeczył ruchem głowy, ale uwaga policjanta przewróciła jego światopogląd do góry nogami. Zawsze dążył do tego, żeby się wybić ponad swoje środowisko, od tego nie było odwołania, ale wzdragał się na myśl, że mógł przejść na drugą stronę świata. Zastanawiał się, kogo widzi Jennifer, patrząc na niego - di Maio czy Masona? Zniża się do niego, czy wspina się po nim? Miał nadzieję, że w ich związku nie ma nic hierarchicznego i jednocześnie zdawał sobie sprawę, że musi być, skoro on jest jej szefem. Jennifer musi odejść z firmy.

Dan pochylił się nad interkomem.

- Betty, masz papiery dla detektywa di Maio?

- Już idę.

- Sprawozdanie rewidentów - wyjaśnił, kiedy wkroczyła Betty z grubym segregatorem w objęciach. - Proszę pamiętać, że wstępne. Wszystko zostanie trzykrotnie sprawdzone, zanim ktoś to podpisze.

- Dzięki. - Mike wyjął segregator z ramion Betty. - Lubię ludzi, którzy szybko spłacają swoje długi. O! - dodał, wyciągając kopertę z kieszeni. - Mam coś jeszcze.

Dan otworzył ją i ze środka wysunęło się czarno-białe zdjęcie.

- Zniosłem wczoraj do Alexandra kilka fotek - powiedział detektyw. - Większość dzieciaków rozpoznała gościa jako napastnika Tony'ego.

Dan przyjrzał się twarzy na fotografii. Dwudziestoparoletni mężczyzna o przetłuszczonych włosach, rzadkiej brodzie i pustym wyrazie oczu przyprawił go o dreszcz.

- To jest facet, który pobił mojego brata?

- Pewnie nie, ale jeżeli możesz, pokaż to Tony'emu. Zobacz, jak zareaguje.

- Kto to jest?

- Drugorzędny rzezimieszek o nazwisku Joey Ricci. Może próbuje dostać się do pierwszej ligi?

- Odbierając uczniom kieszonkowe?

- Nie słyszałeś? - Mike stęknął, zarzucając sobie karton na ramię. - Mamy recesję.

Kiedy tego wieczoru wrócił do domu, rap grzmiał ze wszystkich głośników wartego pięć tysięcy systemu stereo. Omijając części garderoby i opakowania po chipsach, przedostał się do regału, na którym stał odtwarzacz i nacisnął wyłącznik.

- Cześć - powiedział Tony i Dan zobaczył go leżącego na plecach, z nogami na oparciu fotela i ostatnim numerem „Playboya” na piersiach.

- Wygląda na to, że lepiej się czujesz.

- Żartujesz? Przez cały dzień tkwię w tej pozycji. Nie mogę się ruszyć. - Pokazał zęby w uśmiechu. - Czekam tylko, żebyś wrócił do domu i mnie uratował.

Dan postawił go na nogi. Tym razem zauważył tylko leciutki grymas na twarzy brata.

- Czujesz się na siłach, żeby iść jutro do szkoły? - zapytał, zbierając z podłogi śmieci.

Tony obrzucił go taksującym spojrzeniem.

- A jakie są szanse, że wycisnę z tej choroby jeszcze kilka dni wolnego?

Udawał, że się zastanawia.

- Bliskie zera.

- W porządku. - Chłopak wzruszył ramionami. - Jutro wracam do szkoły.

Dan poszedł do kuchni, żeby wyrzucić śmieci.

- Hej, prawie bym zapomniał. Chodź tu na chwilę. - Tony wsunął głowę do kuchni i Dan wyciągnął z kieszeni policyjne zdjęcie. - Zerknij na to. Znasz gościa?

Twarz brata straciła wszelki wyraz.

- Kto to jest?

- Detektyw di Maio uważa, że to on cię pobił.

- Nieee. Gdyby tak wyglądał, to bym się przestraszył.

- Następnym razem lepiej się przestrasz - rzucił Dan. - Dwadzieścia dolarów nie jest warte dwóch złamanych żeber.

- Jasne. Następnym razem dam pięćdziesiąt.

Dan szykował się już, żeby wygłosić pogadankę o zasadach bezpieczeństwa, bezczelnym odgryzaniu się, a nawet porządkach domowych, ale Tony stał przed nim z głupawym uśmieszkiem i skończyło się na tym, że przytulił go do siebie, mocno, po męsku.

- Po prostu uważaj na siebie, dobrze?

Zaskoczenie na twarzy Tony’ego ustąpiło miejsca przyjemności.

- Okay.

Zadzwonił w czwartek rano.

- Jennifer, możesz przyjść na górę?

Zamknęła oczy i opadła na oparcie fotela. Dan nie odciął jej od sprawy, nie zamierzał przydzielić jej komuś innemu, nadal jej potrzebował.

- Zaraz będę.

Poszła do damskiej toalety i patrzyła na siebie w lustrze, czekając, aż serce się uspokoi. Tego dnia ubrała się w prostą garsonkę w kolorze grafitu i śnieżnobiałą bluzkę, skromnie i praktycznie, idealnie na taką okazję. Była czymś więcej niż współpracownicą. Ukończyła studia w czołówce swojego rocznika, miała prestiżową posadę w sądzie apelacyjnym, ubiegał się o nią, wytrwale i zdecydowanie, Foster Bell a także pół tuzina innych, wielkich firm. Była wartościowym nabytkiem dla firmy w ogóle, a dla Dana Caselli w szczególności.

Podbudowana, wsiadła do windy i wjechała na jego piętro.

- Wchodź śmiało, czekają na ciebie - powiedziała Betty.

Berty rzuciła jej zdziwione spojrzenie i pchnęła drzwi. Wstał zza biurka z uśmiechem. Zauważyła, że jest bez marynarki, ma okulary w rogowej oprawce i wygląd intelektualisty, który nie przytłumił zapierającej dech urody.

- A oto i ona - powiedział.

Oczy Jennifer pobiegły ku drugiemu mężczyźnie, który również podniósł się z miejsca. Miał srebrnoszare włosy, srebrnoszary garnitur i aparycję polityka. Miała wrażenie, że gdzieś go już widziała.

- Jennifer, to jest Stan Lassiter. Stan był moim szefem w prokuraturze. Stan, Jennifer Lodge.

- Miło mi. - Mężczyzna podszedł do niej z szerokim uśmiechem i wyciągniętą ręką.

- Mnie również.

- Proszę, siadajcie.

Dan był wylewny niby gospodarz galowego przyjęcia. Lassiter wrócił na swoje miejsce i uśmiechał się promiennie, jakby Jenny była jego ulubiona siostrzenicą i właśnie zrobiła maturę. Usiadła obok niego i zwróciła pytający wzrok na Dana.

- Stan prowadzi teraz własną firmę.

- Lassiter & Conway? - Te dwa słowa przeszły jej mózg. Jeżeli wierzyć Rickowi Mancillowi, Lassiter & Conway był cmentarzyskiem porzuconych kochanek Caselli.

- Jedna z najszybciej rozwijających się firm w mieście - powiedział Dan.

- Jesteśmy przede wszystkim firmą adwokacką - wtrącił Lassiter. - Reprezentujemy poważnych klientów w znaczących procesach. I mamy największe młode talenty.

Urwał, jakby czekał, aż Jennifer coś powie.

- Słyszałam wiele dobrego.

- Ja o pani również. - Lassiter założył nogę na nogę. - Dan pokazał mi pani CV. Magna cum laude z Mount Holyoke, artykuły w „Penn Law Review”, praca w sądzie apelacyjnym. Jako współpracownica sędziego Lodnera mogła się pani ubiegać o posadę w Sądzie Najwyższym.

Wszystko stało się jasne. Odbywała rozmowę kwalifikacyjną pod czujnym okiem Dana. Z trudem opanowała łzy. Nie wolno jej płakać, nie teraz, gdy Lassiter na nią patrzy. Lepiej już wpaść w złość.

- Zastanawiałam się nad tym - powiedziała. - Ale wolałam pracę tutaj. - Następne zdanie skierowała do Dana. - Dołączenie do Foster Bell & McNeil było celem, do którego dążyłam od lat.

Lassiter rzucił Danowi niepewne spojrzenie i odchrząknął.

- Jest to znakomita firma, bez wątpienia. Ale młody prawnik ma często większe możliwości rozwoju w młodszej firmie, takiej jak nasza.

Jenny trzymała dłonie splecione na kolanach. Nie spuszczała wzroku z Dana.

- Zawsze uważałam, że największą szansą rozwoju jest praca z bardziej doświadczonym prawnikiem - powiedziała. - Z człowiekiem odznaczającym się wielkim talentem. Z kimś, kogo młody prawnik może naprawdę szanować. I komu może ufać.

Spuścił oczy, odwrócił się od niej o ćwierć obrotu krzesła.

A masz!, pomyślała z satysfakcją. Wije się ze wstydu i dobrze mu tak.

- Właśnie takie układy wprowadzamy w naszej firmie - mówił tymczasem Lassiter.

- Macie podobno doskonały personel pomocniczy - powiedziała Jennifer, nabierając rozpędu.

- W rzeczy samej.

- Zwłaszcza asystentki. Słyszałam, że są najlepsze.

Dan poderwał się z miejsca.

- Stan, nie wiem jak ci dziękować, że wpadłeś - zwrócił się do Lassitera, obchodząc szybko biurko. - Pozwól, że odprowadzę cię do windy.

Lassiter rzucił mu pytające spojrzenie i wstał.

- Miło było panią poznać, panno... eee... Przepraszam?

Jennifer obdarzyła go uśmiechem.

- Tak trudno zapamiętać te wszystkie nazwiska, prawda? Powinien pan założyć kartotekę.

- Stan, nie będę cię zatrzymywał. - Dan ujął Lassitera za łokieć i wyprowadził z pokoju. W progu obejrzał się na Jennifer, która siedziała blada z wściekłości, i dokładnie zamknął za sobą drzwi.

- To moja wina - powiedział zażenowany, prowadząc Lassitera do windy. - Powinienem omówić to najpierw z nią. Mam nadzieję, że nie weźmiesz jej tego za złe.

- Jej nie - powiedział Lassiter. Drzwi windy otworzyły się, Lassiter wszedł do środka, odwrócił się i wycelował w niego palcem. - Ale dla ciebie mam pewną radę. Zrób porządek ze swoim życiem!

Drzwi się zamknęły i Dan gapił się na nie, wiedząc, że spartaczył sprawę. Jennifer była wściekła i to go zaskoczyło. Dziewczyna, która, jak sądził, nie potrafi ukryć swoich uczuć, odbyła tę rozmowę chłodna i opanowana do końca, a on zauważył, że robi mu wiwisekcję dopiero wtedy, gdy flaki miał już na wierzchu.

Idąc do gabinetu, próbował sformułować usprawiedliwienie, ale brzmiało jak mowa zamykająca przegraną sprawę - prośba o zignorowanie faktów i przyznanie punktów za szczerość. Kiedy wszedł, siedziała ciągle na miejscu dla klienta.

- Źle to załatwiłem. - Zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. - Przepraszam.

Zwróciła na niego niebieskie oczy o stalowych błyskach.

- A można załatwić taką sprawę dobrze?

- Powinienem ci powiedzieć, wiem o tym. Ale nie chciałem łudzić cię nadzieją, dopóki Stan nie wyrazi zgody.

- Łudzić nadzieją? - powtórzyła obcym, sarkastycznym głosem.

- Hej, mnóstwo osób ucieszyłoby się, że trafia do Lassiter & Conway.

Roześmiała się krótko.

- Jak twoje cztery współpracownice?

- Nasłuchiwałaś się plotek.

- Ty dostarczyłeś podstaw do tych plotek!

- Nieprawda! To znaczy, tak było tylko raz. Mieliśmy romans i zakończyliśmy go za obopólną zgodą. Nie chciała tu dłużej pracować, więc odesłałem ją do Stana. Tak jej się tam spodobało, że namówiła do przejścia trzy swoje przyjaciółki. Plotkarze dodali jeden do trzech i wyszło im, że spałem ze wszystkimi. Ale to się wydarzyło tylko raz.

- Pomyłka - powiedziała zimno. - To się wydarzyło dwa razy.

- Jennifer. - Dan przyklęknął obok jej krzesła. - Nie możemy pracować razem i sypiać ze sobą. To wykluczone. Jeżeli ci na nas zależy, musisz odejść z firmy.

Zerwała się z krzesła.

- Ja muszę odejść?

Wstał i chwycił jej rękę, ale wyrwała mu ją i cofnęła się poza zasięg jego ramion.

- Dlaczego ja? Dlaczego ty nie odejdiesz?

- Nie mogę - powiedział z irytacją. - Zainwestowałem w firmę siedem lat. Siedem lat wobec twoich sześciu miesięcy. Mam klientów. Jestem współnikiem, na litość boską!

- Ken Stively też jest współnikiem. Odchodzi.

- Jasne, z powodów zawodowych.

- O! - zawołała. Więc warto to zrobić dla kariery, ale nie dla miłości.

- Jennifer... - powiedział ostrzegawczo.

- Kariera przed miłością. Czy taki jest temat dzisiejszego wykładu? - zakpiła.

- Nigdy nie mówiłem o miłości - odciął się.

Jennifer cofnęła się, jakby uderzył w nią wiatr o potwornej sile. Dan zagryzł wargę, ale było już za późno - słowa padły.

Ktoś zapukał do drzwi i w szparze ukazała się zdenerwowana twarz Betty.

- Panie Casella? Pan Feldman mówi, że czekają na pana w konferencyjnej na czterdziestym pierwszym.

- Cholera! - Zapomniał o sesji roboczej w sprawie kampanii o Tram-co. - Powiedz mu, że zaraz tam będę. - Włożył marynarkę i zawiązał krawat. W drzwiach odwrócił się i ich oczy się spotkały. - Poczekaj tu na mnie!

Jenny poczekała, aż drzwi się za nim zamkną, potem złożyła ramiona na biurku, na nich głowę i zaczęła szlochać, głęboko, bezgłośnie.

Skończyło się, w niecałe dwa tygodnie po tym, jak się zaczęło. To, co dla niej było miłością życia, dla Dana było przelotnym romansem. Oczywiście, że jej nie kochał; nigdy tego nie powiedział. Była głupia, próbując wcisnąć mu te słowa w usta. Wiedziała, że nie może marzyć o miłości mężczyzny, przed którym rozstępowały się tłumy i okazało się, że miała rację. Bawiła go, ale już nią się znudził, miał kogoś innego. Chciał ją uprzątnąć z drogi, chciał tego tak bardzo, że pogodził się z utratą prawnika, żeby tylko pozbyć się kochanki. Już raz została porzucona. Bóg świadkiem, wiedziała jak to jest, tym razem jednak odczuła to w dwójnasób, ponieważ utraciła również pracę.

Pozwoliła sobie na rozpatrzenie alibi Dana. Twierdził, że chciał ją odesłać do Lassiter & Conway po to tylko, żeby mogli się nadal spotykać. Nawet jeżeli była to prawda, nie miał prawa traktować jej jak sprzęt, przedstawiać wedle swojego uznania. Motywy nie miały znaczenia.

Ale jego alibi nie może być prawdziwe, nie mówiąc o tym, że jest nie do przyjęcia, pomyślała z nowym nawrotem bólu. Poszlaki świadczyły przeciw niemu: cztery współpracownice, wszystkie odwołane randki i marne usprawiedliwienia, brat, o którym nigdy nie mówił, i którego nie pozwolił jej poznać. Musiał mieć inną kobietę, prawdopodobnie wiele innych kobiet. Te słowa, który mu się wymknęły, były prawdą. „Nigdy nie mówiłem o miłości”.

Po pewnym czasie Jenny wyprostowała się na krześle i otarła oczy. Nie było sensu myśleć o Danie i o tym, jakie błędy popełnił. On już zniknął z jej życia, cokolwiek zrobi, nie będzie to miało na nią wpływu. Ale ze sobą będzie musiała żyć jeszcze długie lata - musi się zastanowić, jakie sama popełniła błędy.

Została porzucona dwa razy w ciągu dwóch lat. Nie sposób zważyć wszystkiego na pecha. Wina leżała w niej. Była zbyt uległa, tak nastawiona na zadowalanie innych, że nikt nie odczuwał potrzeby zadowalania jej. Poza tym, pociągał ją pewien typ mężczyzn. Chociaż Greg był zaledwie cieniem Dana, opromieniało ich to samo światło i kazało Jenny uwierzyć, że są arbitralni i opanowani, podczas gdy oni buli tylko egoistyczni i skłonni do panowania nad innymi.

Nigdy więcej. Jeżeli jeszcze kiedyś pozwoli mężczyźnie zbliżyć się do siebie, to tylko dlatego, że będzie chciał ją zadowolić. Nigdy więcej nie ulegnie mężczyźnie, który musi być panem i władcą. Jakiś cichy, skromny, bezpieczny człowiek - tylko takiego weźmie pod uwagę.

Wstała i wygładziła spódnice, przechodząc do następnej kwestii: kariery, a raczej tego, co z niej zostało. Jej ambicje sięgały wysoko, kiedy rozpoczęła pracę

w Foster Bell & McNeil, nie dość wysoko jednak, by uchronić je przed unicestwieniem w chwili, gdy zakochała się w Danie Caselli. Teraz musi rozniecić płomień na nowo i tym razem dobrze pilnować ognia.

Jakie miała opcje? Przejść do Lassiter & Conway? Nigdy, choćby byli najlepszą firmą w mieście. Zostać w Foster Bell i poprosić o przeniesienie do innego działu? Jakies gnidy pokroju Ricka Mancilla zaczęłyby się zastanawiać dlaczego. Może i przetrwałyby burzę, ale nie przetrwałyby dnia, w którym znalazłaby się sam na sam w windzie z Danem Casellą.

Była jeszcze jedna ewentualność, bardzo ostatnio modna, leżąca w dodatku w granicach jej kompetencji. Mogła oskarżyć Casellę, a co za tym idzie, firmę, o molestowanie seksualne.

Pomysł przemówił do jej prawniczej duszy, ale ekscytacja trwała krótko. Fakty nie przemawiały za nią. Była chętnym uczestnikiem seksualnego związku - i to jak chętnym! Nieszczęśliwy romans nie kwalifikuje się jako molestowanie seksualne, zresztą nie została zwolniona z pracy, w każdym razie nie w sensie prawnym.

Ale chodziło nie tylko o to. Zbyt długo grała rolę ofiary, teraz zamierzała zostać zwycięzcą. Nagle zrozumiała, jak to zrobić.

Opuściła gabinet Dana, weszła schodami piętro wyżej, minęła korytarz i zatrzymała się przed narożnym gabinetem. Kenneth P. Stively, głosiła plakietka na drzwiach. Jenny otarła oczy, wyprostowała ramiona i uniosła rękę, żeby zapukać.

20

Dan wrócił do gabinetu po godzinie i odetchnął z ulgą, kiedy nie zastał w nim Jenny. Da jej jeden dzień, żeby ochłonęła, a z pewnością odzyska rozsądek.

W piątek rano zadzwonił do jej biura.

- Nie przyszła do pracy, panie Casella - zakomunikowała mu sekretarka. - Właściwie to nie dała znaku życia od wczoraj rano. Nie wiem, co robić. Czy mam zadzwonić do pana Feldmana?

- Nie - powiedział Dan prędko. - Boże, właśnie sobie przypomniałem! Zleciłem jej pewną sprawę. Wiem, gdzie ją znaleźć.

- Mam dla niej sporo wiadomości...

- Powiem jej, żeby zadzwoniła do biura.

Jennifer nie zadzwoniła i nie zjawiała się w biurze również w poniedziałek rano, a telefony w domu odbierała automatyczna sekretarka. Z początku Dan nie miał nic przeciwko temu: łatwiej było mu się kajać przed automatem niż rozeźloną kobietą. Ale w poniedziałek poczuł się zmęczony zabawą. Jeszcze raz wykręcił jej numer i tym razem, kiedy odebrał automat, wybuchnął.

- Do diabła, Jennifer, odbierz telefon! Musimy porozmawiać.

Odpowiedziała mu cisza.

- To już nie jest zabawne, Jennifer - ostrzegł. - Zadzwoń.

Odłożył słuchawkę, kiedy do jego gabinetu wszedł bez pukania Jim Feldman.

- Co ci o tym wiadomo?! - warknął i rzucił „Daily News” na środek biurka.

Gazeta była rozłożona na kolumnie plotkarskiej „Co słyhać w mieście”. Wielki nagłówek głosił: „Stively odchodzi z firmy Foster”.

- No więc? Przecież o tym wiedzieliśmy.

- Czytaj!

Dan odchylił się na krześle i przebiegł wzrokiem tekst. Podsumowywał najważniejsze procesy Kena i szacował rozmiary jego klienteli. Cytowano Feldmana, który odmówił komentarza.

- No więc?

- Do końca - powiedział Feldman, stukając palcem wskazującym w gazetę.

Stively zabiera ze sobą Tramco, Inc, z bazą w Hartford i budżetem prawniczym szacowanym na trzy miliony dolarów rocznie. Wraz z nim przeprowadzają się na drugi koniec miasta współpracownicy Foster Bell: Sharon Fista, Bradford Martin i Jennifer Lodge.

Dan wyprostował się i przeczytał notatkę ponownie, ale słowa nie zniknęły. Zdjął okulary i przejechał dłonią po oczach.

- Nic o tym nie wiem - powiedział cicho. - Zupełnie nic.

CZĘŚĆ DRUGA

ODKRYCIE

1

No już!

Leslie poprawiła po raz ostatni kołnierzyk przy żakiecie Jenny i odsunęła się, żeby ocenić efekt.

Z dużego lustra spoglądała na nią nieznana kobieta. Włosy, obcięte na pazia, muskały policzki. Kostium z miękkiej turkusowej welenki wyszedł spod igły Escada. Dzięki zniżkom i ratom, jakie załatwiła Leslie, Jenny była teraz posiadaczką tuzina takich garsonek i sukienek. Kolory były żywsze, spódnice krótsze, obcasy wyższe. Koniec z kostiumami szytymi przez męskich krawców. Od tej chwili ubiera się tak, jakby określenia „Kobieta” i „Sukces” nie wykluczały się wzajemnie.

Leslie patrzyła na nią, przygryzając dolną wargę.

- Coś nie tak? - Jenny wykręciła się przed lustrem, żeby obejrzeć się od tyłu.

- Nie. Tylko że... Mam takie wrażenie, że jesteś kimś obcym.

Spojrzała na swoje odbicie. Kobieta, która spoglądała z lustra była poważna, pewna siebie i może odrobinę pogardliwa.

- Bardzo dobrze - powiedziała.

Leslie przysiadła na kanapce w oknie wykuszowym i otuliła stopy koszulą nocną.

- W każdym razie wyglądasz bombowo, a to się liczy pierwszego dnia w pracy.

Musi się liczyć, pomyślała Jenny. Jej kariera odniosła niemal śmiertelne obrażenia w Foster Bell. Tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności uczepiła się Kena Stively'ego wyfruwającego do Jackson Rieders. Teraz musi zapewnić sobie dobry start i nie dać się zepchnąć z bieżni.

Z dworu dobiegł warkot potężnego silnika.

- A to co? - Leslie odwróciła się, żeby wyrzeć przez okno.

Jenny przechyliła się nad nią. Ciężarówka wspinała się z mozołem na wzgórze obok ich podwórka, ciągnąc za sobą białą-zieloną przyczepę.

- Zdaje się, że w końcu zaczną kopać.

- Co za szkoda! - westchnęła Leslie. Przeszły przez pokój i patrzyły z tylnego okna jak ciężarówka toczy się przez zagajnik, potem przez łąki, które kiedyś otaczały zamek. - To znaczy, że wkrótce zburzą i naszą wozownię.

Jenny rozejrzała się bez większego żalu. Kochała ten śmieszny stary dom, ale przeżył się tak samo, jak koński ogon i skromne garsonki. Należał do przeszłości, od której zamierzała się uwolnić.

Sięgnęła po torebkę i aktówkę.

- Muszę lecieć.

Leslie opadła na łóżko. Budzik wskazywał szóstą trzydzieści. Wzniosła oczy do nieba, ale język trzymała za zębami.

- Nie zapomnij baletek! - zawołała, kiedy Jenny wyszła na korytarz. - Dzisiaj zajęcia.

Jenny zawróciła.

- Zapomniałam ci powiedzieć...

- O czym?

- Wypisałam się.

- Co?! - Leslie wyprostowała się na łóżku.

- Nie mam na to czasu.

- Ale, Jenny... Kochasz taniec.

- Lubię też spać do późna. Nie można mieć wszystkiego.

Leslie zmrużyła oczy.

- Chodzi o coś więcej niż nową pracę w nowej firmie, prawda? Czy to ma coś wspólnego z Danem Casellą?

- Nikomu nie przyszłoby do głowy pytać o to ambitnego mężczyznę - odparowała Jenny. - Leslie, chcę osiągnąć sukces w Jackson Rieders. To wszystko.

Wsiadła do samochodu. Jechała dzisiaj aż do miasta, dzisiaj i we wszystkie następne dni. Nie będzie już uzależniona od rozkładu jazdy pociągów i litościwych kierowców. Nic nie odciągnie jej od pracy.

Arthur Lessin był prezesem oddziału skarg w Jackson Rieders i trzecim przystankiem w orientacyjnej turze Jenny po gabinetach szefów. Z uśmiechem podniósł się zza biurka. Twarz miał obwisłą, przygarbione plecy - dwadzieścia lat kierowania oddziałem odcisnęło na nim swoje piętno.

- W dzisiejszych czasach wszystko dzieje się na opak - poskarżył się. - Kiedyś wzywaliśmy młodego prawnika na rozmowę, a potem składaliśmy mu ofertę pracy. Teraz jest odwrotnie.

Jenny uświadomiła sobie, że jest trzecią pozycją w jego porannym grafiku, po Sharon Fiscie i Bradzie Martinie.

- Nie w moim przypadku - powiedziała. - Byłam na rozmowie podczas studiów. Wtedy złożyliście mi ofertę.

To podsyciło jego zainteresowanie, dało jakiś punkt odniesienia. Jennifer Lodge nie była jedynie częścią transakcji wiązanej, była kimś, kto stanowił wartość sam w sobie.

- A pani ją odrzuciła? - zapytał z udaną urazą. - Zna pani przysłowie: Na to, co dobre trzeba poczekać.

- Postaram się udowodnić, że to prawda.

- Bardzo dobrze. A oto, co dla pani mamy... Oczywiście, będzie pani pracowała z Kenem przy większych sprawach Tramco. Jednak w tej chwili nie dzieje się nic wielkiego, dlatego przydzielam panią do zespołu RTC.

- Oszustwa pożyczkowe i kredytowe?

- Właśnie. RTC jest syndykiem masy upadłościowej Collier Financial. Wytoczyliśmy proces byłym dyrektorom i urzędnikom, a także księgowym spoza firmy. Rozległa sprawa. Musieliśmy wynająć pomieszczenia w drugim końcu miasta, żeby pomieścić dokumentację.

- Ilu prawników liczy zespół?

- Pani będzie piętnasta.

Jenny wiedziała, co to znaczy i zupełnie upadła na duchu. Przez następne dwa lata będzie pracowała w magazynie z garstką młodych prawników, segregując dokumenty, zakładając akta, i będzie mogła liczyć na to, że od czasu do czasu monotonię tej pracy przerwie wizyta starszych prawników prowadzących sprawę.

- W porządku - powiedziała.

Nie spodziewał się entuzjazmu z jej strony i nie poczuł się rozczarowany, że go nie okazała.

- Jest jeszcze jedna rzecz, o którą chciałem prosić. Z góry przepraszam.

Jenny czekała, zastanawiając się co gorszego może ją jeszcze spotkać.

- Mamy klienta, firma produkująca oprogramowania, o nazwie Intellitech.

Kojarzyła nazwę.

- Czy to nie jest przedsiębiorstwo Gordona St. Jamesa?

Lessin skinął głową, krzywiąc się niemiłosiernie. Gordon St. James był filadelfijską świetnością. W latach sześćdziesiątych przewodził radykalnemu Penn: organizował marsze, strajki, napisał bestseller o tym, jak obalić

establishment. Piętnaście lat później założył własną firmę komputerową i wydał książkę o tym, jak wykorzystać establishment.

- Reprezentujemy Intellitech w procesie przeciwko byłemu pracownikowi, który zdezerterował do konkurencji.

- Złamał umowę restrykcyjną? - Z tego też St. James był znany. - Kazał pracownikom podpisywać umowy, które zabraniały im podjęcia pracy w branży przez dwa lata po opuszczeniu Intellitech. Niewiele osób decydowało się na wypowiedzenie.

- Sprawę prowadzi jeden z naszych specjalistów od prawa pracy, Bili Moran, i świetnie sobie radzi. Ale St. James ma przewrócone we łbie, przepraszam za wyrażenie. Uważa, że musi mieć prawniczkę, ponieważ pozwana jest kobietą. Zrobił przegląd wszystkich kobiet w biurze, ale żadna mu nie pasuje. Zadzwoił do mnie, kiedy zobaczył oświadczenie prasowe w sprawie Kena. Teraz chce porozmawiać z panią i Sharon.

- Dobrze.

- Oczywiście, nie oczekujemy, żeby któraś z was podjęła się prowadzenia sprawy tego kalibru - powiedział Lessin. - Na tym etapie nikt nie mógłby się tego podjąć - rozprawę wyznaczono na dziesiątego kwietnia. Ale klient nasz pan.

- Dobrze - powtórzyła Jenny.

- Sharon poszła do niego dzisiaj. Prosił, żeby pani stawiała się jutro, o drugiej. - Nabazgrolił coś w notatniku i wydarł kartkę. - Tu jest adres.

- Jak mam się przygotować?

Lessin potrząsnął głową.

- Proszę nie tracić więcej czasu, niż to konieczne.

Ranek poświęciła na zadomowienie się w nowym biurze. Jej sekretarka, pani w średnim wieku, miała na imię Marilyn i była również sekretarką jej partnera zajmującego sąsiedni, większy gabinet. Walter Boenning, adwokat starej daty, zgotował jej ciepłe przyjęcie, ale od pierwszego rzutu oka widać było, że nie należy do głównych graczy w Jackson Rieders.

Po południu wyruszyła na poszukiwanie Billa Morana. Siedział z nogami na biurku i dyktafonem przy ustach.

- Przepraszam! - Zapukała w otwarte drzwi.

Podniósł wzrok i przestał dyktować, ale nie zmienił pozycji.

- Jestem Jennifer Lodge. Pierwszy dzień w pracy.

- Świeże mięsko, co?

Jenny zdecydowała, że uzna to za marny żart.

- Jutro mam spotkanie z Gordonem St. Jamesem.

Odchylił się na krześle tak daleko, jakby czekał na czyszczenie zębów.

- No i?

- Chciałabym zerknąć w akta przed tym spotkaniem.

- Artie ci nie powiedział, że to konkurs piękności? - zapytał z irytacją. - Musisz tylko przejść się po dywanie.

Jenny wiedziała, że określenie „konkurs piękności” odnosi się do przesłuchań prawników przez klientów, ale w ustach Morana zabrzmiało obelżywie.

- Zamierzam mówić, nie chodzić - oznajmiła. - I chcę wiedzieć, o czym.

- Jest to typowa sprawa o złamanie umowy restrykcyjnej - burknął. - Trzydziesta w mojej karierze. Nikt mnie nie będzie kontrolował, zwłaszcza świeżo upieczona prawniczka. Znajdź sobie jakiś inny temat do rozmowy z Gordym.

O dziewiątej wieczorem biuro Billa Morana było ciemne, podobnie jak stanowisko jego sekretarki i archiwum na tyłach. Jenny wśliznęła się do pokoju, zamknęła drzwi i dopiero wtedy nacisnęła kontakt. Zaczęła od górnych szuflad szafki katalogowej i stwierdziła, że wszystkie nazwiska klientów zaczynają się na „A”. Przesunęła się bliżej środkowi szafek i znalazła literę H, I i J. No proszę: Intellitech Systems, Inc. versus Cynthia Lehmann. Wyciągnęła teczkę i przeniosła na stół.

Cynthia Lehmann miała trzydzieści lat, dyplom zrobiony w Wharton i stanowisko menedżera produktu w Intellitech. Specjalizowała się w analizowaniu operacji finansowych banków i dopasowywaniu systemów oprogramowań do ich potrzeb. Była tak ceniona w firmie, że poważnie rozważano jej kandydaturę na stanowisko wiceprezesa. Ostatecznie otrzymał je starszy mężczyzna i wkrótce potem Lehmann złożyła rezygnację. Wypłynęła kilka tygodni później jako menedżer produktu w Plex Systems, gdzie obsługiwała tych samych klientów co w Intellitech.

Jenny otworzyła akta personalne Cynthii Lehmann i jej fotografia wypadła na stół. Była piękną brunetką o łagodnych brązowych oczach i ciepłym uśmiechu. Napisane odręcznie wymówienie znajdowało się tam również. Jenny przeczytała je raz, żeby zapoznać się z treścią, i jeszcze raz, żeby zapoznać się z podtekstem.

O jedenastej odłożyła akta do szuflady. Wiedziała wszystko, co powinna wiedzieć.

2

Siedziba Intellitech mieściła się w kompleksie biurowców przy Route 202, gdzie ulokowała się większość nowych spółek zaawansowanej technologii. Czarny granitowy budynek bez okien górował nad sztucznym jeziorkiem. Jenny skierowano do szklanej windy, z której rozciągał się widok na tysiące stanowisk pracy.

Przeszła przez drzwi z napisem „dyrekcja” i nagle budynek bez okien stał się samymi oknami tworzącymi pryzmat. Podłogi były z białego marmuru, meble z białej skóry. Efekt oślepiający.

- Tędy, proszę - przywołała ją ruchem ręki recepcjonistka. Jenny zmrużyła oczy przed blaskiem i weszła do gabinetu St. Jamesa.

Znalazła się w zaciemnionym, ogromnym pokoju bez okien, oświetlonym jedynie przez lampkę na biurku i halogeny w gigantycznych akwariach pod ścianami. Po chwili, kiedy wzrok przystosował się do zmiany oświetlenia, ujrzała przed sobą postać mężczyzny.

- Jestem Gordon St. James. - W jego głosie brzmiało rozbawienie i w sumie Jenny je podzielała. Nie sądziła, że dyrektor wielkiej korporacji zabawia się w takie gierki ze swoimi gośćmi.

- Jennifer Lodge. Pozwoli pan, że wyrażę podziw dla aranżacji wnętrza?

- Interesuje się pani architekturą?

- Miałam raczej na myśli aranżację oświetleniową. Zdumiewające, co robicie ze źrenicami swoich gości w przeciągu jednej minuty. Sądzę, że z miejsca zyskuje pan przewagę.

Błysnął zębami w półcieniu.

- Przejrzała mnie pani.

- To niemożliwe w pokoju pozbawionym światła.

Wcisnął guzik w ścianie za jej plecami. Miękkie światło spłynęło z sufitu, tworząc jasne cętki na podłodze. Jenny przyjrzała się gospodarzowi.

Wyobrażała sobie, że twórca oprogramowania musi być pyzaty, rozczochrany i nosić kamizelki. St. James był drobny i uczesany w kucyk. Nosił europejski garnitur i starannie wypielegnowaną brodę.

- Jest pan kompletnie nieprzezroczysty - stwierdziła Jenny.

- Mam nadzieję, że tak zostanie. Proszę usiąść.

Zaprowadził ją do klubowych foteli naprzeciwko kanapy, obitych grubą skórą. Jenny zajęła fotel, on usadowił się na środku kanapy, założył nogę na nogę, rozkładając ramiona na oparciu.

- Chyba powinienem powiedzieć pani coś o sprawie.

- Przejrzałam akta.

- Ma pani doświadczenie w prowadzeniu takich spraw? O złamanie umów restrykcyjnych?

Jenny patrzyła jak prądkowana ryba-tygrys podpływa pod samą ściankę akwarium.

- Dziwne - powiedziała po chwili. - Myślałam, że chodzi o molestowanie seksualne.

St. James pozwolił sobie na uśmiezek.

- Skąd taki wniosek?

- Obrona Cynthii Lehmann opiera się na założeniu, że okoliczności zmusiły ją do opuszczenia Intellitech, że nie pozostawiono jej wyboru. Dość niejasne stanowisko. Czytając jej rezygnację - a także odpowiedź firmy-odniosłam wrażenie, że ona mówi tylko część prawdy, ponieważ pan zna resztę. Nic w jej aktach personalnych nie wskazuje, że została zmuszona do odejścia. Zastanawiam się, jaki powód poda w sądzie? Myślę, że to będzie seks. I pan też tak uważa, prawda, panie St. James? Dlatego zależy panu, by sprawę poprowadziła kobieta.

Uśmiechnął się enigmatycznie, wyjął papierosa z onyksowego pudełka, zapalił.

- Założmy, że tak. - Zaciągnął się głęboko. - Ma pani jakieś doświadczenie w takich sprawach?

- Tak. Od strony poszkodowanej.

- O! Proszę więc zmienić strony i powiedzieć, jak by się pani broniła.

- Muszę najpierw usłyszeć zarzuty.

Pochylił się i strząsnął popiół do marmurowej popielnicy.

- Założmy, że pani Lehmann oskarży mnie, że zmusiłem ją do nawiązania stosunków erotycznych. Uważała, że od tego zależy jej kariera, mieliśmy romans, skończył się, uznała, że nie może tu dłużej zostać. Co pani na to?

- Przedstawi świadków?

- Nie ma szans.

- Więc jest to oświadczenie gołosłowne?

- Całkowicie.

- Znam już jej stanowisko. Teraz chcę usłyszeć pańskie.

Zastanawiał się, paląc.

- A gdybym powiedział, że to w ogóle nie miało miejsca, że nigdy jej nie dotknąłem, że ma przywidzenia?

- Powiedziałabym, że nie miała przywidzeń, że celowo sfabrykowała tę historię, żeby pana skompromitować i uniknąć kary za złamanie umowy.

- Hm. A gdybym powiedział, że to jednak miało miejsce? - Spoglądał na nią chytrze, z nadzieją, że ją zapędził w kozi róg, albo jeszcze lepiej - zaszokował.

- Powiedziałabym - świetnie!

Zamrugął, zbity z tropu.

- Jaki jest pana stan cywilny? - zapytała.

- W separacji.

- Od kiedy? Przed, w trakcie, po?

- Nie wiem. Musiałbym sprawdzić u adwokata, czy Andrea była wtedy w domu. Jesteśmy w separacji przez większą część małżeństwa.

- Cynthia Lehmann wiedziała o tym?

- Oczywiście.

- Więc powiedziałabym, że Cynthia Lehmann jest utalentowaną i ambitną młodą kobietą, która dochrapała się stanowiska ciężką pracą. Miała na oku stanowisko wiceprezesa. Uważała, że jest idealną kandydatką, brakowało jej jedynie dziesięciu lat doświadczenia. Wiedziała, że pana małżeństwo się rozpada, żona odchodzi i wraca, że czuje się pan zagubiony i samotny. Romans z panem był jej przepustką na fotel prezesa. Jest atrakcyjną, ekscytującą młodą kobietą. Omotała pana, uwiodła, pan się zakochał. Ale na wiceprezesa wybrał pan kogoś, kto miał lepsze rekomendacje. Cynthia była wściekła. Ukradła panu klientów i przeszła do konkurencji, gdzie zamierza osiągnąć nie tylko sukces zawodowy, ile dokonać osobistej zemsty.

Gordon St. James patrzył na nią jeszcze długo po tym, jak ucichło echo jej głosu. Jenny uniosła głowę i wytrzymała spojrzenie, chociaż wbijała sobie przy tym paznokcie we wnętrza dłoni.

Zdusił papierosa, sięgnął po telefon i wykręcił numer.

- Art Lessin - powiedział i Jenny zacisnęła dłonie jeszcze mocniej. Patrzył na nią, czekając na połączenie.

- Art, odwołaj polowanie na prawniczkę - powiedział. - Już ją znalazłem.

Uśmiechnął się do Jenny. Zrobiło jej się słabo.

- Nieważne, ile ma lat, udziel jej pełnego wsparcia - warknął St. James do słuchawki. - Daj jej wszystko, czego zechce. Czego pani chce? - zwrócił się do Jenny i włączył głośnik.

- Chcę, żeby odebrano sprawę Billowi Moranowi - powiedziała bez wahania. - I chcę dwóch współpracowników, których sama wybiorę.

- Załatwione, Art?

- Tak.

St. James przycisnął guzik i połączenie zostało przerwane.

- Wie pani, to zdumiewające - zwrócił się do Jenny. - Sposób, w jaki to pani opisała. Dokładnie to się wydarzyło.

3

O siedemnastej Betty wsunęła głowę do gabinetu i postukała w zegarek.

- Przepraszam - powiedział Dan do słuchawki. - Mam telefon konferencyjny. Sfinalizujmy to jutro. - Przytrzymał słuchawkę ramieniem i zgarnął do aktówki papiery z biurka. - Dziesiąta? Muszę sprawdzić. - Otworzył kalendarz jedną ręką, drugą wsunął w rękaw płaszcza. - Niestety, jestem wtedy w sądzie. Umówmy się wcześniej - powiedzmy o ósmej? Dobrze. Do zobaczenia.

Kiedy skończył rozmowę, był już spakowany i gotowy do wyjścia.

- Do widzenia! - zawołał od drzwi.

Betty podniosła głowę z uśmiechem. Bawiła ją i cieszyła ta nagła zmiana ról; teraz to ona siedziała w biurze dłużej od szefa.

- Proszę mu powiedzieć, że życzę szczęścia jutro.

- Powiem.

Na dworze było zimno, ale kwietniowe niebo było czyste. Wiosna przyszła tak nagle, że nikt się jeszcze do niej nie przyzwyczaił. Ludzie wychodzili z biur i mówili: „Nie do wiary, jak jasno!”

Przed drzwiami szatni kłębił się zwykły tłumek rodziców.

- Trening się skończył? - zapytał Dan stojącej obok kobiety.

Uśmiechnęła się zachęcająco.

- Tak, ale zdaje się, że trener wygłasza do nich mowę przed jutrzejszym meczem.

Jeżeli sądzić po starannie wymodelowanych, kasztanowych włosach i jeszcze staranniejszym makijażu, była rozwódką. Mężatki w średnim wieku przeważnie nie zadają sobie tyle trudu w zwykłe popołudnie.

- Tylko proszę nie mówić, że przyszedł pan po syna! - Jej zielone oczy zdradzały ciekawość. - Jest pan za młody.

Był wdzięczny za komplement. Zwykle automatycznie zaliczano go do rodzicielskiego grona.

- Przyszedłem po brata - powiedział. - Pani też?

- Och! - Roześmiała się, uszczęśliwiona i uderzyła go lekko w ramię.

Trzymała w ręku zwiniętą popołudniówkę i Dan przechylił głowę, żeby przeczytać nagłówek: „Święty i Cynthia. Sąd drży w posadach”.

- O co w tym chodzi? - zapytał.

- Nowy skandal seksualny. Nie śledzi pan przebiegu rozprawy? Pani menedżer chciała awansować przez łóżko. - Popatrzyła na niego wyzywająco. - Myślałam, że do tego nie trzeba pretekstu.

Dan rzucił jej uśmiech, na który czekała. Przed paroma miesiącami taki mały flirt mógł do czegoś prowadzić. Dziś już nie. Rozwiedziona matka wlokła za sobą potężny bagaż problemów, a on miał dość skomplikowanych kobiet.

Drzwi szatni otworzyły się na oścież i chłopcy wysypali się niby szczeniaki z koszyka. Tony przepchnął się przez tłum i natarł na Dana z pochyloną głową, celując w żołądek. Dan zrobił unik, chwycił brata wpół i okręcił w powietrzu ze śmiechem, zanim postawił chłopca na podłodze.

Tony założył baseballową czapkę tyłem naprzód i bracia ruszyli równym krokiem w stronę samochodu. W ciągu ostatnich miesięcy nawiązało się między nimi niewymuszone koleżeństwo. Towarzystwo pełnego wigoru chłopca sprawiało Danowi więcej przyjemności, niż kiedykolwiek przypuszczał.

- Jak poszło?

- Super! Dołożymy im jutro, że hej! Myślisz, że uda ci się przyjść?

- Nie przegapiłbym tego za nic w świecie.

Po kolacji sprzątnęli ze stołu i rozłożyli się z papierami. Nigdy przedtem Dan nie opuszczał biura, dopóki nie wykończył roboty, teraz utarło się, że przychodzi do domu wcześniej i pracuje do późna. Przebijanie się przez papiery na własnym stole jadalnym stanowiło dla niego zupełną nowość. Powoli zmieniała mu się również perspektywa. Zagadnienia, które jeszcze niedawno wydawały się kwestią

życia lub śmierci, zaczęły ustępować innym, ważniejszym, na przykład, jak minął Tony'emu dzień w szkole.

Za piętnaście dziesiątą, po dwóch godzinach intensywnego pisania przerywanego okresami tępego wpatrywania się w ścianę, Tony zebrał kartki i wręczył je bratu. Temat referatu brzmiał „Ograniczenia kadencji Kongresu” i analiza okazała się zdumiewająco trafna. Dan pęczniał z dumy, ale wiedział, że musi być bardzo ostrożny. Jeżeli przesadzi w pochwałach, chłopak nabierze podejrzeń albo uzna, że się z niego nabija. Jeżeli okaże zbyt powściągliwość, poczuje się urażony. Droga do nastolatka najeżona była zasadzkami.

- Dobra robota - powiedział. - Przekonałeś mnie. - Powiedział, co należało, dzieciak był zadowolony. - Mam myśl. Może przejrysz tekst jeszcze raz pod kątem ortografii, a ja poproszę jutro Betty, żeby go przepisała na maszynie.

- Ortografii? - Tony łypnął okiem i wyrwał bratu kartki z ręki.

Roześmiał się. Wystarczyła sekunda, zrobił niewłaściwy krok i rozgniewał Tony'ego. Wstał od stołu i w drodze do telewizora klepnął brata w ramię. Włączył lokalne wiadomości i poszedł do kuchni po piwo. Kiedy wrócił, nadawano materiał o podatkach i terminie składania zeznań. Dan zapisał sobie, żeby zadzwonić do księgowego, sprawdzić, czy panuje nad sytuacją.

- Proszę! - Tony wręczył mu referat.

Wpadło mu w ucho słowo „rozprawa” i spojrzał w ekran akurat w chwili, gdy ukazała się na nim Jennifer Lodge. Wieko aktówki przytrzasnęło mu palce, ale nawet tego nie zauważył. Postąpił kilka kroków w stronę telewizora i zamarł.

Jennifer szła przez placyk w stronę postoju taksówek.

- Nerwy puściły podczas przesłuchania pozwanej Cynthia Lehmann - powiedział komentator.

Była to bez wątpienia Jennifer, ale Dan nie wierzył własnym oczom. Włosy miała krótkie, a garsonka w kolorze koralowym przewyższała wyrafinowaniem wszystko, w czym widział ją dotychczas. Zmienił się również jej sposób bycia. To była inna Jennifer, ta druga, którą miał pokochać później.

- Jennifer Lodge, reprezentująca Intellitech, natarła ostro, pytając o ambicje zawodowe Lehmann, plany zdobycia stanowiska wiceprezesa w firmie i jej odczucia, kiedy wybrano innego kandydata. Lodge twierdzi, że Lehmann nawiązała romans z prezesem Intellitech, Gordonem St. Jamesem, mając na względzie tylko i wyłącznie uzyskanie awansu.

Następne ujęcie ukazało ciemnowłosą kobietę wychodzącą z sądu w towarzystwie swojego adwokata.

- Lehmann stanowczo odparła zarzut i dzisiejsza debata toczyła się jeszcze po zamknięciu posiedzenia sądu.

Ciemnowłosa kobieta odtrąciła rękę prawniczki, która próbowała ją powstrzymać i dogoniła Jennifer. To, co nastąpiło później, było spełnieniem marzeń każdego operatora.

- Co z pani za kobieta - krzyknęła Lehmann - żeby zrobić coś takiego drugiej kobiecie?!

Jenny odpowiedziała cichym głosem, ale mikrofon wychwycił słowa i przekazał milionom słuchaczy.

- Pani używa swojej kobiecości w pracy, pani Lehmann, ja zostawiam swoją w domu.

Była to doskonała riposta, która zostanie powtórzona w każdym materiale telewizyjnym i prasowym.

Jennifer odwróciła się i wsiadła do taksówki, a Dan doznał dziwnego uczucia dezorientacji, jak wtedy, gdy omal nie przejechał jelenia. Miał uczucie, że rzeczywistość jest nieprawdziwa. Odwrócił się, żeby sprawdzić, czy Tony stoi tam, gdzie go zostawił.

Brat obserwował go, zaciekawiony.

- Kiedyś dla mnie pracowała - bąknął Dan.

Chłopiec pokazał zęby w uśmiechu.

- Szkoda, że pozwoliłeś jej odejść.

4

W czwartek rano Dan próbował wśliznąć się niepostrzeżenie na salę sądową, ale Art Lessin pełnił wartę w drzwiach.

- Dan, jak się miewasz?

- Art!

Wymienili uścisk dłoni, Dan zrobił dwa kroki w stronę sali, po czym zawrócił.

- Muszę przyznać, że masz dziwne metody szkolenia współpracowników.

Wymizerowana twarz Lessina straciła wszelki wyraz.

- O czym ty mówisz?

- Taki proces dla świeżo upieczonej prawniczki? Jak to się nazywa? Chrzest ogniowy?

- Chodzi ci o Jennifer? Jest od ciebie, prawda?

Dan skinął głową.

- Więc to ja powinienem pytać o twoje metody szkolenia. Drugiego dnia w pracy odebrała sprawę Billowi Moranowi.

- Jennifer Lodge?! - wykrzyknął Dan, ale Lessin odwrócił się już, żeby porozmawiać z kimś innym.

Zajął miejsce z tyłu sali i zniknął w morzu widzów. W pierwszym rzędzie po stronie powoda siedział Gordon St. James. Sam. Dan nie wiedział, czy Jennifer celowało go tam usadziła, ale efekt był znakomity. Oto samotny mężczyzna, pozbawiony towarzystwa kobiety, nawet własnego adwokata.

Wyszła z kancelarii i przez salę przebiegł szmer. Tego dnia wystąpiła w jasnożółtej garsonce, łamiąc bezlitośnie zasadę ciemnych strojów narzuconą prawnikom sądowym. Asystenci deptali jej po piętach i Dan stwierdził ze zdumieniem, że w ich gronie znajduje się Brad Martin. Brad był cztery lata starszy od Jennifer, a jednak niósł jej teczkę i wyglądało na to, że jest wdzięczny za zaszczyt.

Postępowanie dowodowe zakończono i tego dnia adwokaci mieli wygłosić mowy końcowe. Sędzia dopełnił wstępnych formalności i oddał głos powództwu.

Jennifer podniosła się z miejsca i przeszła wolno na środek sali.

- Żyjemy w świecie, gdzie sukces nie przychodzi łatwo - zaczęła. Jej głos był miękki, ale wyraźny, jak kolor jej garsonki.

- Jeżeli ktoś chce zostać lekarzem, musi iść do college'u, potem na akademię medyczną, potem na staż. A kiedy w końcu dostanie płatną posadę, przez dziesięć lat spłaca długi zaciągnięte na naukę.

Stała nieruchomo przed ławą przysięgłych, niby skała pośród wzburzonego morza, w idealnej pozie, emanując dyskretną pewnością siebie.

- Lub powiedzmy, że ktoś chce zostać stolarzem w cechu. Musi najpierw zostać czeladnikiem, latami wykonywać prace, których nie tknie mistrz, potem czekać na kartę związkową, potem czekać, aż zwolni się miejsce w dobrym zespole. Jeżeli ktoś chce zostać dyrektorem przedsiębiorstwa, musi dochrapać się kierownictwa działu, potem filii, poznać firmę jak własną kieszeń. Ilu z nas chciałoby przeskoczyć te wszystkie lata ciężkiej pracy i oczekiwania? Czy nie byłoby

wspaniale, gdybyśmy mogli sięgnąć po pilota, nacisnąć guzik „do przodu” i przewinąć te wszystkie lata ciężkiej harówki?

Jennifer odwróciła się - pierwszy gest obliczony na efekt - i popatrzyła na pozwaną.

- To właśnie próbowała zrobić Cynthia Lehmann. Jest inteligentną, utalentowaną kobietą, wysoko cenioną przez współpracowników i klientów. W wieku trzydziestu lat była już menedżerem produktu w Intellitech. Po dziesięciu latach ciężkiej pracy i wyrzeczeń zostałaby z pewnością dyrektorem firmy. Ale ona nie chciała czekać kolejnych dziesięciu lat. Nie chciała odrabiać stażu. Nie chciała czekać wraz z innymi, aż jej nazwisko znajdzie się na początku listy. Chciała znaleźć guzik „do przodu” i przyspieszyć swoją karierę o te dziesięć lat ciężkiej pracy, znaleźć się od razu w dyrektorskim gabinecie. Tym guzikiem był Gordon St. James i Cynthia Lehmann wciskała go, dopóki się dało.

Wybrała ten moment, żeby spojrzeć na swojego klienta, a on był na to przygotowany.

- Ale nie! Ona twierdzi, że pan St. James był agresorem - powiedziała, podczas gdy zgrabne ramiona jej klienta zadawały kłam temu stwierdzeniu. - Zmusił ją do nawiązania romansu, zagroził jej karierze, bała się, że zostanie zwolniona, jeżeli nie ulegnie. Ulegając, dała się zaprosić do tuzina najlepszych restauracji wmieście. Ulegając, przyjęła brylantowe kolczyki i cotygodniowe dostawy kwiatów. Panie i panowie! Czy tak wygląda molestowanie seksualne? A może bardziej przypomina to romans? Cynthia Lehmann twierdzi, że bała się, iż straci pracę, jeżeli nie ulegnie. - W głosie Jennifer pojawiła się ostra nuta. - Panie i panowie, jeżeli czemukolwiek uległa, to jedynie własnym ambicjom! Gordon St. James miał romans, ale czy miała go Cynthia Lehmann? Poszła z nim do łóżka tylko w jednym, jedynym celu - żeby zdobyć stanowisko, którego pragnęła. Ale pan St. James myślał przede wszystkim o firmie. Wybrał najlepszego kandydata na stanowisko wiceprezesa, i nie była to Cynthia Lehmann. Wcisnęła guzik „do przodu”, ale on nie zadziałał. Nie doprowadził jej tam, gdzie pragnęła się znaleźć. Jaki jest więc jej następny krok? Zrywa z panem St. Jamesem, składa rezygnację w firmie i przenosi się do Plex Systems, żeby tam szukać innego przycisku. Och, tym razem nie będzie to seks. Ma nową broń. Listę klientów Intellitech. Zawierając umowę o pracę z Intellitech panna Lehmann podpisała wiążącą deklarację, że w przypadku odejścia z firmy przez dwa lata nie zwiąże się z konkurencyjnym przedsiębiorstwem. Nie czekała nawet dwóch tygodni. Teraz

chce, żebyście zwolnili ją z tej umowy. „Nie możecie mi jej narzucić - mówi. - Byłam ofiarą w tej żalostnej historii”. Ale już czas, żeby przestała grać rolę ofiary i przyjęła odpowiedzialność za swoje czyny. Podpisała umowę z własnej woli, nikt jej nie zmuszał. Wskoczyła do łóżka Gordona St. Jamesa, ponieważ chciała, nikt jej nie zmuszał. Odeszła z firmy, ponieważ jej plan zawiódł; nikt jej nie zmuszał. Nie pozwólcie, by nadal odgrywała rolę ofiary. Niech poniesie odpowiedzialność za to, co zrobiła. Wnoszę o wydanie werdyktu na korzyść Intellitech.

Przysięgli udali się na obrady o jedenastej trzydzieści i Dan wyszedł z sądu zaraz potem. Nie było sensu czekać na werdykt, wiedział, że wygrała. I nie było sensu czekać, żeby jej pogratulować, ponieważ udławiłby się słowami.

Była w połowie swojej mowy, kiedy w końcu zrozumiał, że mówi o sobie. Przyciskiem „do przodu” - tym, który nie zadziałał i przez który wylądowała u konkurencji, po drugiej stronie miasta - był on.

5

Werdykt ogłoszono następnego dnia, kiedy Jenny leżała na plecach, z kolanami w górze, wsparta piętami o metalowe uchwyty.

- Niezagrożony przypadek ciąży - powiedział lekarz.

Przez okno trzeciego piętra widziała burzowe chmury, piętrzące się na bezchmurnym jeszcze przed chwilą niebie. Jej pierwszy wolny dzień od prawie trzech miesięcy i zanosilo się na deszcz.

- Tak myślałam - odparła.

Kiedy się ubrała, usiedli w gabinecie, żeby ustalić terminy, każdy ze swoim kalendarzem, niby reprezentanci przeciwnych stron ustalający datę przesłuchania. Sprawa była prosta. Jenny mogła policzyć na palcach, ile razy kochała się z Danem i wszystkie te zbliżenia miały miejsce w czasie dwutygodniowego romansu pod koniec stycznia. A więc, koniec października, uznali zgodnie.

Kiedy wychodziła, pielęgniarka wręczyła jej folder: broszurki reklamujące mleko dla niemowląt i ulotki poradni aborcyjnych. Była to, bądź co bądź, klinika ginekologiczna o pełnym zakresie usług.

Na zewnątrz chmury snuły się po niebie niby czarny dym. Temperatura spadła o dziesięć stopni podczas godziny, którą spędziła w klinice i nagły poryw wiatru

targnął jej spódnicą, kiedy biegła do samochodu. Znalazła się w środku w chwili, gdy niebo się otworzyło i lunął deszcz.

Trzeci miesiąc. Gapiała się bezmyślnie na potoki wody spływające po przedniej szybie. Śmiesznie późno na test ciążowy w dzisiejszych czasach, kiedy kobieta może otrzymać wynik pozytywny niemal, zanim wyjdzie z łóżka. Żenująco późno jak na kogoś, kto był zawsze prymusem w klasie. Cóż, najwyraźniej nie była już taka mądra jak niegdyś. Dwudziestosiedmioletnia prawniczka popełniła błąd, którego potrafi uniknąć większość szesnastolatek.

Uruchomiła silnik, włączyła wycieraczki i patrzyła na dwa łuki czystej przestrzeni, którą po chwili znów zalewała woda. Leslie spędzała miesiąc miodowy na Hawajach i nie ucieszyłaby się taką nowiną ani teraz, ani chyba nigdy. Do kogo jeszcze mogła zadzwonić? Z pewnością nie do matki, która miała silne zasady moralne i słabe serce. I nie do siostry, która czułaby się w obowiązku powiedzieć matce. Dawni przyjaciele od serca z czasem stali się dalekimi znajomymi. Pisywała do nich kartki świąteczne i gawędziła na koktajlowych przyjęciach. Nie miała nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić w trudnej chwili.

Wyjechała z parkingu na ulicę i ruszyła w stronę odległej o dwa kilometry autostrady. Kierowcy nie brali poprawki na pogodę. Włączyła światła i trzymała się prawego pasa, a samochody tylko śmigwały wokół niej, ciężarówki wysyłały spod kół wodną kurzawę, która opadała na samochód, pogarszając widoczność.

Zastanawiała się, czy to może być kara - nie za to, że spała z Danem, tego nigdy nie pożałuje - ale za nowsze grzechy. Powtarzała sobie jak litanie, że nie jest ławą przysięgłych, nie do niej należy decyzja, kto kłamie, a kto mówi prawdę. Była adwokatem. Miała przedstawić punkt widzenia klienta. Przysięgli wiedzieli o tym; wiedzieli, że ich zadaniem jest zdecydować, po której stronie leży słuszność. Pomyłka zaciąży na ich sumieniu.

Ale wystarczyło zamknąć oczy, by zobaczyć twarz Cynthii Lehmann w chwili ogłoszenia werdyktu. Żaden inny dowód nie był potrzebny: została przerobiona na cacy - dwukrotnie.

Łzy napłynęły jej do oczu i nie wiedziała, czy płacze nad Cynthią Lehmann, czy nad sobą, a może nad niewinnym dzieckiem, którego serduszek biło pod jej własnym. Ale w głębi duszy wiedziała, co wywołało te łzy i kiedy zobaczyła przed sobą parking dla ciężarówek, zjechała z autostrady. Zaparkowała i pobiegła przez siekający deszcz do budki telefonicznej.

- Biuro pana Caselli - oznajmiła sekretarka.

Jenny zacisnęła palce na słuchawce.

- Cześć, Betty! - Starła się, by jej głos nie drżał. - Tu Jennifer Lodge. Mogę z nim rozmawiać?

Nastąpiła chwila ciszy.

- A, cześć. Tak, jedną chwileczkę.

Ton Betty był chłodny. Jenny słyszała plotki, że Ken Stively ukradł firmie Tramco, i że ona mu w tym pomogła. Nawet jeżeli tak było, zrobiła to nieświadomie; wyszła z założenia, że Tramco mu się należy.

Czekała, aż Dan podniesie słuchawkę i zastanawiała się, czy uraczyć go nowiną od razu, czy zaproponować spotkanie i przygotować grunt. Z pewnością byłoby jej łatwiej podjąć decyzję, gdyby wiedziała, jakiej reakcji po nim oczekuje, ale w tej chwili nie знаła nawet własnej. I nie pozna, dopóki nie usłyszy jego głosu.

Zielony sportowy wóz zaparkował obok i przez kurtynę deszczu Jenny zobaczyła mężczyznę siedzącego nieruchomo za kierownicą. Wyglądało na to, że ją obserwuje. Odwróciła się do niego plecami i przycisnęła słuchawkę mocniej.

W końcu odezwała się Betty.

- Przykro mi, panno Lodge. Jest zajęty.

Jenny zachwiała się i oparła plecami o ścianę budki, żeby nie upaść. Dan odmówił przyjęcia jej telefonu. Gdyby naprawdę miał kogoś u siebie, Betty wiedziałaby o tym od razu, zawsze wiedziała. Może miała na myśli coś innego? Dan jest z kimś, jest zaangażowany, spotyka się, mieszka z kobietą.

- Zechce pani zostawić wiadomość? - zapytała Betty.

„Tak, proszę mu przekazać, że jego żałosna była kochanka odkryła właśnie, że jest w ciąży i chciałaby wiedzieć, czy mógłby rzucić swoją obecną ukochaną i przybiec potrzymać dawną za rękę”.

- Nie, dziękuję - powiedziała.

Słuchawka wypadła jej z ręki i podskakiwała na sznurze jak szalona, zanim zdołała ją złapać i odłożyć na widełki. Kiedy odwróciła się do drzwi, zobaczyła, że kierowca sportowego wozu ma telefon przy uchu i patrzy wprost na nią.

Pobiegła do samochodu, dała nura do środka i wcisnęła guzik blokujący drzwi. Strumienie wody ściekały z jej włosów na twarz, ramiona i kolana. Włączyła silnik, rzucając szybkie spojrzenie w bok. Kierowca nie ruszył się z samochodu. Jenny odetchnęła spazmatycznie i wyjechała na autostradę.

Chrapliwy grzmot zabrzmiał na pięć sekund przed tym, jak błyskawica rozdarła niebo. Jenny ścisnęła kierownicę tak mocno, że zdrętwiały jej dłonie.

Przypomniała sobie inną burzę, inną rozpaczliwą jazdę do domu. Głos Dana: „Nie przejadę” i jej odpowiedź: „Wejdz, proszę”.

Potrząsnęła głową, żeby odgonić te obrazy i spojrzała we wsteczne lusterko. Majaczył w nim sportowy, zielony samochód.

Włączyła radio i starała się myśleć o czym innym, ale po chwili znowu zerknęła w lusterko. Jechał za nią, utrzymując stałą odległość.

Jenny docisnęła pedał gazu i zmieniła pas, nie włączając kierunkowskazu. Teraz spod jej kół wytrysnęły fontanny, ale przyspieszyła. Wyminęła dwa, trzy, cztery wozy, zanim wcisnęła się z powrotem na prawy pas.

Wystarczyło jedno szybkie spojrzenie: zielony samochód był tuż za nią.

Z gardła wydarł się jej szloch, ale zagryzła wargę i skupiła uwagę na drodze. Samochód z przodu zwolnił i zjechał na rampę po prawej. Zielone auto było kilka metrów za nią. Z lewej wyminęła ich ciężarówka, zalewając wodą szyby, najpierw jej, potem jej prześladowcy. Wykorzystała ten moment, żeby wykonać gwałtowny skręt w prawo. Przecięła pas trawy i znalazła się u dołu rampy. Rzuciła szybkie spojrzenie za siebie. Zaczął hamować, ale było już za późno na zjazd.

Jenny zaczęła głośno szlochać. Udana ucieczka wcale nie zmniejszyła jej przerażenia. Skręciła z rampy w prawo, potem niemal natychmiast w lewo i kilometr dalej w prawo, w boczną, wiejską drogę i dopiero wtedy odetchnęła z ulgą.

Jednocześnie uświadomiła sobie, że nie wie, gdzie jest.

Po obu stronach drogi ciągnęły się lasy i o ile mogła coś zobaczyć przez zasłone deszczu - również przed nią. Zwolniła i próbowała zawrócić.

Ale droga okazała się za wąska, a pobocze zbyt grząskie. Prawe przednie koło ugrzęzło w błocie, a kiedy próbowała wrócić na asfalt, to samo stało się z tylnym. Wrzuciła wsteczny i próbowała wyjechać tyłem, ale koła obracały się w miejscu. Przekręciła kierownicę ostro w prawo, w lewo, ale wszystko kończyło się tym, że zakopywała się głębiej.

Nie była już w stanie opanować hysterii. Opadła na kierownicę i zaczęła szlochać. Była sama w lesie, w ciąży, niekochana, prawdopodobnie ktoś ją śledził, lub - co gorsze - wyobraziła to sobie. Deszcz bębnił głucho o dach, a Jenny szlochała głośno, bez opamiętania. Nie płakała tak od czasu, gdy była dzieckiem.

Z tyłu rozległ się klakson.

Jenny zdławiła krzyk i obejrzała się. Obok stało białe volvo combi, mężczyzna za kierownicą opuszczał szybę.

Jenny przetarła rękawem twarz i opuściła odrobinę własne okno. Mężczyzna był ledwo widoczny, ale dostrzegła jego uśmiech i jasne włosy. Powiedział coś, czego nie dosłyszała, potrząsnęła więc tylko głową. Jedną ręką podniósł telefon, drugą przyłożył do ust.

- Chce pani, żebym zadzwonił po pomoc drogową?! - zawołał.

Skwapliwie pokiwała głową.

- Tak! Dziękuję!

Zamknął okno, ona swoje, i patrzyła, jak wciska cyferki i mówi do słuchawki. Chwilę później znów opuścił szybę, ona swoją, do końca tym razem. Cofnęła się, żeby uniknąć prysznicu.

- Będą za pół godziny! - krzyknął mężczyzna.

Kiwnęła głową.

- Dzięki!

- Będzie lepiej, jak poczekam! Upewnię się, że o pani nie zapomnieli!

- To nie jest konieczne... - zaczęła, ale on już zamknął okno.

Uświadomiła sobie, że silnik ciągle pracuje, więc przekręciła kluczyk w stacyjce. Zrobiło się ciszej i Jenny powoli się uspokajała. Otarła oczy i odchyliła głowę. Świat był pełen podłości i zła, ale niespodziewana dobroć obcych ludzi dawała człowiekowi nadzieję.

Minęło pół godziny. Deszcz w końcu zelżał i trochę się przejaśniło. Jenny zerknęła w stronę volvo. Mogła już zobaczyć twarz mężczyzny. Zabijał czas czytaniem gazety. Kiedy ją opuścił, poznała Scotta Sterlinga.

6

Zdumiona, odwróciła głowę, ale on podchwycił jej spojrzenie i uśmiechnął się przelotnie, by natychmiast wrócić do czytania. W sekundę później zmarszczył czoło, opuścił gazetę i wlepił wzrok w Jenny. Znowu odkręcił szybę i Jenny zrobiła to samo.

- Właśnie coś sobie uzmysłowiłem - zaczął z przepraszającym uśmiechem. - Pani nie będzie tego pamiętać, ale już się spotkaliśmy, zeszłej zimy. Jestem...

- Scott Sterling - dopowiedziała.

Uśmiechnął się promiennie, jakby ofiarowała mu wymarzony prezent.

- A pani jest prawniczką, która jest baleriną. Lub też baleriną, która jest prawniczką.

- Właściwie już nie jestem baleriną.

- Coś takiego! - Zaśmiał się. - A ja już nie jestem prawnikiem.

Nastało niezręczne milczenie, które w końcu przerwał Scott.

- Zmyliła mnie chyba ta nowa fryzura. Bardzo twarzowa.

Jenny bezwiednie podniosła rękę do głowy, ale on już się odwrócił, wskazując drogę.

- Zabawne, spotkać się tutaj.

Jego gest obejmował drogę, samochody, błotniste pobocze, deszcz i nagle uderzyło ją, ile ma szczęścia.

- Jak to dobrze, że się zjawiłeś - powiedziała.

- Nie ciesz się przedwcześnie. Pomoc drogowa dawno powinna tu być. Zadzwoń jeszcze raz.

Wystukał numer, powiedział coś do słuchawki i wychylił się do Jenny.

- Mówią, że już jadą.

- Naprawdę, nie musisz tu ze mną czekać.

- To żaden kłopot.

- Nie chcę ci zabierać czasu...

- Czego, jak czego, ale czasu mam pod dostatkiem - przerwał jej.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Odwróciła wzrok.

- Jak się mają sprawy w Foster Bell? - zapytał.

- Już tam nie pracuję.

Na jego twarzy ukazało się zaskoczenie.

- Jak to?

Jenny wzruszyła ramionami.

- Popeliłam głupi błąd.

- Coś podobnego! Ja też!

Ich oczy się spotkały i Jenny znów poczuła iskierkę porozumienia, jak przy ich pierwszym spotkaniu, w tamten styczniowy wieczór w zatłoczonej sali konferencyjnej.

Uniósł brew i wychylił się z okna.

- Praktykujesz gdzieś?

- Tak. W Jackson Rieders.

- Dobra firma. Żałuję, że mój błąd nie miał tak pozytywnych konsekwencji.

- Konsekwencje dopiero poniosę.

- Coś podobnego! - powtórzył. - Tak samo, jak ja.

Pozbawienie praw wykonywania zawodu, wyrok, więzienie - wszystko to skwitował śmiechem.

- Wolno spytać, jak postępuje sprawa?

- Która? Są cztery. - Wiatr smagnął go deszczem w twarz i cofnął głowę, parskając śmiechem. Hej! Moglibyśmy kontynuować tę rozmowę w którymś z samochodów?

Wahała się tylko przez chwilę.

- Przyjdę do ciebie - powiedziała. Wysiadła z wozu i biegiem okrążyła tył volvo. Był to rodzinny samochód, zaśmiecony tym, co wożą rodzice i dzieci, do domu, ogrodu. Dziecięcy fotelik był przymocowany z tyłu i Jenny przypomniała sobie dziewczynkę o pełnej słońca twarzyczce. Scott przechylił się, żeby otworzyć jej drzwi po stronie pasażera. Wsunęła się do środka. Ubrany był w spodnie khaki i bawełnianą bluzę, typowy strój pracującego mężczyzny, któremu zdarzył się wolny dzień.

- Będziemy mogli swobodniej rozmawiać - powiedział, ale wcale nie czuł się swobodnie.

- Cztery sprawy, mówisz?

- Tak. Po pierwsze - dyscyplinarna i ta idzie po prostu świetnie. Lada chwila pozbawią mnie praw wykonywania zawodu.

- Och, Scott, tak mi przykro.

- Wiesz, co mnie bawi? Cały czas pytają, czy byłem pod wpływem alkoholu lub narkotyków. Bo gdybym był, wysłaliby mnie na kurację i skończyłoby się na zawieszeniu. Ale nie istnieje kuracja na moją chorobę.

Jenny zerknęła na niego niepewnie.

- Nie krępuj się - pytaj!

- Okay. Na czym polega twoja choroba?

- Chciałem, żeby dobrze o mnie myślano. Za bardzo, jak sądzę.

Skinęła głową ze zrozumieniem. Przypomniała sobie własne szkolne czasy, kiedy wiecznie uniesioną ręką starała się zwrócić uwagę nauczyciela, dopraszała się szansy, by odpowiadać, zadowalać innych, wywierać wrażenie. Dwadzieścia lat później robiła to samo z Danem Casellą. Dan powiedział kiedyś coś o Scotcie... łaknie aprobaty jak kania dżdżu. Te słowa pasowały także do niej.

Scott odwrócił głowę i zapatrzył się pustym wzrokiem w przestrzeń.

- Jest też sprawa cywilna, którą wujek Curt wytoczył mnie i Harding & McMann - powiedział. - Nie śledzę jej zbyt uważnie. Wszystkie moje pieniądze i tak zgarnia adwokat.

- Kto?

- Bili Lawson.

Jenny знаła go z nazwiska i reputacji. Lawson był wysoko opłacanym ekspertem od prawa karnego, który specjalizował się w ugodach. Nikt nie pamiętał, kiedy po raz ostatni dopuścił do procesu.

- Jak przebiega rozprawa?

Scott pokręcił głową.

- Nie wiem. Prosiłem tylko Billa, żeby mnie zawiadomił, kiedy zostanę skazany. Chciałbym mieć chociaż czas na spakowanie golarki, zanim po mnie przyjdą.

Nie zdołała ukryć dreszczu.

- No i jest jeszcze proces o opiekę nad dzieckiem.

- Nad twoją córeczką?

- Moją była córeczką, jeżeli Val postawi na swoim. Najwyraźniej fakt, że jestem niezdolny praktykować, oznacza również, że nie nadaję się na ojca.

- Tak mi przykro - powiedziała Jenny i zabrzmiało to jeszcze banalniej niż za pierwszym razem. Scott wydawał się taki kruchy, przymilny. Cichy, bezpieczny i nadskakujący - mężczyzna, który, jak sądziła, już nie istnieje.

Odwrócił się ku niej i potrząsnął głową z łagodnym uśmiechem.

- Niepotrzebnie - powiedział. - Jestem odpowiedzialny za to, co zrobiłem. Mogłbym udawać ofiarę, ale nie gram w ten sposób. Muszę ponieść konsekwencje swoich czynów i poniosę. I kto wie? Może wyjdzie mi to na dobre. Ukształtuje charakter, jak by powiedział ojciec.

Żartował, ale jego słowa wywołały olśnienie. Wszystko, co powiedział pasowało również do niej. W ułamku sekundy podjęła decyzję i wielki ciężar spadł jej z serca. Wiedziała, że nigdy w życiu nie pożałuje wyboru, jakiego dokonała w tej chwili zrozumienia.

- Najwyższy czas! - powiedział, kiedy w ich polu widzenia znalazła się pomoc drogowa.

Scott usunął z drogi swój samochód, oboje wysiedli i patrzyli jak kierowca mocuje łańcuchy do zderzaka wozu Jenny.

Coś zafurkotało w trawie tuż obok, ptak próbujący unieść się w panice, znaleźć schronienie. Scott podbiegł do niego, przykucnął. Kiedy wstał, ptak trzepotał się w jego dłoniach.

- Ma złamane skrzydło. - Głaskał srebrnoperłowe pióra i gruchał cichutko, dopóki ptak się nie uspokoił.

Jenny zajrzała w jego skulone dłonie.

- Co to jest?

- Gołąb. Wiatr musiał go rzucić o drzewo. - Ostrożnie wsunął palce pod skrzydło. - Wiesz co? Chyba potrafię je nastawić.

Podreptała za nim do bagażnika volvo i otworzyła klapę. Scott ostrożnie położył ptaka na złożonym kocu. Gołąb zatrzepotał zdrowym skrzydłem, ale Scott gładził jego pióra tak długo, aż ptak schował łebek na piersiach i uciszył się w zaimprovizowanym gnieździe.

- Mam taśmę klejącą, ale będę potrzebował czegoś do usztywnienia - powiedział. - Masz kartę telefoniczną?

Jenny pokręciła głową, myśląc, czego by tu użyć w zastępstwie.

- Kawalek tekturki?

- Doskonale.

Jej samochód został szczęśliwie wyciągnięty z rowu, zapłaciła kierowcy i odzyskała torebkę.

- Wygląda mi to na proste złamanie - powiedział Scott, skończywszy mocowanie tektury do skrzydła za pomocą taśmy. - Będzie zdrowa.

- Ona?

- My, lekarze, wiemy takie rzeczy.

Jenny się roześmiała.

- Jak będzie przebiegało leczenie, doktorze?

- Chciałbym zabrać ją do domu, odkarmić, żeby nabrała sił. - Skubał zębami dolną wargę w głębokim namyśle, ale w końcu potrząsnął głową. -Nie mogę. Mieszkam teraz z rodzicami. Ojciec nie zdzierży, kiedy do domu przywlecze się kolejny ptak z przetrąconym skrzydłem.

Zrobiło się jej żal Scotta, po raz kolejny, ale tym razem miała coś lepszego do powiedzenia niż „tak mi przykro”.

- Ja zabiorę ją do domu, jeżeli powiesz mi, co robić.

Przenieśli gołębicę w kocu na tylne siedzenie samochodu Jenny, Scott udzielił jej wskazówek dotyczących karmienia i pielęgnacji. Usiadła za kierownicą.

- Nie wiem, jak ci dziękować za pomoc - powiedziała, kiedy wsparł się ramieniem o drzwi. - Uratowałeś mi dzisiaj życie.

Ruchem głowy wskazał ptaka na tylnym siedzeniu.

- Teraz twoja kolej.

Sięgnęła do klamki, żeby zamknąć drzwi, ale przytrzymał je z głupawym uśmiechem.

- Tak mi wstyd - powiedział - ale zapomniałem twojego nazwiska.

- Jennifer Lodge.

- Jenny.

7

Była dziesiąta rano, kiedy Jenny weszła do biurowej windy. Nigdy jeszcze nie stawiała się do pracy tak późno. Ale był to pierwszy dzień życia po Intellitech i uznała, że zdobyła pewne prawa. Szła korytarzem do swojego gabinetu witana przez każdego, kto ją spotkał. Straciła anonimowość nowej pracownicy. Niewykluczone, że gdzieś we wnętrzach firmy Bili Moran rzucał strzałkami w jej zdjęcie, ale teraz to on był anonimowy. Jej gwiazda właśnie wschodziła.

Na biurku znalazła kompozycję kwiatową z kartą gratulacyjną od firmy. Obok stał wazon z tuzinem róż od Gordona St. Jamesa, który natychmiast przeniosła na biurko swojej sekretarki.

- Dzięki - powiedziała Marilyn. - To memorandum przyszło przed chwilą.

Było od Arta Lessina. Najwyraźniej zasłużyła sobie nie tylko na spóźnienie. Została odwołana z zespołu RTC, od tej chwili mogła sama wybierać sprawy. Zamierzała robić to bardzo ostrożnie i wcale się z tym nie spieszyć. Najlepsi adwokaci w mieście mogli liczyć najwyżej na jedną wielką wygraną w roku. Ona zaliczyła już swoją i zamierzała odczekać pełny rok na następną.

Zadzwonił telefon.

- Aloha! - Usłyszała w słuchawce.

- Leslie! Wróciłaś!

- Brązowa i szeroko uśmiechnięta.

- Było cudownie!

- Och! - jęknęła Leslie. - Lepiej niż w najdzikszych marzeniach.

- Oczywiście zwiedziłaś wszystkie muzea i zrobiłaś mnóstwo zdjęć obiektom historycznym?

- Oczywiście! - zachichotała Leslie.

- Możesz wpaść i pokazać pamiątki? - zapytała Jenny. - Co powiesz na niedzielne śniadanie?

- Och, z przyjemnością! Możemy kogoś przyprowadzić? - zapytała przymilnie.

- Kogo?

- Nie wiem... Może jakiegoś przyjaciela Bruce'a.

- Jasne. O jedenastej?

- Do zobaczenia.

Kiedy odłożyła słuchawkę, Marilyn czekała w drzwiach.

- Pan Boenning prosił, żebyś dołączyła do niego w sali konferencyjnej. Chce ci przedstawić swoją klientkę.

- Po co?

- Żeby się tobą pochwalić, rzecz prosta - odparła Marilyn. - Musisz być teraz przygotowana na takie sytuacje.

Zaprowadziła Jenny do sali konferencyjnej na drugim końcu korytarza. Walt Boenning otworzył drzwi, ledwo zdążyła zapukać. Był siwy, wąsaty i tak krępy, że całkowicie zasłaniał osobę siedzącą przy stole.

- Jennifer! Dziękuję, że przyszedłaś. Chciałbym ci przedstawić...

Elegancka blondynka w różowym kostiumie Chanel podniosła się z miejsca.

- Witam. Jestem Cassie von Berg.

- Prowadzę drobną sprawę dla pani von Berg - powiedział Boenning.

- Ma na myśli mój rozwód. - Kobieta zmarszczyła zgrabny nosek. - Ale wrodzona galanteria nie pozwala mu powiedzieć tego wprost.

- Matka Cassie była moją długoletnią klientką - wyjaśnił Boenning.

- Miło mi panią poznać. - Jenny wychyliła się zza Boenninga, żeby podać kobiecie rękę.

- Dziękuję, że zechciała się pani ze mną zobaczyć, choć nie byłam umówiona. - Pani von Berg wyciągnęła gładką białą dłoń. - Właśnie wspomniałam Walterowi, jak bardzo panią podziwiałam w sprawie Gordona St. Jamesa.

- Może usiądziemy? - zaproponował Boenning.

Kobieta opuściła się lekko na krzesło, z takim wdziękiem, że Jenny po dwudziestu latach baletu nadal mogła jej zazdrościć.

- Śledziła pani przebieg procesu? - Jenny zajęła miejsce naprzeciwko niej. Boenning usadowił się u szczytu stołu, ale było jasne, że jest jedynie obserwatorem.

- Czy go śledziłam? Rozkoszowałam się nim! Jestem pod wrażeniem. Do tego stopnia, że chciałabym, żeby to pani poprowadziła moją sprawę.

Jenny popatrzyła skonsternowana na Boenninga.

- Pani rozwód?

- Och, nie! - pośpieszył z wyjaśnieniem Boenning. - Nie o to chodzi.

- Inną sprawę - powiedziała Cassie. - Zostałam ograbiona z dwóch milionów dolarów. Ukradziono je z funduszu powierniczego mojej matki.

Nazwiska, fakty przemknęły przez umysł Jenny, doprowadzając ją do jedyne­go możliwego wniosku. Odchyliła się gwałtownie na krześle.

- Pani jest Catherine Chapman!

Kobieta skłoniła głowę.

Siostrzenica Curtisa Masona i ofiara Scotta Sterlinga ze sprawy Dana Caselli. Miała wrażenie, że niebo wali się jej na głowę.

- Obawiam się, że nie mogę pani pomóc, pani von Berg. Występuje konflikt interesów.

- O co chodzi? - rzucił ostro Boenning.

- Zanim przeszłam tutaj, byłam zatrudniona w Foster Bell & McNeil, reprezentujących Harding & McMann. Przez pewien czas pracowałam właśnie nad tą sprawą.

- To świetnie - orzekła Cassie. - Będziemy mieli lepsze rozeznanie w sytuacji. Nie widzę tu żadnego konfliktu.

- Chce pani, żebym wystąpiła przeciwko swojemu dawnemu klientowi.

Na twarzy Cassie ukazał się cień uśmiechu.

- Pani mnie źle zrozumiała. Chcę, żeby wystąpiła pani przeciwko Curtisowi Masonowi.

- A! - Jenny przypomniała sobie szydercze słowa Masona, wypowiedziane do Dana: „Kto mnie pozwie? Reese? Catherine? Nigdy w życiu!”. Przypomniała sobie też cichą uwagę Reese’a Chapmana: „Curt zawsze dbał o interesy Catherine. Z pewnością zadba i teraz”. Żaden z nich nie liczył się z tym, że Cassie zadba sama o siebie.

- Jestem przekonana, że Curtis był zamieszany w tę kradzież - powiedziała Cassie. - Chcę, żeby zwrócił dwa miliony dolarów i chcę, żeby został pozbawiony funkcji powiernika. W ogóle nigdy nie powinien nim zostać.

- Dlaczego?

Cassie pochyliła się nad stołem, wyprostowana jak struna.

- Fundusz skupia największy pakiet akcji Macoal. Osobisty majątek wuja jest całkowicie zależny od Macoal. Cokolwiek się stanie z moim pakietem, bezpośrednio wpływa na jego stan posiadania. Więc o czyje interesy zabiega, o moje, czy o własne?

- Pani matka powinna o tym wiedzieć.

- I wiedziała. Podjęła złą decyzję. Zwłaszcza, że miała pod bokiem znakomitą alternatywę. Mój ojciec jest geniuszem giełdowym.

Jenny przypomniła sobie niepozorną postać Reese'a Chapmana, obraz, który trudno było pogodzić z charakterystyką córki.

- Więc dlaczego nie mianowała go powiernikiem?

Cassie machnęła lekceważąco ręką.

- Ich małżeństwo nie było udane. Matka zmieniła je w pole bitewne. Ja nie będę miała tego problemu. Więc jak: weźmie pani tę sprawę?

- Jest jeszcze jeden problem - powiedziała Jenny. - Znam osobiście Scotta Sterlinga.

- Boże, a kto go nie zna?! - wykrzyknęła Cassie. - Znam go od czasu, gdy uczyłam się chodzić. A w każdym razie jeździć. Dlatego wiem, że stoi za tym Curtis. Scott sam by tego nie wymyślił. - Splotła dłonie i położyła je na stole. - A więc? Będzie mnie pani reprezentowała?

Jenny wstała i wsparła się o krzesło. Boenning obserwował ją, zdradzając pierwsze oznaki zniecierpliwienia.

- Z przyjemnością bym to zrobiła, pani von Berg odezwała się w końcu. - Ale uważam, że pozwanie Curtisa Masona byłoby w tym momencie błędem.

Rysy Cassie pozostały tak gładkie, jak jedwabiste pasma jej koka, ale szare oczy się zachmurzyły.

- Rozprawa między Masonem a Harding & McMann jest już w toku - wyjaśniła Jenny. - Jej wynik wpłynie na pani sytuację. Mason może zostać oczyszczony z zarzutów: to znacznie osłabi pani pozycję.

- A jeżeli nie zostanie oczyszczony?

- W takim wypadku adwokat doradzi mu, żeby się sam wycofał. Jeżeli odmówi, wystąpimy przeciwko niemu.

Na twarzy Cassie ukazało się zrozumienie, wolno skinęła głową.

- Uzyskam kopie pism procesowych i protokół przesłuchania - powiedziała Jenny. - Będę monitorowała proces. Potem ustalimy strategię.

Twarz Boenninga wyrażała powątpiewanie i Jenny pomyślała, że pewnie oblicza, ile stracą, monitorując proces, zamiast go wytoczyć.

- Cassie? - ponaglił klientkę.

- Proszę to zrobić. - Catherine zwróciła się do Jenny.

- Otwieram akta - powiedział Boenning.

8

Była na piętrze, kiedy pies zaczął ujadać na ciężarówkę, która wyjechała z Coventry Road. Jenny otworzyła okno i wychyliła się, żeby go zbesztać. Powinien się już przyzwycząić do pojazdów mijających wozownię. Odkąd ustaliła się ładna pogoda, ekipy budowlane rozpleniły się niczym termity na wzgórzu starej posiadłości. Ale tym razem był to biały wóz meblowy, który wjechał na dziedziniec. Drzwi po stronie pasażera otworzyły się i z wozu wyskoczyła Leslie.

- Halo! Na co wam ta ciężarówka?! - zawołała Jenny.

Leslie odchyliła głowę, żeby zobaczyć coś zza ronda wielkiego słomkowego kapelusza.

- Cześć! - Jej ramię wystrzeliło w górę, pomachała do Jenny.

Z szoferki wygramolił się Bruce.

- Pomyśleliśmy, że skoro już tu jesteśmy, zabierzemy szafę! - krzyknął.

- Wspaniale! Wejdźcie! Zaraz schodzę.

Nie poczuła się zaskoczona, widząc między nimi Scotta Sterlinga. Leslie i Bruce wyglądali jak dwa koty, które połknęły tego samego kanarka.

- Cześć, Scott, miło cię znowu widzieć - powiedziała Jenny.

- Cześć, Jenny. Co słychać?

Leslie zrzędała miną.

- Wy się znacie?!

- Pewnie! - odparła Jenny. - Jesteśmy kolegami-ornitologami.

- A właśnie! Jak się miewa nasz pacjent? - zapytał Scott.

- Chodź, sam się przekonasz.

Jenny zostawiła Leslie i Bruce'a na pastwę ciekawości i zaprowadziła Scotta do wozowni. Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, wybuchli śmiechem.

- Nic im nie powiedziałeś!

- Nic. Zorientowałem się, że ty też nie, więc siedziałem cicho.

Pies wcisnął się do garażu za nimi i Scott przyklęknął na jedno kolano.

- Cześć, facet - powiedział z czułością, klepiąc psa w bok.

- To Sam.

- Witaj, Sam - powtórzył Scott miękko. Pies popatrzył na niego z uwielbieniem i polizał w twarz.

- Masz rękę do zwierząt - zauważyła Jenny.

Scott wzruszył ramionami.

- Po prostu kocham.

Pokazała mu drewnianą skrzynkę, w której urządziła gniazdo dla gołębic. Zagruchała cichutko, kiedy Scott się nad nią pochylił.

- Dobrze wygląda. Wspaniałe gniazdo. - Sięgnął do środka i ptak bez namysłu wskoczył mu na rękę.

- No, no! - powiedziała Jenny z podziwem.

- To zasługa tego miejsca. Myślę, że ona czuje się tu bezpiecznie. - Objął wzrokiem skrzynię, wozownię, cały dom.

- A ja myślę, że to jednak twoja zasługa. Powinien pan jeździć na wizyty domowe, doktorze.

Scott popatrzył na nią.

- Może powinienem. - Ich oczy się spotkały. Potem Scott włożył gołębicę z powrotem do skrzynki.

Ruchem głowy Jenny wskazała drzwi.

- Nie powinniśmy wrócić i ukrócić ich męki?

Uniósł łobuzersko brwi.

- Najpierw musimy opracować naszą historyjkę. Co na to powiesz? Poznaliśmy się na wycieczce ornitologicznej w Górach Skalistych...

- Zauważyliśmy orla unoszącego tę bezradną gołębicę do swojego gniazda...

- Na szczycie Pikes! Zgłosiliśmy się na ochotnika, by ją uratować. Umocowaliśmy liny zabezpieczające...

- I wspieliśmy się na zbocze. Zaczął padać śnieg, ale my pieliśmy się coraz wyżej. Nasze skostniałe dłonie krwawiły...

- Aż dotarliśmy do gniazda, gdzie orzeł właśnie zamierzał zatopić kły w gołębicę...

- Czy orły mają kły? - przerwała mu Jenny.

- Nie, ale Bruce i Leslie nie będą o tym wiedzieli.

Roześmiała się, zachwycona, i wzięła Scotta pod rękę.

Po śniadaniu Bruce i Scott zajęli się załadunkiem szafy, a Leslie zaciągnęła Jenny na górę na babską pogaduchę. Rozłożyły się na łóżku Jenny, jak za dawnych czasów, i Leslie uraczyła przyjaciółkę opowieściami o niekończących się białych plażach, wyspiarskiej muzyce i cudownym tropikalnym sarongu, który odkryła w małym sklepiku i który stał się przebojem jej zimowej kolekcji plażowej.

- A co u ciebie? - zapytała, kiedy wyczerpała temat. - Jak rozprawa?

- Skończyła się - powiedziała Jenny bez emocji.

Leslie popatrzyła na nią spod oka.

- Coś się w tobie zmieniło...

- Co masz na myśli?

- Coś się zmieniło - powtórzyła Leslie, tym razem tonem pełnym podejrzliwości.

- Rzeczywiście mam dla ciebie nowinę.

Leslie rozłożyła dłonie.

- No, strzelaj!

- Jestem w ciąży.

Usta i oczy Leslie utworzyły trzy idealne kółka.

- O, mój Boże! Jenny! - Wyskoczyła z łóżka. - Czy on wie?

- Dlaczego jest to pierwsze pytanie, jakie ci przyszło do głowy?

- O mój Boże! Nie powiedziałaś mu!

- To nie jego interes.

- Ale on jest odpowiedzialny...

- Ja jestem odpowiedzialna.

- Dobrze, już dobrze. - Leslie uniosła ręce, jakby zamierzała się poddać. Potem opadła z powrotem na łóżko. - Koniec dyskusji. Ale pozwól chociaż, żebym z tobą poszła. Kiedy zamierzasz...?

Jenny podniosła się i podeszła do toaletki.

- Postanowiłam, że nie usunę ciąży.

Cisza zdawała się nabrzmiewać za jej plecami. Kiedy Jenny się odwróciła, Leslie siedziała na łóżku jak skamieniała. Pierwsza poruszyła się głowa. Leslie pokręciła nią powoli, potem z większą werwą.

- Nie! - zawołała. - Nie możesz sobie tego zrobić! Skończyłaś dopiero dwadzieścia siedem lat! Nie masz nawet zegara biologicznego. Dlaczego chcesz zmarnować sobie życie?!

- Zmarnuję je, jeżeli nie urodzę tego dziecka.

- To śmieszne!

- Leslie, przeżyłam miłość życia i ona się bardzo źle skończyła, wręcz fatalnie. Nie rozumiesz? Jeżeli zrobię aborcję, zakończenie będzie tragiczne. Już nigdy nie zdołam tego odwrócić.

- Uważasz, że urodzenie nieślubnego dziecka będzie szczęśliwym zakończeniem? Nie ma tak dobrze!

- Postaram się, żeby tak właśnie było. Zmienię swoją nieszczęśliwą miłość w coś, co mi da największe szczęście na ziemi.

Leslie zacisnęła wargi.

- Kiedy?

- Koniec października.

Leslie dokonała w myśli obliczeń i rzuciła jej złe spojrzenie.

- To już początek drugiego trymestru. W zasadzie za późno, żeby cię namawiać na zabieg.

- W zasadzie. - Jenny odwróciła się do lustra i sięgnęła po szczotkę do włosów.

Leslie potrząsnęła bezradnie głową, potem zaświtała jej nowa myśl.

- Jeżeli zamierzasz urodzić, musisz mu powiedzieć!

- Nie muszę. - Jenny czesała włosy krótkimi, gniewnymi pociągnięciami szczotki.

- To jakbyś go okradała.

Jenny pobladła. Bez wątpienia popełniała kradzież. Było w tym coś haniebnego, jak obcięcie kosmyka włosów śpiącemu człowiekowi. Ale jeżeli było to przestępstwo, to przestępstwo uzasadnione. Dan mógł złamać jej serce, ale nie powinna pozwolić, by złamał jej życie.

Leslie wstała.

- Musimy już jechać. Bruce obiecał zwrócić ciężarówkę do południa.

Zeszła za nią na parter, zasmucona. Powiedziały sobie albo zbyt wiele, albo za mało. Jedno było pewne: na dziś skończyły rozmawiać, może nie tylko na dziś.

Kiedy wyszły na dziedziniec, szafa stała już w ciężarówce, a panowie zamykali drzwi. Leslie odciągnęła Bruce'a na bok i coś mu klarowała przyciszonym głosem. Bruce skinął głową.

- Gotowy do drogi?! - zawołał do Scotta.

- Już?

Scott spojrzał na Jenny, a ona pokręciła głową.

- Dzięki za wspaniałe śniadanie! - zawołał Bruce, kiedy wsiadali z Leslie do szoferki.

Scott wziął Jenny za rękę.

- Ja też dziękuję - powiedział. - Nawet nie wiesz, jak bardzo potrzebowałem uciec z domu, od rodziców i spędzić jakiś czas wśród przyjaznych twarzy.

- Tak tam źle? - zapytała miękko.

Wzruszył ramionami.

- Ojciec ze mną nie rozmawia. Nie robi wyrzutów, ale i nie rozmawia.

Bruce nacisnął klakson, ale Jenny przytrzymała na chwilę dłoń Scotta.

- Kiedy złoży pan domową wizytę, doktorze? - zapytała.

Twarz mu się rozjaśniła.

- Jutro wieczorem?

- Jesteśmy umówieni.

Scott wsiadł do wozu i Bruce włączył silnik.

- Prawie zapomniałam! - powiedziała Leslie, przechylając się przez męża. - Mam namiar na nową współlokatorkę dla ciebie. Siostra kolegi z pracy...

- Nie, dzięki - powiedziała Jenny. - Postanowiłam mieszkać sama.

Leslie zacisnęła wargi.

- Uważam, że popełniasz wielki błąd.

Cofnęła się i wóz wytoczył się dziedzińca. Tylko Scott Sterling pomachał Jenny na pożegnanie.

9

Był dla mnie jak syn!

Na zeznanie Curtisa Masona składała się seria grzmiących deklaracji okraszonych wykrzyknikami. Siedział z Perlmanem, metr od Dana, oddzielony

jedynie wypolerowaną powierzchnią mahoniowego stołu. U jego szczytu siedziała protokółantka sądowa ze swoją maszyną.

Na widok Perlmana Dan zrozumiał, że postąpił słusznie, wyznaczając przesłuchanie na poniedziałkowy poranek. Doszły go słuchy, że Perlman trochę za dużo imprezuje ostatnimi czasy. Tego dnia przyszedł na salę konferencyjną razem ze swoim weekendowym kaczem.

Ale obok Perlmana siedział jego nowy asystent, Jerry Shuster, zwarty i gotowy. Nieustannie podsuwał mu liściki, a Perlman studiował je pilnie. Dan też traktował Shustera poważnie. Był rezerwistą, powołanym do służby czynnej podczas wojny w Zatoce. Uczestniczył w walkach w Kuwejcie i stracił w nich ramię. Kiedy wrócił do Filadelfii, Perlman niezwłocznie podkupił go z dawnej firmy. Shuster miał wprowadzić tylko trzyletnią praktykę, ale jego prezencja na sali sądowej warta była lat doświadczenia.

Dan żałował, że nie ma przy sobie asystenta, który wyłapałby piłki, które on przegapi. W tej sprawie nie mógł sobie pozwolić na żadne błędy.

Jego pozycja w Foster Bell podupadła od czasu, gdy stracił Tramco. Było to coś więcej niż utrata zwykłego klienta. Mnóstwo ludzi w firmie zastanawiało się, jaką rolę w tym całym bałaganie odegrała Jennifer i ile jest w tym winy Dana. Zwycięstwo w obecnej sprawie było najlepszym sposobem podreperowania reputacji.

- W jakim sensie Scott Sterling był dla pana synem?

- Widziałem, jak dorasta. Byliśmy ze sobą blisko. Był ujmującym młodym człowiekiem, zawsze chętnym do nauki i ciężkiej pracy. - Mason parsknął donośnie. - Teraz wiem, że grał komedię. Wystawiał mnie od samego początku.

- A co było tym początkiem?

Przez cały dzień Dan zadawał pytania. Miał w osobie Masona nadgorliwego świadka, prawdziwy rarytas. Każdy dobry adwokat przygotowywał klienta do przesłuchania, zawsze według tej samej zasady: odpowiadać szczerze, ale tak zwięźle, jak się da, z niczym nie wyskakiwać, nie wdawać się w szczegóły. Perlman z pewnością udzielił tych instrukcji Masonowi, ale on miał niewyparzoną gębę i dużą potrzebę mówienia. Dan musiał wysłuchiwać jego przydługich opowieści. Wiedział, że otrzyma transkrypcję trzy razy dłuższą niż to konieczne, ale wiedział też, że prędzej czy później Mason powie za dużo.

- Przypuszczam, że przyjęcie u Eda i Margie, w zeszłym roku. Zdaje się, że w maju. Na ich farmie w Chester Springs.

- Scott też tam był?

- Aha. Przydybał mnie w sali bilardowej. Mówił, jak mu przykro z powodu śmierci Doody. Podstępny drań! Ale wtedy wziąłem to za dobrą monetę. Zawsze był grzecznym dzieckiem. Grzecznym! Potrafił każdego omotać! Potem zaczął o swojej karierze. Powiedział mi, że wkrótce spodziewa się zostać wspólnikiem Harding & McMann. Że robi w nieruchomościach, o czym nie wiedziałem. Myślałem, że pójdzie do firmy ojca, Phoenix Pharmaceuticals. To musiało nieźle wkurzyć Eda. Jego jedyny syn bierze się do praktyki, gdzie dogadza się starym paniusiom! Zauważyłem, jak Ed go traktuje - parę razy ostro go osadził. A Scooty! Za każdym razem wyglądał tak, jakby zaliczył w bebechy. Pod tym względem nic się między nimi nie zmieniło. Nie przepadali za sobą! Może jestem mięczak, ale żał mi było chłopaka, bo ten rozwód i w ogóle. Nawet nie wiem, kiedy zaproponowałem mu, żeby się zajął funduszem Doody.

- Miał pan już doradcę prawnego?

- Jasne. Dickinsona Barlowa. Zajmuje się moimi nieruchomościami.

- Jak mu pan wyjaśnił fakt powierzenia funduszu Sterlingowi?

Shuster zrozumiał, do czego prowadzi pytanie. Nie miał już czasu napisać tego Perlmanowi, nachylił się więc i zaczął mu szeptać do ucha. Ale w tym samym momencie Mason zaczął mówić.

- Powiedziałem, że znalazłem kogoś, kto będzie robił to, czego on nie chce. Codzienne formalności związane z powiernictwem, rozmowy z maklerem, wypisywanie czeków.

- A więc Dickinson Barlow nie chciał załatwiać codziennych formalności związanych z powiernictwem?

- Sprzeciw! - zawołał Perlman pośpiesznie, żeby uprzedzić swojego klienta. - Powołuję się na prawo do odmowy zeznań dotyczących klienta: doradzam nie odpowiadać.

- Bob, świadek odpowiedział na ostatnie pytanie: przywilej uchylony - odparł Dan i kiedy Shuster potrząsnął głową, Perlman dał spokój.

- Przeczytaj pytanie panu Masonowi, Beverly.

Beverly wyciągnęła taśmę stenograficzną i odczytała pytanie bezbarwnym tonem, jakiego używają stenografowie sądowi, żeby zademonstrować swoją neutralność. Mason słuchał z przymrużonymi oczami. Podejrzewał zasadzkę, ale się jej nie dopatrywał.

- Nie chciał - odpowiedział.

- Czyli, pan również nie chciał zająć się formalnościami związanymi z funkcją powiernika?

- Chryste, nie mam czasu na takie brednie!

- Scott Sterling chciał zająć się formalnościami związanymi z funkcją powiernika, czy tak?

- Oczywiście, że tak! - wrzasnął Mason. - W ten sposób planował ukraść moje pieniądze!

Tu nastąpiła kolejna przemowa, a kiedy Mason w końcu umilkł, Dan zarządził przerwę.

Kiedy wznowiono przesłuchanie, Perlman był już bardziej przytomny. Dan przypuszczał, że spryskał twarz zimną wodą. Domyślił się również, że zbeształ klienta, ponieważ Mason, zajmując miejsce przy stole, rzucał wokół wściekłe spojrzenia.

- Czy wszystkie środki funduszu były na koncie w Connolly & Company?

- Tak.

- Akcje Macoal Corporation też?

- Też.

- Czy latem 1994 ktoś miał większy udział w Macoal Corporation niż fundusz powierniczy Elizabeth Mason Chapman?

- Nie.

- Czy środki funduszu obejmowały również inne papiery wartościowe?

- Tak.

- A także gotówkę?

- Tak.

- Czy konto w Connolly oferuje prawo wystawiania czeków w oparciu o saldo gotówkowe?

- Tak.

- Czy чеki można wystawiać również w oparciu o cenę rynkową papierów wartościowych zdeponowanych na tym koncie?

- Tak, ale to jest pożyczka pod zastaw papierów. Traci się na różnicy oprocentowania.

- A więc chciał pan tego uniknąć?

Mason rzucił mu udręczone spojrzenie.

- Panie Casella, fundusz Doody był wart dziesięć milionów dolarów. Z tego płaci się co miesiąc dwadzieścia tysięcy Reese'owi, a Catherine jeszcze mniej. Po jaką cholere pożyczasz pieniądze i płacić odsetki?

- W jaki sposób wypłacano pieniądze panu Chapmanowi i jego córce?

- Cekami, oczywiście.

- Z konta u Connolly'ego?

- Tak.

- Kto był w posiadaniu tych ceków do maja ostatniego roku?

Mason popatrzył na niego czujnie.

- Ja.

- Kiedy oddał je pan Scottowi Sterlingowi?

Mason spojrzał na Perlmana, ale nie otrzymał żadnego sygnału.

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Jakoś tak latem.

- Latem 1994 roku?

- Tak.

- Jakich instrukcji udzielił pan Scottowi Sterlingowi w związku z cekami?

Mason czekał na to pytanie i był na nie przygotowany.

- Proszę posłuchać! Wiem, co pan próbuje zrobić! Próbuje pan wykazać, że zaniedbałem obowiązki powiernicze, ponieważ przekazałem Scottowi prawo wystawiania ceków!

Strząsnął dłoń, którą Perlman położył mu na ramieniu.

- Niech pan posłucha! Przez piętnaście lat kierowałem firmą z listy Fortune! Na pewno by mi się to nie udało, gdybym osobiście podpisywał każdy świstek. Kierowałem firmą przez podział funkcji! Miałem asystentów, wiceprezesów i kierowników, i to oni zajmowali się szczegółami. Nie zdobylibyśmy Zenco Gas, gdybym babrał się w detalach. Nie uniemożliwilibyśmy próby przejęcia przez Jacka Stengela, gdybym musiał odwalać sam całą robotę. Doody znała moje metody. Wiedziała, że powierzam szczegóły innym, a jednak mianowała mnie powiernikiem. Nie doszukasz się niczego, Casella, bo nic tu nie ma!

- Jakich instrukcji udzielił pan Scottowi Sterlingowi w związku z cekami? - powtórzył Dan.

Masonowi oczy wyszły na wierzch i Perlman znów położył mu dłoń na ramieniu.

- W porządku - powiedział Mason, sapiąc. - Kazałem mu płacić rachunki. Biegły księgowy, Harding & McMann, dwadzieścia tysięcy Reese'owi, Catherine, ile chciała.

- Czy uczynił pan Sterlinga sygnatariuszem?

- Upoważniłem go, to oczywiste.

- Zgodnie z tym upoważnieniem, jakim nazwiskiem miał podpisywać чеки?

- Moim.

Dan zmienił tor przesłuchania.

- Czy upoważnił pan również Scotta Sterlinga do sprzedaży pewnych papierów wartościowych w ramach funduszu?

- Jasne! Pewna liczba akcji musi być sprzedana, żeby zebrać gotówkę na wypłaty.

- Makler miał sprzedawać i kupować akcje na polecenie Sterlinga?

- Potrzebował upoważnienia. Podpisałem je.

Dan wyciągnął dokument.

- Proszę wciągnąć to na listę dowodów jako D-21 - zwrócił się do protokolantki.

Mason uniósł się z krzesła, próbując przeczytać nagłówek do góry nogami. Kiedy dokument został oznakowany, Dan wręczył go Perlmanowi. Mason wyrwał adwokatowi kartkę z ręki.

- Czy D-21 jest kopią upoważnienia, które pan podpisał? - zapytał Dan.

- Tak.

- Panie Mason, ciekawi mnie klauzula dopisana na maszynie na dole pierwszej strony, zaczynająca się od słów „Z zastrzeżeniem...”. Widzi pan to miejsce?

- Jasne. „Z zastrzeżeniem, że Scott Sterling nie ma prawa dokonywania operacji giełdowych w oparciu o akcje Macoal Corporation”.

- Z czyjej inicjatywy powstał ten dopisek?

- Z mojej, oczywiście. Posiadanie większości akcji Macoal jest kwestią życiową dla całej rodziny. Nie mogłem ryzykować.

O trzeciej nastąpiła kolejna przerwa i Dan przejrzał wiadomości telefoniczne. Rewident księgowy dzwonił o drugiej. Chciał przyjść natychmiast, coś mu pokazać. Dan wcisnął guzik interkomu.

- Betty, zadzwoń do Larry'ego Biggsa i powiedz mu, żeby wstąpił do mnie o czwartej trzydzieści, o ile wyrobi się w parę minut. Muszę wyjść o piątej, żeby zdążyć na mecz Tony'ego.

Pierwsze pytanie po przerwie brzmiało:

- Dlaczego nagrywał pan swoje rozmowy telefoniczne ze Sterlingiem?

Mason uśmiechnął się blado, rozprostował ramiona. Miał opracowaną odpowiedź.

- Z wygodnictwa. Nagrywałem rozmowy na taśmę, żeby je potem odegrać Dorrie.

- Dlaczego?

- Niech pan pamięta, że był dla niej jak syn. Cieszyła się, że tak dobrze mu idzie. Ale nie chciała brać udziału w naszych rozmowach, żeby sobie nie myślał, że wywieramy na niego presję. Więc nagrywałem rozmowy, a ona je odsłuchiwała.

- Dlaczego nie wymazał pan tych nagrań?

- Z lenistwa - powtórzył Mason. - Nigdy się nie nauczyłem obsługiwać tej cholernej maszyny. Myślałem, że cofam taśmę, ale okazało się, że ją przesuwałem do przodu. Dzięki temu nagrania się zachowały.

- Jak pan odkrył ten szczęśliwy zbieg okoliczności?

Mason odebrał sarkazm, ale postanowił go zignorować.

- Kiedy wszystko wyszło na jaw, pomyślałem o kłamstwach Scotta i zacząłem się zastanawiać, czy coś się nie zachowało na taśmach. Odegrałem je i okazało się, że są wszystkie!

- Ma pan trzy rezydencje, prawda, panie Mason?

- Tak.

- W której jest automatyczna sekretarka?

Mason jakby się przestraszył.

- W Devon.

Dan zobaczył, jak Shuster wysmarowuje kolejną notatkę. Przynajmniej jedna rozmowa zarejestrowana na taśmie odbyła się w Maine. Mason był na Florydzie, kiedy sprawa wyszła na jaw i przyleciał do domu w dniu, kiedy Perlman ogłosił istnienie nagrań.

- Kto decydował o tym, ile pieniędzy otrzyma Catherine każdego miesiąca?

- Ja. - Mason odchylił się na krześle i splótł dłonie na piersiach. Wiedział, że do końca przesłuchania została tylko godzina i odprężył się, widząc koniec udręki.

- A więc co miesiąc dzwonił pan do Sterlinga i mówił mu, na jaką kwotę ma wystawić Catherine czek?

- Nie, On mówił mi, o ile prosiła, a ja mówiłem „tak” lub „nie”.

- Przed, czy po wypisaniu czeku?

- A skąd mam to wiedzieć? - zniecierpliwił się Mason.

- Więc nie wiedział pan, czy Sterling już wypisał Catherine czek?

- Wydawało mi się logiczne, że nie.

- Proszę odpowiedzieć „tak” lub „nie”.

- Nie.

- I nie wiedział pan, czy Sterling stosuje się do pana instrukcji odnośnie sum, na jakie wystawiał чеки Catherine?

- Oczywiście, że wiedziałem.

Zawahał się przed następnym pytaniem, znając odpowiedź. „Ufałem Scottowi - był dla mnie jak syn. Wierzyłem mu, pracował w szanowanej firmie”. Mason powtarzał tę śpiewkę przez cały dzień i Dan nie był pewny, czy ma ochotę usłyszeć ją jeszcze raz.

- Skąd pan wiedział? - zapytał mimo wszystko.

- Te kwoty figurowały na cholernych wyciągach, jakie Connolly wypłuka z siebie co miesiąc. Doskonale wiedziałem, ile pieniędzy dostaje Catherine.

Shuster aż syknął.

- Otrzymywał pan miesięczne informacje od Connolly & Company o stanie konta funduszu?

- Jasne! - Mason wzruszył ramionami i zerknął ponownie na zegarek.

Siedząc sam w biurze u schyłku dnia, Dan starał się opanować podniecenie. Istniało prawdopodobieństwo, że Masona zawodzi pamięć. Sterling powiedział, że wyciągi przychodziły do niego, adresowane na Curtisa Masona, do wglądu Scotta Sterlinga. Mason mógł mieć na myśli wyciągi z osobistego konta. „Tylko w jeden sposób mogę się tego dowiedzieć”, pomyślał Dan i wykręcił numer Briana Kearneya w Connolly & Company.

- Brian - powiedział, kiedy udało mu się przebić przez sekretariat. - Szybkie pytanie. Mógłbyś sprawdzić w komputerze, dokąd idą wyciągi z konta funduszu Chapmana?

- Poczekaj. Tak, już mam: Curtis Mason, powiernik, do wglądu Scotta Sterlinga, Harding & McMan. Chyba o tym wiedziałeś?

- Słyszałem.

- Jest jeszcze znaczek duplikacyjny - powiedział Kearney.

- Co?!

- Konto jest oznakowane. Ma podwójne wyciągi. Drugi szedł do Curtisa Masona, powiernika, na adres Gladding Lane jeden, Devon.

Dan wyprostował się na krześle.

- Od kiedy?

- Zaraz, zaraz... Znaczek pojawił się w tym samym czasie, co nazwisko Sterlinga. Czerwiec 1994 roku.

- To udokumentowane?

- Jasne.

Interkom zadzwonił w chwili, gdy Dan odłożył słuchawkę. Głos Betty wypełnił pokój.

- Przyszedł pan Biggs.

- Zaprowadź go do sali konferencyjnej. I jeszcze coś... Zostań z nami. Może trzeba będzie coś zanotować.

Larry Biggs był młodszy od niego i niemal zupełnie łysy. Cieszył się opinią jednego z najlepszych rewidentów księgowych w mieście. Kiedy Dan wszedł do sali konferencyjnej, Biggs miał już przed sobą rozłożone arkusze.

- Witaj, Larry, co nowego?

- Ten wyciąg bankowy, na początek - powiedział Biggs, wodząc palcem po papierach.

- O co chodzi?

- Wiesz, że sprawdzamy wszystkie wpływy gotówkowe na koncie Sterlinga w Savers Bank?

- Tak, żeby ustalić, ile z tych pieniędzy pochodzi z funduszu, a ile jest jego własnych.

- No więc, sprawdziliśmy wpłatę, która wpłynęła w grudniu 1993. Doprowadziła nas do innego konta, w banku w Atlantic City.

- No i? - Dan odszukał już wzrokiem pozycję na arkuszu i przygotował się duchowo na to, co Biggs miał do powiedzenia.

- Okazało się, że jest to konto Sterlinga. I wykazuje...

- Wpływy gotówkowe - dokończył Dan, przesuwając palcem wzdłuż kolumny cyfr. - Wpłaty po dziesięć tysięcy dolarów. W sumie... Ile tego jest, Larry?

- Sto dwadzieścia tysięcy dolarów - powiedział księgowy. - Nie wiadomo, skąd pochodzą te pieniądze.

Dan wyprostował się wolno. Spojrzał najpierw na księgowego, potem na Betty.

- Ta informacja nie ma prawa wydostać się z tego pokoju - powiedział.

10

Jenny wróciła do domu wcześniej, niezbyt zmęczona po dniu w biurze, a jednak wyczerpana. Głębokie, odepiające zmęczenie sprawiało, że pragnęła tylko zwinąć się w kłębek i przespać resztę życia.

- To organizm z panią rozmawia - powiedział lekarz. Niestety, nie chciało się jej rozmawiać z organizmem.

Scott był w ogródku i ta świadomość dodała lekkości jej krokom. Białe i różowe niecierpki kwitły w skrzynkach stojących wokół frontowej werandy, a w drzwiach błyszczały nowe mosiężne zamki. Choć starej wozowni zostało tylko parę miesięcy życia, Scott dbał o nią, jakby miała trwać wiecznie. Może było to głupie, niepraktyczne i krótkowzroczne, wyrzucanie pieniędzy, ale jego optymizm podnosił ją na duchu.

- Halo! - zawołała. Zapach pieczonego kurczaka wypełniał dom, na stole stał wazon ze świeżymi peoniami. Jenny wciągnęła z upodobaniem powietrze. Wyszło na to, że nie mogła zrobić nic mądrzejszego, niż pozwolić Scottowi zająć dawny pokój Leslie.

Usłyszała śmiech dobiegający z dworu, odwróciła się i zobaczyła Scotta i psa mocujących się na trawie. Scott bawił się jak mały chłopiec i Jenny patrzyła na to z uśmiechem. Wyszła na zniszczone patio. Gołębica przysiadła na starym dereniu. Jej skrzydło się zrosło, mogła odlecieć, kiedy tylko chciała. Woląa zostać.

- Cześć! - Scott podniósł się z ziemi i otrzepał spodnie. - Jak minął dzień?

- W porządku. Cieszę się, że jesteś w domu. Mam dokumenty pro se gotowe do podpisu.

Jego radość wyraźnie przygasła.

- Czy to pro se oznacza, że mam to zrobić osobiście?

- Och, bądź cicho i chodź do środka.

Otworzyła aktówkę i rozłożyła na stole dokumenty: odpowiedź pozwanego Scotta M. Sterlinga na skargę powoda, odpowiedź pozwanego Scotta M. Sterlinga na wniosek powoda o przyspieszenie terminu rozprawy. Na wszystkich widniało miejsce do podpisu.

Usiadł i zaczął czytać.

- Jesteś pewna, że nie będziesz miała przez to kłopotów?

- Nie reprezentuję cię. Pomagam tylko przyjacielowi.

- Może w ogóle nie powinienem o nic występować. - Wsparł głowę na dłoni i potarł czoło. - Może powinienem pozwolić, żeby skazali mnie za defraudację. I tak nie mam już niczego, co wujek mógłby ode mnie wyegzekwować.

Scott! - Czasem zdumiewała ją jego naiwność. - Taki wyrok obowiązuje latami. Mason będzie mógł przejąć wszystko, czego dorobisz się w przyszłości - także twoje wypłaty z funduszu powierniczego, które zaczną ci przysługiwać za parę lat.

- Co z tego?

- Scott! - powiedziała Jenny stanowczo. - Jeżeli nie chcesz myśleć o sobie, pomyśl przynajmniej o swojej córeczce.

Pies przysiadł obok, położył mu nos na kolanach. Scott pogłaskał go odruchowo.

- Może masz rację.

- Podpisz tutaj. - Wskazała miejsce na ostatniej stronie każdego dokumentu.

- Pierwszą stronę także?

- Nie, głuptasie! - Roześmiała się. - To nie są testamenty. Jutro rano zanieś je do budynku sądu federalnego. Wiesz gdzie? Sixth and Market, na drugim piętrze.

- A to co? - zapytał, kiedy doszli do ostatniej pozycji.

- Perlman wystąpił o przyspieszenie procesu. To jest twój sprzeciw.

- Aleja się nie sprzeciwiam. Im prędzej to się skończy, tym lepiej.

- Twój adwokat uważa, że prokurator czeka na wynik sprawy cywilnej, żeby wysunąć oskarżenie. Im dłużej potrwa proces, tym dłużej będziesz na wolności.

- Czy to ma znaczenie?

Była znużona jego niekończącym się samobiczowaniem.

- Dla mnie ma.

Bez słowa podpisał papiery.

Jedli na patio, podczas gdy wzgórze powoli spowijał zmierzch, a wewnątrz barakowozów zapalały się światelka. Szkielety dwóch nowych domów majaczyły na tle ciemniejącego nieba. Jenny patrzyła z rozpaczą na postępy budowy. Wraz z terminem zasiedlenia osiedla Dundee, zbliżał się termin wyprowadzki ze starej wozowni.

- Myślałaś już o tym, gdzie zamieszkasz? - Scott jakby czytał w jej myślach.

Potrząsnęła głową.

- Muszę tyle zaplanować, że nie wiem, od czego zacząć.

Obserwował ją, kiedy jadła kurczaka.

- Rozmawiałaś ostatnio z Leslie?

- Nie, dlaczego?

- Nie wiem. Pomyślałem, że może przydałby ci się teraz przyjaciel.

Przez chwilę zastanawiała się, co Scott ma na myśli, potem zrozumiała. Z wrażenia odchyliła się na oparcie krzesła.

- Wiesz?! - wykrzyknęła.

Skrzywił się i skinął głową.

- Skąd?

- Powiedziałaś, że dopiero poniesiesz konsekwencje swojego błędu, a to jedyny błąd, jaki w moim przekonaniu mogłaś popełnić. Poza tym, były inne objawy. Nie zapominaj, że mam doświadczenie.

Jenny wstała i przeszła na skraj patio. Wysokie trawy skoszono na wysokość paru centymetrów. Krajobraz zmieniał się tak szybko, że za nim nie nadążała.

- Wiem, że Leslie nieczęsto się teraz pokazuje...

- Nie aprobeuje mojej decyzji.

- A jaka jest ta decyzja?

- Urodzić dziecko i je wychować.

Wiatr przemknął przez łąki, dereń zadrżał i obsypał kwiatami jak śniegiem ceglane patio. Scott podszedł do Jenny i otoczył dziewczynę ramionami. Kołysał się łagodnie, razem z nią, jakby w rytm wiatru.

- Jesteś zadziwiająca - powiedział miękko.

Odwróciła się ku niemu.

- Nie uważasz, że to głupie?

Gołębica przefrunęła przez patio i usiadła na stole, żeby uraczyć się resztkami ich obiadu.

- Co może być głupiego w urodzeniu dziecka? To najwspanialsza rzecz pod słońcem.

Jenny spojrzała w jego jasne oczy i ujrzała tam swoje odbicie. Byli jak dwa poranione gołębie, Scott i ona, czekające, aż poturbuje je następna burza.

- Co do jednej rzeczy się mylisz - powiedziała Jenny.

- Mianowicie?

- Nie potrzebuję przyjaciela. - Otoczyła Scotta ramionami i wsparła głowę na jego piersiach. - Już go mam.

11

Ruszał się! - zawołał Dan z holu. - Spóźnimy się na kolację.

- Już idę! - odkrzyknął Tony.

Wyszedł ze swojego pokoju ubrany w obszerne dżinsy opuszczone nisko na biodrach, T-shirt założony na lewą stronę i adidasy z rozwiązanymi sznurowadłami. Dan skrzywił się, ale nic nie powiedział. Wiele się nauczył przez tych parę miesięcy, między innymi walczyć tylko o ważne pozycje. Na dłuższą metę nie było istotne, w co Tony ubierze się na kolację u matki, byle miał przyjemny wyraz twarzy, a zapowiadało się, że tak będzie.

Wyjechali z ciemnego, podziemnego garażu na jasne, piękne popołudnie, minęli misterne kwiatowe rabaty na placu Waszyngtona i znaleźli się w betonowym, południowym mieście, gdzie zmianę pór roku widać jedynie w kartonowych skrzynkach na parapetach okien.

- Dawno tu nie byliśmy - zauważył Dan, wysiadając z samochodu. Mieli do przejścia dwie przecznice.

Brat obrzucił szybkim spojrzeniem swoją postać w oknie wystawowym i przesunął o centymetr czapkę baseballową.

- Chyba tak.

Właściwie nie byli tu od stycznia, jeżeli nie liczyć kilku przelotnych wizyt. W pewnym momencie Tony przestał domagać się wyjazdów do domu. Dan zastanawiał się dlaczego, ale uznał, że lepiej nie pytać.

Zapukał i drzwi otworzył Mike di Maio.

- Wprowadziłeś się, czy jak?

- Hej! Siedzę pod drzwiami. Miałem pozwolić, żeby twoja matka biegła tu z kuchni?

Teresa pojawiła się u jego boku.

- Michael, nie zwracaj na niego uwagi. Robi zamieszanie, żeby nikt nie zauważył, że spóźnił się o piętnaście minut. - Rzuciła bratu spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

- To wina Tony'ego - odparł Dan. - Miał kłopoty ze skomponowaniem stroju. Prawda, Tony?

- Klóćcie się beze mnie. Ja spadam. Mamo! - zawołał.

- Tutaj, kochanie! - dobiegł z kuchni głos Mary.

- Pogadajcie sobie - powiedziała Teresa i poszła za Tonym.

Dan i Mike zmierzyli się wzrokiem.

- Prosiłbym, żebyś usiadł - powiedział Mike - ale to nie mój dom.

- Siadaj, Mike.

Zajął miejsce na kanapie, ominąwszy honorowy fotel, który zagarnął Dan.

- Chłopak dobrze wygląda - zauważył.

- I świetnie sobie radzi. Właśnie ma egzaminy. Skończy rok z przeciętną cztery i pół. Może nawet pięć z minusem.

- Miło słyszeć. Nie szwenda się?

Dan się najeżył.

- Nie. I z marginesem też się nie zadaje, jeżeli chcesz wiedzieć. Kto mianował cię kuratorem, di Maio?

Mike uniósł dłonie.

- Dobra, w porządku. Wycofuję pytanie.

Teresa przyniosła im po butelce piwa i usadowiła się na kanapie obok policjanta.

- Dostałeś transkrypcje z przesłuchania Masona? - zapytał Dan.

- Tak, dzięki. Interesująca lektura.

- Pouczające doświadczenie. Nigdy jeszcze nie miałem świadka z takim słowotokiem. Niektóre odpowiedzi zajmują dwie strony maszynopisu. Perlman był bliski apopleksji.

- Ten twój Scotty... Mason robi z niego zaklinacza węży.

- To się zgadza - przyznał Dan. - Scott jest zaklinaczem, Mason wężem.

Mike wzruszył ramionami.

- To, co mówi, brzmi dość przekonująco.

Brak zgody był dla Dana chlebem powszednim, w ten sposób zarabiał na życie, ale nie spodziewał się tego we własnym domu.

- Przekonująco dla ciebie - powiedział. - Wiesz dlaczego? Bo Mason myśli jak glina.

- Czyli jak? Wolno i schematycznie?

- Co robisz, kiedy przyłapiesz podejrzanego na gorącym uczynku?

Mike potrząsnął głową, odmawiając podjęcia walki.

- Powiem ci - ciągnął Dan. Odkurzasz wszystkie swoje nierozwiązane sprawy i przypisujesz je temu jednemu podejrzanemu. Jest winny jednego przestępstwa, może przysięgli kupią resztę.

Mike potrząsnął głową i przewrócił oczami.

- Mamy więc Sterlinga - mówił dalej Dan. - Złapany na gorącym uczynku, z łapami w słoiku marmolady. Z drugiej strony mamy Masona, miotającego się od jednej poronionej inwestycji do drugiej. Dlaczego nie obciążyć Scotta wszystkim jak leci?

Mike rozważał przez chwilę argument, potem pochylił się do przodu, wspierając łokcie o kolana.

- Powiem ci dlaczego. Bo kupuję tę historię z ojcem i synem.

- O co w tym chodzi? - zapytała Teresa.

- Mason twierdzi, że byli jak ojciec i syn - wyjaśnił Mike. - Sam nie ma dzieci, a Scotty'emu nie układa się z własnym starym. Lgnęli do siebie.

- To wersja Masona - wtrącił Dan. - Tylko w ten sposób może wytłumaczyć, dlaczego kupił coś, w co człowiek zdrowy na umyśle nigdy by nie uwierzył.

- Jeżeli ten facet był dla niego jak syn, musi się czuć strasznie oszukany - powiedziała Teresa. Mike objął ją ramieniem, a ona uśmiechnęła się i przytuliła mocniej.

Dan zrezygnował. Rozsiadł się i pociągnął łyk piwa.

- Skoro mowa o Scottym - zagadnął. - Wygląda na to, że stary wyrzucił go z domu. Słyszałem, że zaszył się gdzieś z dziewczyną na Main Line.

- Gdzie?

- Radnor, zdaje się.

- Kolacja gotowa! - zawołała Mary. - Siadajmy do stołu.

- Znajdź mi ten adres, dobrze? - poprosił Dan, kiedy szli do jadalni. - Zdejmij czapkę - rzucił Tony'emu.

Mike i Teresa trzymali się za ręce pod stołem. Nisko między krzesłami, ale Dan to widział i był zirytowany, chociaż nie potrafił powiedzieć dlaczego. Od lat miał nadzieję, że Teresa spotka porządnego faceta i teraz jego życzenie się spełniło. Z dnia na dzień stała się szczęśliwą kobietą.

- Tony! - powiedziała przy deserze, cała rozpromieniona. - Opowiedz nam o turnieju lacrosse'a.

Blask, który od niej bił, zdawał się opromieniać nawet Tony'ego.

- W tym sezonie mamy cztery zwycięstwa i jedną porażkę - oznajmił, opierając się łokciami na stole. - Jutro gramy z ubiegłorocznymi mistrzami, którzy mają tyle samo zwycięstw. Ale my prowadzimy z lepszym stosunkiem małych punktów i

mamy szansę na zdobycie tytułu. Trener powiada, że większe niż kiedykolwiek przedtem.

Dan trącił go łokciem.

- Powiedz, kto jest mistrzem strzelców w tym sezonie.

- Ja - brat uśmiechnął się skromnie.

- Tony, to wspaniale! - zawołała Teresa, a Mary pochyliła się, żeby go uściskać.

- Kiedy ja chodziłem do szkoły, lacrosse to był sport dla dziewczyn - powiedział Mike. - Chłopaki grali w baseball.

- Baseball to nuda w porównaniu z lacrosse'em - orzekł Tony. - Cały czas w jednym miejscu. A tu trzeba się ruszać.

- Daj spokój! - drażnił się z nim di Maio. - Baseball to wspaniały sport. O ile wiesz, co robisz.

- A ty pewnie wiesz! - rzucił Dan.

Teresa jęknęła.

- Żebyś wiedział! - odparł Mike.

Twarz Dana przybrała stanowczy wyraz.

- Tony, idź na górę i przynieś swój kij i piłkę.

- Pojedynek? - Mike roześmiał się.

- Przyjacielska rozgrywka. Na parkingu Pauliego, na rogu.

- Super! - Tony aż zapiszczał z radości i rzucił się ku schodom.

Dan i Mike patrzyli na siebie, starając się powstrzymać śmiech. Teresa wzniosła oczy do nieba.

- Hej! - huknął Tony w dół klatki schodowej. - Kto wymalował ściany? Wygląda super!

- Michael - powiedziała Teresa z uśmiechem. - Zainstalował też nowe oświetlenie.

- Ogromna różnica! - zachwyciła się Mary.

Mike wzruszył ramionami.

Dan odkrył ze zdumieniem, że gryzie go zazdrość. To ona była podłożem jego niechęci do Mike'a di Maio, ostatniego faceta na świecie, o którego mógłby być zazdrosny.

Tony zszedł na dół o wiele wolniej i zatrzymał się pod schodami.

- Kto był w moim pokoju? - zapytał napiętym głosem.

- Ja. - Mary wbiła wzrok w talerz. - Wiosenne porządki.

Tony nadal stał pod schodami i próbował czubkiem adidasa wydłubać dziurę w chodniku. Dan przeniósł wzrok z bladej twarzy chłopca na czerwone policzki matki i zrozumiał, że Mary coś znalazła. Wstała gwałtownie i odniosła swój talerz do kuchni.

- Gdzie sprzęt? - zapytał Dan brata.

- Nie mogłem znaleźć piłki.

- No to ganiaj do Pauliego i poszukaj. Zawsze znajdzie się jakaś w krzakach.

- Okay.

Tony odwrócił się i wyszedł.

- Mamo, posiedź z nami! - zawołała Teresa w stronę kuchni. - Pozmywa się później.

- Już, już idę! - odkrzyknęła Mary.

To pewnie pornografia, pomyślał Dan. Nie widział żadnego powodu, żeby zawstydząć matkę rozmową na ten temat. Ani ją, ani Tony'ego.

- Tereso, kochanie - powiedział Mike szeptem. - Chciałbym obgadać jedną drobną sprawę z Danem. Nie pogniewasz się?

- Oczywiście, że nie! - Uśmiechnęła się do niego promiennie. - Mamo, idę ci pomóc! - zawołała, wstając od stołu.

- O co chodzi? - zapytał Dan. - Jeżeli chcesz mnie prosić o jej rękę, odpowiedź brzmi „nie”.

Mike ruchem głowy wskazał drzwi do salonu i Dan poszedł tam za nim, zirytowany tajemniczością policjanta.

- Nie powinienem ci tego mówić - zaczął Mike.

- To nie mów.

- Sprawa przeciwko Sterlingowi nagle zrobiła się pilna. Mamy rozkaz skompletować dowody i wysunąć oskarżenie przed końcem lata.

Dan wybałuszył na niego oczy.

- Cholera! Nie damy rady zakończyć sprawy cywilnej przed wrześniem. Tylko tego mi trzeba, żeby Sterling stanął przed sądem w kajdankach i pomarańczowym ubranku.

- Wiem.

- Sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana, niż się wydaje. Dopóki nie dostanę Masona w krzyżowy ogień, nie wiadomo...

- To przez niego tak pilą. Twierdzi, że ktoś mu grozi śmiercią.

Dan najpierw wlepił w niego wzrok, potem się roześmiał.

- Daj spokój...

- Dwie groźby telefoniczne - przerwał mu Mike. - Męski głos, wyraźnie zniekształcony: „Wycofaj się z procesu i zrezygnuj z powiernictwa albo jesteś martwy!”

- Jezu! - Dan śmiał się ciągle. - Groźby śmierci w sprawie o nadużycie zaufania? Co będzie dalej? „Unieważnij kodycył albo złamiemy ci nogę?”

- Wiemy tylko to, co sam nam powie. Przyszedł z Perlmanem, roztrzęsiony i wściekły jak cholera. Zaproponowaliśmy, że weźmiemy numer na podsłuch, ale odmówił - powiedział, że to pogwałcenie prywatności. Założyliśmy mu tylko detektor. Twierdzi, że w czwartek wieczorem otrzymał drugi telefon, ten sam głos, ta sama treść.

- Nie mów! Trafiliście prosto do Sterlinga.

- Budka telefoniczna w Camden.

- Litości! - powiedział Dan z irytacją. - Nie widzisz, co on chce osiągnąć?

- Kapitan traktuje to poważnie. Pamiętasz, co się stało z psem? Tylko tego brakuje, żeby ukatrupili Masona, podczas gdy my będziemy się zabawiać.

Dan podeszedł do frontowego okna. Przez żaluzje widział Tony'ego opartego o dom na rogu. Zwlekał, żeby móc powiedzieć, że był u Pauliego.

- Sterling przyzna się do winy. Wiesz o tym - powiedział Dan.

- Może.

- To jest równoznaczne z przyznaniem się w sprawie cywilnej.

- Na to już nie mam wpływu.

Dan wypuścił głośno powietrze. Kryzysy były jego chlebem powszednim, rozwiązując je, zarabiał na życie. Będzie musiał znaleźć sposób, żeby przyspieszyć rozprawę z powództwa cywilnego i zakończyć ją, zanim Sterling zostanie oskarżony w procesie karnym.

- Dzięki za informację, Mike. - Ruszył do kuchni. - Hej, Teresa, odwieś ścierkę. W salonie czeka na ciebie jakiś paskudny facet.

Teresa wyminęła go, rzucając groźne spojrzenie. Dan chwycił ręcznik i poszedł do kuchni.

Mary stała przy zlewie, z rękami po łokcie w mydlinach. Miała problemy z kręgosłupem i jej skrzywiona postać znamionowała cierpienie.

- Usiądź, mam! - powiedział Dan. - Ja dokończę.

- Ha! - zawołała, nie odwracając się. - Co może wiedzieć o zmywaniu ktoś, kto żywi się z kartoników!

- To nie fair! Dobrze się odżywiamy. Nawet ty nie miałabyś zastrzeżeń.

- To dobrze. Chłopiec rośnie. Musi się właściwie odżywiać. Pamiętam, kiedy ty byłeś w jego wieku. Nie mogłam ci nastarczyć jedzenia. Stawałeś w otwartych drzwiach lodówki i jednym haustem wypijałeś pół litra mleka.

Dan ujął ją za ramiona i odwrócił ku sobie. Popatrzyła na niego z lękiem, potem spuściła oczy i udawała, że jest zajęta ścieraniem piany z rąk.

- Mamo, co znalazłaś w pokoju Tony'ego?

Wciągnęła powietrze i wypuściła je z krótkim szlochem.

- Danny, ja nie rozumiem... To dobry chłopiec, wiem to, i tak dobrze sobie teraz radzi. Wiem, że nie zrobił nic złego...

- Mamo, powiedz mi!

Podeszła do szuflady, którą w dzieciństwie nazywali rupieciarnią, bo trzymali tam sznurowadła, sznurki do latawców i różne żelastwo. Sięgnęła głęboko i wyjęła kopertę.

Dan odetchnął z ulgą. Bał się, że znalazła kolejny rewolwer, do pary z trzydziestką ósemką, której pozbył się w styczniu. Ale na szczęście była to tylko pornografia. Pożałował, że w ogóle wypytywał matkę.

- Pod jego łóżkiem jest obluzowana deska - powiedziała Mary. - Nastąpiłam na jeden koniec i drugi wyskoczył. To było pod spodem. - Podała kopertę Danowi.

- Porozmawiam z nim, mamo - powiedział, biorąc kopertę. - Nie ma się czym martwić. To zupełnie normalne, naprawdę nie...

Koperta miała niewłaściwy ciężar. Otworzył ją i zamrugał na widok zielonych papierków.

- Przeszło dwa tysiące dolarów - wyszeptała Mary.

Tony wiedział, że on wie. Wyszedł z windy i powlókł się za bratem korytarzem, do drzwi mieszkania. Wciągnął głośno powietrze, kiedy Dan przekreślił klucz. Wiedział równie dobrze jak on, że chwila nadeszła.

Dan pchnął drzwi i tym samym ruchem chwycił Tony'ego za kołnierz. Rzucił brata o ścianę i kopnięciem zatrzaskał drzwi. Tony uderzył głową o mur i łzy napłynęły mu do oczu, ale się nie odezwał. Wiedział.

- Czternastoletni chłopak może zdobyć takie pieniądze tylko na dwa sposoby - powiedział Dan chrapliwie, przez zęby. - Sprzedając narkotyki albo własny tyłek. Powiedz mi! Jesteś dzielnicowym handlarzem? Czy pozwalasz, żeby pieprzyły cię stare cioty?

- Ani jedno, ani drugie! - wyjąkał Tony.

- Więc je ukradłeś?

- Nie! Przysięgam!

Dan uderzył go otwartą dłonią w twarz i brat zaczął się osuwać po ścianie. Chwycił go za kurtkę i podciągnął, przybliżając twarz.

- Powiedz mi, do cholery! Skąd wzięłeś pieniądze?

Tony łapał powietrze otwartymi ustami, a łzy spływały mu po twarzy.

- Broń - wydusił z siebie. - Sprzedawałem broń.

Dan miał wrażenie, że serce przestało mu bić.

- Ale ich nie ukradłem! - dodał Tony pospiesznie, jakby to mogło coś zmienić. - Jeden gość... znalazł parę skrzynek na rampie załadowniczej. Zatarł numery seryjne, a ja i jeszcze paru chłopaków sprzedaliśmy gnaty. Podzielił się z nami forszą.

- Komu je sprzedajesz? - zapytał Dan szeptem.

- Dzieciakom w szkole.

- Ile?

Wzruszył ramionami.

- Z dziesięć, dwanaście sztuk. Góra piętnaście.

Dan chwycił go obiema rękami za kark. Bał się, że Tony sprzedaje pety z marihuaną. Teraz byłby za to wdzięczny. Rewolwer, który skonfiskował w styczniu nie był jednorazową fuchą. On robił w tej branży.

- Masz pojęcie, jakie to było głupie?! - krzyknął. - Z rewolwerów zabija się ludzi! Jakiś dzieciak w szkole wkurzy się na swojego kumpla i zamiast rozkwasić mu nos, wyciągnie gnata, którego mu sprzedajesz i odstrzeli mu pół głowy! A kiedy zrozumie, co zrobił, odstrzeli połowę własnej. Zginie dwóch chłopaków, żebyś ty mógł mieć trochę forsy w pokoju.

- Tak nie będzie - powiedział brat, błędąc. - Nie rozumiesz! Dzieciaki chcą tylko mieć coś do obrony.

Dan zawsze wiedział, że Tony jest łobuzem, ale teraz zrozumiał, że należy do najgorszego gatunku, który kradnie, oszukuje i zarabia na słabości innych. Wszystkie próby zrobienia zeń porządnego człowieka, honorowego ucznia i wybitnego sportowca, były żałosne.

- Przez cały czas udawałeś, prawda? - zapytał z goryczą. - Dobrze stopnie, sport, wzór amerykańskiego chłopaka. Zakpiłeś sobie ze mnie, co?

- To ty tego chciałeś. Nigdy nie udawałem kogoś, kim nie byłem.

- Dostałeś szansę - powiedział Dan, nie słuchając. - Szansę, jakiej ja nigdy nie otrzymałem. I zmarnowałeś ją.

- No! Może nie jestem tobą! - zawołał Tony. - Pomyślałeś o tym kiedyś?

Ale był wszystkim, czym był Dan, i na tym polegał problem. Wystarczyło poskrobać własną powłokę, by ze środka wyrzwał Tony. To stanowiło niebezpieczeństwo, to należało wykorzenić.

- Kim jest facet, który dał wam broń? - zapytał Dan, potrząsając bratem. - Jak się nazywa? Gdzie mieszka?

- Nie wiem! Nigdy nie wiedziałem.

- Więc jak się z nim kontaktowałeś?

- On do mnie przychodził! Kiedy mnie potrzebował, sam przychodził.

- Kłamiesz!

- Nie!

Dan puścił brata i wepchnął dłonie głęboko w kieszenie, bojąc się tego, co może zrobić. Odszedł szybko w stronę okien w najdalszym końcu pokoju, tych, które wychodziły na południową Filadelfię. Gdzieś tam był człowiek odpowiedzialny za to wszystko, człowiek, który zmienił jego braciszka ze szkolnego łobuziaka w groźnego przestępcę.

Tony stał tam, gdzie go zostawił, oparty o ścianę, z twarzą zalaną łzami. Dan odwrócił się ku niemu.

- Powiesz mi, kim jest ten facet albo odejdziesz z drużyny.

Brat pobladł jeszcze bardziej, potem ukrył twarz w dłoniach. Rozgrywki rozpoczynały się następnego dnia; nie byłby w stanie zrezygnować z gry. Dan czekał, wyczuwając zwycięstwo, równie wyraźnie, jak setki razy przedtem, w pustych salach sądowych, przed powrotem przysięgłych.

Ale tym razem nos go zawiódł. Kiedy Tony opuścił dłonie, jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Zbroja była na dawnym miejscu i Dan zrozumiał, że zaprzepaścił wszystko, co zyskał przez te ostatnie miesiące.

Zadzwonił telefon. Tony minął go w drodze do swojego pokoju, Dan podniósł słuchawkę.

- Dan, tu Mike.

Ogarnęła go panika, że Mike wie wszystko i idzie po Tony'ego.

- Tak, słucham?

- Mam ten adres, o który prosiłeś.

- O czym ty mówisz, di Maio?

- Wyrwałem cię z łóżka, czy co? - zdziwił się Mike. - Chciałeś, żeby się dowiedzieć, gdzie się zaszyl Sterling. Znalazłem adres. Chcesz go czy nie?

- Przepraszam. - Dan wolną ręką potarł sobie kark, próbując usunąć zmęczenie.

- Zapomniałem. Czego się dowiedziałeś?

- Coventry Road trzydzieści dziewięć, Radnor. To jakaś stara stodoła w środku placu budowy. Hej, jesteś tam jeszcze?

- Tak - odezwał się po chwili milczenia. - Jestem. Dzięki, Mike.

Odłożył słuchawkę i zagapił się w telefon. Wybuch, którego się obawiał, w końcu nastąpił. Wyrwał aparat z obudowy i rozbił o ścianę.

12

Kiedy następnego ranka Jenny zeszła na dół, Scott urzędował w kuchni w bokserkach. Gwizdnął z podziwu na jej widok, a ona uśmiechnęła się z wdzięcznością. Miała na sobie luźną jedwabną kremową sukienkę. Jej brzuch odznaczał się już łukiem, twardym wzgórkiem pod cienką warstwą skóry i tłuszczu. Tego dnia rozpoczynała drugą połowę ciąży i erę strojów ciążowych. Powiedziała już o swoim stanie ludziom, którzy musieli wiedzieć, reszta pozna prawdę dzisiaj.

- Dzień dobry - Scott pocałował ją w policzek. Było to krótkie, bezosobowe muśnięcie, zupełnie nieszkodliwe. Przez szorty widać było zarys erekcji i Jenny odwróciła wzrok. Fakt bez znaczenia - nawet najbardziej platoniczni przyjaciele doświadczali czasem porannej erekcji.

Zadzwonił telefon, odebrała Jenny.

- Jest tam Scott Sterling?

Głos był męski, władczy i przestraszyła się, że to ktoś z policji.

- Kto mówi?

Scott popatrzył na nią z niepokojem.

Oczy Jenny zogniewały kiedy usłyszała odpowiedź. Wyciągnęła słuchawkę w stronę Scotta.

- To twój ojciec - powiedziała zdławionym głosem.

Przyskoczył do telefonu.

- Tato?

Pobiegła na górę, żeby mógł swobodnie rozmawiać, uszczęśliwiona jego radością. Po tym jak stracił przyjaciół i kolegów z pracy, nie mówiąc o córce na Florydzie, nieporozumienia z rodzicami mogły go załamać.

Kiedy wróciła z aktówką nadal rozmawiał.

- Okay - usłyszała jego cichy głos. - To brzmi nieźle.

Pomachała mu na pożegnanie i ruszyła do frontowych drzwi.

Godzinę później siedziała przy biurku z kubkiem bezkofeinowej kawy. Włączyła komputer i przywołała wokandę sądową, żeby sprawdzić, co się dzieje ze sprawą Harding & McMann. Jak dotąd była w stanie monitorować przebieg postępowania, czytając po prostu dokumenty, jakie składały obie strony. Ale większość procedur przedprocesowych nie docierała do wiadomości publicznej i tylko strony miały dostęp do dokumentacji. Wielką pomocą okazał się fakt, że Scott Sterling był jej współlokatorem. Był jedną ze stron, przynajmniej formalnie, i raz w tygodniu z biura Perlmana lub Caselli do domu jego ojca przychodziła gruba brązowa koperta, którą odsyłano na Coventry Road.

Komputer wykazywał dokumenty, które wciągnięto do rejestru sądowego. Jenny stwierdziła z ulgą, że Scott dotarł w końcu do sądu i je złożył. O wiele tygodni za późno, ale złożył: odpowiedź na skargę, pismo w odpowiedzi na wniosek Perlmana o przyspieszenie procesu.

Zobaczyła, że pojawiło się coś jeszcze: przyłączenie się pozwanego Harding & McMann do wniosku powoda o przyspieszenie terminu rozprawy. To była niespodzianka. Dan nauczył ją między innymi, żeby naciskać na szybki proces, kiedy jest się powodem, zwlekać, kiedy się nim nie jest. Zastanawiała się, co wpłynęło na zmianę tej zasady.

Cokolwiek to było, dostał co chciał. Ostatnią pozycją rejestru był wykaz prac sądu, na jego widok Jenny zagryzła wargę. Rozprawa z powództwa cywilnego Scotta została wyznaczona na siódmego sierpnia.

Jego czas się kończył. Piątego września zostanie postawiony w stan oskarżenia; w sprawie karnej szóstego przyzna się do winy.

Ale była to dobra wiadomość dla Cassie von Berg, która nie mogła się już doczekać swojego dnia w sądzie.

Jenny zgarbiła się na krześle, nie mogąc uporządkować myśli. Przy pierwszym spotkaniu z Cassie tak sumiennie ujawniła swoje związki ze sprawą, a teraz starannie zataiła fakt, że została najbliższą przyjaciółką głównego aktora. Żadne

zasady etyki zawodowej nie brały pod uwagę takiej sytuacji; nie był to prawdziwy konflikt interesów, nie dawało się jednak ukryć, że czuła się, jakby ten konflikt istniał.

- Przyszła pani von Berg - poinformowała Marilyn przez interkom. - Czeka w sali konferencyjnej 33C.

Jenny spojrzała na zegarek. Cassie była jak zwykle punktualna. Jeżeli miała kiedyś złudzenia, że pani von Berg jest zwykłą przedstawicielką wyższych sfer, szybko się ich pozbyła. Pilnowała swoich spraw i niezależnie od tego, jak spędzała wieczory, dni poświęcała na spotkania z prawnikami, księgowymi, maklerami i doradcami finansowymi. Wykazywała żywe zainteresowanie sprawą Harding & McMann i miała wielką ochotę w niej uczestniczyć. Poniedziałkowe poranne zebrania stały się już rutyną.

Kiedy Jenny weszła do sali konferencyjnej, Cassie kartkowała gruby tom protokołu zeznań. Łypnęła złym okiem znad okularów.

- Czy to spojrzenie jest przeznaczone dla mnie?! - wykrzyknęła Jenny.

- Nie! - Cassie roześmiała się. - Przeglądałam zeznania mojego wuja. Bredzi o tym, że Macoal jest jego życiem i że nigdy nie ośmieliłby się zaryzykować moich udziałów. To już szczyt wszystkiego!

Jenny zajęła miejsce naprzeciwko niej.

- Potwierdza się to, co mówiłaś, dlaczego nie powinien zostać powiernikiem. Sam przyznaje, że nie jest niezależny w sprawie twoich udziałów w Macoal.

- To nam pomoże, prawda?

- Pewnie!

Cassie zamknęła akta z trzaskiem, przyjrzała się Jenny, po czym zdjęła okulary.

- Ale ty pięknie wyglądasz! - powiedziała przeciągle.

Jenny wybąkała podziękowania i podsunęła jej papiery przez stół, ale Cassie jeszcze nie skończyła.

- Wybacz, jeżeli wtrącam się w nie swoje sprawy - powiedziała ostrożnie - ale czy ty jesteś może w ciąży?

Jenny podniosła oczy i zebrała się w sobie.

- Tak.

- A kiedy to będzie miało miejsce, jeżeli wolno spytać?

- Koniec października. I w żaden sposób nie będzie kolidowało z rozprawą H & M, ponieważ dowiedziałam się właśnie, że zacznie się siódmego sierpnia. Jeżeli

postanowimy zaskarżyć Masona o nadużycie zaufania, odbędzie się we wrześniu, na długo przed tym...

Cassie uniosła obie dłonie.

- Jenny, stop! - Roześmiała się. - Wiem, że masz wszystko pod kontrolą.

Pytałam, żeby ci pogratulować.

Uśmiechnęła się, zażenowana.

- Przepraszam. Przypuszczam, że reaguję trochę przesadnie.

- Ponieważ robisz to sama?

Skinęła głowę.

- Nie musisz nikomu nic wyjaśniać.

- Nie pracujesz w tej firmie.

Cassie wyprostowała się na krześle ruchem pełnym godności.

- Nie. Ta firma pracuje dla mnie. I nie pozwolę, żeby cię źle traktowała.

Jenny była zdumiona i całkowicie rozbrojona.

- Cassie, to bardzo miłe.

- Nieprawda. Robię to z egoistycznych pobudek. Potrzebuję cię przy tej sprawie, a jeżeli chodzi o ścisłość - przy dwóch.

- Proszę, tylko nie rozwód!

- Nie, Walter oddał go w dobre ręce. Ta sprawa dotyczy Macoal.

- W jakim sensie?

- Prędzej czy później zostanę największym udziałowcem firmy - wolałabym prędzej. Chcę wiedzieć, jak sprawy stoją. Chcę wiedzieć, co oni robią, zanim to zrobią. Chcę wiedzieć, w co ładują pieniądze i jakie są inne możliwości.

Jenny skinęła głowę.

- Mamy w firmie ludzi, którzy specjalizują się w takich sprawach. Na pewno John Cushman, i może Vanessa Gold...

- Wiem, już ich poznałam - przerwała jej Cassie. - Nie zrozumiałaś. Nie chcę kogoś z twojej firmy. Chcę ciebie.

Jenny doświadczyła jednocześnie lęku i zadowolenia.

- To nie moja liga. Jestem zwykłym adwokatem, Cassie. Potrzebujesz kogoś z doświadczeniem...

- Możesz zatrudnić eksperta, dam ci wolną rękę. Dla mnie liczy się to, że mogę ci ufać. No dalej, Jenny, zgódź się. To nam obu wyjdzie na dobre.

Jenny przestała słuchać, gdy padły słowa „wolną rękę”. W jednej chwili otworzył się przed nią świat możliwości. Wahala się tylko przez sekundę.

- Zgadzam się.

Poświęciła resztę dnia na uruchomienie swoich kontaktów i zdobycie pewnego numeru. Wczesnym wieczorem sięgnęła po słuchawkę, modląc się, żeby biuro nie było zamknięte lub zlikwidowane; informatorzy donieśli jej, że interes nie idzie dobrze.

- Lehmann Consulting - odezwał się głos w słuchawce, energiczny, oficjalny i bez wątpienia należący do Cynthii Lehmann.

- Z panią Lehmann, proszę.

- Przy telefonie.

- Och, jak to dobrze, że złapałam panią o tak późnej porze. Chciałabym panią zatrudnić w projekcie konsultingowym.

- To świetnie! - W podniesionym głosie kobiety wyraźnie zabrzmiał entuzjazm.

- O jaki projekt dokładnie chodzi?

- Analiza finansowa i operacyjna Macoal Corporation.

W słuchawce zapadła cisza pełna podejrzliwości.

- Kto mówi? - zapytała Cynthia Lehmann ostro.

- Jennifer Lodge.

- Jak pani śmie...!

- Jak już mówiłam, chcę panią zatrudnić.

- Pani chce zatrudnić mnie?!

- W imieniu mojej klientki.

- Którą jest?

- Catherine Chapman von Berg, właścicielka największego pakietu Macoal.

Zapadła kolejna cisza, podczas której Cynthia przetrawiała informację.

- Co to jest? - zapytała w końcu. - Jakies zadośćuczynienie? A może ma pani wyrzuty sumienia?

- W rzeczy samej - odparła Jenny. - Ale proszę nie mieć złudzeń, to trudny projekt. Nie otrzyma pani żadnych wewnętrznych danych. Analiza musi zostać przeprowadzona w oparciu o publicznie dostępne informacje lub bardzo dyskretny wywiad. Zadanie to wymaga kogoś obdarzonego wyobraźnią i przedsiębiorczością. Miałam nadzieję, że to będzie pani.

Cisza.

- Cassie von Berg chce się dowiedzieć jak najwięcej o Macoal. Pewnego dnia będzie kierowała tym przedsiębiorstwem.

- Tak? - odezwała się Cynthia i Jenny wyczuła jej zainteresowanie.
- Chcę, żeby pani zdawała sprawę bezpośrednio mnie - powiedziała Jenny. - Ale wszystko zostanie przekazane Cassie pod pani nazwiskiem.
- Będę droga - ostrzegła Cynthia.
- Będę wymagająca.

Trochę gryzło ją sumienie, kiedy szła z biura do podziemnego garażu. W mieście było pewnie ze sto osób, które nadawały się do tej roboty lepiej niż Cynthia Lehmann, która specjalizowała się w operacjach bankowych, nie w konglomeratach energetycznych.

Jenny schodziła do samochodu betonową rampą. Powietrze było gorące, ciężkie, przesycone zapachem smaru i oparów benzyny i Jenny czuła się coraz gorzej. Zatrudniła Cynthię z czysto egoistycznych pobudek, żeby złagodzić wyrzuty sumienia po sprawie Intellitech, ale jeżeli Cynthia nawali, koszty poniesie Cassie.

Jej własny samochód zamajaczył przed nią niebieskawym błyskiem w mrocznym garażu. Z tyłu rozległy się kroki i Jenny sięgnęła po kluczyki, przyspieszając coraz bardziej. W końcu stanęła przy aucie i wsunęła klucz w zamek.

- Jenny!

Odwróciła się, dławiąc okrzyk.

Przed nią stał Dan Casella, z twarzą ukrytą w cieniu, bez marynarki, w rozluźnionym krawacie.

Oparła się o maskę. Serce waliło jej w piersiach. Podeszedł bliżej i zobaczyła jego twarz, wymizerowaną, z ciemnymi kręgami pod oczami.

- Musimy porozmawiać - powiedział.

- O czym? - Kluczyki zadzwoniły w jej drżących dłoniach, więc zacisnęła palce.

Dan podeszedł tak blisko, że oddychali tym samym powietrzem i położył ręce na jej dłoniach, przytrzymał, aż przestały drżeć. Gdzieś ryknął silnik, strzęp rozmowy dobiegł z innego poziomu, równie odległego jak druga strona świata.

- Jennifer! - wyszeptał Dan, pochylając ku niej głowę.

Zaczerpnęła powietrza, żeby zaprotestować, ale chwilę później rozchyliła usta pod jego wargami. Smak Dana, zapach, dotyk - porwały ją w mgnieniu oka. Jak w transie przylgnęła do niego, unosząc ręce ku jego ramionom. Czuła się słaba, tak słaba, że nie od razu przypomniawszy sobie własne postanowienie. „Nigdy więcej”, przysięgła sobie kiedyś i teraz oderwała się od Dana z wysiłkiem.

- O czym mamy rozmawiać? - zapytała, łapiąc powietrze.

Przerwała trans. Dan uniósł głowę i chwycił ją mocno za ramiona.

- Jennifer, co ty wyprawiasz, do ciężkiej cholery?!

Przebiegła w myślach wszystkie ewentualne przewinienia - od reprezentowania Catherine Chapman, po urodzenie jego dziecka - ale Dan nie mógł o nich wiedzieć.

- O czym ty mówisz?! - zapytała z przestrawieniem.

- O Scotcie Sterlingu - wyrzucił z siebie. - Co on robi u ciebie w domu?

O tym też nie powinien wiedzieć.

- Szpiegujesz mnie?! - wykrzyknęła.

- Nie robiłem tego, dopóki nie spiknęłaś się z facetem, którego szpieguję. Co się dzieje? Czy nadal zbierasz przybłędy, czy faktycznie jesteś z nim związana?

- Nie twój interes! Już dla ciebie nie pracuję.

- Jesteś szalona czy zwyczajnie głupia? Scott Sterling jest przestępcą dużego kalibru, a ty wpuszczasz go do domu.

- Przestępcą? - powtórzyła Jenny. - Zawsze twierdziłeś, że jest ofiarą Mazona.

- O wielu rzeczach nie wiesz.

- Na przykład?

- Na przykład o tym, że w ciągu ostatnich pięciu lat na jego konto bankowe wpływały duże sumy pieniędzy. Sto dwadzieścia tysięcy dolarów z niewiadomego źródła.

- Co to ma wspólnego z Masonem?

- Masonowi ktoś grozi śmiercią.

- Kto? Scott?! - wykrzyknęła Jenny, po czym wybuchła śmiechem.

Oczy Dana pociemniały, palce zacisnęły się na jej ramionach. Odchylił Jenny na maskę wozu i przylgnął do niej całym ciałem, miażdżąc wargi pocałunkiem.

Czytała jego zamiary w sile jego ciała. Chciał ją pokonać swoimi dłońmi, wargami, swoimi lędźwiami. Zamierzał ją kontrolować jak wtedy, gdy odesłał ją do Lassiter & Conway. Potrząsnęła głową, ale przylgnął mocniej, tak że czuła na brzuchu nabrzmiały członek. Położyła ręce na jego piersi i pchnęła.

- Puść mnie!

Odsunął się o krok, ale na jego twarzy nie było skruchy.

- Pozbądź się go - powiedział.

Jenny uniosła głowę.

- Nie zrobię tego.

- Na litość boską! - Jego krzyk przetoczył się echem przez betonowy budynek. - Czyjego pochodzenie tyle dla ciebie znaczy, że nie obchodzi cię, że jest złodziejem i kłamcą?

Zmrużyła oczy, wściekła.

- Jego pochodzenie nic dla mnie nie znaczy!

- Więc czym cię trzyma?

- Będziemy mieli dziecko!

Słowa zostały wypowiedziane. Wzrok Dana przemknął po jej postaci, zatrzymał się na brzuchu rysującym się pod ciężową sukienką. Kiedy znów podniósł oczy, wyczytała w nich bezbrzeżny ból.

- Jesteś w ciąży?

- Tak - powiedziała zdławionym głosem.

- Kiedy? - zapytał bez tchu.

- W grudniu! - Dodała dwa miesiące i niemal widziała, jak liczy w myślach, jak ten ból się pogłębia.

- Rozumiesz więc, że nie mogę się pozbyć Scotta tylko dlatego, że nie podoba ci się wygląd jego konta bankowego.

- Jennifer! - Udręka w głosie Dana może by zmiękczyła jej serce, gdyby nie jego dalsze słowa. - Jesteś tak pokręcona, że nie wiesz, co robisz!

Zacisnęła wargi. Otworzyła drzwi i wsunęła się za kierownicę.

Chwycił drzwi i otworzył na siłę.

- Powiedziałaś, że mnie kochasz! - zawołał chrapliwie.

- Pomyliłam się. - Zatrzasnęła drzwi.

13

Tej nocy upał w sypialni był nieznośny, okrągły księżyc świecił w otwartym oknie jak latarnia. Pościel była zmięta i wilgotna od potu, a Jenny miotła się między jawą a gorączkowymi snami.

Setki razy odgrywała w pamięci scenę w garażu i przy każdej powtórce wyglądało to gorzej. Zamierzała ukryć prawdę przed Danem, ale nie kłamać! Wmówiła mu, że ona i Scott są kochankami, od wielu miesięcy, że jego własne dziecko jest dzieckiem mężczyzny, którym pogardzał. Teraz nie mogła

powiedzieć mu prawdy, nawet gdyby chciała. Nie uwierzyłby albo byłby wściekły, urażony.

Żadne kłamstwo nie uchodzi płazem - była o tym święcie przekonana - i jeżeli Dan kiedykolwiek dowie się prawdy, ona słono za to zapłaci. Skłamała pod wpływem impulsu, ale kłamstwo zaczęło żyć własnym życiem i już nie mogła tego odwrócić.

Rzucała się na łóżku, próbując wymazać z pamięci godziny spędzone tu z Danem, ale te sceny też pchały się przed oczy i był tylko jeden sposób, żeby się od nich uwolnić.

Budzik wskazywał czwartą trzydzieści. Zwlokła się z łóżka, bardziej zmęczona niż wtedy, gdy się kładła, naciągnęła szorty, koszulkę i zeszła na parter.

Dostrzegła ogieniek papierosa na patio i w chwilę później twarz Scotta. Siedział z psem przy nodze i oboje wpatrywali się w księżyc.

- Co ty tu robisz? - zapytała, otwierając drzwi.

Drgnął przestraszony.

- Jenny! Obudziłem cię?

Podeszła do niego.

- Nie mogłam zasnąć.

- Ja też. - Zaciągnął się dymem.

- Nie wiedziałam, że palisz.

Popatrzył na papierosa jakby ze zdumieniem, rzucił niedopałek na ziemię i rozgniół butem.

- Nie paliłem od studenckich czasów. Widać wracają wszystkie brzydkie nałogi.

- Jakoś nie zauważyłam. Może z wyjątkiem hojności i dobroci. Faktycznie paskudne nałogi.

Zaśmiał się. Księżyc przybladł i niebo na wschodzie przybrało odcień szarości, podbarwiony żółcią.

- Długo tu siedzisz?

- Długo. Prawie co noc - przyznał.

- Och, Scott - westchnęła. - Chciałabym móc ci powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

- Ja też bym tego chciał.

Zapadło długie milczenie, przesycone żalem i smutkiem, który - niedzielony - biegnie równoległym torem. W takim wspólnym wyczekiwaniu na koniec nocy była jednak jakaś pociecha.

- Chodźmy na spacer - powiedział nagle Scott.
- W ciemności?
- Popatrzymy ze szczytu wzgórza na wschód słońca.
- Scott, ja nie...
- No chodź! Będzie fajnie. Kto wie, kiedy znów będziemy mieli taką okazję - dodał cicho.

Jenny podniosła na niego oczy i serce jej się ścisnęło na myśl, że ten złotowłosy, promienny chłopiec trafi do więziennej celi.

- Dobrze - powiedziała.

Poszli na szczyt wzgórza przez las, pośród świergotu budzących się ptaków. Stanęli na wyrębie, twarzami na wschód i po kilku minutach nad horyzontem pojawił się mały pomarańczowy łuk. Patrzyli, jak się powiększa, nabrzmiewa i jaśnieje, zabarwiając niebo na złoto i fioletowo. Poranne światło obmyło zbocza, odsłoniło różowe chorągiewki geodetów i na wpół wykopane fundamenty, ziejące pustką niby kratery. Koparki stały ze złożonymi szypami, jak potworne, mechaniczne dinozaury.

Kiedyś na tym wzgórzu stał stary dwór rodziny Dundee, teraz nie pozostał po nim nawet gruz. Tylko trawa wyznaczała obrys starego domu, jak policyjne linie wyznaczają położenie ciała ofiary morderstwa. Scott wszedł w ich obręb i odwrócił się do Jenny ze smutnym uśmiechem.

- Pamiętam ten dom u szczytu jego świetności.

- Przyjeżdżałeś tutaj?

- Wiele razy. Kiedy byłem dzieckiem, Dundee wydawali tu wielkie przyjęcia. Limuzyny parkowały na podjeździe, skądś dobiegała muzyka, kelnerzy krążyli w tłumie z tackami kanapek. - Urwał i popatrzył na nagie wzgórze. - To wszystko minęło.

Jenny знала historię posiadłości. Podatki, koszty utrzymania i remontów okazały się zbyt wysokie, nawet dla rodziny Dundee i dwór został wydany buldożerom. Ale patrząc na Scotta, samotną postać stojącą na miejscu dawnego pałacu, potrafiła sobie niemal wmówić, że na dom i jego gospodarzy spadła jakaś romantyczna tragedia. Podeszła do Scotta i dotknęła jego ramienia.

Ocknął się z zamyślenia i czarująco staroświeckim gestem wsunął sobie jej dłoń pod ramię.

- Chodź, chcę ci coś pokazać.

Z drugiej strony wzgórza roztaczał się widok na zielone łąki. Jenny nigdy wtedy nie chodziła, ale Scott poprowadził ją przez wysokie trawy, mokre od rosy. Doszli do ścieżki wiodącej przez dębowy zagajnik - pozostałość starej puszczy wykarczowanej przed stu laty pod uprawy. Korony utworzyły kopułę nad ich głowami, światło poranka przybladło.

- Jadąc wtedy, miałem zawsze wrażenie, że znalazłem się w kościele - powiedział Scott. - Przystawialiśmy rozmawiać i nasłuchiwalismy odgłosów lasu, aż do samych stajni.

Gdzieś w pobliżu rosło kapryfolium, wypełniając powietrze słodką, odurzającą wonią.

- Jeździłeś wtedy?

- Wiele razy. Dundee organizowali większość imprez w klubie myśliwskim.

- Spójrz! Wiedziałaś, że gdzieś tu musi rosnąć kapryfolium.

Scott ruszył przez krzaki w stronę pnącza. Wrócił z kwitnącą gałązką, którą wsunął w kieszonkę jej koszuli.

- Proszę!

Roześmiała się i pochyliła twarz, żeby powąchać kwiat.

- Chodź - powiedział i pociągnął ją za rękę.

Drzewa się skończyły, ścieżka urwała się na płocie z poziomych desek, niegdyś białych, teraz szarych i miejscami zmurszałych. Lilie rozpleniły się na dolnym poziomie, słupki oplatał bluszcz. Jenny i Scott poszli kawałek wzdłuż płotu, aż do miejsca, gdzie za starym żywopłotem z bukszpanu stały podłużne, pokryte blachą budynki.

- Nie wiedziałam, że tu są stajnie! - wykrzyknęła Jenny.

Scott wsparł na płocie splecione ramiona.

- Nie byłem pewien, czy jeszcze stoją. Minęło dwadzieścia lat, odkąd Dundee przenieśli konie do Chadds Ford. Chodź, zajrzemy do środka. - Stał na najniższej żerdzi i przeskoczył przez płot.

- Jeździsz nadal konno? - Jenny wspięła się ostrożnie za nim.

- Nie. Zaliczyłem paskudny upadek, kiedy miałem dwanaście lat. - Podeszedł do wrót stajni i usunął skoble. - Ojciec namówił mnie do porzucenia konnej jazdy.

W środku panował półmrok. Scott przekreślił kontakt, ale bez rezultatu. Otworzył drzwi na całą szerokość, żeby wpuścić jak najwięcej dziennego światła. Ujrzeli tuzin boksów i pustą przechowalnię uprzęży.

- Niesamowite! - Scott wciągnął powietrze w nozdrza. - Dwadzieścia lat i nadal czuć konie.

- To co dobre, trwa! - zażartowała, ale on jakby jej nie usłyszał. Ruszył przed siebie korytarzem. Ze strychu w tylnej części budynku dochodził szelest słomy zdradzający obecność gryzoni.

Zatrzymał się przy jednym z boksów i zapatrzył w głąb. Jenny próbowała go sobie wyobrazić jako dwunastoletniego chłopca, w butach do konnej jazdy i dżokejce, siodlającego jakiegoś rasowego ogiera. Wyobraziła go sobie beztroskiego, bez piętna winy, myślącego jedynie o następnym pokazie jazdy.

Podniósł głowę i rozejrzał się po stajni.

- To tutaj - powiedział nagle. - Tu rozgrywa się mój koszmar.

- O czym ty mówisz?

- Noc w noc śni mi się to samo. - Mówił tak cicho, że musiała się przysunąć, żeby usłyszeć. - Jestem w stajni. Jest ciemno i ktoś popycha mnie korytarzem. Stoję po kostki w gnoju. Mrużę oczy, starając się coś zobaczyć w ciemności i w końcu udaje mi się dostrzec małe, białe kółka w każdym boksie. Są to oczy, śledzą mój przemarsz. Wyteżam wzrok i widzę twarze. W boksach są ludzie, nie konie. Zaczynam biec, ale nogi grzęzną mi w gnoju i nagle wszystkie drzwi boksów otwierają się, ludzie rzucają się na mnie i wtedy...

- I wtedy? - wyszeptała.

Scott wypuścił głośno powietrze.

- Wtedy ty mnie ratujesz.

Poszukała jego dłoni.

- Ha! Nie trzeba Freuda, żeby zrozumieć symbolizm tego snu!

- Ciii! - powiedziała, ściskając jego rękę.

Bezradnie potrząsnął głową.

- Czekanie doprowadza mnie do szału. To już prawie pół roku! Gdybym ukradł samochód wart pięćset dolarów, trafiłbym do więzienia w ciągu dwudziestu czterech godzin. Ukradłem dwa miliony i jestem tutaj. Rozumiesz coś z tego?

- Nie ukradłeś tych pieniędzy! - przypomniała mu.

Ale on nie słuchał. Odwrócił się do niej ze łzami w oczach.

- Czasem człowiek dochodzi do punktu, kiedy już nie może dłużej żyć z własną głupotą.

- Nie, Scott, nie mów tak! Wszystko się jakoś ułoży, zobaczysz.

Kiedy otoczyła go ramionami, pochwycił ją w objęcia. Rozgnieciony kwiat kapryfolium zapachniał ostro.

- Och, Jenny! - jęknął Scott i przycisnął wargi do jej ust.

To już nie było nieszkodliwe cmoknięcie i Jenny, zaskoczona, opuściła ramiona.

- Kocham cię!

Oparła się o drzwi boksu, coraz bardziej oszołomiona.

- Scott, ja...

- Wiem. - Dotknął ostrożnie jej policzka, jakby się bał, że wyparuje. - Ciągle go kochasz, prawda?

- Nie chcę, tylko że... -Z trudem dobierała słowa. - Nie wiem, jak się odkochać. Nie umiem. Jak już się zakocham, to jestem zakochana.

Wsunął palce w jej włosy i przeczesywał powoli, tkliwie.

- Chciałbym po prostu, żebyś zakochała się we mnie i pozostała zakochana na zawsze - wyszeptał. - Wiem, że nie mogę mieć nadziei, ale...

- Możesz, Scott. Ja też ją mam.

Jego twarz rozjaśniła się w jednej chwili. Przyciągnął Jenny do siebie i musnął jej usta pocałunkiem.

- To mi wystarczy. Teraz już wiem, że przez to przebrnę!

Sięgnął do kieszeni i wyjął jakiś błyszczący przedmiot.

- Przez chwilę myślałem, że stracił swoją moc. - Był to zabytkowy zegarek kieszonkowy z emblematem rumaka. Wyrzucił go w górę i złapał, szeroko uśmiechnięty. - Ale chyba nadal jest moim talizmanem.

14

Dan miał wrażenie, że minęło sto lat, odkąd jechał po raz ostatni do Radnor i kiedy skręcił w Coventry Road, wszystko wydało mu się obce. Wtedy była zima, a Jennifer w zasięgu jego rąk. Teraz żar lał się z nieba, a ona należała do Scotta Sterlinga. Wtedy ziemię wokół jej domu pokrywał śnieg, teraz kwitła, równie płodna jak Jennifer. Ze Sterlingiem.

Wilgotna fala gorąca biła od bruku, kiedy Dan stanął przed drzwiami i zapukał. Otworzyła ona. Właściwie oczekiwał tego, a jednak nie przygotował się na wstrząs, jakim był jej widok w miejscu, gdzie się kiedyś całowali. Uchyliła tylko

drzwi, zasłaniając sobą szparę. Nawet z oczami wbitymi w twarz Jennifer widział jej ciężarną postać w zbyt obcisłej bawełnianej koszulce.

- Witaj, Jennifer. Przyjechałem zobaczyć się ze Scottem.

- Wiem. Powiedział mi. - Jej ton był równie niegościnny, jak jej postawa.

- I dlatego jesteś w domu w środku dnia.

- Nie powinienes się z nim spotykać.

- Uzgodniłem to z jego adwokatem. A także z samym Scottem. O co więc chodzi, Jennifer? Teraz ty go reprezentujesz?

- Nie ma sensu przygotowywać jego zeznań. Wiesz, że nie może zeznawać.

-Chciałbym usłyszeć to od niego.

- Mogłeś zadzwonić i oszczędzić sobie fatygi.

- Zawsze lubiłem tu jeździć - powiedział, ale widząc rumieniec na jej twarzy, natychmiast tego pożałował.

Zza Jennifer wyjrzała twarz Scotta.

- Jenny, co ty robisz? Wpuść go.

Odwróciła się i Scott otworzył szeroko drzwi, ubrany jedynie w dżinsy i koszulę, którą jeszcze dopinał, jakby właśnie wyskoczył z mosiężnego łóżka Jennifer.

- Przepraszam - powiedział. - Czasem jest wobec mnie nadopiekuńcza. Proszę, wejdź.

Jennifer poszła do salonu, sztywno wyprostowana. Scott zaprosił Dana do środka i wskazał mu fotel, jakby był tu gospodarzem.

- Może kawy? - zapytał. - Świeżo zaparzona.

- Dzięki - odparł Dan z nadzieją, że zyska w ten sposób minutę sam na sam z Jenny.

- Ja też się napiję - powiedział Scott.

Poszła do kuchni. Dan otworzył aktówkę i policzył wolno do dziesięciu, udając, że szuka papierów. Nie wiedział, co go bardziej irytuje, władczy stosunek Scotta do Jennifer czy własne reakcje. Przyjechał tu w interesach, nie po to, żeby odzyskać kobietę, która dla niego była i tak stracona.

- Rozprawa zaczyna się w poniedziałek - powiedział.

- Tak, wiem.

Wróciła z dwoma kubkami kawy. Usiadła w drugim końcu pokoju, z ramionami splecionymi ciasno na wystającym brzuchu. Znów zapuściła włosy i chyba

trocheje rozjaśniła. Słońce lało się do środka przez otwarte okno, tworząc wokół niej mglistą aureolę. Dan upił kawy. Czarnej, bez cukru. Pamiętała.

- Słyszałem, że Perlman wręczył ci pozew.

Scott skinął głową.

- Nie zamierzałem przychodzić na rozprawę, ale on chce się chyba upewnić, że będę zeznawał.

- Mylny wniosek - powiedział Dan. - Jest to ostatnia rzecz, jakiej sobie życzy.

- Słucham? - zapytał Scott. Kątem oka Dan dostrzegł zdumioną twarz Jennifer.

- Perlman liczy na to, że skorzystasz z Piątki*. Jest mu to potrzebne.

Scott nadal nie rozumiał, w przeciwieństwie do niej.

- Jeżeli odmówisz zeznań, motywując to tym, że nie chcesz się samo-oskarżać, sędzia poinstruuje ławę przysięgłych, że odpowiadając, działałbyś wbrew swoim interesom - wyjaśniła. - A także wbrew interesom swojego pracodawcy.

Scott przeniósł wzrok z Jennifer na Dana.

- Więc jeśli skorzystam z Piątki, zrobię H & M?

- Zgadza się.

- Jezu! - Pociągnął spory łyk z kubka i pokręcił głową.

- On nie ma wyboru - upierała się Jennifer. - Przynajmniej do czasu uzyskania wyroku w procesie karnym. A o tym na razie nic nie słysząc.

- I nie będzie słysząc. Przynajmniej do czasu zakończenia sprawy cywilnej.

- Skąd wiesz?

- Uprosiłem prokuratora okręgowego, żeby do tego czasu nie wysuwał oskarżenia.

Zrobiła wielkie oczy.

- Jak ci się to udało?

- Pokazałem mu to, co za chwilę pokażę Scottowi. - Dan ułożył na stole dwa stosiki dokumentów. - Wyciągi z konta Connolly. - Dotknął pierwszego pliku. - Te, które Mason otrzymuje z konta osobistego. I te - przeniósł dłoń na drugi zestaw - które otrzymywał z rachunku powierniczego.

Jennifer rozplotła ramiona.

- Chwileczkę! - zawołał Scott. - Wyciągi z funduszu szły do mnie, nie do wujka Curta.

- Tak sądziłeś - powiedział Dan. - Ale bank sporządzał duplikaty i wysyłał je wam obu, co miesiąc, jak w zegarku.

- Ale to niemożliwe! On nic nie wspominał... Co na to wujek Curt?

- Twierdzi, że nawet na nie nie spojrział. Że liczył na ciebie.

- No tak - mruknął Scott. - Mogło tak być.

Ale Jennifer miała wątpliwości.

- Trudno uwierzyć, że nie spojrział na żaden!

- Pamiętaj, że w ogóle nie interesował się tym funduszem.

- Ale interesowały go jego aktywa, prawda? - Nalegał Dan.

- Akcje Macoal - przypomniała Jennifer.

Dan podał Scottowi jeden z wyciągów.

- Oto listopadowy wyciąg z konta trustu. Kopia Masona została wysłana piątego grudnia. Siódmego zadzwonił do Briana Kearneya.

Scott poderwał głowę.

- Wujek Curt zadzwonił do Kearneya?

- Owszem. A Kearney nie tylko zapisał sobie tę rozmowę w kalendarzu, ale dobrze ją pamięta, ponieważ Mason pieklił się o wycenę akcji Macoal.

Scott odszukał wzrokiem pozycję, o której mówił Dan.

- Pamiętam to. Macoal przeprowadził rozdrobnienie akcji w listopadzie. Potem nastąpiło drobne wahnięcie ceny.

- Mason kazał się Kearneyowi rozliczyć z każdego centa - powiedział Dan. - Miał przed sobą wyciąg. Kearney na to przysięgnie.

- Może miał - powiedział Scott. - Ale nie rozumiem...

- Spójrz na następną transakcję - podpowiedział. - Tuż pod pozycją Macoal.

Sterling zeszywniał.

- Co tam jest? - zapytała Jennifer.

- Numer czeku dwa-trzydzieści-trzy - odczytał wolno. - Wpłata gotówką. Suma: dwieście czterdzieści dziewięć tysięcy, osiemdziesiąt siedem dolarów i pięć centów.

- Czy to jedna z...?

- Tak. Jedna z moich defraudacji.

- Więc wiedział - powiedziała.

Scott pokręcił głową bez przekonania.

- Posłuchaj - wtrącił Dan. - Sprawdza co do centa pozycję wyżej. Uważasz, że przeoczy czek na ćwierć miliona dolarów?

- Może myślał, że to legalna wypłata. Tu nie jest napisane do kogo poszły te pieniądze.

Casella sięgnął po kolejny dokument.

- Spójrz na to. Wyciąg z osobistego konta Masona, z tego samego miesiąca. Wysłany tego samego dnia.

- Wykazuje taką samą wpłatę? - zapytała Jennifer.

- Czek - przeczytał Dan. - Suma: dwieście czterdzieści dziewięć tysięcy, osiemdziesiąt siedem dolarów, pięć centów.

Scott nadal kręcił głową.

- Posłuchaj tego! - sięgnął ponownie do aktówki i wyjął magnetofon, już z kasetą nastawioną na odpowiedni fragment. Wcisnął klawisz.

- Scotty, mój chłopcze!

Poblądł na dźwięk głosu Masona, Jennifer pochyliła się do przodu. Jej oczy błyszczały.

- Właśnie otrzymałem wyciąg z Connolly.

- Wygląda nieźle, prawda? - słysząc głos Scotta.

- Nieźle? Synu, nigdy nie widziałem takich rezultatów. Dwieście czterdzieści dziewięć tysięcy! To niesamowite!

Dan wyłączył magnetofon. W pokoju zrobiło się tak cicho, że słysząc było świergot ptaków za oknem.

- Nie rozumiem - powiedział w końcu Scott.

- Pokazałeś to prokuratorowi? Nie rozumiesz? - Jennifer zwróciła się do Scotta.

- Uważają, że Mason mógł wiedzieć. Może sądzą, że jesteś niewinny!

Dan chciał, żeby usłyszał te słowa, ale zabolalo go, że Jennifer wypowiedziała je tak radośnie. Pragnęła, żeby Scott został oczyszczony z zarzutów, żeby przestała nad nim wisieć groźba więzienia. Chciała, żeby zostali w tym domu i razem oczekiwali narodzin dziecka. Przypomniat sobie, jak w któryś weekend bawili się z Jennifer w domu. Teraz była tu ze Scottem.

Scott patrzył niewidzącym wzrokiem w okno.

- Muszę to przemyśleć - odezwał się w końcu.

Dan wstał. Scott odprowadził go do drzwi, Jennifer się nie ruszyła. Rzucił jej ostatnie spojrzenie. Siedziała skąpana w słońcu, z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Jeżeli zdecydujesz się zeznawać - zwrócił się do Scotta - chciałbym spotkać się z tobą, omówić strategię.

- Muszę się z tym przespać. Jutro powiem ci, co postanowiłem. Nie, jutro jest sobota...

- Będę w biurze - powiedział Dan. - Zadzwoń.

15

Dochodziła czwarta po południu, kiedy telefon w końcu zadzwonił. Dan odebrał po pierwszym sygnale, ale był to tylko strażnik.

- Panie Casella, ma pan gości - powiedział. - Michael di Maio i... może pani powtórzyć? Teresa. Ta pani mówi, że pan będzie wiedział.

- Wiem. Proszę przysłać ich na górę.

Słyszał ich radosne, ożywione głosy z korytarza. Domyślił się, że idą na ważną, sobotnią randkę i pod wpływem impulsu postanowił, że też się umówi. „Zadzwonić do Lisy”, nabazgrolił na bloczku.

Kiedy stanęli w progu, promienni i pełni oczekiwania, podniósł się zza biurka.

- Hej, co to za... - Pytanie zamarło mu na ustach. Mike był w swoim najlepszym garniturze, Teresa w niebieskiej szyfonowej sukience, której nigdy przedtem nie widział. Wyciągnęła lewą rękę. Na palcu błysnął pierścionek.

- Jezu Chryste!

- Tylko tyle masz do powiedzenia o zaręczynach swojej jedynej siostry? - podeszła do niego z otwartymi ramionami.

- Pobieracie się?

- Nie, to tylko tak, dla zabawy - klepnęła go w ramię.

- Co na to mama?

- W tej chwili pije drugą butelkę szampana z moim ojcem - powiedział Mike. - Bawią się, jak nigdy w życiu.

Dan popatrzył na Teresę. Pokiwała energicznie głową, rozpromieniona. Wybuchnął śmiechem i przytulił ją mocno.

- Ty sukinsynu. - Grzmotnął Mike'a w plecy. - Jak tylko cię zobaczyłem, wiedziałem, że nie można ci ufać. Kiedy?

- W sobotę przed świętami Bożego Narodzenia. - Teresa przytrzymała rękę brata i spojrzała mu uważnie w twarz. - Danny, cieszysz się moim szczęściem, prawda?

Jeszcze raz ją uściskał.

- Bardziej cieszę się szczęściem di Maio. On najlepiej na tym wyjdzie. Siadajcie i powiedzcie, jakie macie plany. - Przysunął Teresie krzesło. Usiadła z uśmiechem pełnym wdzięczności, nie tylko za krzesło. - Jedziecie w podróż poślubną?

- Krótką - odparł Mike. - I nie, nie powiemy ci dokąd.

- Mama chce, żebyśmy z nią zamieszkali - powiedziała Teresa, kiedy Dan przysiadł na krawędzi biurka. - Michael ma ładne mieszkanie, ale uważamy, że

powinniśmy zostać z mamą. Dzielnica bardzo się zmieniła, odkąd się wyprowadziłeś. Nie powinna mieszkać tam sama.

Dan odwrócił wzrok. Jeszcze raz Mike zadbał o coś, co było jego obowiązkiem. Zaczął od odmalowania klatki schodowej, a teraz przejmował rolę mężczyzny w rodzinie.

- To świetny pomysł - powiedział.

Mike i Teresa uśmiechnęli się do siebie i ujęli za ręce.

- Jest jeszcze coś - powiedziała siostra. - Chodzi o Tony'ego.

Twarz Dana stężała. Obszedł biurko i usiadł.

- Mianowicie?

- Powinien wrócić do domu.

- Nie.

- Dan, daj spokój - odezwał się Mike. - Zrobiłeś, co w twojej mocy. Nie wyszło. Odeślij go do domu.

- Zapomniałaś? - Patrzył tylko na Teresę. - Uderzenie w twarz? - Chciał dodać coś o rewolwerze, ale powstrzymała go obecność di Maio.

- Michael potrafi go utemperować - powiedziała.

Dan zrozumiał podtekst. Mike poradzi sobie lepiej w roli wychowawcy ich brata.

- Nie - powtórzył.

- Danny, przecież widzisz, jaki jest nieszczęśliwy.

- Nie wiedziałem, że mam go uszczęśliwiać.

- Oblał trzy przedmioty!

- I chodzi do szkoły letniej, poprawia stopnie. Widzisz? Wszystko jest pod kontrolą.

- Danny! - Jej głos złagodniał, co oznaczało, że zmieniła taktykę. - W poniedziałek rozpoczynasz wielki proces. Będziesz pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie potrzebujesz dodatkowych obciążeń. Pozwól mu wrócić do domu.

- Nie.

- Nie możesz znieść myśli o przegranej, co Casella? - odezwał się Mike.

- Michael...

Dan zdławił gniew.

- Posłuchajcie! - Silił się na spokojny ton. - Będziecie nowożeńcami. Zaslugujecie na to, żeby wracać do szczęśliwego domu pod koniec dnia. Dajcie sobie czas.

Teresa westchnęła i znów sięgnęła po rękę Mike'a.

- Dobrze.

- Ale pamiętaj! - di Maio nie poddawał się łatwo. - Jeżeli pojawią się kłopoty, zawsze możesz go odesłać do domu.

Teresa wstała.

- Chodź z nami na drinka! - Znów bił od niej blask. - Będziemy świętować.

- Przykro mi. - Dan pokręcił głową z udawanym ubolewaniem. - Czekam na ważny telefon.

- Och, daj spokój! - Teresa dąsała się.

- Od Sterlinga? - domyślił się Mike. - To może innym razem - dodał, kiedy Dan skinął głową. - Przekaż mi tylko, co ci powiedział.

- Jasne. Zadzwoń.

Kiedy wsadził ich do windy, byli nadal w świetnych nastrojach. Wrócił do gabinetu i popatrzył na notatkę na biurku. „Zadzwonić do Lisy”. Wymazał słowo Lisa i wpisał ołówkiem Elaine, wymazał Elaine i próbował przypomnieć sobie, jak miała na imię kobieta, którą Ed O'Reilly przedstawił mu przed paroma tygodniami. W końcu sięgnął po słuchawkę i wykręcił numer własnego mieszkania.

- Halo - powiedział Tony.

- To ja.

- Aha. - Minęły prawie trzy miesiące od odkrycia pieniędzy pod deską, ale nie opuścił gardy nawet na centymetr.

- Teresa i Mike się zaręczyli.

- Wiem. Dzwonili do mnie.

- Ach tak? - Dan był zirytowany, nie wiedział, czy tym, że najpierw powiedzieli Tony'emu, czy tym, że rozmawiali z nim bez jego wiedzy. - Mówili coś jeszcze?

- Co mieli mówić?

- Nic. Będę w domu za godzinę.

Przyjął to oświadczenie kompletnym milczeniem. Jeszcze parę miesięcy temu przy takiej okazji złożyłby zamówienie na kolację, dopraszał się kasety wideo albo wyprawy do kina. Teraz popadał w milczenie, które mówiło, że nie chce kompletnie nic. Niestety, im Tony mniej chciał od Dana, tym więcej Dan chciał

od brata - jego towarzystwa pod koniec dnia, wspólnych żartów, niewymuszonego koleżeństwa. Czasem Dan musiał sobie tłumaczyć, że stracili to wszystko nie z jego winy.

Zamrugało czerwone światło na drugiej linii, dając pretekst do zakończenia rozmowy.

- Tony, mam drugi telefon. - Wcisnął guzik, - Dan Casella.

- Mówi Jennifer Lodge.

Fakt, że przestawiła się nazwiskiem miał taką samą wymowę jak jej chłodny, bezosobowy głos. Dan odpowiedział tym samym tonem.

- Witaj, Jennifer.

- Scott przemyślał sprawę, rozmawiał z adwokatem i postanowił, że nie będzie zeznawał. - Mówiła szybko, bez namysłu, jakby przecwiczyla to zdanie, może nawet napisała je sobie na kartce.

- Dlaczego ty mi to mówisz?

- Prosił mnie o to... - Tego już się nie wyuczyła, mówiła z wahaniem. - Chyba... nie wiem... Chyba się wstydzi.

Dan zaczął bazgrać po bloczku, zamazując imiona kobiet.

- Wygląda na to, że chcesz uniknąć rozmowy ze mną jeszcze bardziej niż on.

- Nie mam się czego wstydzić! - wybuchnęła.

Zdjął okulary i potarł oczy.

- Czego nie mogę powiedzieć o sobie.

Nie odpowiedziała. Pożałował, że nie siedzi naprzeciwko niego, że nie może wyczytać uczuć z jej twarzy. Może to milczenie oznaczało, że ją wzruszył i że pragnie go równie mocno jak dawniej. A może oznaczało to samo, co milczenie Tony'ego, że już nic od niego nie chce.

Nie było sensu się nad tym zastanawiać. Należała do Sterlinga i Dan mógł obwiniać o to jedynie siebie. Rzucił ich sobie w ramiona, zmusił Jennifer, żeby usiadła na krześle, na którym siedział teraz i wykręciła numer Sterlinga. „Z tobą będzie rozmawiał”, tłumaczył, kiedy protestowała. Nie wiedział tylko, że Scotty nie poprzestanie na mówieniu.

- Przekaż ode mnie Sterlingowi - odezwał się w końcu - żeby przemyślał to jeszcze raz, ale będzie oglądał swoje dziecko przez szklaną ściankę i nie mam tu na myśli szyby na oddziale noworodków.

Usłyszał, jak Jenny wciąga gwałtownie powietrze, potem odłożyła słuchawkę.

Pracował do późnej nocy. Randka kompletnie wywietrzała mu z głowy. Zaniósł papiery do sali konferencyjnej i rozłożył je na dziewięciometrowym stole. Ale gdzieś w środku nocy przyłapał się na tym, że wpatruje się bezmyślnie w ciemne okno.

W tej sali pracował razem z Jennifer podczas burzy śnieżnej. Był wtedy jak na haju, oszołomiony krystalizującą się wizją obrony i strategii. Odwrócił się, zobaczył uczucia wymalowane na twarzy Jennifer i wzniósł się jeszcze wyżej. Ale uczucia Jennifer okazały się równie przenośne jak faktury Kena Stively'ego. Zabrała je i uniosła daleko od Dana.

Kiedy wrócił do domu, w salonie paliły się światła, telewizor był włączony. Zimna biel w połączeniu z siną poświatą tworzyła srebrne cienie nad kanapą, na której spał Tony. Dan zaczął coś mówić, ale zrezygnował i poszedł wyłączyć telewizor. Tony się nie obudził i Dan opadł na fotel obok niego.

Spał, kiedy wychodził rano i spał, kiedy wrócił do domu. Nie miał pojęcia jak brat spędza dni, co się dzieje w jego życiu. Wiedział tylko, że wychodzi z budynku i wraca o określonych godzinach. Nie znał jego przyjaciół i wątpił, czy Tony ich ma. Był blady, chociaż powinien być opalony sierpniowym słońcem, dawno też stracił muskulaturę, którą wyrobił sobie na wiosnę. Oblał z trzech przedmiotów, chociaż jeszcze niedawno miał z nich mocne czwórki. Nauczyciele mówili, że nie poszłoby mu gorzej nawet, gdyby się starał o jedynki.

Po raz pierwszy Dan zauważył linię ciemnego puszkę nad wargą Tony'ego. Jezu, a kiedy to się zaczęło? Gdyby chłopak miał w życiu choćby namiastkę ojca, już by się golił.

Wstał, wyjął z szafy koc i otulił nim chłopca. Ten wymamrotał coś, przekręcił głowę na oparciu kanapy, ale się nie obudził.

Potrzebował kolegów, świeżego powietrza i stałej obecności mężczyzny. Miał przyjaciół w starej szkole, w dzielnicy, i Mike'a di Maio w rodzinie; ta kombinacja przebijała wszystko, co mógł mu ofiarować Dan. Oskarżenie Mike'a było słuszne. Tylko niechęć do uznania porażki powstrzymywała go przed odesłaniem Tony'ego do domu.

Kiedy szkoła letnia się skończy, odwiezie brata i odnotuje kolejną porażkę na liście relacji międzyludzkich.

CZEŚĆ TRZECIA

PROCES

1

Okres upałów skończył się w niedzielną noc błyskawicą i grzmiotem, które nastąpiły niemal jednocześnie. Deszcz bębnił rano o chodniki, kiedy taksówka Jenny zatrzymała się przed budynkiem sądu. Paleta barwnych parasolek rozmywała się w kroplach wody na szybie. Na ulicy stała biała furgonetka lokalnej stacji telewizyjnej, ekipa montowała sprzęt przed drzwiami budynku. Widać sądzono jakiegoś polityka lub inną osobistość. Ciekawe, czy telewizja zjawi się również w dniu, w którym Scott otrzyma wyrok. Z wyrazu jego twarzy przy śniadaniu można było sądzić, że ten dzień właśnie nadszedł.

Pojechała windą na dziesiąte piętro i z gardłem ściśniętym lękiem uchyliła drzwi sali sędziego Steubena. Jakaś kobieta napełniała wodą karafki na stołach. Odwróciła się, słysząc skrzypnięcie drzwi.

- Pani w związku ze sprawą Masona? - zapytała.

- Tak.

- Proszę przejść do gabinetu sędziego. Tam przyjmuje prawników.

- Jestem widzem.

Kobieta zniknęła w drzwiach za sędziowską ławą. Szmer przemknął przez salę i uleciał ku sufitowi, sześć metrów nad głową Jenny. Sala wydawała się ogromna i zastygła jak kościelne sanktuarium. Na środku, w godziwej odległości od ławy, stał pulpit, przy którym wygłaszali swoje mowy adwokaci, a obok dwa adwokackie stoły. Jako adwokat pozwanego, Dan został odesłany do stołu stojącego najdalej ławy przysięgłych i od miejsca dla świadka po prawej. Jenny zajęła miejsce po lewej stronie sali.

Główne drzwi otworzyły się z trzaskiem i dwóch mężczyzn wtoczyło wózki z dokumentacją. Zaaferowana młoda kobieta przepchnęła się do nich i wskazała stół obrony. Jenny rozpoznała współpracownicę Foster Bell, najnowszą asystentkę Dana. Wózki zostały rozładowane, dokumenty posegregowane i rozłożone. Sala znów opustoszała, ale przedstawienie powtórzyło się pięć minut później, kiedy wjechała dokumentacja Roberta Perlmana.

Ciemny, krępy mężczyzna usadowił się pośrodku pierwszego rzędu. Drzwi otworzyły się ponownie i na salę wkroczył naburmuszony Curtis Mason. Facet w pierwszym rzędzie wstał.

- Witam, detektywie - powiedział Mason, nie zatrzymując się. Tuż za nim szedł wysoki barczysty Murzyn.

- Kto to jest? - zapytał detektyw.

- Ochroniarz - rzucił Curt ostro, zajmując miejsce przy stole Perlmana. - Skoro policja nie jest w stanie mnie chronić...

- Jeszcze pan żyje, o ile mogę stwierdzić, panie Mason - powiedział detektyw z kamienną twarzą.

Jedyną odpowiedzią było wzruszenie ramion.

Kilka minut później przyszedł Charlie Duncan. Odszukał wzrokiem Masona, ale nie doczekawszy się żadnego powitalnego gestu, ruszył szybko na swoje miejsce.

Na sali znajdowali się już prawie wszyscy - strony, asystenci, ochroniarz, detektyw i Jenny - poza adwokatami stron. Mijały minuty, a oni się nie zjawiali.

Jenny zaświtała nadzieja, że nie zjawią się nigdy. Może sprawa zostanie załatwiona ugodowo: Mason zrezygnuje z roszczeń i zwróci pieniądze; Scott otrzyma przebaczenie; ona sama już nigdy nie będzie musiała stanąć twarzą w twarz z Danem. Ale były to tylko pobożne życzenia. Wiedziała, że Mason nigdy nie odstąpi od swoich roszczeń; Scott doczeka się dnia sądu, a kiedyś, nieuchronnie, doczeka się go i ona.

W końcu drzwi się otworzyły. Robert Perlman wszedł pierwszy, pogrążony bez reszty w rozmowie z młodym mężczyzną, który miał pusty jeden rękaw marynarki. Uśmiechnął się szeroko do Masona, zbliżył się i wymienili uścisk dłoni.

Dan wszedł ostatni i Jennifer była pierwszą i jedyną osobą, jaką zobaczył. Buchnęła w nim radość, a zaraz potem wściekły gniew na samego siebie. Charlie Duncan czekał na słowa otuchy, więc ruszył w jego stronę.

- No i co? - zapytał Duncan szeptem.

- Bez niespodzianek.

- A co z taśmami?

- Dopuszczone.

Charlie zwiesił ramiona. Nie wierzył, że istnienie tych nagrań może okazać się dla nich korzystne. Słyszał na nich tylko jedno: pracownika firmy Harding & McMann kłamiącego jak z nut.

Dan przysiadł się do Mike'a di Maio i ruchem głowy wskazał Murzyna.

- Co to za mięśniak?

- Ochroniarz Masona.

Casella przyjrzał się z namysłem plecom Perlmana. Kiedy zjawi się Sterling, fakt zatrudnienia ochroniarza obróci się przeciwko Masonowi. Przysięgli dadzą

sobie wmówić wiele rzeczy, ale nie uwierzą, że Scott stanowił fizyczne zagrożenie dla Masona.

- Wygląda na to, że nie wykonuję swoich obowiązków - powiedział Mike.

- Siedzisz tu i nic nie robisz, gość ma rację.

- Hej, czekam aż ty i Bobby odwalicie za mnie robotę. - Policjant zniżył głos i ruchem głowy wskazał ostatnie rzędy. - Kim jest ta dziewczyna, która udaje, że jej nie widać?

Twarz Dana stężała.

- Kiedyś dla mnie pracowała.

- Co tutaj robi?

- Nie wiem.

Wstał i odwrócił się w jej stronę. Oczy Jenny zogniewały, kiedy do niej podszedł i to go jeszcze bardziej rozgniewało. Kiedyś jej twarz się rozjaśniała na jego widok, teraz zdradzała tylko lęk i pogardę.

- Co tu robisz, Jennifer?

- Jestem widzem na publicznej rozprawie.

- Przyszłaś tu za niego, prawda? Reprezentujesz go?

Pokręciła tylko głową.

- Może gdybym ja ci zrobił dziecko, okazywałabyś mi taką samą głupią, ślepą lojalność! - wybuchnął.

- Sam jesteś głupi i ślepy - odcięła się.

- Proszę wstać! - zawołał woźny.

Dan wbił w nią ciężki wzrok, potem odwrócił się na pięcie i wrócił do stołu obrony.

- Przewodniczy sędzia Gerald Steuben.

Sędzia pojawił się za pulpitem. Był młodszy niż większość jego kolegów po fachu i piastował urząd od bardzo niedawna. Miał reputację politycznego najemnika i starał się jej pozbyć, dając częste popisy własnej inteligencji. Zajął miejsce, manifestując irytację każdego, kto marnuje czas sądu.

Protokolant podniósł się ze swojego miejsca poniżej podium, szepnął coś sędziemu do ucha, a następnie podsunął mu kartkę.

- Gdzie jest Scott Sterling? - warknął sędzia.

Perlman wstał.

- Wysoki Sądzie, doręczyłem mu pozew.

- Panie Perlman, to by wystarczyło, gdyby był tylko świadkiem, ale on jest również stroną. Kto go reprezentuje?

- On sam, pro se, Wysoki Sądzie - odparł Dan.

- Zgadza się - mruknął sędzia, przerzucając plik papierów. - Złożył odpowiedź na skargę. A także załączył wniosek o przyspieszenie terminu rozprawy. A teraz się nie stawil?

Steuben spojrzał w dół na kobietę, która przedtem napełniała karafki.

- Proszę do niego zadzwonić i powiedzieć, że ma trzydzieści minut na stawienie się, albo zaczynamy bez niego.

Kobieta odpowiedziała coś szeptem i sędzia znów zwrócił się do sali.

- Czy ktoś zna numer jego telefonu?

Dan wstał i wyrecytował go z pamięci.

- Nikt nie odbiera - oznajmiła kobieta po chwili.

Sędzia popatrzył po obecnych i wzruszył ramionami.

- A więc nie będziemy mogli cieszyć się jego obecnością do chwili, gdy go pan tu ściągnie, panie Perlman. - No dobrze, skompletujmy ławę przysięgłych. Tylko szybciotko, panowie. - Popatrzył groźnie na oba prawnicze stoły. - Chcę otworzyć przewód zaraz po lunchu. O trzeciej ma być zaprzysiężony pierwszy świadek.

Zarządzono przerwę i prawnicy przesunęli krzesła na drugą stronę stołów, żeby przesłuchać kandydatów.

Jenny opuściła salę i poszła do pustego pokoju obrad na drugim końcu korytarza. Coś ją niepokoiło. Sędzia powiedział, że Scott załączył wniosek o przyspieszenie terminu procesu, ale wiedziała przecież, że zrobił coś przeciwnego. Sama przygotowała dokument i patrzyła, jak Sterling go podpisuje. Otworzyła aktówkę i znalazła kopie dokumentów. No właśnie! W czerwcu Perlman złożył wniosek o przyspieszenie procesu. Dziesięć dni później Dan załączył swój. Następnym dokumentem było pismo Scotta w odpowiedzi na wniosek.

Pierwsze zdanie brzmiało: „Pozwany Scott Sterling załącza wniosek o przyspieszenie terminu procesu”.

Jenny przeczytała je jeszcze raz. Dokument wyszedł z drukarki laserowej wysokiej klasy, ale o innym kroju pisma niż drukarka w jej biurze. Odnalazła ostatnią stronę. Widniał na niej podpis. Sprawiał autentyczne wrażenie.

Odchyliła się na oparcie krzesła. Jeszcze przez chwilę nic nie rozumiała, potem przyszło olśnienie i zalała ją fala współczucia dla Scotta. Podpisał sprzeciw, żeby ją uspokoić. Jakimś sposobem znalazł komputer, skompletował papiery i złożył je w sądzie. Powiedział, że chce mieć to za sobą i mówił serio.

2

Dan nie zauważył, kiedy po południu wróciła na salę sądową. Całą uwagę skupiał na trzech biegunach: ławnikach, sędzim i adwokacie strony przeciwnej.

Przysięgli zostali wybrani i zasiedli w ławie. Pięciu mężczyzn, trzy kobiety. Sześciu białych, dwóch Murzynów. Księgowy, emeryt i trzech robotników, którzy nigdy nie uwierzą, że ktoś może być zbyt zajęty, żeby nie zainteresować się dziesięciomilionowym trustem. Dan czułby się w miarę usatysfakcjonowany składem ławy, gdyby nie to, że i Perlman sprawiał wrażenie równie zadowolonego. Oznaczało to, że tak naprawdę nie wiadomo, jak fakty wpłyną na opinię przysięgłych.

Steuben przedstawił ławie dobre, neutralne streszczenie sprawy i oddał głos adwokatom, uczyniwszy tylko kilka nieistotnych uwag. Zachowywał swoje rozdrażnienie na te okazje, kiedy przysięgłych nie było na sali. Zirytował się, że sprawa nie została rozstrzygnięta polubownie. Jak wielu jego kolegów po fachu uważał, że przysięgli są dobrzy do orzekania o wypadkach, i cierpiał powierzając im skomplikowaną sprawę z zakresu prawa handlowego. Wykorzystując tę irytację, Dan zdał mu sprawozdanie ze wszystkich prób rozstrzygnięcia polubownego. Perlman dał słaby odpór i przynajmniej na chwilę niezadowolenie Steubena skupiło się na nim.

Ale rozdrażniony młody sędzia mógł nie wystarczyć, żeby pokonać Perlmana. Dan podejrzewał, że jego przeciwnik spędził weekend w saunie, wypacając tłuszcz z brzucha i alkohol z porów. Był w szczytowej formie. I ten asystent o wyglądzie wojskowego, z pustym rękawem marynarki! Przysięgli nie mogli oderwać od niego wzroku.

- Panie Perlman, proszę zaczynać - powiedział Steuben.

Perlman wstał, podszedł do pulpitu i odwrócił się twarzą do przysięgłych.

- Ta sprawa dotyczy zaufania - zaczął bez zwyczajowego zagajenia. - "Zaufanie: mocne przekonanie o uczciwości i prawości drugiego człowieka". Wiara, zaufanie - powtórzył, akcentując słowa. - Taką definicję podaje Webster. Dowody, jakie zostaną wam przedstawione, będą mówiły o nim równie wyraźnie. Kogo darzymy zaufaniem? Rodzinę, duchownego, prawnika, jeżeli się do takowego zwrócimy. Curtis Mason potrzebował prawnika. Miał siostrę, Elizabeth, czule nazywaną Doody, swoją jedyną siostrę, która zmarła w zeszłym roku. Był to dla niego ciężki cios. Siostra obarczyła go odpowiedzialnym zadaniem. Zostawiła majątek -

dziesięć milionów w funduszu powierniczym dla swojej córki - i pragnęła, by pan Mason nim zarządzał. Skomplikowane zadanie. Podatki, akcje, papiery wartościowe i wiele innych spraw, którymi trzeba się zająć. Pan Mason zrobił to, co na jego miejscu uczyniłby każdy roztropny człowiek - zwrócił się do profesjonalistów. Zatrudnił księgowego. Zatrudnił maklera. I zatrudnił doradcę prawnego. A właściwie całą firmę prawniczą - Harding & Mc-Mann.

Dan patrzył na przysięgłych, ale kątem oka zarejestrował, że Perlman odwraca się, by wbić wzrok w obronę.

- Pan Mason powierzył zarządzanie trustem firmie Harding & McMann. Panie i panowie, mój znakomity kolega z pewnością powie wam, jak szacowna i godna zaufania jest ta firma. Cóż, podzielamy tę opinię. Gdyby nie była to renomowana firma, pan Mason nie powierzyłby jej zarządu majątkiem ukochanej siostry. Oczywiście, że są znakomitą i szacowną firmą! Ufał, że wywiążą się ze swoich zobowiązań. W uczciwy, prawy sposób.

Perlman przerzucił ciężar ciała z nogi na nogę, potem z pięt na palce. Podobnie jak Casella, lubił się ruszać podczas mowy wstępnej i dobrze się czuł na podium. Dan wiedział, że jego odczucia będą podobne, ale ruchliwość Perlmana podważała w jakiś sposób jego słowa. Dan postanowił, że skopiuje sztywną postawę Jerry'ego Shustera, jeżeli uzna to za konieczne, ale będzie stał spokojnie.

- Przez pewien czas wszystko szło dobrze - ciągnął adwokat. - Harding & McMann wypełniali należycie swoje obowiązki. Zdobyli jego zaufanie. Powierzył im pełną kontrolę nad funduszem. Kontakty z księgowym, z maklerem, regulowanie rachunków i wypłaty dla rodziny Doody. Pan Mason wierzył, że firma Harding & McMann wykona uczciwie to, co zostało jej powierzone. Harding & McMann krok po kroku wkradali się w jego zaufanie, aż w końcu postanowił powierzyć im pieczę nad własnym majątkiem. „Zainwestujemy go dla ciebie”, mówili. „Niech procentuje”. I znów Harding & McMann wywiązali się ze swoich obowiązków. Zainwestowali pieniądze pana Masona. Podwoili je, potem potroili. Był zachwycony. Cóż, kto by nie był? Ale, panie i panowie, to była fikcja. Pewnego dnia pan Mason dowiedział się, że zyski inwestycyjne nie istnieją. Nigdy nie istniały. Harding & McMann stracili jego pieniądze, wszystko co do centa. W porządku, takie rzeczy się zdarzają, nie ma gwarancji zysków na giełdzie. Ale oni go okłamali! Kazali mu wierzyć, że zbił fortunę. Jak tego dokonali? Przelali dwa miliony dolarów na jego konto. Dwa miliony dolarów, które, jak sądził, pochodzą z transakcji giełdowych. Skąd naprawdę pochodziły te

pieniądze? Z funduszu powierniczego jego zmarłej siostry, oto skąd! Dwa miliony dolarów, skradzione z trustu, nad którym mieli sprawować pieczę! Zaufanie? Zawiedli je w niewyobrażalny sposób.

Perlman mówił jeszcze dziesięć minut, ani razu nie wymieniając nazwiska Scotta. Dan przejrzał jego grę. Wyrok przeciwko Sterlingowi na nic by się mu nie przydał. Żeby odnieść prawdziwe zwycięstwo, Perlman musiał utożsamić Scotta z H & M. Ostatecznie dowody wykazały, że to Sterling przywłaszczył sobie pieniądze, że to on kłamał, ale tymczasem ziarno zostało posiane - stało się to z winy firmy i odpowiada ona finansowo.

Jenny robiła notatki z mowy Perlmana i kiedy usiadł, czekała przez dłuższy czas z długopisem zawieszonym nad kartką. Przez szalę przetoczył się szmer pełen oczekiwania. Głowy przysięgłych zwróciły się ku Danowi. Kiedy cała uwaga sali skupiła się na nim, wstał i podszedł do pulpitu.

- W tej sprawie rzeczywiście chodzi o zaufanie! - powiedział niemal groźnie. - Chodzi o wiarę w uczciwość drugiego człowieka. Panie i panowie, zadajcie sobie jednak pytanie: Komu właściwie Curtis Mason tak bardzo ufał? I czy w ogóle komuś ufał? Nie istnieje żaden dowód na to, że Curtis Mason ufał Harding & McMann. Harding & McMann nic dla niego nie znaczyli. Jest to firma prawnicza, jedna z pięciu czy sześciu w mieście, ani lepsza, ani gorsza. Z jedną tylko różnicą - pracował w niej Scott Sterling.

Przysięgli popatrzyli po sobie pytająco. Sędzia wymienił to nazwisko podczas porannego streszczenia sprawy, a potem - podczas selekcji ławy - pytano ich, czy nie są powiązani z długą listą osób, między innymi ze Scottem Sterlingiem. W tej chwili jednak nazwisko z niczym im się już nie kojarzyło.

- Zapamiętajmy to nazwisko - powiedział Dan. - Pan Perlman zapomniał o nim wspomnieć. Scott Sterling - jedyny powód, dla którego pan Mason powierzył swoje interesy Harding & McMann. Człowiek, wokół którego koncentruje się ta sprawa.

Scott Sterling. Pan Mason znał jego rodzinę, zanim Scott Sterling przyszedł na świat. Chodził do szkoły z jego ojcem. Był stałym elementem jego życia w okresie dorastania. Scott nazywał go wujkiem Curtem. Pan Mason mówił o nim „mój syn”.

Starsza, ubrana na szaro kobieta, przekrzywiła głowę, wyraźnie zainteresowana.

- Pan Mason zatrudniał już firmę prawniczą, która zajmowała się jego interesami. Nadal ją zatrudnia. Zatrudniał pół tuzina innych firm, które prowadziły

sprawy prawne jego przedsiębiorstwa, Macoal Corporation. Harding & McMann nigdy do nich nie należeli. Firma ta nie wydała mu się atrakcyjna, aż do zeszłego roku. Pan Curtis Mason nie powierzył trustu Harding & McMann. Powierzył go Scottowi Sterlingowi, swemu przybranemu synowi.

Jenny zapomniała o notatkach. Dan stał zupełnie nieruchomo, używając głosu jako jedyne instrumentu. A może była to broń, bo w chwili, gdy wymienił nazwisko Scotta, poczuła przeszywający ból.

- Nie zaufałam Harding & McMann. Nie miał nawet do czynienia z firmą, poza Scottem Sterlingiem. Nie kontaktował się z nikim poza nim.

Więc kiedy pan Perlman twierdzi, że Harding & McMann oferowali mu swoje usługi, proponowali prowadzenie inwestycji, okłamywali go w sprawie zysków giełdowych lub ukradli dwa miliony dolarów z funduszu powierniczego, musicie zrobić poprawkę i w miejsce Harding & McMann wstawić nazwisko Scotta Sterlinga.

Usłyszał za sobą parsknięcie; to Perlman robił przedstawienie na użytek przysięgłych.

- O ile pan Mason w ogóle komuś ufał - ciągnął Dan - to jedynie Scottowi Sterlingowi, nie Harding & McMann.

Powiedziałem: „O ile komuś ufał”, ponieważ dowody wykazały, że nie ufał również Scottowi Sterlingowi. Podważał wszystko, co mu Scott mówił, wątpił w jego słowa do tego stopnia, że w tajemnicy nagrywał ich rozmowy telefoniczne.

Ten i ów przysięgły uniósł brwi i Dan wiedział, że Charlie Duncan skręca się za jego plecami.

- Panie i panowie, słuchając tych taśm, zadajcie sobie pytanie: dlaczego pan Mason potajemnie nagrywał tego młodego człowieka, który był dla niego jak syn, któremu tak bezgranicznie ufał? Odpowiedź brzmi: ponieważ mu nie ufał. Nie ufał mu za grosz! Ale powiedziałem na początku, że w tej sprawie chodzi o zaufanie. Mówię o zaufaniu, jakim Elizabeth Mason Chapman obdarzyła brata, mianując go powiernikiem swojego majątku. Mówię o zaufaniu, jakim jej córka Catherine obdarzyła swojego wujka. Wierzyła, że będzie sprawował pieczę nad jej dziedzictwem. Obie te kobiety wierzyły, że przedłoży interesy trustu nad własne. Oto zaufanie, jakie zostało pogwałcone w tej sprawie. W taki, czy inny sposób, pan Mason dopuścił do tego, by dwa miliony dolarów przepłynęły z funduszu na jego konto osobiste. Dwa miliony dolarów z majątku jego zmarłej siostry, dziedzictwa jego siostrzenicy. Przedłożył swój interes osobisty nad ich dobro. I po

dziś dzień, panie i panowie, odmawia zwrotu tych pieniędzy. Chce, żebyście obarczyli odpowiedzialnością Harding & McMann. Chce, żebyście obwinili firmę prawniczą, z którą nigdy nie miał do czynienia, za jego własne zaniedbania. Rzeczywiście nadużyto zaufania - zaufania, jakim pani Chapman obdarzyła swojego brata, powierzając mu pieczę nad pieniędzmi swej córki, Catherine; zaufania, jakim Catherine darzyła swojego wujka, przekonana, że będzie działał w jej najlepiej pojętym interesie. Zostały zdradzone, obie. Panie i panowie, była to zdrada najgorszego rodzaju, ponieważ dopuścił się jej ktoś, kogo kochały.

Dan pozwolił, by cisza wypełniła salę, zanim odwrócił się i ruszył w stronę stołu obrony. Jego wzrok spoczął na chwilę na Jenny. Uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Nie wiedziała tylko, od jak dawna.

3

Wysoki Sądzie, powód wzywa na świadka Tuckera Podswortha.

Podsworth, nie ukrywając irytacji, złożył przysięgę i zajął miejsce świadka, nastroszony jak kurczak, którego matka wezwała do gniazda.

Zeznał, że jest współnikiem Harding & McMann i prezesem wydziału nieruchomości w firmie. Potwierdził także, że do stycznia tego roku Scott Sterling był jego dependentem. Na użytek ławy przysięgłych wyjaśnił, że współnik jest współwłaścicielem firmy, podczas gdy dependent jest po prostu pracownikiem. Sterling był jego podwładnym.

Następnie przyznał, że Sterling zajmował się trustem Champanów, rozpoznał list Sterlinga adresowany do niego, określający ramy jego obowiązków wobec trustu. Przyznał, że Sterling otworzył później akta Curtisa Masona, które miały coś wspólnego z doradztwem. Potwierdził, że on, Podsworth, wystawiał rachunki w obu tych sprawach.

W końcu Perlman wyciągnął z niego wszystkie szczegóły odkrycia fałszerstwa czeku i przyznania się Scotta Sterlinga.

Dan jeszcze raz uświadomił sobie, że nie wolno mu lekceważyć Boba Perlmana. Wzięcie w krzyżowy ogień pytań Podswortha, zamiast Masona, było mądrym posunięciem. Upiekł w ten sposób trzy pieczenie przy jednym świadku. Otrzymał treściwe objaśnienie planu Sterlinga, udowodnił, że firma była zaangażowana w sprawę przynajmniej administracyjnie, a co gorzej - ustawił Podswortha w roli

personifikacji H & M. A Podsworth był pompatyczny, nadęty i arogancki. Był ostatnią osobą, jaką wybrałby Dan.

Nie miał złudzeń, że uda mu się uczłowieczyć Podswortha, ale przesłuchał go, żeby zyskać przynajmniej kilka punktów.

- Czy Curtis Mason był kiedykolwiek klientem firmy, zanim oddał swoje sprawy w ręce Sterlinga?

- Nie - odpowiedział Podsworth krótko, równie nieprzyjazny wobec własnego adwokata, jak wobec powództwa.

- Czy ktoś z członków rodziny Masona był kiedykolwiek klientem firmy?

- Nie.

- Czy firma pana Masona, Macoal Corporation była kiedykolwiek klientem firmy?

- Nie.

- Zna pan pana Masona osobiście?

- O tak.

- Od jak dawna?

- Od lat.

- Od ilu?

Podsworth potarł podbródek.

- Przynajmniej dwudziestu.

- Jak się poznaliście?

- Dobry Boże! Nie pamiętam. Prawdopodobnie na jakiejś imprezie towarzyskiej.

- A potem, czy często uczestniczyliście razem w takich imprezach?

- Bardzo często.

- Macie wspólnych znajomych?

- Tak.

- Czy pan i pan Mason należycie do tych samych klubów?

- Tak.

- Mógłby je pan wymienić?

- Klub krykietowy Merion, golfowy klub Overbrook, Union League. Co jeszcze...?

- To wystarczy, dziękuję.

Pierwszy punkt zdobyty. Podsworth mógł być snobistycznym sukinkotem, ale Mason też nim był.

- Czy pan Mason wiedział, że jest pan doradcą prawnym specjalizującym się w funduszach powierniczych?

- Oczywiście. Wielokrotnie o tym rozmawialiśmy.

- Czy kiedykolwiek próbował go pan pozyskać jako klienta?

- Nie w dosłownym znaczeniu - odpowiedział Podsworth z oburzeniem. - To byłoby karygodne. Ale nie kryłem, jakie mam doświadczenie, i gdzie może mnie znaleźć.

- Ale mimo dwudziestu lat znajomości i pańskich osiągnięć zawodowych pan Mason nie był nigdy klientem Harding & McMann, dopóki Scott Sterling go nie pozyskał?

- Nie był.

Drugi punkt.

Trzeci zdobył równie łatwo. Scott Sterling był jedynym pracownikiem H & M, który świadczył usługi wobec Trustu Chapmanów i Masona. Podsworth regularnie otrzymywał wydruki komputerowe z wykazem świadczonych usług. Nie pojawiło się na nich nigdy żadne inne nazwisko.

- W jaki sposób pan Mason otrzymywał rachunki?

- Przesyłałem mu je pocztą.

- Z listem od firmy?

- Oczywiście - odpowiedział pobłaźliwie.

- Panie Podsworth, zauważyłem, że każdy z tych listów - dowody D-3 do D-6 - kończy się akapitem tej samej treści. Czy to się zgadza?

- Tak.

- Proszę przeczytać sędziom przysięgłym ostatni akapit.

Nie kryjąc irytacji, Tucker wygrzebał z wewnętrznej kieszeni marynarki okulary i nasadził je sobie na nos.

- „W przypadku pytań lub uwag dotyczących usług świadczonych przez firmę lub opłat, uprzejmie proszę o kontakt ze mną”.

- Czy pan Mason kiedykolwiek zwrócił się do pana z pytaniem lub uwagą odnoszącą się do tych usług lub opłat?

- Nigdy.

- Czy pan Mason kiedykolwiek zgłosił się do pana z pytaniem lub uwagą dotyczącą usług świadczonych dla niego przez Scotta Sterlinga?

- No cóż... specjalnie się ze mną nie kontaktował, ale rozmawialiśmy na ten temat przy pewnej okazji.

- Jaka to była okazja?

- Wakacyjny wypad do wspólnego znajomego. W grudniu.

- O czym panowie rozmawiali?

- O wielu rzeczach. Zapytałem go między innymi, czy jest zadowolony ze Scotta.

- Co odpowiedział?

- „Ponad wszelkie wyobrażenie”.

Perlman nie mógł wypuścić świadka i zostawić przysięgłych pod wrażeniem tych słów. Podszedł do pulpitu, żeby zadać jeszcze parę pytań.

- Proszę, żeby świadek spojrzął na załącznik D-2.

Podsworth przerzucił papiery, które miał przed sobą i znalazł właściwy dokument.

- Jest to lista usług dla „Mason, Doradztwo Inwestycyjne”, o ile się nie mylę?

- Tak.

- Wszystkie te usługi były świadczone przez Scotta Sterlinga?

- Tak.

- A opis usług świadczonych poszczególnego dnia znajduje się w załączniku D-2, zgadza się?

- Tak.

- Proszę przeczytać ten opis, panie Podsworth.

Podsworth nastroszył się ponownie i założył okulary.

- Pozycja pierwsza: „Telefoniczna konsultacja z klientem odnośnie papierów wartościowych”.

- A następna?

- Tak samo.

- Czy możemy powiedzieć - głos Perlmana wzbił się dramatycznie - że tak brzmi każda pozycja na tej liście?

Podsworth powoli i sumiennie przejrzał wszystkie strony wydruku. W końcu podniósł głowę.

- Nie - odrzekł z zadowoleniem.

Dan przebiegł wzrokiem listę i zacisnął zęby, wbrew rozsądkowi licząc na to, że Podsworth nie okaże się większym idiotą, niż był w rzeczywistości. Perlman nie miał takich złudzeń.

- Przypuszczam, że ma pan na uwadze wpis na trzeciej stronie brzmiący: „Spotkanie z klientem odnoście papierów wartościowych”? - Jego głos ociekał sarkazmem.

- Tak.

Ten i ów przysięgły przewrócił oczami.

- Dość ogólny opis, prawda?

Tucker wzruszył ramionami.

- Dość.

- Czy poszedł pan choć raz do Sterlinga i zapytał, na czym właściwie polegają te konsultacje odnośnie papierów wartościowych?

- Nie - przyznał Podsworth. - Według tych wpisów, Sterling komunikował się z panem Masonem osobiście. - Próbował się ratować. - Zakładałem, że wie, co Sterling robi, a jeżeli będzie miał wątpliwości, skontaktuje się ze mną, jak o to prosiłem.

- Nie mam więcej pytań - powiedział Perlman twardo, głosem i postawą dając do zrozumienia, że uważa Podswortha za bezwartościowego świadka.

- Skończył pan, panie Perlman? - zapytał sędzia. Perlman skinął głową. - Wobec tego odraczam posiedzenie do jutra.

4

Scott czekał na nią w drzwiach. Przy sałacie i kanapkach zdała mu relację z otwarcia posiedzenia i zeznań Podswortha. Scott zacisnął dłonie, aż zbieleły mu kłykcie.

Telefon zadzwonił, kiedy sprząтали ze stołu. Odebrała Jenny.

- Zastąłem Scotta? - zapytał głos, który nauczyła się rozpoznawać. Należał do Edgara Sterlinga. „Twój ojciec”, wypowiedziała samymi ustami. Scott skinął głową i pobiegł do telefonu na górze. Rozłączyła się w chwili, gdy usłyszała jego „Halo”. Edgar Sterling dzwonił coraz częściej i Jenny miała nadzieję, że oznacza to szybkie pojednanie ojca i syna.

Sprzątnęła ze stołu i zmyła naczynia. Chciała pójść na górę się przebrać, ale za nic nie przeszkodziłaby teraz Scottowi. Nalała sobie lemoniady i wyszła na dwór.

Deszcz ustał w ciągu dnia, ale trawa była nadal mokra, Jenny usiadła więc na patio i patrzyła, jak zapada zmierzch. Światła w barakach połyskiwały niby nocni

wartownicy na zboczu. Śpiewały świerszcze i im uważniej słuchała, tym głośniejsza stawała się ich muzyka, aż w końcu nie słyszała nic poza nią.

Czuła się tak, jakby grała w sztuce, w dwóch, a nawet trzech rolach, z których żadna do niej nie pasuje. Przesiedziała cały dzień w sądzie, udając, że jest neutralnym obserwatorem. Wróciła do domu i udawała przed Scottem. Kłamała Danowi i zataiła prawdę przed Cassie von Berg. Sztuka zaczęła żyć własnym życiem, a ona nie pamiętała nawet, jak zejść ze sceny.

Coś jednak mogła zrobić.

Weszła do domu po torebkę i zostawiła wiadomość dla Scotta na kuchennym stole.

Cassie von Berg mieszkała w Gladwyne, na wzgórzu ponad miastem. W dzielnicy słynącej z trzypiętrowych kamiennych budynków w stylu kolonialnym, rozległy jednopiętrowy biały dom z czerwoną dachówką był prawdziwą niespodzianką. Willa w stylu śródziemnomorskim w sercu kraju kwakrów.

Świeciło się w oknach, ale nikt nie odpowiedział na dzwonek. Jenny nacisnęła go jeszcze raz i nasłuchiwała, ale zamiast kroków wewnątrz domu, usłyszała chrzęst żwiru na podjeździe. Chwilę później omiotły ją światła reflektorów. Samochód zaparkował obok jej wozu i światła przygasły.

Był to czarny mercedes-limuzyna. Wysiadł szofer w uniformie i wolno rozprostował imponującą, groźną postać. Miał przeszło metr dziewięćdziesiąt wzrostu i połowę tego w barach. Okręcił się wolno i w chwili, gdy jego wzrok zatrzymał się na Jenny, uświadomiła sobie, że mężczyzna bada teren. Oczy miał niebieskie i okrągłe, co zdumiewało w azjatyckiej twarzy. Nie spuszczać z niej wzroku, otworzył tylne drzwi i przemówił kilka słów do kogoś w limuzynie.

- W porządku, Moi - odezwał się głos i z wozu wyłonił się szpakowaty mężczyzna w smokingu. Szofer stał w gotowości, podczas gdy mężczyzna obszedł samochód. Otworzył drzwi z drugiej strony i pomógł wysiąść Cassie von Berg.

Długa, wąska suknia z czarnego jedwabiu i jasne włosy upięte wysoko sprawiały, że wydawała się niesamowicie wysoka, wiotka i bogata. Jenny skuliła się i niezręcznym ruchem złożyła ręce na brzuchu.

- Jenny! - zawołała Cassie. - Co za niespodzianka!

- Wybacz, że nie zapowiedziałam się telefonicznie. Zadzwoń jutro, jeżeli można.

- Och, nie uciekaj! Miałam nadzieję, że się dzisiaj odezwiesz. - Sunęła płynnie u boku mężczyzny. - Jenny, poznaj Jacka Stengela. Jack, to moja prawniczka, Jennifer Lodge.

- Miło mi. - Błysnął idealnie białymi zębami i uściśnął jej dłoń. Miał opaloną skórę i pełne wargi.

- Napijesz się z nami kawy, Jack?

Jenny zauważyła, jak zręcznie dała mu odczuć, że stał się piątym kołem u wozu.

- Nie dzisiaj, ale dziękuję. Odezwę się niebawem.

- Cudownie!

- A skoro jest pani doradcą prawnym Cassie - ciągnął, zwracając się do Jenny - jestem pewien, że spotkamy się ponownie.

- Miło było pana poznać - wymamrotała.

Pożegnał się, pocałował Cassie w policzek i ruszył w stronę wozu.

- Moi! - zawołał, ale szofer już stał przy otwartych drzwiach.

- Boże, ale masz wycucie czasu! - powiedziała Cassie, kiedy limuzyna wycofała się z podjazdu.

- Tak mi przykro...

- Mówię poważnie! Zjawiałaś się w samą porę! Jeszcze dziesięć minut i wylądowałabym z nim w łóżku. - Cassie otworzyła rzeźbione drewniane drzwi.

- Czy to był ten Jack Stengel? Pirat korporacyjny?

- We własnej osobie. - Cassie zdjęła brylantowe kolczyki i upuściła je na konsolkę w holu. - Proszę, wejdź.

Zrzuciła pantofle i zaprowadziła Jenny do salonu, umeblowanego minimalną ilością mebli w subtelnych odcieniach bieli. - Czego się napijesz?

- Niczego, dziękuję. Cassie, on w zeszłym roku próbował przejąć Macoal.

- Wiem. - Roześmiała się. - Czy to nie wspaniałe?

- Co jest wspaniałe?

- Że o mnie zabiega. - Klapnęła na kanapę. - Uważa widocznie, że mam dużą szansę wykopać Curtisa z trustu. Inaczej, dlaczego traciłby na mnie czas? Nie mogę sprzedać mu swoich akcji.

Jenny przysiadła na otomanie obitej skórą w barwie kości słoniowej.

- Nadal je skupuje?

- Chyba nie. - Cassie wyjęła szpilki z koka i potrząśnięciem głowy rozpuściła włosy. - Przynajmniej dopóki Curtis kontroluje większość. Ale cały czas dawał mi do zrozumienia, że w przyszłości moglibyśmy nawiązać współpracę. Sama

słyszałaś - skoro jesteś moim adwokatem, ma nadzieję cię wkrótce znowu zobaczyć.

- Sprzedałabyś mu akcje, gdybyś mogła?

- Prawdopodobnie nie. Ale kto wie? Może moglibyśmy zjednoczyć siły i przejąć kogoś trzeciego? - Położyła nogi na kanapie obitej białym adamaszkiem. - Więc jak poszło? Byłaś w sądzie?

- Remis, jak sędzę - odparła Jenny. - Obie strony zyskały parę punktów. Casella poddał Masona ciężkiej próbie, za to Perlmanowi udało się oczernić H & M.

- Scott Sterling pozostaje niewiadomą kartą.

Jenny wstała, podeszła do okna, potem do kominka.

- Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć.

Na gzymsie kominka stał rząd fotografii. Cassie w białej balowej sukni debutantki. Cassie w ślubnym stroju.

- Powinam powiedzieć ci o tym wcześniej.

Kolejne zdjęcie ukazywało Reese'a Chapmana ściskającego uzdę w jednej ręce, puchar w drugiej. Jenny zatrzymała się, żeby na nie popatrzeć.

- No więc. - Cassie poprawiła się na sofie. - Powinam umierać z ciekawości, ale obawiam się, że zasnę, zanim to wykrztusisz.

Jenny odwróciła się twarzą do niej.

- Zatrudniłam konsultanta, żeby zrobił finansową analizę Macoal.

- To dobrze, mówiłam ci...

- To bardzo utalentowana kobieta i sędzę, że znakomicie wywiąże się z zadania.

- Nie musisz usprawiedliwiać swoich...

- Nazywa się Cynthia Lehmann.

Przez dobrą chwilę Cassie próbowała przypomnieć sobie, skąd zna to nazwisko.

- A! Kobieta z firmy Gordona St. Jamesa.

Jenny przytaknęła.

- Mam nadzieję, że nie weźmiesz jej tego za złe. To znaczy, myślę, że okoliczności...

- Nie musisz nic wyjaśniać. Śledziłam proces. Było oczywiste, że St. James kłamie jak z nut.

Jenny wlepiła w nią wzrok.

- Wiedziałaś o tym, a mimo to mnie zatrudniłaś?

Wzruszyła beznamiętnie ramionami.

- Nie jestem lepsza od innych klientów, chciałam prawnika, który potrafi być bezwzględny, równie bezwzględny jak Curtis. Uczciwość stawiam na drugim miejscu.

Jenny skrzywiła się boleśnie. Słowa Cassie zaboląły, tym bardziej że zasłużyła na nie.

- Nie mogę powiedzieć, że wiedziałam, że St. James kłamie - odezwała się. - Ale w gruncie rzeczy mnie to nie obchodziło. Pragnęłam jedynie wygrać. Dopiero potem zrozumiałam, że cena jest zbyt wysoka.

- I dlatego zatrudniłaś Cynthię Lehmann.

- Drobne zadośćuczynienie. - Uśmiechnęła się słabo. - Przypuszczam, że wcale nie jestem taka bezwzględna, jak byś sobie życzyła.

- I wiesz co? Uświadomiłam sobie, że uczciwość znaczy więcej, niż mi się wydawało. Cieszę się, że znalazłam prawnika obdarzonego sumieniem.

Jenny odwróciła wzrok. Może faktycznie miała sumienie, bo nadal jej dokuczało. Wzięła głęboki oddech, szykując się na następne wyznanie.

- To jeszcze nie koniec, Cassie. Scott Sterling jest moim przyjacielem. - Zdawała sobie sprawę, że na tym nie może poprzestać. - Więcej niż przyjacielem. Mieszka ze mną.

Cassie spuściła nogi z sofy i popatrzyła na Jenny szeroko otwartymi oczami. Czekala na wybuch. Zaraz wyleci z roboty, na co sobie w pełni zasłużyła. Odczuła żal pomieszany z ulgą.

- Jenny, czy to rozsądne?

- Istotne jest tylko to, co ty o tym sądzisz?

- No cóż, to chyba w ogóle nie moja sprawa.

- Oczywiście, że twoja! Okradł cię.

- Curtis mnie okradł. Scott Sterling był tylko narzędziem. Jestem o tym przekonana i sądziłam, że ty również.

Jenny usiadła przy niej z ciężkim westchnieniem.

- Czy on jest...? - Cassie wskazała jej brzuch.

- Nie! To nie tak. Mamy wspólnych znajomych. Wpadliśmy na siebie zeszłej wiosny. Szukał mieszkania, ja współlokatora. Jedno prowadziło do drugiego...

- Stop! - Cassie uniosła rękę. - Nie musisz nic wyjaśniać. Gdybyś przyszła tu dzisiaj z informacją, że sypiasz z wujkiem Curtisem, martwiłabym się, że mamy konflikt interesów. Ale w tej sytuacji martwię się tylko o ciebie. To przykre, co powiem, Jenny, ale to mi wygląda na typowy związek bez przyszłości.

- Nadal chcesz, żebym cię reprezentowała?
- I to bardzo. I jeżeli powiesz, żebym nie wtykała nosa w twoje życie miłosne, usłucham.
- Cassie, dziękuję.
- O coś cię jednak poproszę.
- Oczywiście.
- Dowiedz się wszystkiego, co możliwe o Jacku Stengelu.
- Już go wpisałam na listę.

5

Sąd odroczył posiedzenie w środę o szesnastej trzydzieści, a o siedemnastej Dan był już przy swoim biurku, kompletnie wyczerpany. Wysłuchiwanie z kamienną twarzą mowy oponenta zawsze go męczyło, ale nigdy bardziej niż podczas tego procesu. Perlman budował swoją linię obrony na jego świadkach. Najpierw na Tuckerze Podsworcie, potem na byłej sekretarce Scotta Sterlinga, a przez pół wtorku i całą środę na Charliem Duncanie.

Biedny Charlie. Przysięgli nigdy nie rozumieją, że jego przygarbione plecy i rozbiegane oczy nie są symptomem braku charakteru i sumienia, a przeciwnie - nadmiaru obu. Zachowywał się jak człowiek winny, ponieważ przyjął winę na siebie. Na domiar złego akurat dzisiaj wspólnicy Charliego złożyli wizytę w sądzie. Przez cały dzień Dan czuł ich obecność za swoimi plecami, a jeszcze dalej, z tyłu sali, Jennifer, niby nieustanny, nękający ból.

Biurko miało zawałone pocztą i rozmaitymi wiadomościami. Przerzucił bezmyślnie korespondencję. Perlman zyskał dzięki Charliemu sporo punktów. H & M miała opracowane zasady i procedury kontroli pracowników, ale żadnych mechanizmów wprowadzania ich w życie. W ciągu ostatnich trzech lat firma odebrała dwadzieścia trzy skargi, na tyle poważne, że należałoby przeprowadzić dochodzenie. Siedem z nich dotyczyło rzekomych niewłaściwości w obrocie gotówkowym. Przynajmniej dwie miały rzeczywiste podstawy, ale nikt z pracowników firmy nie został zwolniony, nie otrzymał nawet upomnienia. Przeciwnie, prawnik winny zaniedbania został wspólnikiem firmy zaraz następnego dnia.

Otwierało to przed Perlmanem zupełnie nowe możliwości. Dan niepokoił się tym bardziej, że tego nie przewidział.

- Ile czasu trzeba, żeby przeciętny współpracownik został wspólnikiem w waszej firmie? - zapytał Perlman.

Charlie mógł zgłosić zastrzeżenie do określenia „przeciętny”, Dan mógł zgłosić sprzeciw, ale obaj przegapili okazję.

- Normalnie około ośmiu lat.

- A więc - Perlman odwrócił się do ławy przysięgłych, żeby wyostrzyć jej uwagę - Scott Sterling zostałby wspólnikiem... Pod koniec tego roku?

Duncan poprawił się na krześle. Zdrętwiały mu pewnie pośladki. Po całym dniu siedzenia było to zupełnie zrozumiałe, ale wywarło złe wrażenie.

- Tak.

- Zostałby nim?

- Wybory odbędą się dopiero w przyszłym miesiącu - odparł Charlie. - Nigdy się tego nie dowiemy.

- Panie Duncan, chyba nie próbuje nam pan wmówić, że taka decyzja jest podejmowana pod wpływem chwili?

- No cóż... Nie.

- Robicie to chyba na bazie wcześniejszych ocen, ewaluacji?

- Tak, przeprowadzamy roczną ocenę pracownika.

- Jakie szansę miał Scott Sterling?

Charlie się zawahał.

- Niewielkie.

- Powiedział mu pan o tym?

- Tak.

Dan nie był pewny, do czego zmierza Perlman, jeżeli w ogóle ten tor przesłuchania miał jakiś cel, skoro Sterling nie zagarnął dwóch milionów dla siebie - ale niepokoiło go właśnie to, że nie rozumie sensu tych pytań.

Dotarł do domu o ósmej wieczorem. Tony leżał na kanapie i oglądał teledyski.

- Cześć - powiedział Dan.

- Cześć - odpowiedział, nie odrywając wzroku od ekranu.

Dan wyjął piwo z lodówki i zerwał kapsel z takim rozmachem, że wylądował na stole w jadalni. Odchylił głowę i pociągnął spory łyk z butelki. Brat nie poruszył się.

- Nie masz pracy domowej?

- Uhm.

- Co to miało znaczyć?

- Dzisiaj był ostatni dzień.

Spojrzał na kalendarz wiszący w kuchni na ścianie.

- Pokaż świadectwo.

- Zostanie przesłane pocztą.

Dan pociągnął następny łyk, próbując osądzić, czy brat kłamie.

- Może powinienem zadzwonić do szkoły.

Był to rodzaj pułapki, jaką zastawiał często na świadka strony przeciwnej, żeby zobaczyć reakcję, sprawdzić, czy się zdenerwuje, czy zacznie się wycofywać.

- Proszę bardzo.

Dan ściągnął marynarkę. Koszulę miał moką od potu, więc ją także zdjął. Wyłączył telewizor i usiadł, rozkoszując się chłodem skórzanego fotela. Tony patrzył na niego obojętnie, jakby nie był ludzką istotą.

- Tak się zastanawiam... - zaczął. - Teraz, kiedy szkoła się skończyła, nic cię już tutaj nie trzyma. Powinieneś chyba wrócić do domu.

Jeszcze przez chwilę twarz brata nie zdradzała żadnych uczuć, potem wybuchnął krótkim urywanym śmiechem.

- Wiedziałem! Wiedziałem, że wyrzucisz mnie, jak tylko zacznę być upierdliwy.

- Mam dla ciebie wiadomość - byłeś upierdliwy od samego początku.

Tony wstał bez słowa i poszedł do kuchni. Wyciągnął butelkę z lodówki.

- Co ty wyprawiasz?

- Świętuję! - Uniósł piwo takim gestem, jakby wznosił toast. Zrezygnował z obojętności. Uśmiechał się szyderczo, robiąc wszystko, by wywołać awanturę.

- Odłóż to!

Zerwał kapsel.

- Do ciężkiej cholery, odstaw to!

Podniósł butelkę do ust.

Dan dopadł go, zanim Tony zdążył przełknąć. Jedną ręką chwycił butelkę, drugą wymierzył bratu klapsa.

Ten cofnął się, wbijając w niego płonący wzrok.

- Idź się spakować - powiedział Dan.

Odwrócił się w stronę blatu, żeby zetrzeć rozlane piwo, owładnięty nową falą zmęczenia. Z holu dobiegły kroki Tony'ego, ale dopiero po chwili uzmysłowił

sobie, że zmierzają w złym kierunku. Ta chwila wystarczyła Tony'emu, żeby otworzyć drzwi i wybiec na korytarz.

- Hej! Dokąd to?!

Rzucił się za nim w stronę klatki schodowej. Tony był już piętro niżej. Dan pognął za nim, uderzając bosymi stopami o stopnie. Zmniejszył dystans, ale na następnym podeście Tony wskoczył na poręcz i spuścił się piętro niżej, był to manewr, którego Dan nie ośmieliłby się powtórzyć. Miał do pokonania dwadzieścia pięter i na każdym tracił po parę sekund. Kiedy dotarł w końcu na parter, tylne drzwi właśnie się zamykały.

Dan chwycił klamkę i pchnął, ale drzwi nie ustąpiły. Przypomniawszy sobie, że otwierają się kluczem, tym samym co drzwi od strony portierni. Cały jego plan kontroli Tony'ego był wart funta kłaków. Tony prawdopodobnie odkrył to już drugiego dnia.

Wygrzebał z kieszeni własny klucz i wypadł z budynku. Brat biegł truchtem na północ. Dan wystartował ostro. Chłopiec obejrzał się i ruszył sprintem, ale zmniejszył dystans na tyle, by zaryzykować skok. Chwycił go za łydki i Tony zwałił się na chodnik.

Upadając, Dan stracił oddech i zanim doszedł do siebie, wokół zebrał się tłumek, rozległy się gniewne głosy.

- Hej, złaż pan z niego!

- Co tu się właściwie dzieje!

- Proszę przestać!

- Niech ktoś zadzwoni po policję!

Dan przyklęknął, chwycił Tony'ego za kołnierz i posadził.

- Nic ci się nie... - zaczął widząc, że chłopiec płacze.

- Niech go pan puści! - pisnęła jakaś kobieta. Zawtórował jej chór głosów.

- Proszę posłuchać... - zaczął pojednawczym tonem.

- Niech mi ktoś pomoże! - wrzasnął Tony. - Ten facet mnie prześladowuje!

Zamknął mnie w swoim mieszkaniu i nie pozwala wychodzić!

Danowi opadła szczęka.

- Co ty, u diabła...?

- Zboczeniec! - zawołał ktoś.

Ktoś inny chwycił go od tyłu za ramiona i Tony wyrwał się na wolność.

- Hej! - krzyknął Dan, próbując strząsnąć z siebie czyjeś gorące dłonie. Obejrzał się i zobaczył dwóch mężczyzn uczepionych jego ramion. - To mój brat! Ucieka! Muszę go odwiedzić do domu!

- Opowiesz pan tę bajeczkę policji - warknął jeden z mężczyzn.

Dan czekał, żeby rozpoznano w nich braci, ale tym razem nikt nie zauważył podobieństwa.

- Tony! - wrzasnął. Tłumek urósł do dwudziestu osób i chłopiec już wymykał się poza jego granice. - Nie uciekaj! Porozmawiajmy.

- Jest policja!

Dan uświadomił sobie nagle, jak to wygląda: goły do pasa facet napastuje na ulicy nastolatka.

- Okay, okay - powiedział, dławiąc gniew. - Niech ktoś złapie dzieciaka i wyjaśnimy sprawę. Tylko nie dajcie mu uciec!

Brat rzucił mu ostatnie spojrzenie, odwrócił się i ruszył biegiem. Skręcił za pierwszy róg i zniknął, zanim policjant przebił się przez tłumek.

- O co chodzi?

- Proszę gonić mojego brata...

- To zboczenie! - wrzasnęła kobieta. - Zaczepiał tego chłopca!

- To mój brat. Próbował uciec z domu i udało mu się. Dzięki wam, idioci!

Wyrwał się w końcu, ale było już za późno. Tony zyskał zbyt dużą przewagę.

Tymczasem z budynku wyłonił się ochroniarz, który potwierdził, że Dan i tamten chłopiec są braćmi i mieszkają na dwudziestym szóstym. Policjant wzruszył ramionami, tłum się przerzedził, dwaj faceci, którzy pozwolili Tony'emu uciec, znikli jak kamfora.

- Wróci o zmroku - powiedział policjant.

Próbował być pomocny, ale Dan na nim wyładował złość.

- Co pan o tym wie? Nie ma pan pojęcia, co się z nim dzieje, dokąd poszedł i w co się wpakował!

- Chce pan zgłosić zaginięcie? Wysłać patrole?

Zawahał się. Zgłoszenie zaginięcia oznaczało, że dowie się o nim Mike i reszta rodziny.

- Nie. Proszę się nie fatygować.

Przeszukiwał ulice w najbliższym sąsiedztwie, najpierw pieszo, potem samochodem, zataczając coraz szersze kręgi. W złudnym świetle zmierzchu

przypatrywał się każdemu mijanemu człowiekowi. Zwalniał na widok każdej ciemnowłosej postaci wzrostu Tony'ego. Samochody jadące za nim trąbiły z irytacją.

Porzucił dzielnicę i pojechał do szkoły, przez króciutki moment licząc na to, że zobaczy, jak brat wbija kosze na boisku. Kilku chłopców rzucało sobie piłkę, biegnąc wzdłuż murawy, ale Tony'ego wśród nich nie było.

Popelnił błąd, odcinając go od sportu, jeden z wielu. Bić też go nie powinien. Ani zostawiać samego na tak długo. Za to powinien porozmawiać czasem o czymś istotnym. Te sto drobnych błędów pchnęło chłopaka do ucieczki.

Ale dlaczego zrobił to dzisiaj, kiedy chciał go odwiedzić do domu, uwolnić od siebie? Tego nie mógł zrozumieć.

O jedenastej, po trzech godzinach bezowocnych poszukiwań, przyszło mu do głowy, że Tony mógł wrócić na Gasker Avenue. Może chciał mu pokazać, że nie musi czekać, aż go tam zawiezie. Dan zawrócił na południe, ale nie miał odwagi zapukać do domu matki i zapytać, czy nie widziała ostatnio najmłodszego syna. Przejechał wolno pod domem. Jeżeli tam był, siedział pewnie w swoim pokoju. Okna były ciemne, ale to o niczym nie świadczyło. Mógł spać albo siedzieć na dole z resztą rodziny.

Im bardziej tego pragnął, tym mu się to wydawało bardziej prawdopodobne. Ale gdyby tak faktycznie było, ktoś przecież by do niego zadzwonił. Zawrócił z piskiem opon i ruszył całym pędem na Broad, a potem na wschód, do własnego mieszkania.

Ale światelko automatycznej sekretarki było ciemne. Nikt nie dzwonił.

Przycisnął czoło do ściany i sięgnął po słuchawkę.

- Mike - powiedział, kiedy uzyskał połączenie. - Potrzebuję twojej pomocy.

6

W czwartek Jenny wróciła do biura po odroczeniu posiedzenia sądu i usiadła do komputera, żeby przepisać notatki z rozprawy. Tego ranka Perl-man powołał eksperta, księgowego, który miał przedstawić drogę, jaką przebyły pieniądze. Plansza umocowana na tablicy między ławą przysięgłych a miejscem dla świadka ukazywała, w jaki sposób dwa miliony dolarów trafiły z konta powierniczego na

konto Masona. Falszując podpis na czekach, Sterling robił przelewy z rachunku maklerskiego trustu w Connolly & Company. Deponował te чеки na własnym koncie bankowym, następnie dokonywał przelewu z własnego konta na konto Masona w Connolly, używając czeków realizowanych przez bank w obecności właściciela konta. Wpisywał numer konta Masona i składał nieczytelny podpis. Ta określona droga, wyjaśnił ekspert, miała ukryć fakt, że pieniądze przepływały z rachunku powierniczego na osobiste konto Masona.

Dwie rzeczy zaniepokoiły tego dnia Jenny, a jedną z nich był Dan. Coś go wyraźnie nurtowało. Przyjechał później niż zwykle, wymęczony, bez wigoru i adrenaliny, z jaką zwykle wchodził na salę sądową. Rozmawiał dłużej z Mike'em di Maio niż z Charliem Duncanem, a potem przesiedział biernie zeznania eksperta. Kiedy przyszedła jego kolej, uwinął się w niecałe pół godziny.

Podejrzewała, że niepokoi ich ta sama sprawa: coś się nie zgadzało w metodzie przelewu pieniędzy, coś było bez sensu.

Jenny odchyliła się na krześle i wpatrzyła w ekran komputera. Kursor mrugał do niej, cztery razy na sekundę, ale ona nie odrywała wzroku od ekranu. Wyjęła notatki i sprawdziła wszystko od początku, potem wzięła kopię raportu rewidenta i przeczytała od deski do deski.

Zrozumienie przyszło nagle, a wraz z nim myśl tak okropna, że nie uwzględniła jej w notatkach. Scott zadał sobie wiele trudu, żeby ukryć fakt, że pieniądze przelewane na konto Masona pochodzą z rachunku powierniczego. A jednak suma każdego przelewu zgadzała się do centa z sumą podejmowaną z rachunku trustu.

Skoro tak bardzo starał się ukryć przepływ pieniędzy z trustu do Masona, dlaczego nie zmieniał kwot na czekach?

- Jak wojna?

Jenny podniosła głowę i ujrzała w drzwiach okrągłą postać Waltera Boenninga.

- O! Cześć, Walt. - Chociaż prawnicy z jego pokolenia byli z reguły komputerowymi analfabetami, natychmiast zaciemniła obraz. - Jakoś się toczy. Robię notatki dla Cassie von Berg.

- Dzwoniła do mnie wczoraj, żeby powiedzieć, jaka jest zadowolona z twojej pracy.

- To miło.

Ucieszyła się podwójnie z komplementu. Jej zaokrąglona postać wywołała w firmie niejedną uwagę. Starsi prawnicy trochę sarkali, ale Walt dał jej wyraźnie do zrozumienia, że do nich nie należy.

- Sądzę, że będzie to bardzo intratny kontakt - powiedział. - Proces przeciwko Curtisowi Masonowi to duża rzecz. A ta analiza finansowa Macoal - prawdziwa kopalnia złota.

Jenny uśmiechnęła się niezobowiązująco.

- Tylko tak dalej! - Wybuchnął dobrodusznym śmiechem. - Chcemy dobrze scementować nasz związek z tą klientką.

- Zrobię co w mojej mocy.

Za jego plecami ukazała się twarz Marilyn. Jenny popatrzyła na nią wyczekująco, ale sekretarka miała wiadomość dla swojego szefa.

- Panie Boenning - powiedziała schrypniętym głosem. - Czekają na pana.

Popatrzyła na nią ze zdziwieniem. Marilyn miała zaczerwienione oczy; coś było nie w porządku.

Walter wyszedł natychmiast na korytarz, a Marilyn ruszyła w stronę swojego biurka.

Jenny wstała z krzesła.

- Marilyn?

Sekretarka stanęła, ale się nie odwróciła, potem weszła do gabinetu Jenny i zamknęła za sobą drzwi.

- Co się stało?

- Zmuszają go do odejścia! - zawołała i ukryła twarz w dłoniach.

- Jak to możliwe? Przecież jest współnikiem.

- Emerytura mandatariusza - wykrztusiła. - Pan Boenning chciał się przed tym bronić, zbierał głosy, ale ma ich zbyt mało. Wszyscy ci młodzi współnicy! - parsknęła pogardliwie. - Myślą tylko o wysokości swoich dywidend. Nie pamiętają, kto ściągnął klientelę do tej firmy i nie chcą myśleć o tym, dla kogo ta klientela tutaj przychodzi. Pan Boenning poświęcił tej firmie całe życie, a oni tak mu się odwdzięczają!

- Może spodoba mu się na emeryturze - powiedziała Jenny. - Może to mu wyjdzie na dobre.

- Och, nie! - Marilyn otworzyła szeroko oczy. - On nigdy nie przejdzie na emeryturę. Mówi, że czuje, że żyje tylko wtedy, gdy praktykuje. Jeżeli przestanie, umrze w przeciągu roku. Akurat ich to obchodzi! - zawołała z goryczą.

- Więc co zrobi?

- Może założy własną kancelarię.

- Sam? - Jenny rzuciła jej krzywe spojrzenie. Otwarcie kancelarii prawniczej w pojedynkę było najprostszą drogą do bankructwa lub nadużyć, lub jednego i drugiego.

- Może małą firmę - powiedziała Marilyn, spoglądając chytrze. - Może ty byś z nim przeszła.

Jenny pokręciła głową.

- Już raz zmieniałam firmę, to wystarczy. - Uderzyła ja straszna myśl. - A ty idziesz z nim?

Marilyn otarła oczy i wyprostowała się.

- Oczywiście - powiedziała takim tonem, jakby Jenny zadała jej kretyńskie pytanie.

Ojciec Scotta zadzwonił ponownie po kolacji i Jenny wyniosła się na podwórko, podziwiać kwiaty o zachodzie słońca. Róże padły ofiarą japońskich żuczków i choć oczyszczała je regularnie, zostały całkowicie przeżarte. Pąki marniały, zanim zdążyły się otworzyć.

Poszła spacerkiem przez zagajnik i dalej na łąki, podzielone teraz na pólakrowe działki z domami w różnych stadiach budowy. Piaszczysta droga stanie się wkrótce Canterbury Lane, główną szosą dojazdową do osiedla. Domy były z kamienia lub tynkowane na biało, duże i zbudowane w ten sposób, by wyglądały na jeszcze większe, z dwupoziomowymi holami wejściowymi, jak napisano w prospekcie reklamowym. Od czasu, gdy była tu po raz ostatni, sprzedano jeszcze jeden dom i na świeżo posianym trawniku zatknięto triumfalnie tablicę informującą o tym fakcie.

Kiedy wróciła, z okien wozowni lało się światło. Widziała Scotta spacerującego nerwowo po pokoju ze słuchawką przy uchu. Jenny położyła się na trawie, podparta na łokciu, żeby na niego popatrzeć. Dom był teatrem pod gołym niebem, Scott aktorem w świetle reflektorów. Ale przestała rozumieć akcję. Przestała nawet próbować i wyciągnęła się na plecach, żeby poobserwować gwiazdy.

Małutkie rączki i nóżki poruszyły się w jej wnętrzu. Z uśmiechem położyła dłonie na brzuchu. Dziecko poruszyło się ponownie, wciskając piętę, a może pośladek w lewy bok Jenny. Nakryła ręką to miejsce i ruch się powtórzył, jakby w odpowiedzi na jej reakcję. Przełożyła rękę na prawą stronę, przycisnęła i została nagrodzona zdrowym kopnięciem. Roześmiała się cicho, wcale nie do siebie.

Nie myślała już o dziecku jako o symbolu swojego złamanego serca ani też jak o czymś skradzionym Danowi. Nie było to już dziecko Dana ani nawet jej własne. Było po prostu sobą i kochała je bezgranicznie, bez cienia niepokoju, że i ta miłość może pozostać nieodwzajemniona.

Scott odłożył słuchawkę i zaczął krążyć od okna do okna, wyglądając Jenny. Podniosła się z trawnika, otrzepała sukienkę i weszła do środka. Rozłożyli się w salonie na godzinną sesję telewizyjną, rozrywkę bezmyślną, ale na tyle absorbującą, że uwalniała ich od konieczności rozmowy.

Ale kiedy zgasili światła i ruszyli po schodach na górę, Jenny nie mogła dłużej powstrzymać pytania, które nękało ją przez cały wieczór.

- Jednej rzeczy nie rozumiem - powiedziała. - Dlaczego wpłacałeś na konto Masona dokładnie takie sumy, jakie pobierałeś z rachunku powierniczego? Połapałby się w tym od razu, gdyby czytał wyciągi.

- Nie wiem. Może Casella miał rację. Może podświadomie chciałem, żeby mnie przyłapali.

Jenny otworzyła drzwi sypialni. Odpowiedź wcale jej nie usatysfakcjonowała, ale nie naciskała dalej.

- Nie, już pamiętam! - powiedział nagle Scott. - Robiłem tak, ponieważ nie chciałem ani centa z tych pieniędzy. Gdybym wypisał wujkowi Curtowi czek na mniejszą sumę, część pieniędzy trustu pozostałaby na moim koncie. A nawet gdybym to wyrównywał przy następnej okazji, pozostawałyby odsetki do rozliczenia. Dlatego to robiłem. A przynajmniej tak mi się wydaje. Prawdę mówiąc, trudno mi wyjaśnić, co mną wtedy kierowało.

Skinęła głową. W ciągu tych miesięcy nie postępował racjonalnie, nie można było wymagać, żeby uświadamiał sobie motywy swoich działań.

Wziął ją w ramiona i pocałował na dobranoc, jak co wieczór. I jak co wieczór wyczytała pytanie w jego oczach.

- Dobranoc - wyszeptała, a on uśmiechnął się z rezygnacją, godząc się z kolejnym rozczarowaniem.

Zamknęła za sobą drzwi i ujrzała twarz Dana. Jego słowa dały jej nowy i przerażający powód do zmartwienia. „Na jego konto wpływały duże sumy pieniędzy. Z niewiadomego źródła”.

7

Ochrona budynku została powiadomiona o ucieczce Tony'ego, zdjęcie z jego legitymacji szkolnej nalepiono na deskach rozdzielczych pięćdziesięciu policyjnych radiowozów.

W czwartek po południu Dan prosto z sądu ruszył w objazd wszystkich znanych sobie melin. Do jedenastej nie natrafił na żaden ślad. Minęły przeszło dwadzieścia cztery godziny. Zaczęła się druga noc i Bóg jeden wie, gdzie Tony ją spędzał.

Zadzwoił telefon i Dan chwycił go tak gwałtownie, że stracił panowanie nad kierownicą i zahaczył kołem o krawężnik. Ale to był tylko di Maio.

- Chryste, Mike! - wybuchnął. - Co wy tam robicie? Ile czasu wam trzeba, żeby znaleźć jednego chłopaka?

- Mniej więcej tyle, ile on sam zechce.

To mogło oznaczać wieczność.

- Słuchaj, daj już sobie na dzisiaj spokój - mówił tymczasem Mike. - Nasi ludzie go szukają, a ciebie czeka jutro ciężki dzień.

- Tak.

Odprowadził wóz do garażu i poszedł dowiedzieć się czegoś u ochrony w holu, ale odpowiedź była taka jak zawsze.

- Mamy oczy otwarte, proszę się nie martwić, panie Casella.

Nic więcej nie mógł zrobić. Poszedł do domu, nalał sobie drinka i pograżył się w zapomnieniu.

Dźwięk telefonu eksplodował mu w mózgu. Przysnął z głową na stole, obok aparatu. Chwycił słuchawkę.

- Tak?! - krzyknął.

Nikt się nie odezwał i Danowi wystarczyło te parę chwil, żeby całkiem otrzeźwieć.

- Tony?

Nastąpiła kolejna cisza, potem odgłos wciąganego powietrza i krótki szloch.

- Tony, gdzie jesteś? Coś ci się stało?

- Nie - wykrztusił chłopiec.

Dan osłabł z ulgi.

- Powiedz, gdzie jesteś!

- Nie wiem - wyszeptał. - W jakimś domu. Chyba w Manayunk. Chcę stąd wyjść, ale oni mi nie pozwalają!

Po uldze nie zostało śladu. Kto?! Chciał krzyknąć.

- Gdzie? zapytał, ponieważ to było ważniejsze. - Tony, gdzie jest ten dom?

- Nie wiem! Zdaje się, że mówili Manayunk. Stare szeregowie kamienice. Szyby są wybite, a po drugiej stronie ulicy jest bar, ale nie wiem...

- W porządku, weź głęboki oddech. - Dan zerwał się od stołu. - Rozejrzyj się. Powiedz, co widzisz. Stoisz przy oknie?

- Nie, jestem w szafie. Nie chcę, żeby słyszeli.

- Jak się nazywa ten bar? Spróbuj sobie przypomnieć.

Mijały sekundy wypełnione jedynie ciężkim oddechem Tony'ego.

- Bullfrog! - zawołał w końcu. - Na szyldzie jest wielka zielona żaba.

- Znajdę go. Wytrzymaj jeszcze trochę! Przyjadę po ciebie!

Zadzwoił do informacji i uzyskał numer taweray Bullfrog w Manayunk.

- Zamknięte! - poinformował go ponury głos.

- Ale jutro chyba nie? - zapytał z irytacją. - Proszę mi tylko podać adres.

- Mili Street, numer trzysta trzy - powiedział mężczyzna burkliwie.

Tony żył i Dan wiedział, gdzie jest. Powtarzał to sobie, biegnąc do garażu. Padało, włączył wycieraczki, ale przejechał ze dwie przecznice, zanim przypomniał sobie o światłach. Na autostradzie docisnął pedał gazu. Rozpędził wóz do stu, a potem stu dwudziestu na godzinę, ryzykując, że go zatrzyma drogówka, cuchnącego alkoholem, z obłędem w oczach...

W piętnaście minut dotarł do Manayunk, zjechał z autostrady w labirynt ulic. To nie był jego teren: robotnicza dzielnica rozlokowana na wzgórzach na wschodnim brzegu rzeki Schuylkill. Główna ulica jeszcze jakoś wyglądała, ale o tej godzinie eleganckie sklepy i restauracje były zamknięte, a wszystkie bmw przeniosły się do centrum albo na przedmieścia.

Deszcz utrudniał odczytywanie nazw ulic i Dan przeraził się, że odszukanie Mili Street zajmie mu całą noc. Zostawił centrum i zagłębił się w gorsze dzielnice. Kiedy wydało mu się, że trafił do najgorszej części miasta, zaczął się rozglądać za ludźmi.

Pod obwisłą sklepową markizą stało, kryjąc się przed deszczem, trzech meneli. Kiedy podjechał do krawężnika, oszacowali wzrokiem jaguara i kierowcę. Opuścił szybę, wysunął rękę z dwudziestodolarowym banknotem, a wtedy jeden z mężczyzn podszedł wolno do auta.

- Nie handlujemy, bracie - powiedział tonem zapraszającym do dalszych negocjacji.

Dan dołożył jeszcze dwadzieścia dolarów.

- Jak dojechać do Bullfrog na Mili Street?

- Tam się nic nie dzieje - zachichotał mężczyzna, sięgając po pieniądze.

Dan cofnął dłoń.

- Jak tam dojechać?

- W prawo na światłach. Do końca, a potem w lewo. - Tym razem Dan pozwolił mu wziąć banknoty.

Po kilku minutach był na miejscu. Po jednej stronie ulicy stały ruiny starego młyna, po drugiej posępne kamienice, kiedyś zamieszkane przez robotników. Bullfrog znajdował się na końcu przecznicy. Dan zaparkował przed bramą i ogarnął wzrokiem budynki po drugiej stronie ulicy.

Jeden dom pasował do opisu. Wąska, trzypiętrowa kamienica z oknami bez szyb. Okiennice zwisały luźno, frontowe drzwi trzymały się na jednym zawiasie. Przy krawężniku stała furgonetka z zaciemnionymi oknami.

Chwycił latarkę ze schowka i wybiegł na deszcz. Zatrzymał się na ganku i nasłuchiwał odgłosów ze środka, ale bębnienie deszczu o dach zagłuszało inne dźwięki. Ostrożnie nacisnął klamkę, jednocześnie unosząc lekko drzwi. Zawias wydał przenikliwy jęk i Dan zamarł, ale deszcz, przez który nic nie słyszał, sprawiało, że sam nie był słyszany.

Wszedł do środka i zapalił latarkę, oświetlając schody na wprost i zaśmiecony pokój bez mebli na prawo. Na podłodze leżał poszarpany materac. Zaczął się wspinać na schody. W połowie drogi na piętro usłyszał chrapanie. Kierując się dźwiękiem, dotarł do drzwi i osłonił latarkę w chwili, gdy oświetliła dwa splecione ciała na materacu. Kobieta i mężczyzna.

Po drugiej stronie korytarza znajdował się jeszcze jeden pokój. Dan ruszył w tamtą stronę, osłaniając wylot latarki tak, że dawała jedynie słaby poblask. Tak słaby, że omal nie nadepnął na człowieka leżącego w progu. W tym pokoju nie było materacy, ludzie spali wprost na podłodze. Ktoś usiadł.

Serce waliło do rytmu z deszczem, ale zdjął dłoń z latarki i poświecił w tamtą stronę. Z ciemności wyłoniła się blada twarz Tony'ego.

Dan oświetlił własną, kładąc jednocześnie palec na ustach. Przekroczył przez człowieka w progu i wyciągnął rękę. Tony chwycił ją mocno zimnymi palcami i wstał.

- Co u diabła?! - odezwał się głos. Jednocześnie w pokoju zapaliła się górna lampa.

W progu stał mężczyzna. Miał tłuste włosy, zmierzwioną brodę i puste oczy, które Dan już kiedyś widział. Ciała na podłodze zaczęły się ruszać i po chwili pokój pełen był nastoletnich chłopców.

Tony krzyknął cicho i Dan pchnął go za siebie.

- Tony, wybierasz się gdzieś? - zapytał mężczyzna.

Rozpoznał twarz ze zdjęcia policyjnego - Joey Ricci, drobny rzezimieszek dowodzący młodzieżowych gangiem, współczesny Fagin. Dziewczyna z materaca podeszła i stanęła obok niego. Miała ziemistą cerę i była niewiele starsza od Tony'ego.

- Przepraszam, że was obudziłem - powiedział. - Już wychodzimy, żebyście mogli wrócić do łóżek.

Oczy Ricciego spoczęły na Danie. Dał sygnał, chłopcy podnieśli się z podłogi i otoczyli ich kołem.

- Tony, Tony! - powiedział Ricci, ciągle patrząc na Casellę. - Zawiodłeś nas, chłopie.

- Pozwól mi odejść, Joey - powiedział błagalnie Tony.

- Wiesz, że nie mogę tego zrobić. To byłoby nie fair wobec innych. Prawda chłopcy, że to nie byłoby fair, gdybym darował mu dług?

- Ile? - zapytał Dan.

Ricci uśmiechnął się szyderczo.

- Jakiś czas temu Tony wszedł w posiadanie czegoś, co było moją własnością. Jest mi winien pieniądze. Albo spłaci dług, albo go odrobi. Takie tu mamy zasady, prawda?

Na twarzach chłopców malowało się napięcie. Dan pomyślał, że chodzi o coś więcej niż rozprawienie się z Tonym.

- Przypominam sobie - powiedział. - Twoja własność trafiła ostatecznie do mnie, więc to ja jestem ci winien forszę. Poza tym, masz rację, trzeba to załatwić.

Ricci wysunął podbródek.

- Pięćset dolców.

Wzruszył ramionami.

- W porządku. - Otworzył portfel i wyjął książeczkę czekową.

- Dan... - wyszeptał Tony.

- Ciii... - wypisał szybko czek. Podał go Ricciemu i wsunął ręce w kieszenie spodni.

Ricci spojrział na karteczkę i w jego oczach pojawił się błysk. Popatrzył na Dana i odsunął się od drzwi.

- Widzicie? - zwrócił się do chłopców. - Proszę tylko o to, do czego jestem uprawniony. - Wskazał ręką Dana i Tony'ego. - Dobra, zabierajcie się stąd!

Chwycił brata za łokieć, wyprowadził z pokoju, z klatki schodowej, z domu, na deszcz. Ten wyrwał się i ruszył biegiem w stronę samochodu.

Dan wsunął się za kierownicę.

- Nic ci się nie stało?

Tony odwrócił twarz do okna, po którym spływały potoki wody.

- Chcę do domu - powiedział urywanym głosem.

Dan nie wiedział, jak to rozumieć w świetle ostatnich zdarzeń, ale uznał, że wyjaśni to sobie później. Uruchomił silnik i wyprysnął z Mili Street, wzbijając fontanny. Pomknęli przez puste ulice Manayunk w stronę wiaduktu, gdzie jeszcze przyspieszył, żeby włączyć się do ruchu. Była trzecia rano, a autostrada nadal tętniła życiem.

Nagle wyrzucił prawy kierunkowskaz, przyhamował ostro i zjechał na pobocze. Jakiś samochód wyminął ich z wyciem klaksonu i Dan włączył światła awaryjne.

Tony odwrócił się od okna.

- Co ty robisz?

- Zostaniemy tu, dopóki nie dostanę paru odpowiedzi.

- Nic nie wiem.

Wyłączył silnik.

- Nie mogę ci powiedzieć!

Dan rozparł się wygodnie w fotelu.

Tony rozglądał się na boki. Po lewej ręce miał cztery pasma autostrady, po prawej wysoki betonowy mur. Samochody mijały ich z wizgiem, w przerwach zapadała cisza wypełniona bębnieniem deszczu o dach samochodu.

- Nazywa się Joey Ricci - wybuchnął. - To on dał nam giwery.

- Zacznij od początku.

- Jeden gość w szkole, w mojej starej szkole, znał Joeya z dzielnicy - powiedział szybko. - Zabrał mnie na spotkanie. Joey zapytał, czy chcę zarobić parę baksów, powiedziałem, jasne. Nie pomyślałem o tym, no wiesz... o tym, co mówiłeś o broni.

- Tak, wiem.

- Sprzedałem kilka, jak ci mówiłem. Miałem oddać kasę Joeyowi - odpaliłby mi działkę. Ale ten ostatni rewolwer, ten, który mi zabrałeś...

- Pamiętam.

- Wczoraj zajrzałem do starej meliny, żeby się spotkać z chłopakami i Joey tam był. Przywiózł mnie do Manayunk i powiedział, że już tam zostanę. Zadzwoiłem do ciebie jak mogłem najprędzej.

- To Ricci pobił cię wtedy w szkole, zeszłej zimy, prawda?

- Nie mów Mike'owi! - wybełkotał Tony. - Jeżeli Joey się dowie, następnym razem mnie zabije.

- On pójdzie do więzienia. Nie skrzywdzi ani ciebie, ani nikogo innego. Musimy powiedzieć Mike'owi.

Tony zacisnął wargi i znów zapatrzył się na strugi wody zalewające boczne okno. Wolno potrząsnął głową.

Samochody mijają ich jeden po drugim. Jeszcze parę minut, zjawi się policja i zażąda okazania dokumentów.

Dan położył dłoń na ramieniu brata i lekko zacisnął palce.

- Tony - odezwał się łagodniejszym tonem. - Nie pozwolę cię skrzywdzić.

Minęła dobra chwila, zanim brat skinął głową.

Odchylił się na oparcie i zamknął oczy, kiedy Dan wykręcał numer Mike'a. Kiedy skończył rozmowę, już prawie spał.

- Przepraszam za wczoraj - wymruczał sennie. - Chciałem cię zdenerwować.

- Nie ma sprawy.

- Zwrócę ci wszystko, co zapłaciłeś Joeyowi, przysięgam.

Dan uśmiechnął się szeroko.

- Nie zapłaciłem mu ani grosza.

- Ale...

- Napisałem mu tylko krótką wiadomość.

Tony wyprostował się na fotelu i otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

- Jaką wiadomość?

- „Mam biper w kieszeni. Albo nas wypuścisz, albo za dziewięćdziesiąt sekund będą tu gliny”.

Tony otworzył oczy jeszcze szerzej, ale odezwał się dopiero po minucie.

- W życiu o czymś takim nie słyszałem!

- Musisz mi obiecać, że dasz sobie spokój z tymi kolesiami. Nie będziesz się z nimi zadawał, nigdy! Zrozumiałeś?

- Obiecuję - powiedział Tony, ziewając. - Tylko jedźmy już do domu, okay?

Tym razem Dan wiedział, jak to rozumieć. Włączył silnik i ruszył w stronę swojego mieszkania.

8

Następnego dnia zjawił się w sądzie jako pierwszy. Dwie godziny snu wystarczyły za dziesięć, był gotów do walki.

- Dzień dobry, Bob! - zawołał, kiedy Perlman wszedł na salę ze swoim klientem i ku wyraźnej irytacji Masona, wdał się z adwokatem w dwuminutową pogawędkę.

Mike zjawił się późno i już od drzwi pokazał Danowi uniesiony kciuk. Dan podszedł do niego szybko.

- Masz Ricciego? - zapytał cicho.

- Stanowi zwinęli jego furgonetkę na autostradzie. Wysuniemy oskarżenie. Napaść na Tony'ego, do tego gwałt na nieletniej do południa powinien podać nazwisko swojego zaopatrzeniowca. Jak chłopak?

- Będzie spał do południa, ale czuje się dobrze. Kiedy to się wszystko skończy - skinął w stronę ławy przysięgłych - wyjedziemy na parę dni. Gdzieś nad morze.

- Dobry pomysł.

W jego głosie Dan nie doszukał się ani krytyki, ani rezerwy. Mike nawet nie napomknął, że Tony powinien jednak wrócić do domu. Może wczorajsze pojednanie braci przekonało rodzinę, że i ona powinna pogodzić się z sytuacją. Dan klepnął go w plecy i wrócił na swoje miejsce.

Otworzyły się boczne drzwi i na salę wsunął się Brian Kearney. Był sympatycznym młodym człowiekiem o wyglądzie Tomka Sawyera: kędzierzawe rude włosy, mnóstwo piegów i uśmiech, który skłoniłby każdą starszą panią do powierzenia mu oszczędności całego życia. Dan pomachał do niego, ale to Jerry Shuster podszedł do drzwi i zaprowadził Kearneya na stronę powoda.

Zaraz potem zjawiła się Jennifer Lodge. Jej widok podzialał jak kubeł zimnej wody. Przez pół minuty wierzył, że rozwiązał osobiste problemy, teraz uzmysłowił sobie, że nawet nie zaczął. Jej stała obecność w sądzie doprowadzała

go do szafu. Pierwszy dzień mógł przypisać ciekawości, może nawet drugi, ale nie cały tydzień! Byłby to przekonujący dowód przywiązania do Sterlinga, nawet gdyby nie nosiła w łonie jego dziecka.

Kiedy przysięgli zasiedli w ławie, Jerry Shuster wstał, po raz pierwszy od czasu rozpoczęcia procesu, i wezwał na świadka Kearneya. Dan posłał ostre spojrzenie w przeciwny koniec sali, ale Bob Perlman siedział spokojnie, nie zdradzając żadnego niepokoju. A więc Shuster nie robił nic na własną rękę, działali w porozumieniu.

Z wojskową precyzją ustalił, że Kearney był przedstawicielem Connolly & Company, że prowadził odrębne rachunki dla Curtisa Masona i Curtisa Masona powiernika. Kearney wyjaśnił, że owe rachunki nosiły miano kont X - i że to X oznacza ekstra usługi obejmujące obroty gotówkowe i papierami wartościowymi, a także dające prawo wystawiania czeków.

Shuster załączył dowody i uczynił to tak niezręcznie, żeby przysięgli nie zapomnieli, że dopiero od niedawna jest kaleką. Kearney zidentyfikował formularze założenia konta i pierwsze wyciągi. Powiększenie jednego z nich zostało umieszczone na tablicy i Shuster kazał Kearneyowi objaśniać poszczególne pozycje.

- Kto podejmował decyzje inwestycyjne?
- Najpierw pan Mason, potem Scott Sterling.

Kopie upoważnień zostały oznaczone jako: P-62 - upoważnienie Scotta Sterlinga do obrotu akcjami na rachunku powierniczym, i P-63 - upoważnienie go do osobistego konta Masona.

- Czy po tym, jak Scott Sterling otrzymał upoważnienie, miały miejsce jakieś transakcje?

- Jasne! - odparł Kearney i których z przysięgłych zachichotał.

- Proszę opisać, jak to się odbywało.

- Scott Sterling dzwonił do mnie i zostawiał dyspozycje. Podawał nazwę papieru, liczbę akcji oraz zlecenie. Czasem mówił: sprzedać, jeżeli wzrośnie do 97, albo kupić, jeżeli spadnie poniżej 80. Ale na ogół były to najprostsze zlecenia: kupić sto, sprzedać pięćdziesiąt...

- Czy poprosił kiedyś pana o radę lub rekomendację?
- Dzwonił już po podjęciu decyzji.
- Czy próbował go pan kiedyś odwieść od transakcji?

- Jasne! To znaczy, Jezu! Czasem się drapałem w głowę, myślałem: zamierza stracić pieniądze, czy co? Ale on mówił: „Brian, mam swój system, muszę się go trzymać”.

- I tracił pieniądze, prawda?

- Pewnie!

Shuster umieścił na tablicy listę wpłat na konto Masona. Kearney dopasowywał każdą pozycję do tego, co miał na wyciągu i potwierdzał, że operacji dokonano czekiem.

- Sprawdzaliście wyciągi regularnie? - zapytał Shuster.

- W przypadku konta pana Masona, przynajmniej raz w tygodniu, z uwagi na częstotliwość transakcji.

- Co pan pomyślał, widząc чеки wystawione na nazwisko pana Masona?

- Myślałem, że próbuje podreperować saldo i ma nadzieję odrobić przynajmniej część strat.

- Wiedział pan, skąd pochodzą чеки?

- Nie. - Kearney wyjaśnił procedurę sprawdzania czeków konta X. - Bank rozliczeniowy zatrzymuje чеки, jego komputer mówi naszemu komputerowi, które rachunki obciążać lub kredytować - podsumował.

- Więc anulowane чеки do was nie wracają?

- Nie.

- Panie Kearney - zaczął Dan, kiedy przysięgli wrócili na miejsca po przerwie - twierdzi pan, że próbował odwieść Sterlinga od pewnych transakcji, których przeprowadzenie panu zlecił?

- Tak.

- Ponieważ uważał pan, że na nich straci?

- Właśnie dlatego.

- Ostrzegł pan pana Masona?

- Nie.

- Dlaczego?

- Co miesiąc otrzymywał wyciągi z konta. Straty były wykazane czarno na białym. Powiedział, że chce, żeby Scott się sprawdził. Uznałem, że taką ma metodę.

- Chwileczkę... Cofnijmy się. Powiedział pan, że pan Mason otrzymywał co miesiąc wyciągi z konta?

- Tak.

- Myślałem, że to Scott Sterling je dostawał?

- Dostawał duplikaty. Znakujemy rachunki, do których ktoś jest upoważniony i wysyłamy podwójne wyciągi.

Dan dołączył do materiału dowodowego wewnętrzne zarządzenie Connolly o podwójnych wyciągach.

- Weźmy na przykład grudzień - powiedział. - Czy na tym wyciągu uwzględniono straty handlowe?

- Tak. - Kearney wskazał zakup dwóch tysięcy akcji Xenona po dziewięćdziesiąt osiem szóstego grudnia i ich sprzedaż dwudziestego grudnia po osiemdziesiąt trzy, ze stratą trzydziestu tysięcy dolarów.

- Czy pan Mason zadzwonił kiedyś do pana, pytając o te straty?

- Dzwonił do mnie, ale nie w sprawie strat.

- A w jakiej sprawie?

- Zakwestionował wartość pakietu Macoal na rachunku inwestycyjnym funduszu powierniczego.

- Kiedy to było?

Kearney przygryzł wargę.

- Po rozdrobnieniu pakietu Macoal... Mogę zerknąć na wyciągi trustu?

Dan wręczył mu plik papierów i Kearney wygrzebał z nich dokument, o który mu chodziło.

- Jest! Macoal dokonał rozdrobnienia w listopadzie i wyciąg to wykazuje. Pan Mason uważał, że źle wyceniliśmy pakiet i zadzwonił do mnie w tej sprawie.

- Skąd pan Mason wiedział, na ile wyceniliście akcje?

- Miał to napisane tutaj. - Potrząsnął kartką.

- Czy to jest listopadowy wyciąg z rachunku powierniczego?

- Zgadza się.

- Przecież wyciągi z tego rachunku otrzymywał Scott Sterling.

- Tak, ale duplikaty szły do pana Masona. Ten rachunek też był oznakowany.

- Kiedy pan Mason zadzwonił do pana, kwestionując wycenę akcji Macoal, otrzymał już oba wyciągi?

- Prawdopodobnie. Wiem, że miał przed sobą wyciąg z rachunku powierniczego, ponieważ odwoływał się do niego, kiedy omawialiśmy kwestię wyceny.

- Przyjrzyjmy się bliżej listopadowemu wyciągowi z rachunku powierniczego.

Dan odwrócił się i pobiegł wzrokiem poza Curtisa Masona, który siedział ze zwieszonymi ramionami i posępną twarzą. Asystentka wyjęła z opakowania planszę i umieściła ją na tablicy.

- Czy to jest wycena, o której rozmawialiście? - zapytał, wskazując odpowiednią rubrykę.

- Zgadza się. To ta pozycja.

- Co dokładnie zakwestionował pan Mason?

- Po rozdrobnieniu wyceniliśmy akcje na pięćdziesiąt, on uważał, że są warte czterdzieści dziewięć i ćwierć.

- Różnica wynosi trzy czwarte centa.

- Zgadza się.

- Proszę spojrzeć na pozycję poniżej.

Dan przesunął nakładkę z kolorowego plastiku, podkreślając odpowiednią rubrykę. Był to czek zrealizowany następnego dnia.

- Realizacja czeku - powiedział Kearney.

- Wyplacono? - Dan ponaglił go, żeby odczytał objaśnienie.

- Gotówką.

- Kwota?

- Dwieście czterdzieści dziewięć tysięcy, osiemset siedemdziesiąt pięć dolarów.

- Czy saldo na rachunku równoważyło taką sumę?

- Nie.

- Więc na jakiej zasadzie wypłacono te pieniądze?

- Na zasadzie automatycznej pożyczki od Connolly w oparciu o papiery wartościowe na rachunku inwestycyjnym.

- Czy takie pożyczki są oprocentowane?

- Oczywiście. Odsetki zostały wyszczególnione tutaj. - Wskazał odpowiednią rubrykę na wyciągu.

- Sprawdźmy, czy dobrze zrozumiałem - powiedział Dan, podchodząc znów do tablicy. - Do trzydziestego listopada rachunek powierniczy został obciążony odsetkami wysokości przeszło dziesięciu tysięcy dolarów?

- Tak.

- Czy to nie zaalarmowało banku?

- Tak, nasi specjaliści to wyłapali. Przy takim rachunku odsetki nie powinny być tak wysokie.

Dan załączył dwa nowe dokumenty do materiału dowodowego i jeden z nich podał świadkowi.

- Tak - powiedział Kearney. - To jest list, który nasz dział obsługi klienta przesłał Scottowi Sterlingowi, informując go o niezwykle wysokich odsetkach i prosząc o telefon, żeby uniknąć takich sytuacji na przyszłość.

- Zadzwoił?

- Nie. - Kearney tylko prychnął.

Dan podał mu drugi dokument.

- A tak! - powiedział Kearney. - Zapomniałem o tym.

- Co to jest?

- Ten sam list, tylko adresowany do pana Masona. Z powodu oznakowania rachunku.

- Czy pan Mason zadzwonił, żeby porozmawiać o tym, jak uniknąć obciążenia rachunku powierniczego tak wysokimi odsetkami?

- Nie.

- Czy pan Mason zapytał pana o czek na dwieście czterdzieści dziewięć tysięcy, osiemset siedemdziesiąt pięć dolarów?

- Nie.

- Czy zapytał o sumę dwustu czterdziestu dziewięciu tysięcy, ośmiuset siedemdziesięciu pięciu dolarów, która wpłynęła na jego konto osobiste tego samego miesiąca?

- Nie zapytał.

9

Scott spędził sobotni ranek, chodząc od okna do okna, jakby się bał, że lada chwila policja otoczy dom. Jenny siedziała przy śniadaniu i patrzyła na niego z niepokojem. Wieczorem zadzwonił Jerry Shuster z informacją, że oczekują Sterlinga w sądzie, prawdopodobnie już w środę.

- Zadzwoń do Billa Lawsona - doradziła mu to samo, co wczoraj.

- Po co? - Odwrócił się od okna. - Wie, że otrzymałem pozew. Podał mi nawet magiczną formułkę o Piątce.

- Będiesz się czuł pewniej, mając go przy sobie na sali.

Scott pokręcił głową.

- Za tysiąc dolarów honorarium? Obejdzie się. - Jego wzrok złagodniał. - O ile ty będziesz tam ze mną.

- Będę - zapewniła.

Wstała, żeby uprzątnąć ze stołu, a on poszedł za nią do kuchni. Kiedy stanęła przy zlewie, otoczył ją od tyłu ramionami.

- Szkoda, że musisz iść dzisiaj do biura.

- Po tygodniu nieobecności czeka tam na mnie kupa roboty.

Scott oparł brodę o czubek jej głowy.

- Zrobisz coś dla mnie?

- Co?

- Chodź ze mną jutro do kościoła.

Odwróciła się wolno, oswobadzając z jego objęć. Mieszkali razem od trzech miesięcy, a on nigdy nie wspomniał o kościele. Chociaż nie! Zrobił to raz, na ścieżce prowadzącej do stajni. Wyszepiał: „Czułem się tu zawsze tak, jakbym wchodził do kościoła”.

- Jeżeli chcesz - powiedziała.

- Bardzo chcę.

W sobotę Dan pojechał do biura wcześniej i rzucił się w wir pracy. Obiecał Tony’emu lunch poza domem i popołudniowy wypad do kina na „Szklaną pułapkę III”, ale przedtem czekało go pięć godzin harówki. Asystentka dopilnowała, żeby cała dokumentacja wróciła z sądu i wokół biurka piętrzyły się pudła z papierami. Znalazł karton z napisem: „Świadkowie” i wyciągnął dwa grube skoroszyty, jeden z nazwiskiem Curtisa Masona, drugi - Scotta Sterlinga.

Przypuszczał, że Mason zostanie powołany w poniedziałek rano. Perl-man będzie go maglował przez cały dzień, ale istniała niewielka szansa, że skończy wcześniej. Dla Dana oznaczało to, że musi się przygotować do krzyżowego ognia pytań. Należał do adwokatów, którzy nie pracują w oparciu o notatki, ale nie pokazują się w sądzie bez nich. Były jak siatka pod trapezem; szło mu lepiej, kiedy wiedział, że je ma.

Usiadł przy biurku i otworzył akta Masona. W środku znajdowało się pięćdziesięciostronicowe streszczenie protokołu zeznań, kopie najważniejszych dokumentów, o które Dan zamierzał spytać Masona, i pierwszy szkic krzyżowego ognia. To właśnie nad nim zamierzał dzisiaj popracować.

Dwa grube tomy zeznań Masona leżały przed nim na biurku, dwieście pięćdziesiąt kartek, które musiał jeszcze raz przeczytać. Do tego dochodził stos dowodów rzeczowych i wykresów, a na końcu magnetofon, już z kasetą w środku.

Sięgnął po akta Sterlinga i przerzucił kilka stron. Nie było tam streszczenia zeznań, ponieważ Sterling nigdy ich nie złożył. Bob Perlman przebąkiwał wprawdzie o wezwaniu Sterlinga, ale zrezygnował z pomysłu, kiedy Bili Lawson oznajmił, że Sterling powoła się na Piątą poprawkę. W zeszycie Dan znalazł również swoje notatki sprzed paru tygodni, kiedy liczył jeszcze na to, że Sterling zdecyduje się zeznawać.

Ostatnią pozycją było memorandum zatytułowane: „Co się naprawdę wydarzyło” - luźne uwagi Dana w związku ze sprawą. Podyktował je pewnej styczniowej nocy, kiedy na dworze szalała burza śnieżna, a Jennifer patrzyła na niego oczami pełnymi uwielbienia.

Potrząsnął gwałtownie głową. Musi się uwolnić od wspomnień tamtej nocy. Dopił kawę, podwinął rękawy koszuli i zabrał się do roboty.

Dwie przecznice dalej, Jenny sortowała własne zbiory dokumentów. Zleciła gruntowne rozpoznanie Jacka Stengela i rezultaty leżały na biurku w postaci grubego na sześć centymetrów pliku.

Większość faktów znała już wcześniej. W latach osiemdziesiątych Stengel trudnił się likwidowaniem przedsiębiorstw i zachowały się setki relacji prasowych z tego okresu: zamknięte fabryki, wysprzedany park maszynowy, robotnicy pozbawieni pracy w miastach, których istnienie zależało od jednej fabryki. Analitycy rynku i działacze społeczni zgodnie umieścili nazwisko Stengela na liście ludzi odpowiedzialnych za kryzys amerykańskiej gospodarki. W tym samym czasie „Architectural Digest” i „Town & Country” sławiły jego przepiękne posiadłości i wystawne przyjęcia. Zdjęcia uwieczniły go takim, jakim Jenny go zapamiętała: w smokingu, błyskającego uśmiechem za milion dolarów.

Artykuły z ostatnich lat dowodziły zmiany strategii. Lata osiemdziesiąte się skończyły, Stengel trochę przystopował; w Białym Domu rządził demokrat. Stengel szukał nowych możliwości i odkrył je na Dalekim Wschodzie. Zatrudnił korpus azjatyckich doradców - prawnika, analityka finansowego, nawet przewodnika kulturowego - i robił interesy z tuzinem przedsiębiorstw dalekowschodnich. Jego ostatnie działania nijak nie pasowały do obecnego zainteresowania firmą Macoal.

Niemniej Macoal pozostaje atrakcyjnym celem, uznała Jenny po przejrzeniu wstępnego raportu Cynthii Lehmann. Wartość akcji została drastycznie zaniżona, zapewne po to, by zniechęcić rodzinnych renegatów do ich odsprzedawania - strategia, która narażała firmę na zakusy piratów korporacyjnych.

W południe Jenny zrobiła sobie przerwę na lunch. Poszła do Summerhouse, kafeterii dla smakoszy, gdzie podawano wodę evian do hamburgerów. Był to ulubiony lokal śródmiejskich urzędników, którzy lubili jeść pośród wiszących paproci i udawać, że są dalej od swoich biur niż pół przecznicy w bok i trzydzieści pięter w dół.

Stała w kolejce i patrzyła, jak mężczyzna za ladą bezceremonialnie składa jej sandwicza. Zapłaciła w kasie i zaniósła tacę do stołu z przyprawami.

Nagle serce skoczyło jej do gardła i zrozumiała, że gdzieś w pobliżu jest Dan. Rozejrzała się i dostrzegła go w kolejce po kanapki. Dziecko ją kopnęło i Jenny skuliła się za automatem z zimnymi napojami. Widziała jedynie plecy Dana, ale oglądała je od tygodnia, zresztą poznałaby go wszędzie, nawet ubranego tak jak teraz, w spodnie khaki i sportową koszulę.

Zwrócił się do kogoś stojącego obok i dopiero wtedy zobaczyła chłopca.

Podobieństwo było tak wyraźne, że nie mogła mieć wątpliwości, kim jest. Załadował na tacę dwie kanapki, porcję frytek i ustawił się za Danem w kolejce do kasy. Ten otworzył portfel i wyjął kilka banknotów.

Jennifer stała, gapiąc się na młodszą wersję Caselli, podczas gdy dziecko fikało koziołki w jej brzuchu.

Dan wziął tacę i odwrócił się od kasy. Na widok Jennifer stanął jak wryty i chłopiec omal nie wpadł mu na plecy.

- Cześć!

Było to pierwsze przyjazne słowo, jakie usłyszała od niego od miesięcy.

- Cześć! - powtórzyła automatycznie.

Chłopiec wyłonił się zza jego pleców z pytającym wyrazem twarzy.

- Jennifer, to jest mój brat, Tony. Tony, poznaj Jennifer Lodge.

- Twój brat - powtórzyła znowu.

- Jennifer kiedyś ze mną pracowała - powiedział Dan.

Chłopiec nie odrywał wzroku od jej brzucha.

- Jesteś prawniczką? - zapytał z niedowierzaniem.

Brat trącił go łokciem w bok.

- Przyłączysz się do nas? - zwrócił się do Jenny.

Skinęła bezwiednie głową i poszła za nimi, nie bardzo wiedząc, co robi. Usiadła po jednej stronie stołu, Dan i chłopiec po drugiej.

- Tony, mieszkasz w okolicy? - zapytała.

Usta miał już pełne jedzenia, więc Dan odpowiedział za niego.

- Mieszka ze mną.

A więc to była prawda. Posądziła go niesłusznie o to, że wymyślił tego brata, może pomyliła się również w innych sprawach.

Nie potrafiła znaleźć słów, którymi mogłaby zwrócić się do Dana, więc znów zagadnęła Tony'ego.

- Do jakiej szkoły chodzisz?

- Do Alexandra - powiedział, przełknąwszy pośpiesznie.

- Ja też chodziłam do Alexandra! - Zerknęła na Dana i przypomniała sobie, że kiedyś pytał ją, co sądzi o tej szkole. - Nachyliła się nad stołem. - Czy panna Claybell nadal uczy?

Tony roześmiał się tak gwałtownie, że aż się opluł.

- Miałas ją? Boże, co za stara foka! A pan Diehl? Też cię uczył?

Jenny zachichotała.

- Widziałeś ich kiedyś, stojących twarzą w twarz na korytarzu?

Chłopiec parsknął śmiechem i uderzył pięścią w stół.

- Panna Claybell jest zbudowana jak dziób statku - wyjaśniła Jenny. - I ma co najmniej półtora metra w biuście. Za to pan Diehl...

- Ma w obwodzie tyle co Ziemia!

- I kiedy stoją naprzeciwko siebie, wyglądają jak dwa elementy puzzla!

Dan uśmiechnął się, widząc Jennifer i Tony'ego śmiejących się z wizerunku nauczycieli. Kiedyś wyobrażał sobie, że siedzą tak razem przy stole. Zapytała Tony'ego o nową salę gimnastyczną i przez następne dziesięć minut rozmawiali o sporcie.

Jennifer miała na sobie bezkształtną sukienkę odkrywającą ramiona, trochę pulchniejsze niż kiedyś. Włosy jej odrosły i wiązała je w kucyk, jak dawniej. Wydała mu się piękna.

- Co powiecie na deser? - zapytał Dan, kiedy Tony pochłonał obie kanapki.

- Jennifer? - Chłopiec poderwał się z miejsca. - Przynieść ci coś?

- Przyjaciele mówią do mnie Jenny - odparła. - Za deser dziękuję. Już nie dam rady.

Patrzyła, jak Tony ustawia się w kolejce, a kiedy odwróciła wzrok, napotkała oczy Dana.

- Nie wiedziałem o tym - powiedział.

- O czym?

- Że przyjaciele nazywają cię Jenny. Przez cały czas myślę o tobie jako o Jennifer.

Łzy napłynęły jej do oczu. Sięgnęła po szklankę i popatrzyła znów na Tony'ego.

- Jaki miły chłopiec.

- Jest w porządku.

- Myślałam, że go wymyśliłeś - szepnęła.

Nie zrozumiał.

- Słucham?

- Kiedy powiedziałeś, że twoje życie jest skomplikowane... - urwała. Patrzyła ciągle na Tony'ego, ale czuła na sobie wzrok Dana. - Pamiętasz? To było w styczniu. Powiedziałeś, że twój czas nie należy do ciebie.

- Tak?

- Myślałam... Że masz kogoś.

- Boże drogi! Jennifer... Jenny - poprawił się.

Bez słowa potrząsnęła głową. Tony nie doszedł jeszcze do lady, zostało im kilka minut, ale nie wiedziała, co powiedzieć.

- Przepraszam, że tak naskoczyłem na ciebie w sądzie - odezwał się Dan. - To dlatego, że... Nie wiem...

- Nie, to ja przepraszam. - Zamrugła, żeby powstrzymać łzy. - Okłamałam cię. Nie jestem jedynie widzem. Reprezentuję Catherine Chapman von Berg. Zbieram amunicję do procesu przeciwko Masonowi o nadużycie zaufania.

Odchylił się na krześle. Tony siedł w ich stronę z pucharkiem lodów, a on miał chaos w głowie. To, co powiedziała... Czy to dobrze, czy źle? Nie przychodziła do sądu dla Sterlinga, ale dla niego też nie. Mason będzie sądzony o nadużycie zaufania, ale za późno, żeby mogło to zmienić sytuację H & M.

Tony miał już usiąść, kiedy Dan wyjął mu z ręki pucharek.

- Dlaczego nie przyniosłeś dla siebie? - mrugnął do brata.

Tony westchnął demonstracyjnie i wrócił do kolejki.

- Czy Scott otrzymał pozew?

- Tak. Dzwonił Jeny Shuster. Powiedział, że spodziewają się go w środę.

- Zgadza się - powiedział.

- Świetnie prowadzisz sprawę - odrzekła. - Żałuję, że nie ma mnie tam z tobą.

- Ja też tego żałuję.

Gardło ją zapiekło, odepchnęła krzesło i wstała.

- Muszę... muszę już wracać do pracy.

Dan też wstał i stali tak naprzeciwko siebie, kiedy wrócił Tony.

- Miło było cię poznać - powiedziała pospiesznie. - Dan, cieszę się ze spotkania.

Ujął jej wyciągniętą dłoń i przytrzymał w swojej.

- Odezwij się - powiedział, zanim w końcu cofnęła rękę. Odwróciła się do drzwi.

Tony usiadł i wpakował sobie do ust łyżkę lodów.

- Była dziewczyna, co?

10

Curtis Mason nie krył gniewu i irytacji przez pierwszy tydzień rozprawy, nie starał się też ukryć swoich odczuć w poniedziałek rano, kładąc ręką na Biblii.

- Panie Mason - zaczął Bob Perlman po dokonaniu formalności wstępnych. - Zdradzał pan silne emocje podczas procesu. Może pan wyjaśnić ławie przysięgłych dlaczego?

Mądre posunięcie, pomyślał Dan. Wyjaśnić sprawę raz na zawsze.

- Nigdy nie byłem niczyją marionetką - powiedział Mason. - Kieruję potężnym przedsiębiorstwem. Zatrudniam dwa tysiące ludzi w samej Filadelfii. Szedłem łeb w łeb z największymi rekinami biznesu i nigdy nie dałem się okpić.

- A teraz?

- Teraz zostałem wystrychnięty na dupka przez chłopca, któremu kiedyś wycierałem nos.

- Ten chłopiec to mężczyzna o nazwisku Scott Sterling.

- Zgadza się!

- Proszę powiedzieć ławie przysięgłych, jak go pan poznał.

Jenny przestała pisać i wsłuchiwała się w słowa Masona. Scott nigdy o nim nie mówił, a jednak nazywał go wujkiem i łaknął jego aprobaty tak bardzo, że posunął się aż do kradzieży. Często dziwiła się, dlaczego Scott nie odczuwa boleśniej tej straty i doszła do wniosku, że pośród wszystkich klęsk, jakie go ostatnio spotkały, ta nie była największa.

Mason opowiedział o swojej przyjaźni z Edgarem Sterlingiem, o przyjaźni ich żon, dwóch bezdzielnych par szukających nawzajem swojego towarzystwa, o radości Masonów, kiedy urodził się Scott. Co roku jeździli razem na wakacje do Bar Harbor, gdzie Scott, jedynie dziecko w tym gronie, stał się beniaminkiem wszystkich, również Masona.

Kiedy miał dwanaście, trzynaście lat bardzo się do siebie zbliżyli. Wtedy było już jasne, że Scott i Edgar nie potrafią znaleźć wspólnego języka. Edgar zachowywał się tak, jakby Scott go rozczarował, chociaż zdaniem Masona, chłopak był udany. Spędzał dużo czasu z wujkiem Curtem, łaknąc rady, rozmowy lub tylko chwili jego uwagi.

Pisał do niego długie listy ze szkoły, pełne wątpliwości i niepokojów, z których nigdy nie zwierzyłby się ojcu. Mason ze swej strony sięgał często po słuchawkę, dawał chłopakowi wskazówki, jak radzić sobie w prawdziwym świecie. Scott bardzo się martwił, czy da sobie radę w zawodzie, który obrał dla niego ojciec i Mason powiedział mu, że jeżeli nie chce zajmować się interesami, może zostać prawnikiem. Scott poszedł za jego radą, skończył prawo i został zatrudniony przez H & M. Ich drogi się rozeszły i Mason praktycznie stracił z nim kontakt aż od wiosny zeszłego roku.

Kiedy Mason opisywał przyjęcie w wiejskiej rezydencji Sterlingów w Chester Springs, Jenny zobaczyła tę scenę oczami wyobraźni. Alejki oświetlone rzędami pochodni, kelnerzy w smokingach prześlizgują się w tłumie, unosząc w białych, urękawiczonych dłoniach okrągłe tace, skądś dobiega muzyka, a z ciemności poza kręgiem światła płynie nikły zapach koni i lasu. Wyobraziła sobie Scotta, pełnego uroku i złocistego blasku, jak uśmiecha się do gości, próbując zwrócić uwagę ojca.

Mason był w pokoju bilardowym, oglądał mecz i omawiał tegoroczny sezon żeglarski. Scott przyszedł się przywitać i złożyć kondolencje po śmierci Doody. Mason spytał o jego praktykę i Scott powiedział, że zajmuje się nieruchomościami i ciężko pracuje, żeby w przyszłym roku zostać współnikiem.

Na tym by się pewnie skończyło, gdyby do pokoju nie wszedł Edgar.

- Ojcie! - zawołał Scott. - Chciałem ci powiedzieć o...

Ale Edgar odwrócił się na pięcie i opuścił salę.

Scott wyszedł wkrótce po nim, ale Mason nie mógł zapomnieć wyrazu jego twarzy. Dręczyło go to przez dobrą godzinę, aż w końcu poszedł szukać Scotta.

Znalazł go siedzącego samotnie na ławce. Popijał drinka, słuchając orkiestry. Usiadł obok, powiedział mu o truście Doody i poprosił, żeby Scott się nim zajął.

- Przyjął propozycję?

- Tak.

Mason opisał zapał, z jakim Scott podjął się uciążliwych obowiązków związanych z powiernictwem i swoje rosnące zaufanie do Sterlinga. Jego rola rosła po troszeczkę, aż w końcu Mason powierzył mu wszystkie sprawy związane z prowadzeniem rachunku powierniczego.

- Dał mu pan чеки.

- Tak, oczywiście! Zgodził się dokonywać wypłat i regulować rachunki, a najłatwiej jest to robić czekiem. Tak samo postępuje urzędnik w banku zajmujący się trustem. W moim pojęciu Scott był właśnie takim urzędnikiem.

- Upoważnił go pan do podpisywania czeków?

- Cóż, pewnie powinienem - przyznał niechętnie Mason. - Ale uważałem, że to tylko biurokratyczne zawracanie głowy. Powiedziałem, żeby podpisywał чеки moim nazwiskiem. To nic takiego, a oszczędza wiele kłopotu i fatygi.

- I to pana nie niepokoiło?

- Gdyby nie płacił rachunków, szybko bym się o tym dowiedział. Gdyby Catherine albo Reese nie otrzymywali swoich czeków na czas, dowiedziałbym się jeszcze prędzej. Więc moja odpowiedź brzmi: nie. W ogóle mnie to nie niepokoiło. Scott nie dawał mi żadnych powodów do niepokoju. Wszystko, co robił, zwiększało jedynie moje zaufanie.

- I w rezultacie?

- W rezultacie powierzyłem mu prowadzenie własnego rachunku inwestycyjnego.

Chociaż prawie cały majątek Masona był związany z rodzinną firmą, miał niewielkie konto w Connolly. Scott pasjonował się grana giełdzie i od czasu do czasu Mason zasięgał jego opinii w sprawie akcji czy strategii. Chłopak nigdy nie brał odpowiedzi z powietrza jak to robi wielu giełdowych zapaleńców, którzy polegają jedynie na swoim instynkcie. Mówił: „Zbadam sprawę i opracuję jakiś scenariusz”. Następnego dnia oddzwaniał z odpowiedzią, która całkowicie zadawała Masona.

Zaczął szkicować hipotetyczne portfele papierów wartościowych, ukazując, w jaki sposób różne strategie wpływają na poziom zysku. Któregoś dnia Mason powiedział: „Nie chciałbyś robić tego naprawdę, dla mnie?”. Zostawił na koncie sto tysięcy dolarów i upoważnił do nich Scotta.

Sędzia Steuben przerwał Masonowi i zarządził przerwę na lunch. Strony i ich adwokaci zwlekali z wyjściem, odstępując przysięgłym windy, a Jenny została dłużej, próbując zebrać poranne zeznania w formę krótkiej notatki.

Zastanawiało ją jedno: Scott był geniuszem giełdowym, tak powiedział Mason, uwielbiał grać, choćby na papierze. Scott mówił to samo, przyznając się do winy na sali konferencyjnej H & M. A mimo to, w ciągu czterech miesięcy wspólnego mieszkania, ani razu nie widziała w jego ręku „Wall Street Journal”. Pewnie i o tym chce zapomnieć, zdecydowała.

Rozprawę wznowiono po południu, w takim samym składzie, co rano, z Curtisem Masonem na miejscu dla świadka.

- Nadal zeznaje pan pod przysięgą - przypomniał Steuben. Było to rutynowe stwierdzenie, ale Mason spojrzał na niego z oburzeniem.

- Proszę powiedzieć przysięgłym, jak wyglądały transakcje Sterlinga na pańskim rachunku w Connolly - ponaglił Perlman.

Od tamtego czasu zajmował się nimi Scott, wyjaśniał Mason. Składał dyspozycje Kearneyowi i zwykle dzwonił, żeby powiadomić Masona, co zrobił i dlaczego. Był bardzo skrupulatny. Zawsze podawał liczbę akcji sprzedanych lub kupionych, ich dokładną cenę. Później, kiedy zaczęli finalizować transakcje, przytaczał zyski, co do centa. Rezultaty były zdumiewające.

To prawda, że wyciągi Connolly nie zawsze je potwierdzały, ale Scott wyjaśnił, że biuro maklerskie ma kłopoty z komputerem. Nie zdziwiło to Masona, który miał już podobne doświadczenia z bankami. Skończyło się na tym, że zakwestionował wycenę akcji Macoal i Kearney przyznał w końcu, że był to błąd komputera. Scott trzymał własną dokumentację i Mason był pewny, że wszystko wyjaśni.

- Czy miał pan kiedyś okazję nagrać rozmowę telefoniczną ze Sterlingiem?

- Tak, kilkakrotnie.

- Dlaczego pan to robił?

- Byłem taki dumny ze Scotty'ego, chciałem, żeby moja żona Dorrie usłyszała, jak świetnie sobie radzi. Proszę pamiętać, że ona także go kochała. Więc czasem włączałem nagrywanie na automatycznej sekretarce i Dorrie odsłuchiwała nasze rozmowy.

- Powiedział pan o tym Scottowi Sterlingowi?

- Nie. Nie chciałem, żeby się czuł zażenowany. To byłoby jak filmowanie na wideo jego pierwszej randki.

- Czy nagrywał pan te rozmowy w pańskim domu w Devon?

- Większość. Ale miałem również automatyczną sekretarkę w letnim domu w Maine i jedna rozmowa została nagrana tam.

- Jak pan odkrył, że te nagrania się zachowały?

- Po telefonie pana Caselli wróciłem samolotem do domu, a po rozmowie z tobą, Bob, siedziałem, gapiąc się w telefon i próbowałem zrozumieć, co się, na litość boską, stało? I przypomniałem sobie automatyczną sekretarkę. Pomyślałem, że może coś z tych nagrań się zachowało. Przewinałem taśmę na początek i odegrałem całość.

- A ta rozmowa w Maine?

- A tak! Pomyślałem, że to samo mogło się stać w Maine. Więc zadzwoniłem do gosposi, kazałem jej wyjąć kasetę i mi ją przesłać.

- W sumie ile rozmów pan nagrał?

- Dziewięć.

- Czy to są wszystkie rozmowy, jakie odbył pan ze Scottem przez telefon?

- Skąd! Ale tylko te nagrałem.

- Dlaczego nie nagrał pan wszystkich?

- Czasem nie było mnie w domu albo odbierałem z innego aparatu, który nie był podłączony do sekretarki. A czasem zwyczajnie zapomniałem włączyć nagrywanie. Na taśmie jest tylko tych dziewięć rozmów.

- Panie Mason, za kilka minut przysięgli sami wysłuchają nagrań, ale proszę nam powiedzieć już teraz: Czy nagrywał pan rozmowy ze Scottem Sterlingiem, ponieważ go pan podejrzewał?

- Nie! Oczywiście, że nie!

- Nagrywał je pan, ponieważ poddawał pan w wątpliwość to, co mówił?

- Wcale nie! Byłem dumny z tego młodego człowieka, który przez tyle lat zastępował mi syna i chciałem się podzielić swoją radością z żoną, to wszystko.

11

Po przerwie salę wypełnił głos Scotta. Odsłuchano taśmy od początku do końca. Przysięgli otrzymali również pisemne transkrypcje dziewięciu rozmów, jakie

odbyły się od września do stycznia. Ciekawość ławników została pobudzona w najwyższym stopniu. Dorwali się do pierwszego dokumentu, jaki pozwolono im zobaczyć i po raz pierwszy usłyszeli głos Scotta Sterlinga.

- Naprawdę chcę ci się przysłużyć, wujku Curcie.

- Wiem, Scotty. Doceniam to.

- Nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Po raz pierwszy mam szansę pokazać na co mnie naprawdę stać i nigdy nie zapomnę, że to ty mi ją dałeś.

W jego przymilnym głosie ani razu nie zabrzmiała nieszczerza nuta.

Perlman skończył przesłuchanie świadka późnym popołudniem i sąd zawiesił obrady. Jenny wróciła do biura, żeby sprawdzić wiadomości i uporządkować notatki. Ktoś zapukał energicznie do jej drzwi i kiedy podniosła wzrok, ujrzała w nich uśmiechniętą twarz Waltera Boenninga.

- Sądziłem, że cię tu znajdę - powiedział. - Jak idzie proces?

- Mason dzisiaj zeznawał.

- Już?

- Dopiero. Przez cały tydzień ledwo panował nad sobą.

Ale Boenning nie był zainteresowany szczegółami. Miał dla Jennifer wiadomość.

- Jadłem wczoraj kolację z Marvinem Glasserem.

Nazwisko nic jej nie mówiło. Potrząsnęła głową.

- Nie słyszałaś o nim? Prowadzi imponującą praktykę na Wall Street. Reprezentuje potężnych graczy z całego świata. Także Jacka Stengela.

Bezosobowe spojrzenie Jenny nabrało ostrości.

- I byłeś z nim na kolacji?

- Zadzwoił wczoraj, powiedział, że jest w mieście, i że powinniśmy się spotkać.

- Dlaczego?

- Stengel prowadzi interesy z Catherine von Berg. Wie, że ty ją reprezentujesz i pomyślał, że powinniśmy się poznać.

Jenny odchyliła się na krześle, tym razem nie troszcząc się o to, jak wygląda z wypiętym brzuchem.

- Walt, starałabym się odwieść Cassie od interesów z Jackiem Stengelem.

- Dlaczego?

- To szabrownik i łupieżca. Rozdziera firmy na strzępy tak, że śladu nie zostaje.

- Nie tylko on. W ten sposób robiono interesy w latach osiemdziesiątych.

- Wiem, ale...

- Jennifer, jesteśmy adwokatami Catherine, nie jej doradcami finansowymi - powiedział Boenning. - Ona decyduje, jakie transakcje zawrzeć, my je tylko opracowujemy.

- Wiem. Ale naszym obowiązkiem jest dopilnować, żeby podjęła tę decyzję dobrze poinformowana.

Pokiwał powściągliwie głową.

- Jeżeli dostrzegasz wyraźne sygnały ostrzegawcze, przedstaw je w raporcie. Razem je sprawdzimy i zdecydujemy, co dalej, dobrze?

Zrozumiała. Bez zgody Boenninga nie wolno jej powiedzieć Cassie niczego złego o Jacku Stengelu.

- Z pewnością zrobię, co do mnie należy.

Rzucił jej uśmiech na do widzenia. Jeżeli zrozumiał, co chciała powiedzieć, nie dał tego po sobie poznać.

Kiedy już została sama, zaczęła się zastanawiać, dlaczego traci czas na sparring z Boenningiem. Jego dni w firmie były policzone, nie musiała się nim martwić. Z drugiej strony, nie powinny go obchodzić interesy Cassie ze Stengelem, skoro nie on je będzie prowadził.

Chyba że nie zamierzał opuszczać firmy.

12

Wtorek był ósmym dniem procesu i wszystko wskazywało na to, że kolejny tydzień niczym nie będzie się różnił od pierwszego. W sądzie jeżeli coś się powtarza raz, staje się rutyną, jeśli po raz drugi - prawem. Przysięgli zajmowali te same miejsca, chociaż Steuben wcale tego nie wymagał, adwokaci i strony mieli swoje krzesła, jakby zostały im przypisane, widzowie zjawiali się w tym samym składzie: ochroniarz, detektyw i Jenny.

Tak więc, kiedy ósmego dnia główne drzwi sali się otworzyły, chociaż wszyscy, z wyjątkiem sędziego i przysięgłych, byli już na miejscach, obecni jak na komendę odwrócili głowy.

- Co ty tu robisz? - zapytał ostro Curtis Mason.

Reese Chapman zamrugał powiekami. Miał na sobie błękitną marynarkę, białe spodnie i białe pantofle. Skórzaną saszetkę na pasku przerzucił przez ramię. Odbijał wyglądem od mężczyzn na sali, ubranych jak jeden mąż w granatowe garnitury.

- Myślę, że czas wciągnąć flagę na maszt - bąknął i odgarnął włosy z czoła.

Mason potrząsnął lekceważąco głową. Drzwi sali obrad otworzyły się i przysięgli wmaszerowali pojedynczo na salę. Chapman wsunął się w ławkę przed Jenny i uśmiechnął się do niej łagodnie.

- Proszę wstać! - zawołał woźny. Steuben usiadł, dokonał wstępnych formalności. Dan stanął przed podium i czekał. Po chwili wstał Mason i zajął miejsce dla świadka.

- Wróćmy do tego przyjęcia u Sterlingów w maju zeszłego roku.

Mason założył nogę na nogę, rozprostował ramiona i odchylił się jak najdalej od Dana.

- Naprawdę bym chciał - zakpił. - Nie popełniłbym dwa razy tego samego błędu, to pewne.

- Wyszedł pan z domu, szukając Scotta i znalazł go pan w ogrodzie na ławce, zgadza się?

- Tak.

- Co mu pan powiedział?

Mason zgrzytnął zębami i rzucił przysięgłym ponure spojrzenie przeznaczone dla Dana.

- Powiedziałem, że jestem powiernikiem trustu Doody i że chciałbym, żeby go dla mnie prowadził.

- Jak brzmiała jego odpowiedź?

- Jak już mówiłem - powiedział Mason przez zaciśnięte zęby. - Przyjął moją propozycję.

- Jaka była jego pierwsza reakcja?

Dan sięgnął po gruby tom zeznań Masona i Curtis zrozumiał, do czego zmierza.

- No dobrze, z początku odmówił. Krygował się.

- Jaki podał powód odmowy?

- Powiedział, że Dickinson Barlow już się tym zajmuje, nie chce wchodzić mu w drogę, i tak dalej, i tak dalej.

- Dickinson Barlow faktycznie się tym zajmował?

- Do tego momentu. Przypominam, że Doody zmarła niedawno.

- Pan Barlow prowadzi wszystkie pana sprawy majątkowe?
- Tak.
- Ale pan chciał menedżera, który załatwiałby codzienne formalności związane z istnieniem funduszu powierniczego pana siostry?
- Chciałem kogoś odpowiedzialnego.
- Proszę odczytać pytanie - powiedział Dan. Protokółantka wyciągnęła taśmę i odczytała ostatnie pytanie.
- Tak - odpowiedział Mason.
- Uważał pan, że prowadzenie trustu to nonsens, prawda, panie Mason? Mason poczerwieniał.
- Absolutnie nie! - wybuchnął.
- Casella podał mu kopię jego zeznań.
- Pamięta pan, że składał zeznania w mojej obecności?
- Pamiętam.
- I był tam także obecny protokolant sądowy, który spisał pana słowa, i że przysiągł pan mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę?
- Zawsze mówię prawdę.
- Strona dwudziesta trzecia - rzucił Dan w stronę Perlmana. - Panie Mason, spytałem, cytuję: „A pan nie chciał się zajmować codziennymi formalnościami związanymi z prowadzeniem trustu?”. Zamykam cytat. A pan odpowiedział, cytuję: „Chryste, nie mam czasu na takie bzdury!”. Zamykam cytat. Przypomina pan to sobie?
- Nie.
- Ale ma pan przed sobą transkrypcje i własny podpis na ostatniej stronie, potwierdzający ich treść, zgadza się?
- Tak.
- Kłamał pan wtedy czy kłamię teraz?
- Sprzeciw! - zawołał Perlman.
- Dopuszczalne kwestionowanie prawdomówności świadka, uchylam.
- Nie kłamałem ani wtedy, ani teraz - odpowiedział Mason. - Mówiąc „bzdury” chciałem powiedzieć, że nie mam już czasu na prowadzenie trustu. Zatrudniam ludzi, żeby się zajmowali takimi sprawami.
- I wybrał pan do tego Scotta Sterlinga?
- Zgadza się.
- A on odmówił.

- Krygował się! Wiedział, że będę nalegał.

- Więc Scott odmówił, a pan nalegał?

Mason odwrócił się do przysięgłych i potrząsnął głową.

- To nie było tak.

- Tak czy owak, zatrudnił go pan, żeby regulował rachunki i dokonywał wypłat.

- Tak.

- Dał mu pan książeczki czekowe funduszu powierniczego.

- Tak było najłatwiej.

- Dlaczego dał mu pan również pełnomocnictwo do obrotu akcjami trustu?

- Fundusz jest niemal w całości zainwestowany. Od czasu do czasu trzeba zebrać gotówkę na wypłaty. To oznacza konieczność sprzedania akcji. Musiałem dać mu upoważnienie, żeby mógł to robić.

Dan sięgnął po dowód rzeczowy P-62.

- Upoważnił go pan, podpisując ten formularz?

- To standardowy formularz używany w firmie Connolly.

- Czy treść też jej standardowa?

Mason wziął od niego dokument i przebiegł wzrokiem.

- No, nie, dodałem klauzulę.

- „Z zastrzeżeniem, że Sterling nie ma prawa obracać akcjami Macoal Corporation”. Czy to ta klauzula?

- Ta.

- Nie chciał pan, żeby Scott sprzedawał akcje rodzinnego przedsiębiorstwa?

- Tak.

- Ponieważ posiadanie większości udziałów Macoal było dla pana kwestią zasadniczą?

- Nadal jest.

- Nie chciał pan ryzykować, że coś się stanie z tą większością?

- Oczywiście, że nie.

- Ale był pan skłonny zaryzykować inne walory trustu, powierzając je Scottowi?

Mason wciągnął ze świstem powietrze.

- Wydawało mi się, iż ryzyko nie istnieje. Ufałem mu bez reszty.

- Więc dlaczego wyodrębnił pan akcje Macoal?

- Już mówiłem.

- Ponieważ nie chciał pan ryzykować?

- Tak.

-Więc jednak Scott Sterling musiał przedstawiać sobą jakieś ryzyko, prawda, panie Mason?

-Byłem po prostu ostrożny! Taki właśnie powinien być powiernik!

- Ostrożny tylko wobec jednego waloru trustu? Zbiegiem okoliczności, waloru, od którego zależy pana majątek osobisty?

Mason zacisnął zęby.

- Ostrożny wobec całego trustu, panie Casella.

- Pełnomocnictwo handlowe pozwalało Scottowi sprzedawać akcje w celu zebrania gotówki na wypłaty, czy tak pan to ujął?

- Tak.

- Ale nie było takiej potrzeby. Gotówkę można było zebrać, pożyczając od domu maklerskiego pod zastaw papierów wartościowych na rachunku powierniczym, zgadza się?

- Pewnie, ale taka pożyczka jest oprocentowana, a maklerzy zdzierają z ludzi siódmą skórę. To był dziesięciomilionowy trust. Nie było potrzeby płacić zawyżonych odsetek.

Ze swojego miejsca w tyle sali Jenny rzuciła ukradkowe spojrzenie na Reese'a Chapmana. Słuchał zupełnie biernie i nie wiedziała nawet, czy dociera do niego choćby słowo z toczącego się na sali dialogu. Jeszcze raz pomyślała, że jest zupełnie niemożliwe, aby był geniuszem giełdowym, jak twierdziła Cassie.

- A więc Scott nie był upoważniony do tego, żeby zadłużać rachunek trustu? - zapytał Dan Masona.

- Oczywiście, że nie.

- Jak pan zareagował, kiedy otrzymał pan wyciąg z rachunku powierniczego i zobaczył tak wysokie odsetki?

- Nie widziałem ich. To należało do Scotta.

- Jak pan zareagował, kiedy otrzymał pan list z domu maklerskiego Connolly ostrzegający o narastaniu odsetek?

- Powtarzam: pilnowanie tych spraw należało do Scotta.

- Nie wiem, czy dobrze rozumiem... Scotta należało przyłapać na robieniu czegoś, do czego nie był upoważniony?

- Nie zakładałem, że będzie przeprowadzał nielegalne transakcje! Ufałem mu!

Całe poranne przesłuchanie toczyło się według tego samego scenariusza. Im bardziej Dan naciskał, tym Mason butniej odpowiadał. Kilka razy Perlman wstał,

żeby wnieść sprzeciw, ale zrezygnował, kiedy stało się jasne, że Mason woli się bronić, odpowiadając napytania. W połowie dnia ochrypł i kiedy sędzia zarządził przerwę na lunch, spojrział na niego z wdzięcznością.

Dan rzucił notatki na swój stół. Prawnicy i strony odczekali na stojąco, aż przysięgli opuszczą salę. Reese Chapman popatrzył zdumiony na Jenny, kiedy podniosła się z miejsca, i sam szybko wstał.

Mason, jego prawnicy i ochroniarz wyszli zaraz po przysięgłych. Dan rozmawiał jeszcze chwilę z Mike'em di Maio, po czym wyszedł z Charliem Duncanem. Jenny została, żeby dokończyć notatki, a kiedy znów wstała, gotując się do wyjścia, stwierdziła, że Chapman ciągle jej towarzyszy.

- Fascynujące miejsce, prawda? - powiedział, ogarniając wzrokiem salę. - Proszę sobie tylko wyobrazić, jaki bagaż historii się tu mieści. Och, nie mam na myśli tej konkretnej sali - dodał, kiedy Jenny popatrzyła na niego pytająco. - Chodziło mi raczej o anglo-amerykański wymiar sprawiedliwości. Tak czy inaczej, wiele dramatów rozegrało się w salach takich jak ta. To daje człowiekowi do myślenia.

Jenny bąknęła coś i postanowiła, że pozwoli mu dumać w samotności. Kiedy wychodziła, siedział ciągle w ławce i rozglądał się wokół ze zdumieniem.

13

Panie Mason... - zaczął Dan popołudniową sesję. Wszyscy byli na swoich miejscach, z wyjątkiem Reese'a Chapmana, który uznał widocznie, że jedno wciągnięcie flagi zupełnie wystarczy. - Skoro Scott był odpowiedzialny za to, co działo się na rachunku powierniczym, dlaczego tak uważnie przestudiował pan listopadowy wyciąg z tego rachunku? Dlaczego zadzwonił pan do maklera, żeby zakwestionować wycenę akcji Macoal?

- Byłem odpowiedzialny za Macoal przez większość życia. Z tego nie mogłem zrezygnować. Ale tylko tego pilnowałem. Scott był odpowiedzialny za całą resztę.

- Również za zaciąganie pożyczki pod akcje Macoal?

- Już mówiłem, że o tym nie wiedziałem.

- Spójrzmy wobec tego na listopadowy wyciąg.

Jego asystentka podeszła do tablicy i ustawiła na niej planszę.

- Proszę sobie oszczędzić fatygi - powiedział Mason. - Widziałem, jak pan to robił z Kearneyem. Odpowiedź jest prosta: spojrzałem na wycenę Macoal i na nic więcej.

- Nie spojrzał pan na czek na dwieście czterdzieści dziewięć tysięcy osiemset siedemdziesiąt pięć dolarów? Jest to następna pozycja po wycenie akcji.

- Teraz to widzę. - Mason uśmiechnął się samymi wargami. - Powtarzam, że wtedy tego nie zauważyłem.

- Zauważył pan błąd wysokości trzech czwartych centa i przeoczył ćwierć miliona dolarów?

- Niech pan wierzy w co chce, Casella! Mówię, że tego nie zauważyłem!

Steuben uniósł młotek, ale widząc błysk w oczach Dana, szybko go opuścił.

- Ale na wyciągu z konta osobistego zauważył pan-pozycję opiewającą na dokładnie taką samą kwotę, prawda?

Mason rzucił mu krzywe spojrzenie, nie rozumiejąc do czego zmierza.

- Spójrzmy więc na listopadowy wyciąg.

Ustawiono następną planszę i Mason przyjrzał się jej spod zmarszczonych brwi.

- Kredyt, lokalny czek, dwieście czterdzieści dziewięć tysięcy osiemset siedemdziesiąt pięć dolarów przeczytał Dan, podkreślając pozycję na liście. - Widzi pan to, panie Mason?

- Tak.

- Wydawało się panu, że skąd pochodzą te pieniądze?

- Myślałem, że to zyski spekulacyjne, tak jak powiedział Scott.

- Panie Mason, gra pan na giełdzie od trzydziestu lat. Kiedy po raz ostatni widział pan, żeby zyski z obrotu akcjami wpłacano na konto czekiem?

- Nie zastanawiałem się nad tym.

Dan odwrócił się w stronę ławy.

- Wysoki Sądzie, chciałbym odtworzyć fragment kasety, którą przesłuchiwaaliśmy wczoraj.

Perlman zerwał się na nogi.

- Jaki fragment?

- Wczoraj odtworzył pan całość, panie Perlman - powiedział Steuben. - Nie może pan protestować przeciwko odegraniu fragmentu dzisiaj.

Dan skinął na asystentkę, żeby włączyła magnetofon. Salę wypełnił głos Masona.

- Scotty, właśnie otrzymałem wyciąg z Connolly.

- Wygląda nieźle, prawda?

- Nieźle? Synu, nigdy nie widziałem takich rezultatów. To niesamowite!

Kazał wyłączyć magnetofon i wbił wzrok w Masona.

- Nie skojarzyłem tego z funduszem! - zawołał Mason. - Co więcej mogę powiedzieć?

Dan milczał przez chwilę, spojrzał na przysięgłych i przeniósł wzrok z powrotem na świadka.

- Może nam pan powiedzieć, dlaczego w tajemnicy nagrał rozmowy telefoniczne ze Scottem Sterlingiem?

- Dobry Boże! - wybuchnął Mason. - Już to wyjaśniłem! Robiłem to, żeby Dorrie mogła posłuchać. Nie wiedziałem nawet, że mam te nagrania. Przypomniałem sobie o nich dopiero, gdy sprawa wyszła na jaw.

- Bardzo prędko pan sobie przypomniał. W niecałe dwadzieścia cztery godziny zdążył pan wrócić samolotem na Florydę, zatrudnić pana Perlmana i dostać w ręce taśmy. A także zorganizować przesłanie kasety z Maine.

- Dowiedziałem się, że z funduszu powierniczego siostry zginęły dwa miliony dolarów i że spodziewacie się, że ja uzupełnię ten brak. Pewnie, że działałem szybko!

- A gdzie się podziały te dwa miliony? Zdaje się, że trafiły na pana konto?

- Wysoki Sądzie! - Perlman poderwał się z krzesła z bolesnym wyrazem twarzy. - To jest dręczenie świadka i trwa już o wiele za długo!

- Uwzględniam sprzeciw.

Dan odwrócił stronę w notatkach, szykując kolejne pytanie.

Ale Mason nie zamierzał się poddać.

- Powiem panu, gdzie trafiły te dwa miliony - na konto bankowe Ster-linga, oto gdzie! Przełał je na mój rachunek tylko po to, żeby zatuszować kłamstwa o zyskach z gry na giełdzie.

- Tak, porozmawiajmy o tych zyskach. Scott powiedział panu, ile zarobił?

- Co do centa.

- Ale te kwoty nie znajdowały pokrycia w wyciągach, jakie przysyłał panu dom maklerski?

- Albo vice versa.

- Te kwoty nie figurowały również w formularzu podatkowym, który przysłała panu firma Connolly. Przeciwnie, formularz wykazywał straty, prawda?

- Nie wiem. Nie widziałem go. Takie rzeczy wysyłałem księgowemu.

- Za to Scott wykazał dochód - dwa tysiące procent zysku w trzy miesiące - zgadza się?

- Nie liczyłem.

- Więc policzmy teraz.

Podszedł do tablicy i napisał proste równanie: kapitał - zysk - czas, wynikiem było dwa tysiące procent. - Rocznie daje to... - Pomnożył liczbę przez cztery. - Osiem tysięcy procent rocznie! - Dan popatrzył na przysięgłych, ludzi, którzy cieszyli się, jeżeli zyskali dwa.

- Tak mi powiedział - upierał się Mason.

- Uznał pan, że wyciągi Connolly zawierają błąd, ponieważ nie zgadzają się z tym, co mówi Scott?

- Tak.

- Skąd pan to wiedział?

Mason popatrzył na niego tępo.

- Nie rozumiem...

- Skąd pan wiedział, że się nie zgadzają? Miał pan przed sobą wyciąg z rachunku, ale nie miał pan żadnych pisemnych danych od Scotta, prawda?

- Nie, ale podał mi...

- Dokładne sumy, co do centa, tak?

- Tak.

- W jaki sposób zapamiętał pan je, żeby porównać z tymi na wyciągach?

- No cóż, ja...

- Podczas przesłuchania zeznał pan, że nie robił żadnych notatek. Skąd pan wiedział, jakie sumy podał panu Scott? Nie ma pan wyciągów, notatek, nic...

- Na litość Boską! - krzyknął Mason. - Miałem to na taśmie, no nie?!

Dan pozwolił, by przebrzmiało echo słów Masona.

- A więc to było pana źródło wiedzy. W tajemnicy nagrał pan taśmy i starannie je przechowywał.

- Nie!

- Nie mam więcej pytań.

14

Tej nocy Scottowi snów śnił się koszmar. Znał każdy jego szczegół, ale to go nie uodporniło, obudził się zlany zimnym potem.

Zszedł na dół ubrany w garnitur, po raz pierwszy od miesiący. Jenny aż gwizdnęła z podziwu, ale odpowiedział tylko bladym uśmiechem. Ręka mu drżała, kiedy uniósł filiżankę z kawą.

- To już dziś - powiedział.

- Wcale nie - odparła. - Dzisiaj musisz tylko przetrwać i nie zaprzepaścić szans w procesie karnym. Masz ściągawkę?

Scott sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął złożoną kartkę.

- Odmawiam odpowiedzi z uwagi na to, że mogłaby mnie ona obciążyć? - wyrecytował. - Naprawdę mam to przeczytać?

- Nie ma powodu zwiększać stresu, próbując to zapamiętać.

- Będę cię widział?

- Usiądę tam, gdzie zwykle.

- Usiądź bliżej.

- Scott! Poradzisz sobie. Przestań się martwić.

Siedział przy stole jak naburmuszone dziecko i pogryzał grzanekę.

- Powiedz mi jeszcze raz, co mówił wczoraj wujek Curt.

Powtarzała to już zbyt wiele razy - Scottowi po powrocie do domu, Cassie przez telefon, a nawet Walterowi Boenningowi, który zadzwonił niespodziewanie późnym wieczorem i zażądał relacji.

Jenny stanęła za Scottem i zaczęła masować mu ramiona.

- Spróbuj się odprężyć. Przeczytasz swoją odpowiedź z kartki i w południe wrócisz do domu.

- Boję się, że nigdy nie wrócę.

Dan patrzył, jak wchodzi na salę, niby przestraszone dzieci, niewiedzące, co je tu czeka. Mike przechylił się ku niemu ponad oparciem krzesła.

- Co ona tu robi?

Odwrócił wzrok.

- Dotrzymuje mu towarzystwa.

- Myślałem, że pracowała dla ciebie.

- A jak myślisz: jak się spotkali?

Na sali pojawił się woźny.

- Panowie! - zawołał raz i drugi, starając się zwrócić uwagę obecnych. - Sędzia chce widzieć prawników u siebie jeszcze przed rozpoczęciem posiedzenia.

Kiedy weszli, Steuben siedział przy biurku, bez togi i bez marynarki. Gestem kazał im zająć krzesła ustawione półkolem przed biurkiem.

- Mamy już środę - powiedział bez wstępów. - Ósmy dzień rozprawy, a nie doszliśmy nawet do obrony. W poniedziałek zaczyna się proces karny. Nakaz tymczasowy wyznaczono na piątek. A my ciągle jesteśmy w lesie. Ile to jeszcze potrwa, Bob?

- Dzisiaj rano wzywam ostatniego świadka - powiedział Perlman z satysfakcją.

- Sterlinga?

- Tak. Skończę z nim przed dwunastą.

- Jesteś pewien, że powoła się na Piątą poprawkę?

- Jego adwokat potwierdził to wczoraj wieczorem.

Steuben zwrócił się do Dana.

- Ile czasu potrzebuje obrona?

- Mam dwóch świadków. Eksperci.

Pierwszy z nich, specjalista od zarządzania firmą prawniczą, potwierdzi, że H & M ma wystarczające środki kontroli nad pracownikami. Drugi, ekspert giełdowy, zezna, że Mason nie mógł uzyskać takiego zysku, jak twierdził.

- Po jednym dniu na każdego! - zastrzegł sędzia.

- Szkoda, że nie mogłem zacząć wcześniej - powiedział Dan, pijąc do Perlmana.

- To twój krzyżowy ogień pytań ciągnie się jak makaron - odciął się Perlman.

Steuben wstał i uniesieniem ręki położył kres dyskusji.

- Postarajmy się, żeby to szło sprawnie, panowie!

- Powództwo wzywa Scotta Sterlinga.

Przysięgli poprawili się na krzesłach, pochylili do przodu, wymieniając szeptem uwagi. Oto świadek, na którego czekali, nareszcie! Wyciągali szyję, żeby go wypatrzeć, a kiedy wstał i ruszył przez salę, szmer się wzmógł. Taki przystojny, taki elegancki. A ta śliczna dziewczyna w ciąży? To pewnie jego żona!

Perlman i Shuster nie starali się nawet ukryć ciekawości. Oni również widzieli Sterlinga po raz pierwszy. Obok nich stał Mason ze spuszczonego wzrokiem.

Jenny patrzyła, jak Scott zajmuje miejsce dla świadków, wiedząc, że czuje w tej chwili na sobie oczy wszystkich obecnych. Przypomniała sobie kiedy po raz ostatni znalazł się w centrum zainteresowania - na sali konferencyjnej H & M, w

styczniu. Gniewało ją wtedy, że rozkoszuje się sytuacją, najwyraźniej nieprzyzwyczajony do tego, że ludzie okazują mu zainteresowanie, nieświadomy kłopotów, w jakie się wpakował. Teraz niczym się nie rozkoszował.

- Przysięga pan mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę?

- Tak.

Perlman stanął przed podium niby wcielenie sprawiedliwości. Tym razem zamierzał odwołać się do pisemnego scenariusza przesłuchania. Wiedząc, że nie otrzyma odpowiedzi, mógł jedynie zdobyć punkty, zadając właściwe pytania.

- Nazywa się pan Scott Sterling i pracował do niedawna w firmie Harding & McMann?

- To ja. - Scott pochylił się do mikrofonu.

- Czy to prawda, że w styczniu został pan zwolniony z pracy?

- Tak.

- Czy to prawda, że przyznał się pan do kradzieży dwóch milionów dolarów z funduszu powierniczego Elizabeth Mason Chapman i to było powodem pańskiego zwolnienia?

Scott podniósł rękę i Jenny czekała, aż wyciągnie z kieszeni kartkę. Ale jego dłoń zamknęła się na podstawie mikrofonu. Przysunął go bliżej.

- Tak, proszę pana, niestety to prawda.

Zagryzła usta. Perlman zamarł z oczami wbitymi w scenariusz, którego Scott nie chciał się trzymać. Po raz pierwszy od początku rozprawy Dan stracił panowanie nad sobą i odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Potrząsnęła bezradnie głową.

Sędzia Steuben rzucił zdumione spojrzenie prawnikom i nachylił się w stronę świadka.

- Panie Sterling, może pan odmówić odpowiedzi, które pana obciążają. Wie pan o tym?

- Tak, Wysoki Sądzie. Ale przysięgałem powiedzieć całą prawdę i tego będę się trzymał.

Sędzia zwrócił się znowu do Perlmana i uniósł brwi.

- Chwileczkę, Wysoki Sądzie. - Perlman opuścił swoje miejsce i podszedł do Shustera. Jenny próbowała pochwycić wzrok Scotta, a kiedy to się jej w końcu udało, on tylko się uśmiechnął.

Perlman wrócił pod podium pełen wigoru.

- Więc przyznaje pan, że ukradł pieniądze z trustu?

- Nie mogę zaprzeczyć - odparł Sterling. - Może „ukradł” nie jest właściwym słowem. To znaczy, nie zatrzymałem tych pieniędzy. Wszystkie przelałem na konto wujka Curta.

- Czy to prawda, że zrobił to pan, próbując zatuszować fakt, że okłamywał swojego wuja?

- Tak. A właściwie chodziło mi o zatuszowanie strat, jakie poniósł na giełdzie.

- Ponieważ, gdyby się o nich dowiedział, zrozumiałby, że go pan okłamał?

Scott chciał przytaknąć, ale zawahał się i przez chwilę milczał, rozważając odpowiedź.

- Nie jestem pewny. Myślałem tylko o tym, co zrobić, żeby się nie dowiedział o stratach.

Perlman rzucił przysięgłym zirytowane spojrzenie.

- Dlaczego?

- Ponieważ wciąż mi powtarzał, że nie chce nic o nich wiedzieć. Mówił: „Nie pokazuj mi strat na tym rachunku. Rób co uważasz, ale nie chcę tu widzieć żadnych strat”.

Perlman znieruchomiał, Mason warknął coś do Shustera. Dan i Charlie Duncan jednocześnie pochylili ku sobie głowy. Scott stał nieporuszony, czekając na następne pytanie.

- Wysoki Sądzie, można na stronę? - zapytał Perlman.

Steuben skinął głową bez zdziwienia i odjechał z krzesłem na koniec ławy. Protokolant wziął swoją maszynę i poszedł za nim, daleko od przysięgłych i świadka. Trzej prawnicy zbili się w grupkę wokół niego.

- Wysoki Sądzie! - wyszeptał Perlman. - Oczekiwałem, że powoła się na Piątkę.

- Już mi pan to mówił, panie Perlman. Ale nie zrobił tego.

- To niemiła niespodzianka - powiedział Perlman. - Proszę o przerwę, żebym mógł go przesłuchać, zanim wznowię krzyżowy.

- Powództwo miało niejedną okazję przesłuchania świadka - wtrącił Dan. - Nawet nie podjęło takiej próby.

- Sądziłem, że się powoła na Piątą poprawkę!

- Pomylił się pan - powiedział sędzia.

- Wysoki Sądzie, budowałem linię obrony na założeniu, że skorzysta z przywileju!

- Panie Perlman, naprawdę nie mogę zakazać mu zeznawać!

- Ale ja nie wiem, co on powie! Muszę go najpierw przesłuchać.

- Odrzucam prośbę z dwóch powodów: po pierwsze - zrzeczenie się; po drugie, jak już mówiłem w gabinecie - następne dwie sprawy czekają w kolejce. Nie ma czasu na przerwę.

- Co ja mam zrobić?

- Ma pan świadka na podium. Proszę go przesłuchać albo zwolnić.

Przez kilka minut Perlman i Shuster szeptali do siebie z pochylonymi głowami. Perlman wrócił na środek sali i wbił wzrok w Scotta.

- Nie mam więcej pytań!

Przysięgli odprowadzili go wzrokiem. Byli wstrząśnięci i zirytowani.

- Panie Casella? - powiedział sędzia.

- Ja owszem - odparł Dan, wstając. - Nawet niejedno.

Przysięgli poprawili się na krzesłach, gotowi na dalszy ciąg przedstawienia.

Dan podszedł do podium.

- Proszę powiedzieć przysięgłym, co dokładnie pan Mason powiedział o stratach na swoim rachunku.

- Jak już mówiłem, nie chciał ich widzieć. Powiedział, że zlikwiduje rachunek, jeżeli zdarzy mi się wpadka. Nie chciałem do tego dopuścić.

- Kiedy to panu powiedział?

- Kiedy dał mi upoważnienie. A potem ze sześć razy w ciągu paru miesięcy.

- Skupmy się na tych paru miesiącach. Co sprawiło, że poruszył temat strat?

- Nie wiem. - Scott potrząsnął głową. - Nie potrafię powiedzieć.

- Proszę sobie przypomnieć, panie Sterling. Czy stało się wówczas coś, co mogło wywołać dyskusję o stratach handlowych?

Bezradnie potrząsnął głową.

- Dam panu wyciągi z jego rachunku. Proszę je spokojnie przejrzeć. Może coś pobudzi pańską pamięć.

Scott skinął posłusznie głową i zaczął przeglądać papiery. Zawahał się przy jednym dokumencie, odłożył go, po czym ujął ponownie.

- Jezu, nie zauważyłem tego wcześniej - powiedział.

- Czego?

- Jednego razu, kiedy przypominał mi o tym, że nie chce widzieć strat. To było w listopadzie. Pamiętam, bo kiedy zadzwonił, pomyślałem, że chce mnie zaprosić na obiad z okazji Święta Dziękczynienia, ale on tylko powtórzył to, co już mówił wcześniej o tym, żeby nie było żadnych strat na koncie.

Dan wstrzymał oddech i zadał następne pytanie.

- Czy październikowy wyciąg wykazywał straty?
- Tak. - Scott spuścił głowę. - Straciłem osiemdziesiąt pięć tysięcy w miesiąc.
- I wtedy po raz pierwszy powiedział mu pan, że Connolly ma awarię komputerów?

Jenny nie mogła dłużej usiedzieć na miejscu. Zerwała się na równe nogi, zwracając na siebie uwagę wszystkich. Scott potrząsnął głową i stanowczym ruchem dłoni kazał jej usiąść.

- Nie - oznajmił. - Temat wypłynął po raz pierwszy jakiś miesiąc wcześniej. I to wujek Curt powiedział.

- Co powiedział?

- Powiedział: „Wyciąg musi zawierać błąd, ponieważ w zeszłym miesiącu sporo zarobiłem, prawda?”. A ja odparłem: „Prawda”. Na to on: „Connolly musi mieć schrzaniiony komputer. Wyjaśnij to”.

- Powiedział, jak ma pan to wyjaśnić?

- Tylko to, że saldo ma się zgadzać.

- Czy ta rozmowa odbyła się przez telefon?

- Tak. Wujek Curt nie lubił przychodzić do mojego biura. Prawie wszystkie nasze rozmowy odbywały się przez telefon.

- Jak często rozmawialiście?

- Przynajmniej raz w tygodniu.

- W przeciągu jakiego czasu?

- Około pięciu miesięcy.

- Raz w tygodniu przez pięć miesięcy? To by było około dwudziestu rozmów?

- Przynajmniej - przyznał Scott.

- Wie pan o tym, że pan Mason nagrał dziewięć z nich?

Scottowi zadrżała broda, ale wziął się w garść.

- Teraz tak.

- Twierdzi pan, że jedenaście rozmów nie zostało nagranych?

- Zgadza się.

- I w jednej z nich pan Mason poruszył kwestię błędu komputerowego?

- Sprzeciw! - zawołał Perlman. - Sugerowanie świadka.

- To jest krzyżowy ogień pytań! - wybuchnął Dan.

- Doprawdy? - odciął się Perlman.

- Uchylam - orzekł Steuben. - Proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Tak - powiedział Scott.

- Czy podejrzewał pan, że pan Mason nagrywa wasze rozmowy?
- Nie! Myślałem, że wujek Curt mi ufa! Zawsze mi to powtarzał.
- Ufał, że będzie pan sprawował właściwy zarząd nad pieniędzmi jego siostry?
- Kiedyś powiedział, że na pewno zrobię z pieniędzmi z trustu co należy.
- Tak powiedział? - Dan rzucił Scottowi ostre spojrzenie i przeniósł je na ławę przysięgłych. - Jak pan zrozumiał te słowa?

- Nie wiem. Chyba w ten sposób, że mam sumiennie zarządzać funduszem powierniczym.

- Ale to już robiła firma Connolly?

- Oczywiście.

- Kiedy dokładnie pan Mason powiedział, żeby zrobił pan co należy z pieniędzmi trustu?

- Nie pamiętam.

- Co jeszcze powiedział o tych pieniądzach?

- Chyba już nic.

Dan milczał, czekając na natchnienie, które jakoś nie nadchodziło. Spróbował jeszcze raz.

- Proszę przypomnieć sobie wszystko, co powiedział w związku z pieniędzmi funduszu.

Scott zmarszczył czoło. Mijały minuty.

- Pamiętam, kiedyś rozmawialiśmy o wielkości kapitału. Wujek powiedział: „Pomyśleć, że te miliony będą leżały tam bezużytecznie aż...” - urwał nagle.

- Aż co?

Scott poprawił się na krześle. Wyglądał jak mały chłopiec, który musi powtórzyć brzydkie słowo.

- No... - powiedział. - Aż ten cholerny Reese Chapman umrze.

Od strony powoda rozległ się ledwo tłumiony ryk.

- I w tej samej rozmowie powiedział, że nie chce widzieć strat na swoim koncie?

- Tak. Chyba tak.

- W tej samej rozmowie, kiedy powiedział: „żeby tylko saldo było takie jak powinno?”

Nagle oczy Scotta zogniały.

- Rozumiem, do czego pan zmierza! - wybuchnął. - Ale to nie tak było. To wszystko był mój pomysł, nie wujka Curta!

- Proszę odpowiedzieć na pytanie. - Dan podniósł głos. - Czy w tej samej rozmowie pan Mason kazał panu zadbać o to, żeby saldo na jego rachunku było takie, jak powinno i napomknął, że wszystkie pieniądze trustu leżą bezużytecznie aż do śmierci pana Chapmana, oraz że powinien pan zrobić z pieniędzmi trustu to, co należy?

- Tak, ale to nie było powiedziane w tym sensie, jaki pan sugeruje. On nie chciał, żebym zrobił to, co zrobiłem.

- Więc to był pana pomysł?

- Tak!

- A on nic nie podejrzewał?

- Nie.

- Więc dlaczego nagrał wasze rozmowy?

Nawet z ostatniego rzędu Jenny widziała, jak oczy Scotta napęniają się łzami. Ledwo usłyszała jego szept.

- Nie wiem.

Dan usiadł.

- Nie mam więcej pytań.

- Panie Perlman, świadek do pana dyspozycji.

Cisza zdawała się nabrzmiewać, podczas gdy Perlman siedział i myślał. Popatrzył na podium dla świadka, a kiedy Scott uniósł rękę, żeby rękawem otrzeć łzy, wstał.

- Nie mam pytań.

- Wobec tego, proszę wezwać kolejnego świadka.

- Powód nie ma więcej świadków.

- Obrona gotowa?

Dan miał dwóch świadków praktycznie za drzwiami i pięćdziesiąt stron notatek do przesłuchań. Miał tablice giełdowe i Scotta Sterlinga płaczącego na miejscu dla świadka.

- Obrona nie ma więcej świadków, Wysoki Sądzie.

Charlie Duncan wciągnął głośno powietrze. Perlman odwrócił się i wlepił wzrok w swojego oponenta.

- Zrobimy krótką przerwę przed mowami końcowymi. Panie Sterling, jest pan wolny.

Scott zszedł z podium i ruszył w stronę drzwi. Kiedy mijał stół powództwa, Mason wyskoczył z ławki i dziabnął go palcem w pierś.

- Będiesz się smażyć w piekle! - wrzasnął. Młotek sędziego poszedł w ruch, adwokaci próbowali posadzić Masona z powrotem na miejscu. - Osobiście tego dopilnuję!

15

Oblewanie zwycięstwa rozpoczęło się w kwaterze Harding & McMann w godzinę po ogłoszeniu wyroku. Dan przyjął kieliszek szampana, chociaż nie widział powodu do radości. Cieszył się werdyktem zaledwie przez minutę, do chwili, gdy Mike di Maio klepnął go w plecy i powiedział:

- Widzisz? Mówiłem, że odwalisz za mnie całą robotę. Teraz mogę zamknąć sprawę.

- Jest przecież jeszcze sprawa karna.

- Nieee - powiedział Mike. - Nie wysuniemy oskarżenia przeciwko Sterlingowi. To Mason powinien iść do więzienia.

Dan strzelał na oślep, przesłuchując Scotta, a wypadło to tak, jakby czytali role z tego samego scenariusza. Przysięgłych nie było trzydzieści minut, akurat tyle, ile trzeba, żeby wybrać przewodniczącego ławy i przeprowadzić głosowanie. Werdykt głosił: Mason nakłonił Sterlinga, żeby dokonał przelewów, i zrobił to tak umiejętnie, że Sterling nadal nie rozumie, co się stało.

Dan znalazł Duncana w jednej z sal konferencyjnych, w której zorganizowano przyjęcie. Charlie pił już drugą butelkę szampana i zabawiał swoich współników, parodiując Perlmana.

- Muszę lecieć - powiedział Dan, odprowadzając go na bok. - Porozmawiamy później.

- Nie możesz wyjść z własnego przyjęcia!

- To twoja noc, Charlie. Baw się dobrze.

Dan oparł się o ścianę windy. Był przyzwyczajony do zwycięstw, ale przegrał dość spraw, żeby wiedzieć, jak smakuje przegrana i posmakował jej dzisiaj. Uratował klienta, ale przy okazji oczyścił z zarzutów Scotta Sterlinga. Teraz odzyska on prawo wykonywania zawodu, przy niewielkim wsparciu ze strony ojca otworzy własną praktykę, ożeni się z Jenny i będzie żył długo i szczęśliwie, a wszystko to dzięki niemu.

Powinni wziąć go na świadka i ojca chrzestnego.

CZEŚĆ CZWARTA

SĄD

1

Gorący powiew smagnął lądowisko i uderzył w Jenny. Włosy omotały jej twarz, suknia wzdeła się jak balon. Musiała się odwrócić i zgiąć wpół, żeby wytrzymać uderzenie. Z tyłu stał mercedes-limuzyna, a obok niego azjatycki szofer Stengela, Moi, niewzruszony niczym góra lodowa.

Trzepotanie łopat wirnika ustało wraz z wyciem silników. Na schodkach helikoptera ukazały się długie, zgrabne nogi Cassie von Berg. Za nią, pośród rozedrganych fal gorąca, stanął Jack Stengel.

Czekając na nich na skraju lądowiska, Jenny przeczesywała palcami włosy. Ramię Stengela opasało talię Cassie. Uniosła rękę i pomachała radośnie ku Jenny.

- Halo! Dzięki, że po mnie wyszłaś.

- Miło znów panią widzieć! - Stengel szedł ku niej z wyciągniętą ręką, pięknie uśmiechnięty.

- Witam, panie Stengel.

- Proszę, mów mi Jack. Będziemy się często spotykać.

Cassie obróciła się w jego ramionach.

- Jack, stokrotne dzięki za podwiezienie.

- Najładniejsza aerostopowiczka, jaka mi się trafiła. - Pochylił głowę, żeby ją pocałować. Dłonie Cassie zsunęły się pieszczotliwie po jego plecach. Stengel pomachał do Jenny i ruszył przez płytę lotniska w stronę swojej limuzyny. Szofer nachylił się ku niemu, coś mówiąc. Nadal rozmawiali, kiedy kobiety wyjeżdżały z lotniska.

- Co to miało znaczyć? - spytała Jenny. - Że będziemy się często spotykać?

- Och, Boże! - Cassie jęknęła uszczęśliwiona, wspierając głowę o oparcie fotela.

- On ma tyle projektów, że nie wiem, od czego zacząć. Przede wszystkim zakłada konsorcjum, które zajmie się wydobywaniem ropy z Zatoki Tonkińskiej.

- W Wietnamie?!

- Aha! Do spółki z Japończykami. Zgromadził inwestorów i ja też mogę do nich dołączyć.

- A skąd weźmiesz pieniądze?

- Na litość boską, mam dziesięć milionów dolarów!

- W truście - przypomniała Jenny.

Cassie zamknęła oczy i na jej ustach ukazał się uśmiech pełen zadowolenia.

- Chwilowo.

Macoal utrzymywał biuro dla swego emerytowanego prezesa w jednym z pięciu granitowo-szklanych budynków, tworzących przedziwną bryłę pośród wypiełgnowanego krajobrazu. W holu nie było portiera ani ochroniarza, ale na mosiężnej tablicy informacyjnej, pośród przedsiębiorstw ubezpieczeniowych i rachunkowych, figurowało nazwisko Masona.

Jenny odwróciła się, słysząc chrząknięcie za plecami i ujrzała Waltera Boenninga zmierzającego ku nim przez hol.

- Witam, moje panie!

- Walt, co ty tu robisz? - zapytała Jenny.

- Catherine wspomniała, że macie dzisiaj to spotkanie. Pomyślałem, że lepiej pójdę z wami. - Uśmiechnął się szeroko do Cassie. - A więc?

Ta ruszyła w górę rzeźbionych schodów, Jenny pozostała na miejscu i przytrzymała Boenninga lekko za łokieć.

- To chyba nie jest dobry pomysł, Walt - powiedziała cicho. - Nie chciałabym zirytować Masona. Jeżeli wtargniemy tam niby ekspedycja karna...

Cassie obejrzała się, żeby sprawdzić, co ich wstrzymuje, i usłyszała oschłą odpowiedź Boenninga.

- Sądzę, że mam trochę więcej doświadczenia w radzeniu sobie z ludźmi pokroju Masona.

Zachowywał uprzejmość, ale po raz pierwszy Jenny uświadomiła sobie, że posługuje się dobrymi manierami, aby narzucić innym swoją wolę.

Wyminął ją i ruszył w górę schodów. Cassie obserwowała ich, więc Jenny powiedziała chłodno:

- Stanowczo odradzam. Jeżeli Mason poczuje się zagrożony, zacznie walczyć, co oznacza kilka lat w sądach. Mamy szansę, że zrezygnuje dobrowolnie, ale tylko wtedy, jeżeli pójdę tam sama.

Boenning szedł dalej, nie zwracając na nią uwagi. Cassie popatrzyła na Jenny i wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, kto ma rację i nie obchodziło jej to aż tak bardzo, żeby walczyć. Jenny zacisnęła wargi i poszła za nimi.

Recepcja na pierwszym piętrze obwieszona była portretami zmarłych Masonów. Pani von Berg minęła je bez jednego spojrzenia i podeszła do biurka, gdzie siwowłosa kobieta oczekiwała ich z nieprzyjazną miną. Opadły jej kąciaki ust, kiedy podali swoje nazwiska. Zniknęła w gabinecie, by po chwili wrócić, jeszcze bardziej naburmuszona, i gestem zaprosić ich do środka.

Mason wstał zza biurka. Zdobila je abstrakcyjna rzeźba w połyskliwej bryle węgla, nawiązująca tematem do źródeł rodzinnej fortuny.

- Witaj, Cassie - powiedział, ale patrzył na Waltera Boenninga.

- Witaj, wujku. - Obeszła biurko. Mason podsunął policzek do pocałunku, ale widać było, że się gotuje ze złości. - To jest Walter Boenning i Jennifer Lodge.

Boenning podszedł z wyciągniętą ręką, ale Mason odwrócił się i wcisnął interkom.

- Proszę go tu przysłać - rzucił i boczne drzwi się otworzyły. Do pokoju wkroczył Robert Perlman.

- To jest Bob Perlman, mój adwokat. - Uśmiechnął się szyderczo. - Czułem, że wykręcisz mi jakiś numer.

- Trudno to nazwać numerem. - Cassie usadowiła się w fotelu, nie czekając, aż ją o to poproszą. - Jestem młodą kobietą, bez żadnego doświadczenia w biznesie. Nie mogłabym negocjować samodzielnie z takim weteranem jak ty.

- Co chcecie negocjować? - zapytał Perlman. Wszyscy poza nim usiedli.

- Zaczniemy od tego, że pan Mason ma w swoim posiadaniu dwa miliony dolarów należące do Catherine. - Boenning odchylił się na krześle i skrzyżował nogi, uosobienie niewymuszonej pewności siebie.

Masonowi żyły wystąpiły na czole.

- Chciał pan powiedzieć: „miałem”. Harding & McMann przegrali je na giełdzie.

- Ława przysięgłych orzekła inaczej - oznajmił Boenning.

- Na pańskim koncie jest nadal milion siedemset tysięcy dolarów - powiedziała Jenny.

Curtis rzucił jej zirytowane spojrzenie zza rzeźby.

- Składamy apelację - powiedział Perlman. - Werdykt się nie utrzyma.

- Proces był sfingowany - zgrzytnął Mason. - Sterling zmówił się z Casella - to było jasne jak słońce.

- Monitorowaliśmy proces - oznajmił Walter. - Doszliśmy do zupełnie innego wniosku. Żądamy, żeby pan natychmiast zwrócił pieniądze należące do funduszu powierniczego. Jeżeli wygra pan apelację, Harding & McMann zwrócą je panu. Ale nie ma powodu, żeby trust stał pusty.

- Nie stoi pusty - odparował Mason. - Ma największe udziały w Macoal.

- To nas prowadzi do kolejnego żądania - powiedział Boenning. - Natychmiast ustąpi pan z funkcji powiernika.

Curtis parsknął śmiechem i odwrócił się z krzesłem o dziewięćdziesiąt stopni. Jenny знаła już ten jego gest. Na miejscu dla świadka odwracał się całym ciałem od wszystkiego, co go irytowało. Zaobserwowała to, i inne rzeczy. Nie potrafił przyznać się do pomyłki, każda sugestia, że zaniedbał obowiązki powiernika wywoływała natychmiast agresję. Tak starannie zaplanowała, jak uniknąć tej reakcji, wszystko na próżno. Arogancki zwierzchnik i obojętna klientka zaprzepaścili jej strategię.

- Niech pan zrezygnuje z funkcji powiernika funduszu i odda pieniądze, a wycofamy skargę - mówił tymczasem Boenning. - Inaczej wytoczymy panu proces o nadużycie zaufania.

Mason zachnął się i popatrzył złym wzrokiem na Cassie.

- Zwrócę pieniądze. Kropka. Ale dopóki udziały firmy są w truście, nie zrezygnuję. Żaden bank nie będzie się o nie troszczył tak, jak ja.

- Nie zamierzam oddawać ich bankowi - odezwała się Cassie. - Jestem już duża, wujku Curcie. Nie potrzebuję niańki.

- Znasz moją ofertę. Wóz albo przewóz.

- Wobec tego muszę ją odrzucić.

Wstała, a za nią Boenning i Jenny.

- Czekaj! - Mason poczerwieniał. - Nie masz pojęcia, w co się wpakujesz, jeżeli wniesiesz na mnie skargę. Porozmawiaj najpierw z Reese'em. Dowiesz się, że ma ci coś do powiedzenia.

- Sam mi to powiedz, skoro to takie ważne.

Mason zawahał się, zerknął na Perlmana.

- Tak sądziłam - powiedziała Cassie z pogardą. - Tatuś i ja nie mamy przed sobą tajemnic. Nie powiesz mi nic, czego nie wiem.

- Jest cholerną ciotą, wiedziałaś to? - ryknął Mason.

W pokoju zawrzało. Boenning otworzył zamasyżycie drzwi, Jenny patrzyła z niepokojem na swoją klientkę, Perlman wrzeszczał, żeby wszyscy usiedli, zaś Cassie stała spokojnie pośród tego zamieszania. Uśmiechnęła się leciutko.

- Jeżeli chcesz przez to powiedzieć, że jest gejem, to tak, wiem o tym. Ale co to ma wspólnego z trustem?

- Powiem ci! - warknął Mason. - Jeżeli spróbujesz mnie pozwać, sekrecik Reese'a wyjdzie na jaw!

Brwi Cassie powędrowały w górę.

- Szantaż, wujku Curcie? Zamierzasz okryć rodzinę jeszcze większym wstydem? Gdybym nawet miała wątpliwości, czy nadajesz się na powiernika moich pieniędzy, straciłabym je teraz. - Odwróciła się do Boenninga i Jenny. - Myślę, że to już wszystko. Idziemy?

Walt przytrzymał dla niej drzwi.

- Chwilę! - Mason zerwał się zza biurka.

- Ja to się mówi...? Do zobaczenia w sądzie - rzuciła od drzwi.

Zeszli schodami do holu. Cassie wyciągnęła wsuwki z włosów i potrząśnięciem głowy rozpuściła włosy. Na ulicy oparła się o samochód i westchnęła.

- Będziemy gotowi na jutro - zapewnił ją Boenning.

- Nic nie rób, dopóki nie dam ci znać. Muszę porozmawiać z tatą.

W piątek wieczorem zakończyła pisanie skargi: Catherine Chapman von Berg versus Curtis Mason. Nadużycie zaufania, samowola, brak nadzoru nad trustem, defraudacja, wszystko, co jej przyszło do głowy. Przypomniała sobie, jak Dan zakpił kiedyś z Perlmana: „Pomijasz spisek antytrustowy?” i serce się jej ścisnęło.

Marilyn wzięła od niej pismo i zaniósła do biura za ścianą. Jenny wypadła z łask po wczorajszej próbie buntu. Mimo to pismo wróciło do niej z jedną tylko adnotacją, nabazgraną czerwonym atramentem: „W porządku”.

Zadzwonił telefon.

- Telegram dla panny Jennifer Lodge - odezwał się męski głos.

- Przy telefonie.

- „Kolacja dzisiaj o ósmej. Stop. Najlepsza restauracja w mieście. Stop”.

Jenny przewróciła oczami.

- Cześć, Scott.

- Podpisano: Scott. Mam czekać na odpowiedź.

W jego głosie zabrzmiał śmiech. Był znów złocisty, zupełnie nie ten człowiek, który opuścił miejsce dla świadka przed dwoma dniami.

- Nie wiem.

- Musimy uczcić zwycięstwo. Proszę!

- Myślę, że powinienś trochę poczekać. Zobaczyć, jak sytuacja się rozwinie.

W jego głosie pojawił się ton irytacji.

- Już się wszystko wyjaśniło. Wujek Curt przegrał.

- Mógłbyś przestać nazywać go wujkiem?! - rzuciła ostro.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

- Przepraszam - powiedział w końcu.
Zrobiło się jej przykro.
- Nie, to ja cię przepraszam.
- To nie musi być najlepsza restauracja w mieście. Proszę! - powtórzył, kiedy nie odpowiedziała. - Nie psuj mi zabawy.
Przygryzła wargę.
- Oczekajmy chwilę, dobrze? Może w przyszłym tygodniu. Gdzie tylko zechcesz.
- No, dobrze.
Drugi telefon zadzwonił, jak tylko się rozłączyła.
- Jenny! Tu Cassie.
- No i co? - zapytała z miejsca. - Występujemy?
- Nie. Przynajmniej na razie. Tato chce, żebym trochę odczekała. Zobaczymy, czy Curtis nie zmięknie.
- Był wzburzony?
Cassie westchnęła.
- Czuje się taki rozdarty. Chce usunąć Curtisa przez wzgląd na mnie, ale jest przerażony tym, co Mason może powiedzieć. Nie rozumiem tego. Mamy lata dziewięćdziesiąte, na litość boską! Homoseksualizm nie jest już hańbą. Poza tym, jemu zależy wyłącznie na mnie, a ja już mu powiedziałam, że nie mam nic przeciwko jego upodobaniom. Nie rozumiem - powtórzyła z westchnieniem. - Ale na razie poczekajmy.
- Dobrze - powiedziała Jenny. Czekanie było ostatnimi czasy jej głównym zajęciem.

2

W poniedziałek po południu prosto z biura pojechała do szpitala Bryn Mawr. Scotta jeszcze nie było i czekała nerwowo pod drzwiami gabinetu na swoją kolej. Denerwowała się od paru dni, właściwie od zakończenia procesu, czekając na następny ruch Masona i Sterlinga. Czekala też na Cassie von Berg, która zadzwoniła ponownie tego ranka, tylko po to, żeby powiedzieć: jeszcze nie.

W końcu pielęgniarka poprosiła ją do pracowni USG. Jenny przebrała się za parawanem w szpitalną koszulę-fartuch. Była skąpa nawet w normalnych

okolicznościach, zaś przy baloniastym brzuchu poły nie schodziły się z tyłu. Wzięła głęboki oddech, przemknęła bokiem do gabinetu i odetchnęła dopiero, gdy położyła się na plecach na stole zabiegowym.

- Szósty miesiąc? - zapytała lekarka bez prawdziwego zainteresowania, ot tak, żeby coś powiedzieć.

- Trzydziesty pierwszy tydzień. - Jenny leżała z podciągniętą koszulą, a jej brzuch wznosił się jak świąteczny indyk na talerzu. Jakoś nie miała ochoty na rozmowę.

- Dłuży się pewnie to oczekiwanie?

Mruknęła coś niezobowiązująco. Wcale się jej nie dłużyło, a to dlatego, że nie była przygotowana. Do jego narodzin zostało niecałe dwa miesiące, a ona nie miała jeszcze pokoju dzieciennego, nie miała nawet domu, w którym mogłaby ten pokój urządzić. Miała tyle rzeczy do zrobienia przed porodem, że czasem nachodziła ją ochota, żeby sobie w ogóle odpuścić. Planowanie na tydzień naprzód wydawało się niemożliwe i obwiniała za to Scotta.

Drzwi się otworzyły i wpadł do gabinetu, cały w uśmiechach.

- Dotarłem! - Pochylił się, żeby pocałować ją w pępek, potem w usta. - Mam wspaniałe wieści - wyszeptał z wargami przy jej uchu.

Jenny czuła się obnażona w jego obecności. Podciągnęła trochę wyżej papierowe prześcieradło. Rozpoczęło się badanie, Scott odsunął się i wziął ją za rękę.

- Jest! Widzę je! - zawołał, kiedy na ekranie ukazał się obraz. Jenny nie zdążyła nawet obrócić głowy.

Poczuła dławiącą złość. On nie miał prawa tu być, to nie było jego dziecko. Odepchnęła go.

Na ekranie zobaczyła doskonałe, całkowicie uformowane dziecko. Łzy spłynęły jej po policzkach, serce wezbrało taką radością, że ledwo mogła oddychać.

Ścisnął jej rękę i wykrzyknął:

- Jenny, jest piękne!

Lekarka uśmiechnęła się, chociaż widywała setki takich scen. Radość Scotta zawsze była zaraźliwa, ale Jenny była teraz nieczuła na jego urok. Chciała, żeby był z nią Dan, chciała tego aż do bólu.

- To najpiękniejszy dzień mojego życia - zadeklarował, kiedy badanie się skończyło. - Jenny, nie wiesz nawet, jakie mam wspaniałe wieści.

Ale musiał poczekać, ponieważ jej pęcherz pękał od wody, jaką wpompowała w siebie przed badaniem. W łazience obmyła twarz i spojrzała na siebie surowo w lustrze. Nie wolno jej zapomnieć o dobroci, jaką okazywał jej Scott, o długich samotnych nocach, których dzięki niemu uniknęła. Kiedy w końcu wyszła z łazienki, obdarzyła go radosnym uśmiechem. - Co to za wieści? - zapytała od razu.

- Mój prawnik, Bili Lawson, spotkał się dzisiaj rano z prokuratorem okręgowym i tym detektywem, no wiesz...

- Di Maio?

- Tak. Bili mówi, że zamknęli moją sprawę! Skończyło się! Jestem czysty!

- Och, Scott!

- Powiedzieli, że wujek Curt podział w jakiś sposób na moją podświadomość i nakłonił mnie do zrobienia tego, co zrobiłem. Z uwagi na to, a także na fakt, że nie odniosłem żadnej osobistej korzyści, nie wysuną przeciwko mnie oskarżenia!

- Och, Scott! - powtórzyła i uszczęśliwiona wzięła go pod rękę. Wyszli ze szpitala i ruszyli przez parking. - Myślisz, że oskarżą Masona?

- Chyba nie. Ale Catherine wytoczy mu sprawę cywilną. Będzie musiał zrezygnować z trustu.

- Ale on nie zrezygnuje.

Uśmiech Scotta zgasł. Odwrócił się gwałtownie do Jenny.

- Co?!

- W czwartek zażądaliśmy jego rezygnacji. Stanowczo odmówił.

Puścił jej rękę i chwycił mocno za ramię.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Nie... nie wiem - wyjąkała, zdumiona jego wybuchem.

Ale on myślał już o czym innym.

- Posłuchaj! Muszę teraz coś załatwić. Jedź do domu, zobaczymy się później.

- Dobrze. Przygotuję coś do obiadu.

- Mogę nie zdążyć na obiad! - zawołał, biegnąc już w stronę swojego samochodu. - Nie czekaj na mnie.

Jenny patrzyła, jak wsiada do wozu i rusza pełnym gazem w stronę wyjazdu z parkingu.

Na progu znalazła paczkę, miękką brązową kopertę zaadresowaną do Scotta. Takie koperty, z pismami urzędowymi, przychodziły często, ale ta miała w środku

coś twardego i prostokątnego. Idąc spać tego wieczoru, Jenny zaniósła przesyłkę do pokoju Scotta. Zasnęła, zanim wrócił do domu.

Kiedy we wtorek rano wyszła z biurowej windy, Cynthia Lehmann poderwała się z krzesła w recepcji.

- Musisz to zobaczyć - powiedziała, ruszając do gabinetu Jenny.

- Co?

Cynthia już otwierała aktówkę i rozkładała papiery na biurku Jenny.

- Dzieje się coś dziwnego z akcjami Macoal. - Kiedy się pochyliła nad papierami, długie ciemne włosy opadły na biurko. Odrzuciła je niecierpliwym ruchem głowy. - Spójrz! - Wskazywała kolumny dat i cyfr. - Pięćset udziałów sprzedanych dziesiątego lipca, trzysta - trzynastego lipca, dwieście pięćdziesiąt ósmego sierpnia, a w zeszłym tygodniu kolejne pięćset.

- Kto sprzedaje?

- Podobno kuzyni Masona. Krążą plotki, że Curt traci kontrolę.

- Kto kupuje?

Cynthia wyszarpnęła kolejny dokument z aktówki.

- Rozmaite korporacje. Każda z nich ma zagraniczne koncesje.

Ich oczy się spotkały.

- Stengel?

- Jestem pewna, że uda mi się powiązać z nim przynajmniej jedno z tych przedsiębiorstw.

Błysnęło światelko poczty głosowej, ale Jenny nie zwróciła na to uwagi.

- Więc podjął kolejną próbę - powiedziała.

- Wszystko na to wskazuje.

- Co on w tym ma? Dlaczego jest taki uparty?

Lehmann wzruszyła ramionami i spakowała papiery.

- Może dlatego, że przegrał w zeszłym roku? Może to sprawa prestiżu?

- Może. - Ale Jenny w to nie wierzyła. Z tego, co zaobserwowała, dla Stengela liczyły się jedynie pieniądze. - Dziękuję, Cynthia. Dobra robota.

- Oczywiście. - Skinęła głową bez uśmiechu i natychmiast wyszła.

Jenny sprawdziła pocztę głosową. Czekwały dwie wiadomości. Pierwsza od Walta Boenninga, który chciał wiedzieć, czy wniosą dzisiaj skargę przeciwko Masonowi, druga od Scotta. Usłyszała jego radosny głos: „Cześć! Przepraszam za wczoraj. Zapomniałem spytać o coś mojego prawnika i wiedziałem, że nie da mi

to spokoju, więc wolałem załatwić sprawę od razu. Okazało się, że to nic ważnego. Do zobaczenia wieczorem!”.

3

Nowa droga, Canterbury Lane, była już otwarta, kiedy Jenny wracała po południu do domu. Skorzystała z niej, zamiast ze starego traktu koło wozowni. Transparent obwieszczał wielkie otwarcie Osiedla Dundee, nad ceglаныmi słupami bramy unosiła się chmura balonów. Do pierwszego domu już się ktoś wprowadzał. Jenny patrzyła, jak robotnicy wyładowują kołyskę i wysokie dziecięce krzeselko. Ucieszyła się, że będzie maluch w sąsiedztwie, potem przypomniała sobie, że przecież ona się wyprowadza. W piątek firma budowlana wręczyła jej nakaz eksmisji: miała miesiąc na opuszczenie wozowni, zanim zostanie zburzona.

Scott czekał w drzwiach, kiedy z trudem gramoliła się z wozu.

- Zły dzień? - zapytał, masując jej ramiona.

- Nie, tylko potwornie długi.

- Zaplanowałem uroczysty wieczór. - Oczy mu rozbłyły. - Jeżeli nie chcesz iść na wytworną kolację, wytworna kolacja przyjdzie do ciebie. Może utniesz sobie teraz drzemkę, a potem założysz coś ładnego i zejdiesz?

Przystąpiła z radością, zwłaszcza na drzemkę. Zawlokła się na piętro i rzuciła na łóżko. Była ciekawa, czy ta uroczysta kolacja coś oznacza. Może Scott dostał pracę, a może pogodził się ostatecznie z ojcem. Został oczyszczony z zarzutów, był wolny, mógł odzyskać swoje życie. Może ona odzyska swoje.

Kiedy się obudziła, okna były ciemne, a z dołu dolatywał wspaniały zapach. Ogarnęła ją fala sympatii dla Scotta. Taka uroczysta kolacja dobrze im zrobi. Wzięła prysznic, wyszczotkowała włosy tak, że lśniły i kiedy wśliznęła się w ciężową sukienkę z bładoniebieskiej krepy, poczuła się niemal ładna.

Scott stał przy piecu. Na jej widok zamarł z uniesioną łyżką.

- Tres belle! - zawołał.

- Merci. - Złożyła przed nim teatralny ukłon.

- Mademoiselle pozwoli, że ją zaprowadzę do stołu. - Chwycił kuchenny ręcznik i udrapował sobie na ramieniu. - Tędy, s'il vous plait.

Zaintrygowana ruszyła w stronę drzwi studia baletowego. Od miesięcy tam nie zaglądała i nie potrafiła sobie wyobrazić, dlaczego ją tam zaprasza.

Otworzył drzwi na oścież i Jenny aż krzyknęła. Na środku platformy do tańca stał stół z patio, nakryty do obiadu, przyozdobiony wazonem czerwonych róż i wysokimi świecami. Świece paliły się także w świecznikach ustawionych wzdłuż ścian studia, a ich odbicie w lustrach aż oślepiało.

- Jak pięknie! Ile zadałeś sobie trudu!

- Dla ciebie nigdy za wiele.

Podsunał jej krzesło, nalał wody mineralnej, nastawił płytę.

- Zaraz wracam.

Koncert skrzypcowy wypełnił zakamarki pokoju, świece migotały w lustrach jak tysiące białych gwiazd. Jenny siedziała samotnie i rozpamiętywała inny wieczór, kiedy płomyki świec tworzyły w lustrach konstelacje, a Dan zrobił na podłodze posłanie z koców.

Tęskniła za nim, pragnęła go. Kilka tygodni temu nie wiedziała, jak przetrwa jego codzienną obecność w sądzie, teraz nie wiedziała, jak zniesie jego nieobecność.

Scott wrócił, niosąc dwa porcelanowe talerze z artystycznie ułożonymi porcjami.

- Coquilles St. Jacques - oznajmił. - Marchewka z pary, sos szparagowy.

- Co za ambitne menu! Nie miałabym odwagi.

- Czerpię swą odwagę od ciebie - powiedział.

Lekki powiew wpadał przez otwarte okna. Drzewa w zagajniku odcinały się ostro od granatowego nieba. Przypomniła sobie tę noc, kiedy stała przy oknie w ramionach Dana, podczas gdy śnieg padał i żadne światło nie przenikało przez drzewa, jakby byli sami na świecie.

- Jenny... - powiedział Scott.

Uśmiechnęła się do niego trochę zbyt radośnie.

- Przez cały tydzień zastanawiałem się, co dalej. Moje nazwisko zostało oczyszczone, za rok, dwa odzyskam prawo wykonywania zawodu. Zacznę zupełnie nowe życie. Chcę, żebyś była jego częścią.

Popatrzyła w swój talerz.

- Wiesz, jak bardzo cię kocham. - Pochylił się, wchodząc w krąg światła. - Pomyśl, jacy byliśmy szczęśliwi przez te ostatnie miesiące. Teraz, kiedy kłopoty

się skończyły, czeka nas wspaniałe życie. Tyle dla mnie zrobiłaś, teraz moja kolej zadbać o ciebie, dać dziecku nazwisko. Wyjdź za mnie, Jenny.

Przyłożyła dłoń do ust, żeby nie krzyknąć.

- Jenny?

- Scott, wybacz mi, nie mogę.

- Kiedyś to było dobre nazwisko - powiedział z urazą.

- Wiesz, że nie zależy mi na takich rzeczach.

Cofnął się i jego twarz znalazła się poza kręgiem światła.

- A więc, o co chodzi? Nie kochasz mnie? - W jego głosie zamiast przygnębienia brzmiał już gniew.

- Kocham cię, Scott, ale...

Odsunął krzesło i wstał. Przeszedł przez platformę i ukazał się w blasku świec po drugiej stronie pokoju.

- Boże, ale jestem głupi!

- Nie, Scott! To nie...

- Powinienem wiedzieć, że to beznadziejne - spotkać cię w chwili, gdy przyznawałem się do oszustwa i kradzieży. To się nazywa zrobić dobre wrażenie!

- Zaśmiał się z przymusem. - Ale nie mogłem tego tak zostawić. Musiałem zrobić z siebie głupca.

- Nigdy nie zrobiłeś z siebie głupca.

- Ha! Myślisz, że to był przypadek, tamto spotkanie na szosie podczas burzy?

Oczy Jenny się rozszerzyły.

- Nie było?

- A kiedy się dowiedziałem, że Bruce i Leslie są umówieni z tobą na śniadanie, musiałem przyjść. Musiałem cię znowu zobaczyć.

Potrząsnęła głową, zdezorientowana.

- Czy to znaczy, że tamto spotkanie nie było...

- I czego się dowiaduję zaraz na początku? Kochasz innego. Nosisz jego dziecko! Ale mnie jeszcze nie dość bólu. Brnę dalej, sypiam obok w pokoju, z permanentną erekcją i cierpię z twojego powodu dwadzieścia cztery godziny na dobę!

- Scott...

- I po tym wszystkim, po tym, co dla ciebie wycierpiałem... ty mi nadal nie ufasz. Nadal nie wierzysz, że mówię prawdę!

- Scott! - Jenny rzuciła serwetkę na talerz. - To ja wmówiłam w ciebie niewinność, pamiętasz?

- Wmówiłaś we mnie? - szydził. - To znaczy, że twoim zdaniem nie jestem niewinny?

- A jesteś? - wypaliła.

- Co to ma znaczyć?

- To i owo nie pasuje, Scott.

- Na przykład?

Mówił tonem, jakiego jeszcze u niego nie słyszała, ale dławiała wątpliwości przez trzy miesiące; tym razem się nie wycofa.

- Mówisz, że jesteś namiętnym graczem giełdowym, ale nawet nie zerkniesz na strony finansowe. Zadałeś sobie wiele trudu, żeby zatuszować przelewy gotówki, ale wypisywałeś czek dokładnie na takie sumy, jakie podkradałeś z trustu, a potem wyszedłeś ze swojego gabinetu, zostawiając na biurku sfalszowany czek. Podpisałeś wniosek o przyspieszenie terminu rozprawy, nie złożyłeś go, poparłeś za to wniosek strony przeciwnej i nie raczyłeś mi o tym wspomnieć. Powiedziałeś, że powołasz się na Piątą poprawkę, potem wszedłeś na podium i mówiłeś o rzeczach, o których nigdy przedtem nie wspomniałeś. Zeznałeś, że to Mason obarczył winą komputer Connolly'ego, że Mason kazał ci doprowadzić saldo do porządku i mówił, że pieniądze trustu się marnują. I wszystko to w jednej rozmowie telefonicznej, akurat tej, której nie nagrał!

- Uważasz, że zachowałyby nagrania, które by go obciążały? Naprawdę tak uważasz?

Wzięła głęboki oddech i wstała.

- Rewidenci twierdzą, że nie straciłbyś więcej pieniędzy w imieniu Masona, nawet gdybyś próbował. Uważam, że próbowałeś. Uważam, że ta cała sprawa jest znową, której celem jest wystawienie Curtisa Masona.

- Po co?

- Nie wiem. Żeby go zdyskredytować.

- Kradnę dwa miliony dolarów, tracę pracę, ryzykuję więzienie po to, żeby narazić na wstyd wujka Curta? - Roześmiał się nieprzyjemnie. - Daj spokój!

- Musi chodzić o coś więcej.

- Tylko on na tym skorzystał! Ja nie zatrzymałem dla siebie ani centa. Nie mam nic!

- Poza pieniędzmi na drugim koncie bankowym.

Koncert się skończył i w nagłej ciszy Jenny usłyszała kumkanie żab i drapanie w drzwi. Pies próbował się dostać do studia.

Scott nie odrywał od niej wzroku.

- Co powiedziałaś?

- Sto dwadzieścia tysięcy dolarów wpłacone gotówką na twoje konto w Atlantic City.

- To kłamstwo!

Okręcił się, chwycił świecznik i rzucił nim o ścianę.

Krzyknęła, kiedy lustro buchnęło milionem iskier. Podniósł następny świecznik, potem jeszcze jeden. Rozbijał je po kolei, trafiając w lustra, które eksplodowały jak granaty, aż nie pozostało ani jedno.

Pies ujadął zapalczywie. Pokój oświetlały teraz tylko dwie świece na stole. Ruszył w jej stronę. Cofnęła się, z dłońmi na ustach. Scott włożył rękę w ogień i zgasił palcami płomienie. Znaleźli się w kompletnej ciemności.

Jenny wstrzymała oddech. Usłyszała jego kroki na platformie, chwilę później trzaśnięcie drzwi. Ale dopiero kiedy rozległ się ryk silnika na podjeździe, odzyskała zdolność ruchu.

Zamknęła i zarygłowała okna, potem wbiegła do domu. Pies czekał, czujny i podniecony biegał za nią po domu, kiedy zamykała drzwi, zakładała łańcuchy. Chwyciła telefon i wystukała numer Leslie. Jeden sygnał, drugi.

- Proszę, odbierz telefon!

Po kolejnych dwóch sygnałach rozległ się głos Bruce'a.

- Tu mieszkanie Bruce'a i Leslie Maitlandów. W tej chwili nie możemy podejść do telefonu. Proszę zostawić wiadomość po sygnale.

Gorączkowo próbowała ułożyć sobie w głowie treść tej wiadomości: „Halo, Bruce! Obawiam się, że twój przyjaciel Scott robi mi coś złego, ponieważ powiedział parę paskudnych rzeczy i wy tłukł wszystkie moje lustra”. Potrząsnęła głową i odłożyła słuchawkę.

Później, kiedy leżała już w łóżku, z psem na podłodze, uznała, że zareagowała przesadnie. Scott nie był zagrożeniem ani dla niej, ani w ogóle dla nikogo. Wkrótce wróci, przeprosi ją i wszystko wyjaśni.

Jenny zacisnęła dłoń na obroży psa i czekała, aż nadejdzie upragniony sen.

4

Margaret Gallagher pracowała dla Macoal przez trzydzieści lat, do chwili, gdy Curtis Mason odszedł na emeryturę, a ona razem z nim. Pensja była ta sama, świadczenia mniejsze, do pracy jechała z dwoma przesiadkami, autobusem i pociągiem, i szła kawał piechotą, ale nigdy nie było wątpliwości, że będzie mu towarzyszyła. W ciągu trzydziestu lat spędziła z Masonem więcej czasu niż z jakąkolwiek żyjącą istotą. Ich stosunki przeszły wszystkie możliwe mutacje, z wyjątkiem miłosnych, i teraz ustaliły się jako stan ciągłej wzajemnej irytacji. On nie mógł się obejść bez niej, ona bez niego, i już! Znała wszystkie jego sekrety i nigdy nie została zaproszona do jego domu.

Przesyłka, która nadeszła o piątej piętnaście, była jednym z tych sekretów. Dopytywał się o nią przez cały dzień.

- Proszę! - powiedziała Margaret, wchodząc do gabinetu i kładąc paczkę na biurko.

Łypnął na nią okiem i odwrócił się o ćwierć obrotu krzesła.

- Myślałam, że pan na nią czeka - powiedziała z irytacją.

- Otworzę później.

- Jest po piątej. Nie będę czekała.

- Więc idź! - warknął.

Wróciła do swojego biurka i odczekała jeszcze pół godziny. O piątej czterdzieści pięć spakowała torebkę i uchyliła drzwi gabinetu. Koperta leżała rozdarta na biurku, a Mason przeglądał plik papierów.

- Idę już, panie Mason.

- Co? - wymamrotał, nie podnosząc głowy. - A! Dobrze.

- Niech pan nie zapomni wszystkiego pozamykać.

- Dobranoc, Margaret.

Kiedy poszła, Masona ogarnęło coś na kształt rezygnacji. Nie o taką rezygnację chodziło tej beczelnej siksie Catherine, niemniej była to rezygnacja. Dzisiaj powiększył swoje konto w Connolly o kolejne ćwierć miliona dolarów ze sprzedanych naprędce obligacji państwowych i pieniądze te czekały tylko, żeby je przelać na rachunek powierniczy. Trust będzie znów cały, co wcale nie załatwiało sprawy.

Co za koszmar! Demokracja, kapitalizm i amerykański wymiar sprawiedliwości sprzyjały mu, dopóki nie obróciły się przeciwko niemu. Za nic w świecie nie

narazi się na fiasko kolejnego procesu. Nadal nie rozumiał, jak to się stało, że kasety, jego koronny dowód przeciwko Sterlingowi, podziałały na jego niekorzyść. Co to był za idiotyczny pomysł! Nic dziwnego, jego autorem był Reese Chapman. Chętnie się, że zawsze nagrywa rozmowy ze swoim maklerem - „To mu przypomina o uczciwości”, oznajmił z tym swoim sztucznym angielskim akcentem. Idiotyczny pomysł głupca, którego posłuchał jeszcze większy głupiec - Mason.

Ogarnął spojrzeniem gabinet i jego wzrok padł na oprawiony w ramkę artykuł z „Business Week”, napisany w czasach, kiedy używał Jacka Stengela jako szmaty do podłogi. Autor nazwał go genialnym strategiem, dynamicznym przywódcą. Ale najbardziej podobał mu się przymiotnik „nieustraszony”. Umarłby szczęśliwy, gdyby miał pewność, że napiszą to na jego nagrobku.

Nie bał się gróźb Catherine. Strach nie miał do niego dostępu. Po prostu nie zamierzał dopuścić do następnego procesu. Myśl, że Reese Chapman przejąłby kierownictwo, była nie do przyjęcia. A na tym by się skończyło. Catherine lubiła pozować na niezależną młodą kobietę, ale ostatecznie zawsze robiła to, co jej tatuś kazał.

Mason był przede wszystkim pragmatykiem. Gruntownie przemyślał sprawę. Jedynym sposobem pozbycia się Catherine, było spłacenie Reese’a Chapmana. Przesyłka, na którą czekał cały dzień, zawierała listę jego udziałów. Obliczył, że za milion dolarów powinien uzyskać współpracę Chapmana.

Pozostawało pytanie, co sprzedać, żeby zebrać ten milion. Był to problem, odkąd zaczął skupować akcje Macoal. Płacił cenę rynkową, do tego premię każdemu cholernemu kuzynowi, płacił prawnikom za tworzenie fikcyjnych firm i załatwienie zagranicznych koncesji. Płacił jak za zboże, ale nie miał innego wyjścia. Pewnego dnia, z tego garnca jakim był trust, zostanie zdjęta pokrywka, a on musi mieć wtedy większość udziałów.

Wszystko przez Doody, pomyślał i buchnął w nim gniew, równie silny jak w dniu, kiedy zjawiała się w domu uwieszona ramienia tego czarusia. Była prostoduszną kobietą o końskiej twarzy, każdy ją kochał i każdy nad nią ubolewał. W każdej rodzinie jest miejsce dla takiej kobiety, ale Doody nie zamierzała się go trzymać. Zamiast na dobre wyrzec się romantycznych tęsknot, co powinna zrobić już dawno, związała się z facetem o piętnaście lat młodszym od siebie, bez grosza przy duszy. Na dodatek był pedałem, co widział każdy prócz Doody.

Powinienem był jej powiedzieć, pomyślał Mason po raz tysięczny, i oszczędzić rodzinie mnóstwo pieniędzy i zmartwień. Albo powinien ją poprzeć, kiedy powiedziała mu, że chce się rozwieść z Chapmanem. Miała już wtedy kontrolny pakiet Macoal i Mason nie mógł jej tego darować. „Sama tego chciałaś!”, powiedział wtedy siostrze. Te słowa wróciły do niego teraz jak bumerang.

Drzwi znów się uchyliły.

- O co chodzi, Margaret?! - krzyknął gniewnie.

Nie odpowiedziała, więc podniósł głowę, wściekły. Ale drzwi były zamknięte. Wolno odwrócił się w stronę sąsiedniego gabinetu.

- Masz czelność! - powiedział.

5

Na dziedzińcu zapiszczały opony, pies zerwał się z podłogi i zbiegł ze schodów. Jenny otworzyła oczy, ale dopiero świtało i w pokoju nadal panował mrok. Wygramoliła się z łóżka i pobiegła za psem, łopocząc długą bawełnianą koszulą nocną. Dzwonek i bębnienie pięścią w drzwi rozległy się jednocześnie.

Otrzeźwiała nagle i zamarła pod drzwiami.

- Jenny, to ja, otwórz!

- Dan? - Spuściła łańcuch i otworzyła drzwi.

- Gdzie on jest?! - krzyknął Dan i przepchnął się obok niej. Pies zaczął go obwąchiwać, ale nie zwracał na to uwagi.

- Co ty tu robisz?

Obszedł szybko parter, wrócił i chwycił ją za ramiona.

- Musisz mi powiedzieć, gdzie jest Scott!

Wlepila w niego wzrok. Był nieogolony, nieuczesany. Zrozumiała, że stało się coś strasznego.

- Nie wiem. Pokłóciliśmy się wczoraj wieczorem, wybiegł z domu. Dan, co się dzieje?

Próbował się uspokoić, poluzował uścisk.

- Jenny... - Przyciągnął ją do siebie. - Wczoraj w nocy znaleźli Curtisa Masona. Został zamordowany.

Później uświadomiła sobie, że musiała zemdleć. Pokój wirował, a Dan powtarzał nagłaco jej imię. Wziął ją na ręce i zaniósł na kanapę.

- Kiedy? - wyszeptała. - Jak?

- Ciii. - Naciągnął na nią koc, otulił. - Leż spokojnie.

Widziała jak przez mgłę, że idzie do kuchni, wraca ze szklanką wody.

- Proszę - przyklęknął obok. - Chociaż łyczek.

Powoli mgła się przerzedziła.

- Dan, powiedz mi, co się stało.

Pogłaskał ją po głowie.

- Nie wiem.

- Uważasz, że Scott to zrobił.

Z powagą skinął głową.

I ona tak uważała, inaczej by nie pytała. Groza spadła na nią ponownie, wcisnęła głowę z powrotem w poduszkę.

- Powiedz mi, co wiesz! - błagała, ale coś było nie tak z jej umysłem, nie mogła się skupić, zrozumieć odpowiedzi.

- Masona, leżącego na podłodze w biurze, znalazła wczoraj sprzątaczką. Otrzymał dwa lub więcej ciosów ciężką statuetką. Miał zmiażdżoną czaszkę.

- Rzeźba abstrakcyjna w bryle węgla - wyszeptała.

- Tak.

Obrazy pchały się natrętnie przed oczy. Rozwścieczona twarz Masona, dłoń chwytająca rzeźbę, rozbijająca mu głowę. Dłoń chwytająca świeczniki, rozbijająca lustro.

Pies szczeknął i po chwili rozległ się dzwonek u drzwi. Dan zerwał się z kanapy, Jenny usiadła z trudem, patrząc, jak przechodzi przez pokój i otwiera drzwi.

- Dan?

- Mike!

Wychyliła się zza kominka i zobaczyła detektywa di Maio w otoczeniu sześciu umundurowanych policjantów.

- Co ty tu robisz?

- Chcę zabrać Jenny, zanim Sterling wróci.

- Nie ma go?

- Nie.

- Teraz nie wróci. Na zewnątrz stoją trzy radiowozy. Muszę z nią porozmawiać.

- Nie.

- Mam nakaz rewizji.

- Pokaż.

Dan zaczął kwestionować ważność nakazu, skoro lokatorów jest dwoje i nie sposób wyodrębnić, co jest czyje. Jenny słyszała jego głos jakby z bardzo daleka. Było jej bardzo zimno. Drżącymi rękoma otuliła się kocem, spuściła nogi na podłogę i podeszła do drzwi.

- Proszę wejść, detektywie - powiedziała.

Dan wysłał ich najpierw na górę, a kiedy skończyli, zaprowadził Jenny do jej pokoju i zapakował do łóżka. Położył się obok na kołdrze i trzymał dziewczynę w ramionach, dopóki nie zasnęła.

- Nie zostawiaj mnie - wymamrotała, zapadając w sen.

- Nigdy - wyszeptał.

Dziecko wybijało stały rytm pod jego dłońmi. Nie wiedział, że one tak kopią; zastanawiał się, jak Jenny może spać z takim bębnieniem w środku. Żałował, że to dziecko zostało poczęte, prawie żałował, że go nie usunęła i nie oszczędziła im życiowych komplikacji. Ale fakt, że tego nie zrobiła, głęboko go wzruszył, mówił coś o niej, jako o kobiecie. Teraz nadszedł czas, żeby pokazać, jakim on jest mężczyzną.

Mike czekał na dole.

- Powiesz mi, jak się o tym dowiedziałeś? - zapytał.

- Bob Perlman zadzwonił do mnie, jak tylko z nim skończyliście.

Oczami wskazał sufit.

- Ma pojęcie, gdzie szukać Sterlinga?

- Nie. Wczoraj wieczorem zrobił jej scenę i wyszedł z domu. Tylko tyle wie.

Mike skinął głową.

- Tak też myślałem. Chodź, powinieneś to zobaczyć.

Zaprowadził go do studia baletowego Jenny i zapalił światło.

Dan zamrugał, oszołomiony. Trzy lustrzane ściany leżały w kawałkach na platformie do tańca. Na stole, pośród przywiedłych kwiatów, stały talerze z niedojedzonymi potrawami. Pośród okruchów szkła sterczały ogarki świec.

Dan przypomniał sobie ten pokój, lustro i świece. Obecność Sterlinga w tym miejscu była świętokradztwem.

Odwrócił się do Mike'a.

- Zostawił swoje rzeczy?

- Tak.

- Masz list gończy?

- A jak myślisz? To nas stawia w paskudnym świetle. - Zamknął drzwi studia. - Mason ostrzegął, że ktoś grozi mu śmiercią.

- Gdzie był ochroniarz?

- Był tylko na pokaz, tak jak sądziłeś. Przez cały wczorajszy dzień Mason był w biurze ze swoją sekretarką. Wyszła około szóstej. Mason chciał jeszcze zostać, przejrzeć papiery, które nadeszły w ciągu dnia. Dlatego nie zamknęła biura.

- A recepcja? Też nie była zamknięta?

- Ochroniarz obszedł budynek o szóstej i przysięga, że ją zamknął.

- Mógł wejść do budynku wcześniej.

Mike skinął głową.

- Zakładamy, że ukrył się gdzieś i odczekał, aż sekretarka wyjdzie, wśliznął się do gabinetu Masona i uderzył go dwa, trzy razy statuetką.

- Odciski palców? - zapytał Dan, kiedy usiedli w fotelach w salonie.

- Gumowe rękawiczki.

- A więc premedytacja.

- Na to wygląda.

- Masz innych podejrzanych? - zapytał Dan po długiej chwili milczenia.

- Perlman zeznał, że w czwartek odbyło się spotkanie. On, Mason, córka Chapmana i jej prawnicy - między innymi twoja znajoma z góry.

Twarz Dana stężała.

- Córka Chapmana każe Masonowi zrezygnować z trustu, on odmawia, ona grozi mu sądem. On mówi: „Zrób to, a powiem światu, że twój stary to ciota”. Ona na to: „Proszę cię bardzo”. Koniec zebrania. W ten prosty sposób Reese Chapman i Catherine von Berg trafili na listę podejrzanych.

- Ale Sterling jest chyba na pierwszym miejscu?

Mike wzruszył ramionami.

- Daj spokój! - powiedział Dan. - Mason wmanewrował go w kradzież pieniędzy z funduszu powierniczego, dzięki czemu facet wyleciał z roboty, stracił prawo wykonywania zawodu, ma zafajdane nazwisko. Jakby tego było mało, Mason grozi, że pošle go do piekła.

- Dlaczego teraz? - powiedział Mike łagodnie. - Został oczyszczony z zarzutów. W poniedziałek powiedzieliśmy mu, że zamykamy sprawę.

- Co to za statuetka? Jak wygląda?

- Wysoka na jakieś sześćdziesiąt centymetrów. - Mike rozłożył ręce. - Z marmurową podstawką. Jakies piętnaście kilo.

- Piętnaście kilogramów! - podchwycił. - Sterling dałby sobie z tym radę. Ale Chapman? Albo córka?

- Mogli kogoś wynająć.

- Daj spokój! - parsknął.

Mike popatrzył na niego spod oka.

- Bardzo chcesz, żeby to był Scotty. Dlaczego?

Dan potrząsnął głową, ale di Maio odpowiedział sobie na własne pytanie.

- No dobra. Sterling miał motyw i środki. Pozostaje sposobność. O tym może mi powiedzieć Jennifer Lodge. Jeżeli dasz mi z nią porozmawiać.

Dan popatrzył na zegarek.

- Mógłbyś wrócić tu za parę godzin?

- Poczekam.

Kiedy Jenny otworzyła oczy, koszmar nie minął. Curtis Mason nie żył, a Scott mógł go zabić. Wybiegł z domu w stanie furii, ale czy zupełnie stracił rozum? Scena w studiu dowodziła, że jest zdolny do przemocy, ale czy mógł się posunąć aż do morderstwa? To wszystko nie miało sensu. Przecież został oczyszczony z zarzutów, nie miał kłopotów - przynajmniej do chwili, gdy go odrzuciła i oskarżyła o oszustwo. Czy to możliwe, że pchnęła go do morderstwa? Z jękiem przekręciła się na bok.

Pościel pachniała jeszcze Danem.

Przyszedł do niej. Wiedział, że go potrzebowała, więc przyszedł do niej.

Słyszała jego głos i chciała być z nim ponad wszystko. Ubrała się szybko i zeszła na dół.

Na jej widok Dan podniósł się z miejsca.

- Dobrze się czujesz? Nie powinnaś wstawać...

- Wszystko w porządku. Jestem Jenny Lodge - przedstawiła się detektywowi. - Chciał pan ze mną rozmawiać?

- Jeżeli można...

Dan posadził ją na kanapie obok siebie, di Maio usiadł także i otworzył notatnik. Nawet nie mrugnął, kiedy Dan otoczył dziewczynę ramieniem.

- Od jak dawna Scott Sterling tu mieszka?

- Od maja.

- Na stałe?

- Tak.

- Kiedy widziała go pani po raz ostatni?
- Wczoraj wieczorem. Wyszedł około dziewiątej.
- Powiedział dokąd idzie?
- Nie.

- Powiedział, dlaczego wychodzi?

Jenny spuściła wzrok na swoje dłonie.

- Nie. Ale pokłóciliśmy się.
- Może mi pani powiedzieć, o co?

Zawahała się. Czy teraz należało pochwalić się teorią, że Scott oszukał ławę przysięgłych i oszkalował Masona? Teoria opierała się na insynuacjach, domysłach i może nie mieć większego związku z prawdą niż historyjka o Cynthii Lehmann. Już nigdy nie wyrządzi nikomu takiej krzywdy. Poza tym, ten detektyw pytał o fakty, nie o jej gorączkowe domysły.

- Prosił, żebym za niego wyszła - powiedziała cichym głosem. - A ja odmówiłam.

Dan położył rękę na jej dłoni.

- To on zrobił ten bałagan? - Detektyw ruchem głowy wskazał studio.

Zagryzła wargę i skinęła głową.

- Wie pani, gdzie był między szóstą a siódmą po południu?

Jenny pomyślała, że się przesłyszała.

- Przepraszam... między którą, a którą?
- Szóstą a siódmą popołudniu.

Zwróciła zdumione oczy na Dana.

- Czy to wtedy Mason został zamordowany?

Kiedy przytaknęła, odwróciła się gwałtownie do detektywa.

- Scott był tutaj między szóstą a siódmą! Był tu przez cały wieczór!
- Była pani z nim?
- Tak.
- Przez cały czas?

Widziała powątpiewanie w jego oczach.

- Tak! Wróciłam z pracy około piątej trzydzieści i już nie wychodziłam, i on też nie, aż do dziewiątej wieczorem.

Dan także nie spuszczał z niej wzroku.

- Dan, on nie mógł tego zrobić. Był tu ze mną.

Skinął głową, ale widziała, że nadal ma wątpliwości.

- Był tutaj - powtórzyła. - W tym domu, ze mną. Myślisz, że kłamałabym w tak ważnej sprawie?

- Do biura Masona jedzie się stąd dwadzieścia minut - powiedział detektyw. - Mógł pojechać i wrócić tak, że pani nawet nie uświadomiła sobie jego nieobecności.

Jenny umilkła. Spała prawie dwie godziny w piątek popołudniu. Nie musiałby się nawet spieszyć. Ale przypomniawszy sobie wytworną kolację - przygotowanie jej musiało zająć więcej niż godzinę. Scott nie mógł obrócić tam i z powrotem, zabić Masona i jeszcze ugotować kolację, wszystko w ciągu półtorej godziny.

- Był tu przez cały czas - powtórzyła z przekonaniem. - Wiem, że był.

Di Maio wzruszył ramionami i schował notatnik do kieszeni marynarki.

- Na razie to wszystko. Będzie tu pani nadal mieszkać?

- Tak - powiedziała Jenny i w tym samym momencie Dan powiedział: - Nie.

Odwrócił się ku niej.

- Jenny, nie możesz tu zostać.

- Mam psa i dwa koty, którymi muszę się zająć.

- A jeżeli on wróci?

- Dom jest pod obserwacją - wtrącił detektyw.

- No właśnie - powiedziała Jenny.

- Nie mogę pozwolić, żebyś mieszkała tu sama. - Dan zerknął na Mike'a i zniżył głos. - Zostanę z tobą.

Oczy Jenny zalśniły od nagłych łez.

- Naprawdę?

- Nie zapominasz o czymś? - zapytał di Maio.

Dan ściągnął brwi.

- Nie, nie zapominam o nim.

- Sprowadź się razem z Tonym - zaproponowała Jenny.

- Poważnie?

- Proszę. Będzie mi miło.

Mike di Maio wstał.

- Przynajmniej wiem, gdzie was szukać - powiedział.

6

Dan wyszedł na parę godzin, żeby spakować rzeczy Tony'ego i swoje, a wtedy Jenny przypomniała sobie o Cassie. Zadzwoiła do jej domu w Gładwyne, ale nikt nie odpowiadał.

Wykręciła więc numer biurowy. Marilyn skrupulatnie odczytała jej wszystkie wiadomości. Żadna nie pochodziła od Cassie, za to Walter Boenning chciał koniecznie z nią porozmawiać.

- Jennifer, słyszałem coś zupełnie niewiarygodnego...

- To prawda - powiedziała bezbarwnym tonem. - Curtis Mason został zamordowany.

Oczekiwała, że zapyta „kto”, „jak”, albo nawet „dlaczego”, ale on powiedział:

- Jak to wpłynie na postępowanie w sprawie nadużycia zaufania?

„Człowiek nie żyje!” - chciała zawołać. „Jakie to ma teraz znaczenie? Ale odpowiedziała równie skrupulatnie jak Marilyn.

- Skarga o straty finansowe zostaje podtrzymana, w oparciu o jego majątek. Żądanie ustąpienia jako powiernika funduszu oczywiście upada.

- Jest jakiś następca?

- Nie został mianowany, ale Mason miał do tego prawo. Mógł wyznaczyć swojego następcę w testamencie. Dowiemy się dopiero po jego odczytaniu.

- Rozumiem, rozumiem. - Boenning starał się nadać głosowi żałobne brzmienie, ale aż mruczał z zadowolenia. - A więc będziesz nadal pracowała dla Cassie.

- To będzie zależało od niej, nie sądzisz?

Znów zadzwoniła do niej do domu i znów nikt nie odebrał.

Poszła na górę. Drzwi do pokoju Scotta były otwarte i stanęła w progu, spodziewając się, że widok przeszyje ją lękiem, ale odczuła jedynie niepokój. Przez okno widziała samochód zaparkowany w lesie, policjantów obserwujących wozownię. Czy krążył wokół domu, bojąc się wrócić?

Zmieniła pościel na jego łóżku. Garnitury nadal wisiały w szafie, poskładane rzeczy leżały w szufladach komody. Przeniosła je do kartonu, żeby zrobić miejsce na ubrania Tony'ego. Na komodzie leżały jakieś papiery, bilon, to również zgarnęła do kartonu. Nie było tylko złotego zegarka kieszonkowego. Włożył go widocznie wczoraj do kieszeni, licząc na to, że talizman pomoże mu przebrnąć przez oświadczenia.

Z westchnieniem przysiadła w nogach łóżka. Ludzie zawsze myśleli o Scotcie wszystko co najgorsze i przez krótką, straszną chwilę, ona dołączyła do ich grona. Teraz wydało się jej niemożliwe, żeby popełnił morderstwo, nie tylko dlatego, że przez cały wieczór siedział w domu. Po prostu był do tego niezdolny. Ale gdzie jest teraz? Musiał usłyszeć o morderstwie i domyślił się, że będzie pierwszym podejrzanym. Powinien się ujawnić, położyć kres spekulacjom. Ukrywając się, stawiał siebie niekorzystnym światłu. Wtem przypomniała sobie wyznanie Scotta w sali konferencyjnej, zimą. Stawianie się w niekorzystnym świetle to jego specjalność.

Dopiero w tej sekundzie uświadomiła sobie, że istnieje jeszcze jedna możliwość. Była tak zajęta oczyszczaniem Scotta jako podejrzanego, że nigdy nie pomyślała, że może być następną ofiarą.

Kiedy godzinę później zadzwonił telefon, podbiegła do aparatu, pewna, że to Cassie.

- Halo?

Cisza.

- Scott?! - zawołała.

- Nie ma go? - dobiegł ją głos Leslie.

- Och, Leslie - Jenny opadła na krzesło. - Nie, nie ma go. Odezwał się do ciebie?

- Nie. Bruce jest wrakiem człowieka. Policja właśnie wyszła. Nikt nie wie, gdzie on jest. Jenny, myślisz, że on to zrobił?

- Leslie! Oczywiście, że nie. Poza tym był tutaj wczoraj wieczorem.

- Wobec tego nic nie rozumiem. Gdzie on jest? Bruce dzwonił do Sterlingów. Twierdzą, że od miesiący nie dał znaku życia.

- To nieprawda! Rozmawia z ojcem przez telefon prawie codziennie.

- Nie rozumiem - powtórzyła Leslie. - Tak czy inaczej, nie powinnaś być tam sama. Przyjadę po ciebie.

Jenny poczuła łzy w oczach. Nie rozmawiały od maja, rozstały się w gniewie, ale ich przyjaźń przetrwała.

- Leslie, dziękuję! Ale nic mi nie będzie.

Telefon zadzwonił ponownie, gdy tylko odłożyła słuchawkę. Tym razem dzwonił Dan z samochodu.

- Wszystko w porządku? Linia była zajęta.

Już dźwięk jego głosu stanowił pociechę.

- Dzwoniła Leslie, moja przyjaciółka. Nie martw się.

- Jakież wieści o Sterlingu?
- Nie.
- Okay. Wjeżdżamy na autostradę. Będę u ciebie za dziesięć minut.
- Dobrze.

Za dziesięć minut Dan będzie w domu. Jenny objęła się ramionami. Nawet o czymś takim nie marzyła, a jednak to była prawda. Wracał do niej, wprowadzał się razem z bratem, żeby być z nią i nie przeszkadzał mu Scott ani dziecko...

Jenny zasłoniła dłonią usta, przerażona. Nie wiedział o dziecku. Myślał, że ojcem jest Scott, tak mu powiedziała, ponieważ chciała go zranić. Oszukała go, tysiąc razy bardziej niż kogokolwiek w życiu, a mimo to wracał do niej, wyzbyty egoizmu, przekonany, że ona nosi w sobie dziecko mężczyzny, którym pogardzał.

Kłamstwo ciążyło jej od początku, teraz stało się nie do zniesienia. Powie mu prawdę od razu, i niech się dzieje co chce! Kto wie, czyjej nie znienawidzi, uzna, że próbuje go usidlić. Na pewno już nigdy jej nie zaufa. Przypomniała sobie słowa, które rzucił Masonowi podczas krzyżowego ognia pytań: „Kłamie pan teraz czy kłamał wtedy?”. Ją będzie mógł zapytać o to samo.

To cena, jaką przyjdzie jej zapłacić. Żadne kłamstwo nie uchodzi na sucho, a termin zapłaty dawno minął.

7

Dan wrócił z Tonym, dwoma walizkami, pizzą i magnetowidem. Przez cały wieczór, patrząc na przerażoną twarz Jenny, obwiniał Scotta Sterlinga. Winny czy nie śmierci Masona, był odpowiedzialny za ten wyraz jej oczu i Dan obiecał sobie, że kiedyś każe mu za to zapłacić.

Kiedy film się skończył, wysłał Jenny i Tony'ego na górę, a sam wyszedł na patio. Gdzieś w ciemności płonął ogieniek papierosa, poszedł w tamtą stronę i natknął się na wóz policyjny.

- Wprowadza się pan? - zapytał gliniarz.
- Aha. Spokojnie?
- Jak w grobowcu.

Dan obszedł dom od tyłu. Na górze paliły się światła. W oknie mignęła mu sylwetka Jenny, chwilę później Tony'ego. Na myśl, że Sterling może tu gdzieś być, obserwować ich, zgrzytnął zębami i okrążył posiadłość trzy razy, nie dlatego,

żeby miał nadzieję kogoś złapać. Musiał po prostu zaspokoić pierwotne pragnienie zaznaczenia swojego terytorium, zawarowania zdobyczy.

Kobieta, mężczyzna, dziecko, odwieczny trójkąt. Wyczuwał go dzisiaj, choć żaden z boków nie był dobrze wymierzony. Jenny nie była jego kobietą, przynajmniej na razie, Tony nie był jego dzieckiem - w zasadzie w ogóle nie był już dzieckiem. A mimo to pasowali do siebie, cała trójka, a nawet to czwarte w drodze.

Przez całe życie unikał zaangażowania, ale w tym momencie, kiedy tak patrzył na światła wozowni, był gotów. Zostanie głową tej rodziny, mężem Jenny, opiekunem Tony'ego, prawdziwym ojcem dziecka. Ożeni się z Jenny i dziecko będzie jego w świetle prawa, Sterling nie ośmieli się tu pokazać i dobijać swoich praw.

Zawołał zwierzęta do domu, pozamykał wszystkie drzwi i zgasił światła. Tony był już w łóżku, kiedy do niego zaszedł.

- Wszystko gra? - zapytał. - Rozpakowałeś się?

- Aha. Jenny opróżniła dla mnie szuflady.

Dan wszedł do pokoju. W świetle padającym z holu dostrzegł ślady poprzedniego lokatora. Garnitury w szafie, buty na podłodze, otwarta powieść Toma Clancy'ego na nocnym stoliku. Był ciekaw, czy Jenny wyeksmitowała tu Sterlinga ze swego pokoju, a jeżeli tak, to kiedy.

Tony ułożył się już do spania. Miał za sobą pierwszy dzień obozu piłkarskiego i mógł sobie pozwolić na luksus fizycznego zmęczenia. Dan pochylił się i potargał mu włosy.

- Dobranoc.

- Dobranoc.

Jenny słyszała go w holu. Zaczerpnęła głęboko powietrza, kiedy zapukał do jej drzwi. Zgasiła już lampę i pokój rozjaśniała jedynie poświata księżyca na mosiężnym zagłówku łóżka. Jenny widziała postać Dana w otwartych drzwiach, on potrzebował chwili, żeby odszukać ją w półmroku. Siedziała na kanapce pod oknem. Postąpił krok w jej stronę i zawahał się.

- Mogę spać u Tony'ego, jeżeli chcesz - powiedział.

- Wcale tego nie chcę.

Uśmiechnął się i ruszył ku niej.

- Nie, poczekaj! - powiedziała. - Muszę ci coś powiedzieć.

Zatrzymał się.

- Ja też. Kocham cię, Jenny.

Przez osiem miesięcy marzyła, że usłyszy te słowa, ale nigdy nie sądziła, że odpowie na nie w taki sposób.

- Nie, poczekaj! Pozwól mi skończyć.

Stał niepewny na środku pokoju. Okno było otwarte i wiatr poruszał zasłonami, przynosił odgłos nocnego chóru owadów.

- Chodzi o Scotta.

Na jego twarzy pojawił się wyraz napięcia.

- Nie pozwól, żeby jeszcze raz wszedł między nas.

- Nigdy między nas nie wszedł. Scott to przyjaciel - dobry przyjaciel, ale nigdy nie był nikim więcej. Nigdy nie byliśmy kochankami. To nie jego dziecko.

Wydała zdławiony szloch i zawołała:

- Okłamałam cię, Dan! Przepraszam.

Słowa padały szybciej, niż jego wyostrzony umysł był w stanie przyswoić. Dan patrzył na nią, nic nie rozumiejąc.

- Co do terminu też skłamałam. Dziecko urodzi się pod koniec października.

Cofnął się gwałtownie, jakby stracił równowagę. Jego twarz zginęła w cieniu.

- Jest moje. - Jego głos zdawał się dochodzić z daleka.

- Dan, tak mi przykro! - zawołała.

Przeszedł przez pokój, zobaczyła jego twarz i łzy w oczach.

- Nie miałaś prawa - powiedział chrapliwie. - Nie miałaś prawa.

I już go nie było. Jenny siedziała, obejmując się z całej siły ramionami. Łzy spływały jej po twarzy, kiedy słuchała kroków na schodach. To była cena za kłamstwo, traciła go w chwili, gdy do niej wrócił. Tego było jej za wiele. Zasłużyła sobie na karę, ale tego nie mogła znieść.

Czekała na następne nieuniknione odgłosy, trzask frontowych drzwi i ryk silnika na dziedzińcu, ale mijały minuty i nic się nie działo. Odetchnęła spazmatycznie i zeszła na parter. Pokój był pusty i ciemny, ale ze studia padało światło. Stanęła w drzwiach.

Dan zmiatał szkło i wrzucał je do pojemnika na śmieci. Zobaczył ją w progu, ale nie przestał zamiatać. Szuranie szczotki było jedynym dźwiękiem, który zdawał się wypełniać pustą przestrzeń domu.

- To się stało tego wieczoru w przebieralni studia baletowego - odezwał się nagle.

- Tak.

Zmiótł szkło na szufelkę.

- Chłopiec czy dziewczynka?

- Nie wiem. Pod tym względem jestem staroświecka.

Wrzucając szkło do kubła, obrócił się ku niej.

- Chyba nie do końca! - burknął.

Przeszedł na drugi koniec salki i zgarnął na kupkę następną porcję szkła, a kiedy się odwrócił, Jenny stała przy nim z szufelką. Pochyliła się i przyłożyła ją do kupki, czekając. Po chwili zmiótł okruchy na szufelkę, a Jenny zaniósła ją do kubła.

- Dlaczego? - zapytał nagle. Stał, wspierając się na kiju. - Powiedz mi przynajmniej, dlaczego?

Jenny przełknęła z trudem ślinę i wbiła wzrok w podłogę.

- Chciałam cię zranić tak, jak ty zraniłeś mnie. Chciałam, żebyś myślał, że już cię nie kocham. Chyba chciałam, żebyś był zazdrosny.

- Mogłaś mi powiedzieć, że się z kimś spotykasz. To by w zupełności wystarczyło.

- I bałam się...

- Czego się bałaś?

- Ciebie! - wybuchnęła. - Po tym, jak próbowałeś przejąć kontrolę nad moją karierą, nie wiedziałam do czego jesteś zdolny! Bałam się, że będziesz próbował mnie zmusić do aborcji!

Szczotka upadła na podłogę. Dan pokonał dzielącą ich odległość i chwycił ją za ramiona.

- Nigdy bym tego nie zrobił! - powiedział z pasją. - Jenny, kocham cię...

- Wtedy mnie nie kochałeś. Powiedziałeś mi to.

- Więc też kłamałem! - Przygarnął ją mocno. - Boże, Jenny! Czy masz pojęcie, jak gryzła mnie świadomość, że to jest dziecko Scotta, nie moje!

Ogarnęła go ramionami i przyłgnęli do siebie, wstrząsani jej łkaniem.

Zaprowadził ją na górę i przeleżeli tę noc w uścisku, patrząc na siebie szeroko rozwartymi oczami. Położył dłoń na jej brzuchu i ze zdumieniem mówił: „Jest moje”. A Jenny powtarzała swoją litanie: „Przepraszam, Dan. Tak mi przykro”.

Mętne światło poranka sączyło się do pokoju, kiedy w końcu uniósł się na łokciu i pochylił nad nią zmęczoną, pełną miłości twarz.

- Wyjdź za mnie.

Pokręciła głową.

- Nie tak. Nie w ten sposób.

Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Ty głuptasie! - wyszeptał żarliwie. - Zamierzałem się z tobą ożenić, zanim dowiedziałem się, że dziecko jest moje. Zastanawiałem się tylko, czy mnie zechcesz. A teraz, kiedy znam prawdę, nie dam się odprawić z kwitkiem.

Jenny odchyliła się, by zajrzeć mu w oczy. Szukała nieufności, którą musiała posiać. Ale nie znalazła jej. Dostrzegła cierpienie i gniew, dostrzegła zaborczość, ale ani śladu nieufności.

Kłamstwo nigdy nie uchodzi na sucho, nadal w to wierzyła, ale zrozumiała, że już za nie odpokutowała niekończącymi się miesiącami rozłąki z człowiekiem, którego kochała. Nigdy nawet nie marzyła, że zostanie z niej zdjęty ciężar tego kłamstwa, że Dan nie będzie nią pogardzał, że zostawią za sobą wszystko, co złe. Ale dowód miała przed oczami. Dan, w jej łóżku, w jej ramionach, patrzący na nią z miłością w oczach, mówiący: „Masz pojęcie jak się gryzłem świadomością, że należysz do niego, a mogłaś być moja?”

8

Rano pojechali razem do miasta. Zatrzymali się najpierw na Parkway, żeby wyrzucić Tony’ego przy Alexander School. Jenny musiała wysiąść, żeby mógł się wydostać z tylnego siedzenia. Odmaszerował z korkami przewieszonymi przez ramię. Dan patrzył za nim, kiwając głową ze smutkiem.

- Co? - Jenny opuściła się niezdarnie na siedzenie.

- Właśnie sobie uświadomiłem - odparł posepnie - że czasy sportowych wozów minęły.

Rzuciła mu spojrzenie, ale w oczach miał figlarne błyski.

- Zdaje się, że czterodrzwiowy sedan byłby praktyczniejszy - powiedziała.

- Sedan? - zdziwił się. - Wzięliśmy takie tempo, że trzeba pomyśleć o minibusie.

Znalazł wolne miejsce parkingowe przed budynkiem. Nie obchodziło go, ilu prawników Jackson Rieders ich zobaczy, przechylił się i pocałował Jenny.

- Wybierz dzień - powiedział, kiedy w końcu rozłączyli usta.

- Kiedy chcesz - odparła bez tchu. - Niedługo.

- Pewnie, że niedługo! - Poglądził ją po brzuchu. - Albo nie dam rady przenieść cię przez próg.

Klepnęła go w ramię i szamotali się przez chwilę, zanim nie uciszył jej pocałunkiem.

- Chcesz zaprosić swoją rodzinę?

Skrzywiła się.

- Jeszcze ich nie zawiadomiłam o ciąży. Wolałabym, żebyśmy byli małżeństwem, zanim zakomunikuję im szczęśliwą nowinę.

- Dobry plan. Ja zrobię to samo.

- A co z Tonym?

Tym razem skrzywił się Dan.

- Nie wiem. Przypuszczam, że nie utrzyma języka za zębami, ale z drugiej strony, nie chcę, żeby myślał, że żyjemy na kocią łapę. - Zadumał się na chwilę. - Chyba mu powiem.

- I pozwól mu przyjść na ślub.

- Ktoś jeszcze?

- Tylko my.

- Okay, ale podróży poślubnej mnie nie pozbawisz. Wybierzmy taki termin, żeby się wyrwać na tydzień.

- Mmm... Gdzieś, gdzie jest chłodno.

- Góry? Wybrzeże Maine?

- Ani jedno, ani drugie. Zrób mi niespodziankę.

- Sprawdź swój terminarz, ja sprawdzę swój. Umawiamy się na szóstą?

- Świetnie.

- Spotkamy się w garażu i w drodze do domu zajedziemy po Tony'ego.

Do domu, pomyślała Jenny, całując go na do widzenia. Nazwał jej wozownię domem i poczuła, że faktycznie jest to ich dom.

W holu kupiła gazetę i w drodze do windy przejrzała pierwszą stronę. Widniała na niej fotografia Curtisa Masona. Masona bez grymasu wściekłości, jaki zwykle widywała na jego twarzy, Masona stanowczego i władczego, prawdziwego człowieka biznesu, którym przecież był.

Dokończyła czytać przy biurku. Artykuł zawierał długą listę jego obywatelskich i filantropijnych zasług, krótki opis okoliczności śmierci i wzmiankę o dwóch wydarzeniach, które dawały czytelnikowi do myślenia: że był ostatnio zamieszany w proces cywilny przeciwko Harding & McMann; oraz że w styczniu został

zastrzelony jego pies, jak sądzono - przypadkiem. Nabożeństwo pogrzebowe odbędzie się w piątek po południu w kościele Dobrego Samarytanina.

Jenny przejrzała wiadomości telefoniczne, podłączyła się do poczty głosowej. Cassie von Berg się nie odezwała. Zadzwoiła do jej domu, ale tam nadal nikt nie podnosił słuchawki.

Zbyt wiele czasu upłynęło od dnia morderstwa, Jenny zaczęła się naprawdę martwić. Poszła do archiwum i przejrzała wszystkie teczki oznakowane „Mason v. Harding & McMann”. Znalazła notatkę, jaką zostawiła jej kiedyś Cassie z adresem i telefonem jej ojca w Haverford.

Wystukała numer. Po drugim sygnale telefon odebrała kobieta.

- Rezydencja Chapmanów - zakomunikowała czystym angielskim akcentem.
- Dzień dobry. Czy zastałam panią von Berg?
- Nie - odpowiedziała kobieta stanowczo.
- Jestem jej adwokatem. Moje nazwisko Jennifer Lodge. Próbuję dodzwonić się do niej w Gładwyne. To bardzo ważne, żebym się z nią skontaktowała możliwie szybko. Czy nie wie pani...

- Proszę zaczekać.

Pod dwóch minutach, które wlokły się niemiłosiernie, kobieta wróciła.

- Jest w Nowym Jorku - powiedziała. - Zatrzymała się w hotelu Pierre.

Pełna ulgi i zadowolona Jenny wykręciła numer hotelu.

- Z Catherine von Berg, proszę.

- Pani von Berg wymeldowała się rano - odpowiedział recepcjonista po chwili.

Odłożyła słuchawką zrozpaczona.

Ale późnym popołudniem Cassie zadzwoniła z jakiegoś miejsca pełnego gwaru.

- Cassie! Gdzie ty się podziewasz? Próbowałam się z tobą skontaktować... Wiesz, że...?

- Tak, wiem - powiedziała i napięcie w jej głosie słychać było nawet w otaczającym ją hałasie. - Jestem na dworcu w Penn. Policja rano mnie dopadła. Chcą, żebym wróciła i złożyła zeznania jutro z samego rana. Możesz iść ze mną?

- Oczywiście. Cassie, gdzie byłaś...

- We wtorek wczesnym wieczorem byłam tutaj - powiedziała ze znużeniem. - Na benefisie w muzeum. Mam stu świadków.

Jenny odetchnęła z ulgą.

- W porządku. Powiem ci, co zrobimy. Zadzwonię na policję. Poproszę, żebyś mogła zeznawać u siebie w domu, nie na posterunku.

- Zamieszkam u taty.
- A więc u niego w domu. Wszystko załatwię. A teraz opowiedz mi o tym benefisie.

Reszta dnia zeszła na telefonach i faksach do Nowego Jorku. Na końcu zadzwonił Dan.

- Gotowa? Stoję na poziomie trzecim.
- Mógłbyś najpierw odebrać Tony'ego? Będę czekała na ulicy - zaproponowała Jenny. - Muszę jeszcze zatelefonować.

Rozmowa była miejscowa. Zdobyła numer i wystukała go, nie czekając, aż się rozmyśli.

- Pan Sterling? - zapytała, kiedy odebrał mężczyzna.
- Tak.
- Nazywam się Jennifer Lodge. Jestem znajomą pana syna i...
- A tak, policja wspominała nam o pani. - Nigdy przedtem nie słyszała tego głosu. - Ma pani jakieś wiadomości? Wie pani, gdzie on może być?

Nigdy nie rozmawiała z tym człowiekiem. To nie on dzwonił w te wieczory, kiedy odbierała telefon i cała podekscytowana oddawała słuchawkę Scottowi.

- N-nie, proszę pana - wydukała. - Miałam nadzieję, że pan coś wie.
- Nie odezwał się. Ale, oczywiście, dom to ostatnie miejsce, gdzie by dzwonił.
- Tak, rozumiem, dziękuję - wymamrotała i rozłączyła się. Przyłożyła ręce do dłoni. Skórę miała lodowatą.

Dan zauważył to, całując ją na powitanie.

- Dobrze się czujesz?
- Świetnie. - Odwróciła się z uśmiechem do Tony'ego. - Jak trening?
- Bomba! Ale jestem wypluty - oznajmił i na dowód, że to prawda, rozwalił się na siedzeniu.
- Dlaczego jesteś taka zmarznięta? - pytał Dan, ściskając jej rękę.
- Chyba też jestem wypluta.
- Będziemy musieli porozmawiać o twoim wymiarze godzin.

9

Reese Chapman mieszkał w Haverford, w sercu Main Laine, w domu, który należał do rodziny od czterech pokoleń. Zgodnie z instrukcjami Cassie, Jenny zjechała z Lancaster Avenue i znalazła się w dzielnicy, gdzie każdy dom był pałacem, a każda posesja parkiem. Jenny skręciła w kamienną bramę i wjechała na wzgórze, na którego szczycie stał gotycki zameczek. Zbudowany z szarego kamienia, miał łuki, wieże i masywne frontowe drzwi, które mogłyby z powodzeniem służyć za most zwodzony.

Zaparkowała między białym mercedesem Cassie, a klasycznym MG w kolorze świeżej zieleni. Nad wejściem znajdował się zwornik i zdążyła dostrzec herb wyryty na jego granitowej powierzchni, zanim drzwi się otworzyły i stanęła w nich kobieta w wykrochmalonym białym fartuchu i czarnej sukni.

- Panna Lodge? - zapytała z angielskim akcentem.

- Tak.

- Pozwoli pani tędy.

Odwróciła się na gumowych podeszwach i poprowadziła Jenny w głąb domu, przez sklepiony hol. Obcasy Jenny zadzwoniły o kamienną podłogę, kiedy mijała schody o rzeźbionej poręczy. Na jednej ze ścian wisiał ogromny portret chłopca w marynarskim ubranku. Miał różowe policzki, złote loki i małe skulone usta.

Pokojówka otworzyła drzwi i wpuściła Jenny do wielkiego pokoju wyłożonego dębową boazerią, zastawionego aż pod sufit regałami na książki. Pod jedną ze ścian stały schodki na kółkach, na środku biurko z terminalem komputerowym.

- Powiem pannie Chapman, że pani przysła - powiedziała pokojówka i zniknęła bezszelestnie w głębi holu.

Jenny obeszła pokój. Dom wydał się jej archetypem zubożałej arystokracji. Obicie kozetki - piękna, stara materia - było wyblakłe i poprzecierane. Pęknięcia biegły zygzakiem przez szybki w kształcie rombów, a za oknami widać było basen wyłożony popękkanymi kafelkami. Chapman otrzymywał z trustu dwadzieścia tysięcy dolarów miesięcznie, najwyraźniej za mało.

- Jenny! - zawołała Cassie od drzwi.

- Cassie! Dobrze się czujesz?

- Znakomicie. - Wyglądała na zmęczoną, w czarnej lnianej sukience. - Ale martwię się o tatę.

- Policja już z nim rozmawiała?

- Wczoraj. Pani Hastings twierdzi, że od tamtego czasu nie jest sobą.
- Idzie na nabożeństwo?
- Myślałam, że tak, ale teraz już nie wiem.
- Może poczuje się lepiej, kiedy to przesłuchanie się skończy.
- Ja na pewno - oznajmiła Cassie i opadła na kozetkę.

Piętnaście minut później, o wyznaczonej porze, usłyszały dzwonek i czekały na nieuniknione pukanie do drzwi biblioteki. Jenny poszła otworzyć i ujrzała w progu trzech mężczyzn - wysokiego w okularach, krępego ze szpakowatymi włosami na jeża i detektywa Mike'a di Maio. Cała trójka gapiała się na sklepiony sufit. Jenny popatrzyła ze zdziwieniem na di Maio, ale pozwoliła się przedstawić pozostałym panom. Wysoki mężczyzna nazywał się Barry Klein i był zastępcą prokuratora okręgu Delaware, krępy, detektyw Leary, był z policji miejskiej.

Cassie poprosiła, żeby zajęli miejsca i policjanci przysiedli niepewnie na krzesłach Hepplewhite'a, podczas gdy Jenny i Cassie pozostały na swojej kozetce.

Leary obsługiwał magnetofon, Klein zadawał pytania, zaczynając od tego najbardziej oczywistego.

- Pani von Berg, gdzie była pani we wtorek między godziną osiemnastą a dziewiętnastą?

Cassie spłotła dłonie na kolanach, uosobienie spokoju mimo znużenia malującego się na twarzy.

- Byłam w Nowym Jorku na przyjęciu koktajlowym w Metropolitan Museum of Art.

Jenny wyciągnęła jakieś kartki z aktówki i wręczyła je Kleinowi.

- Panowie, to jest lista gości. Pani von Berg zaznaczyła nazwiska osób, z którymi rozmawiała na przyjęciu. A to... - wyjęła następną kartkę - jest nazwisko i adres fotografa zatrudnionego z okazji uroczystości. Powinien mieć kilka fotografii pani von Berg.

Klein przeczytał oba dokumenty i przekazał je Leary'emu. Wymienili spojrzenia. Byli usatysfakcjonowani.

- Wie pani, gdzie był pani ojciec w tym czasie? - zapytał Klein.

Cassie rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

- Myślałam, że rozmawiali z nim panowie wczoraj.

- Rozmawialiśmy. Ale chcemy wiedzieć, co pani wie.

- Wiem tylko to, co mi powiedział. Że był tutaj, w domu, i że była tu również gospodyni, pani Hastings. Nie pytaliście jej o to?

Klein zignorował pytanie.

- Pani ojciec wydaje się wstrząśnięty tą historią, ale słyszeliśmy, że nie darzyli się z Curtisem Masonem miłością. Nie wie pani, dlaczego jest taki rozbity?

Cassie zacisnęła wargi.

- Jedyne brat mojej matki został brutalnie zamordowany. Oczywiście, że jest wstrząśnięty, obojętnie, czy darzyli się miłością, czy nie.

- Przychodzi pani do głowy ktoś, kto chciałby śmierci pani wuja?

- Setki ludzi - odparła Cassie. - Mam zacząć od członków rodziny?

Klein parsknął.

- A więc ujmę to inaczej. - Leary nie był rozbawiony. - Gdyby miała pani zgadywać, kogo wymieniałaby pani na pierwszym miejscu?

- Scotta Sterlinga, jak wszyscy.

- Jeżeli nie macie więcej pytań, panowie... - odezwała się Jenny, kiedy cisza się przeciągała. - Pani von Berg musi zdążyć na nabożeństwo.

Leary wyłączył magnetofon i wszyscy wstali. Cassie została w bibliotece, podczas gdy Jenny odprowadziła policjantów do drzwi.

- Można na chwileczkę, panno Lodge? - zapytał di Maio, kiedy Klein i Leary znaleźli się na zewnątrz.

- Tak, detektywie.

- Proszę mówić do mnie Mike.

- Jestem Jenny.

- Jenny. Wygląda na to, że jesteś w to zamieszana na wszystkie sposoby.

- Co przez to rozumiesz?

- Tylko tyle, że chciałbym wiedzieć to, co ty.

Odwróciła wzrok. Co ona właściwie wiedziała? Że Scott nie czytywał „Wall Street Journal” i często rozmawiał z człowiekiem, który nie był jego ojcem?

- Znam charakter ludzi, którzy są zamieszani w sprawę - powiedziała w końcu.

- To wszystko.

Mike patrzył na nią łagodnie. Nie otrzymał odpowiedzi na swoje pytanie, ale nie zamierzał jej obrazić naleganiem.

- Myślisz, że zrobił to Reese Chapman?

- Nie! - zaprotestowała. - I Scott też nie - uprzedziła jego następne pytanie. - Jestem tego pewna.

Zachichotał.

- Pozbawiasz mnie wszystkich podejrzanych.

Pożegnała go słabym uśmiechem i zamknęła za nim drzwi.

Cassie czekała na nią w progu biblioteki.

- Co sądzisz? - zapytała z niepokojem.

- Świetnie sobie poradziłaś - zapewniła ją Jenny.

- Nie o siebie się nie martwię. Ten policjant miał słuszość co do ojca - bardzo dziwnie się zachowuje. Jenny, może ty z nim porozmawiasz?

Wahała się tylko przez moment.

- Spróbuję.

Cassie poprowadziła ją kręconymi drewnianymi schodami na piętro, a potem szerokim korytarzem wyłożonym dywanem. Zatrzymała się przed drzwiami i zapukała.

- Tatusiu?

Nie było odpowiedzi. Uchyliła drzwi i zajrzała do środka, potem otworzyła je na całą szerokość.

Zasłony były zaciągnięte i w pokoju panował półmrok. Jenny z trudem rozpoznała postać siedzącą na fotelu przy łóżku.

- Tatusiu... - Cassie uklękła przy ojcu. - To jest mój adwokat. Jennifer Lodge, mówiłam ci o niej. Chciała zapoznać cię z wynikami śledztwa.

Chapman patrzył prosto przed siebie, z dłońmi splecionymi ciasno na kolanach.

- Dzień dobry, panie Chapman - zaczęła Jenny. - Spotkaliśmy się już, może pan pamięta, w siedzibie Harding & McMan, a potem w sądzie, podczas rozprawy.

Nie dał po sobie poznać, że usłyszał. Cassie rzuciła Jenny przestraszone spojrzenie.

- Pana córka właśnie złożyła zeznanie i mogę pana zapewnić, że prowadzący śledztwo byli całkowicie usatysfakcjonowani jej wyjaśnieniem. Była w Nowym Jorku w czasie gdy... - zawahała się. - W interesującym ich czasie. Rozumiem też, że gospodyni już potwierdziła pana zeznania. Sądzę, że nie ma żadnych wątpliwości, że ani pan, ani Cassie nie są w to zamieszani. Policja skupia uwagę na głównym podejrzanym, Scotcie Sterlingu, a on...

Z gardła Chapmana wydarł się zdławiony jęk.

- Tatusiu?! - zawołała Cassie i chwyciła go za rękę.

Jenny podeszła bliżej i w bladym świetle dostrzegła łzy spływające po twarzy mężczyzny.

- Cassie, tak mi przykro! - zawołała. - Nie chciałam...

- To nie twoja wina. - Cassie pocałowała ojca w policzek i wyprowadziła Jenny na korytarz. - Od wczoraj nic innego nie robi. - Zamknęła drzwi i zaczęła schodzić ze schodów.

- Może powinnaś wezwać lekarza.

- Chyba tak. Och, Jenny, mam straszne przeczucie.

- Jakie?

- Tato myśli, że ja to zrobiłam.

- To niemożliwe.

- On tak uważa. Wiemy, że on tego nie zrobił, a jednak gnębi go straszny żal i poczucie winy. Nie, to coś więcej. Zachowuje się tak, jakby pękło mu serce. Myśli pewnie, że pchnął mnie do morderstwa.

- Nie może tak o tobie myśleć.

Cassie pokręciła głową.

- Nie wiem już, co o tym wszystkim sądzić.

Gospodyni czekała na dole z aktówką Jenny. Wręczyła ją bez słowa, odwróciła się, żeby odejść.

- Pani Hastings! - zatrzymała ją Cassie. - Wygląda na to, że tatuś nie pójdzie na nabożeństwo. Mogłaby pani z nim zostać jeszcze parę godzin? Umówiłam się na kolację, ale postaram się szybko wrócić.

- Oczywiście, panno Chapman.

Cassie odprowadziła Jenny do samochodu i jej wzrok spoczął na małym MG.

- Stary, dobry gruchot. - Z czułością pogłaskała karoserię. - Od lat próbuję namówić tatę na coś bezpieczniejszego, ale on nie chce o tym słyszeć. „To jest rasowy koń angielski”, powtarza. „Nie odstawia się folbuta na boczny tor”.

Odwróciła się i patrzyła na samochód pnący się podjazdem. Był to mercedes-limuzyna. Wóz zatrzymał się, kierowca wysiadł i stanął w gotowości przy drzwiach.

Jenny zimny dreszcz przeleciał po plecach, kiedy rozpoznała Moi, genetycznie skonstruowanego totumfackiego Stengela. Na wskroś amerykańskie ciało poddane wschodniej dyscyplinie.

- Och, jak miło! - powiedziała Cassie półgłosem. - Jack przysłał po mnie samochód.

- Jest w mieście?

- Tak, proponował, że pójdzie ze mną do kościoła. Bóg jeden wie, jak bardzo potrzebuję przyjacielskiej twarzy w tym tłumie.

Jenny wsiadła do swojego wozu.

- Gdzie będziesz teraz mieszkać?

- Tutaj.

- Cassie, proszę, dzwoń, jeżeli będziesz mnie potrzebowała.

- Dobrze - powiedziała Cassie, ale myślami była już przy Moi. ' - Ale nie sądzę, żeby zaszła taka potrzeba.

10

Curtis Mason zasłużyłby sobie na pogrzeb z honorami, nawet gdyby umarł naturalną śmiercią. Był emerytowanym prezesem potężnego przedsiębiorstwa, zasiadał w zarządach dwóch uniwersytetów i trzech muzeów, w radach dyrektorów pięciu korporacji i radzie swojego kościoła. Należał do Klubu Krykietowego Merion, Klubu Golfowego Overbrook, był członkiem filadelfijskiej Izby Handlowej, a na dodatek był Masonem, co stanowiło wartość samą w sobie.

Ale nie umarł naturalną śmiercią. Został zamordowany, brutalnie, i na pogrzeb zważył się taki tłum ciekawskich, że policja z dwóch dzielnic musiała kierować samochody do przepełnionych parkingów.

W tym tłumie znalazł się również Dan. On też chciał zaspokoić ciekawość, tyle że jej przedmiotem nie był Mason, lecz on sam.

Przecisnął się do kościoła i usiadł w ławce, czekając na rozpoczęcie nabożeństwa. Zamordowanie Masona mocno nim wstrząsnęło. Z początku przypisywał to wrażenie Jenny i jej rozterce, ale chodziło o coś więcej. Zaledwie przed dziesięcioma dniami maglował tego człowieka na miejscu dla świadka, a teraz gość nie żył. Ktoś kiedyś napisał, że śmierć wroga wywiera na nas takie same wrażenie, jak śmierć przyjaciela. Może miał rację.

Bob Perlman wypatrzył go w tłumie i Dan zrobił mu miejsce obok siebie.

- Jakież wieści? - zapytał Perlman szeptem.

Dan pokręcił głową. Perlman uważał pewnie, że to robota Sterlinga - jak wszyscy, ale dopóki Jenny zapewniała Scottowi alibi, Dan nie miał wiele do powiedzenia w tej sprawie.

Wzdłuż nawy ustawiono kilkadziesiąt składanych krzesełek i kolejną setkę pod markizą na zewnątrz, gdzie można sobie było popatrzeć na głośniki, i kiedy wszystkie miejsca zostały zajęte, dwóch mężczyzn wprowadziło wdowę, całą

spowitą w czerń. Żałobnicy powstali i śledzili jej powolny przemarsz jakby była panną młodą.

Rozpoczęła się posługa żałobna, celebrowana przez biskupa. Dan był po raz pierwszy w kościele episkopalnym i zdumiało go podobieństwo do liturgii katolickiej. Zawsze uważał, że od ludzi pokroju Masona dzieli go przepaść, a teraz okazało się, że co niedziela czytali te same słowa.

Były amerykański senator wstał, żeby wygłosić mowę i słuchając go, Dan uświadomił sobie, co naprawdę wstrząsnęło nim w związku z morderstwem Masona. Poczucie winy. Coś było nie w porządku z procesem. Nie potrafił powiedzieć, na czym polega błąd - dowody były, jakie były. Wiedział tylko, że miał swój udział w pokonaniu Curtisa Masona i że coś było nie w porządku.

11

Tony położył się wcześniej tego wieczoru. Dan i Jenny siedzieli na huśtawce na patio, przytuleni ciasno, mimo upału. Powietrze było aż gęste, parne, bezgwiazdne niebo rozdzierały błyskawice. Pies krążył niespokojnie, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. W ciemności słychać było człapanie jego łap na ceglanym podłożu.

- Powiedziałem Tony'emu o nas - odezwał się Dan.

- O dziecku też?

- Aha.

- Jak to przyjął?

- Powiedział cztery razy „odjazd” i raz „totalny odjazd”, więc chyba dobrze.

- Och, jak się cieszę!

- Chłopak ma sporo kantów, ale czasem potrafi być uroczy. Myślę, że z czasem się dogadacie.

- Dan! - Jenny roześmiała się, kładąc mu dłoń na piersiach. - Już go kocham.

- Naprawdę?

- Przypomina mi ciebie. A ciebie nietrudno kochać.

- Tak samo jak ciebie. - Pochylił się do jej warg. - Pytanie, czy wytrzymasz z nim cztery lata?

- Dan!

- Myślę, że to dla niego najlepsze... - urwał i potrząsnął głową. - Nie, to nie tak. Chcę go mieć przy sobie. Ale jeżeli ty...

- Oczywiście, że chcę, żeby z nami mieszkał. Lubię jego towarzystwo. Pomyśl o tym w ten sposób - dodała z filuternym błyskiem w oczach - będziemy mieli opiekunkę do dziecka na miejscu!

Uśmiech Dana przygasł.

- O co chodzi? - zapytała.

- Przepraszam. - Potrząsnął głową ze smutkiem. - Kiedy przypominam sobie, że ono jest moje, że będziemy rodzicami, czuję się tak, jakbym dostał sierpowego w szczękę. Opiekunki wydają mi się czystą abstrakcją.

Jenny łzy napłynęły do oczu.

- To dlatego, że nie miałeś czasu przywyknąć do tej myśli. To moja wina. Bardzo mi przykro.

- To już przeszłość. - Położył dłoń na jej brzuchu. - Muszę tylko przypominać sobie od czasu do czasu, że to się dzieje naprawdę. - Dziecko kopnęło posłusznie jego dłoń i twarz Dana złagodniała. Pochylił się ku Jenny, żeby ją pocałować.

Poszła na górę, a Dan pozamykał dom. Tony nie spał jeszcze, zaczytany w powieści Toma Clancy'ego.

- Dobranoc! - zawołała z korytarza.

- Dobranoc - odpowiedział z roztargnieniem. - Hej, Jenny!

- Tak?

- Znalazłem tu jakieś dokumenty. Pomyślałem, że ci je oddam.

Staneła w progu, a on wyciągnął z szuflady nocnego stolika plik kartek.

- Dzięki.

Przechodząc przez hol, zerknęła na papiery. Były to dokumenty prawne Scotta: listy od Billa Lawsons, zawiadomienie od rady dyscyplinarnej, wnioski, które pisała w sprawie cywilnej, między innymi sprzeciw odnośnie przyspieszenia terminu procesu, który nigdy nie trafił do sądu.

Na samym końcu znajdowało się kilka luźnych, śliskich kartek, jakie kiedyś wychodziły z faksu. Jenny się zdziwiła; nikt już nie używał takiego papieru. Przeczytała:

MEMORANDUM

Do: Archiwum

Od: DJC

Co się naprawdę wydarzyło

Teoria pierwsza; wygląda na to, że Sterling zaczął grać na giełdzie dla Masona, trochę go poniosło i nie miał odwagi powiedzieć Masonowi prawdy. Więc kłamał. Z początku były to drobne kłamstewka. Nieszkodliwe, jak zapewne uważał, skoro przestaną istnieć w chwili, gdy zawrze parę udanych transakcji i wyrówna straty. Ale taka okazja nigdy się nie trafiła. Kłamstwo zaczęło żyć własnym życiem...

Oczy zaszyły jej mgłą. Miała przed sobą strategiczne memorandum Dana, które podyktował jej w noc burzy śnieżnej, poufny dokument, który nie miał prawa wydostać się z Foster Bell & McNeil. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak Scott wszedł w jego posiadanie. Nie dostał go od Dana. Nawet gdyby Dan chciał mu go udostępnić, zrobiłby to na zwykłym papierze z kopiarki. Kartka, którą miała w ręku, wyszła z przestarzałego faksu lub czegoś w rodzaju drukarki mikrofiszek.

Pod memorandum Dana znajdował się jeszcze jeden dokument: „Scott Sterling: szkic przesłuchania”.

Mimo gorąca przeszył ją dreszcz.

Na schodach rozległy się kroki Dana. Jenny pospieszenie wsunęła papiery do szuflady.

Stała przy łóżku, patrząc na niego oczami, w których wyczytał niepewność. Spędzili razem ostatnie dwie noce, ale pierwszą przegadali, a drugą przespalili kamiennym snem. Nie wiedział, czy to spojrzenie oznacza obawę, że zażąda czegoś więcej, czy przeciwnie - że nadszedł czas na to więcej.

Zgasił światła i padli razem na łóżko. Wszystkie wątpliwości znikły, kiedy przyłgnęła się do niego całym ciałem.

- Boże! Tęskniłem za tobą-jęknął.

Odszukał usta Jenny, jego dłonie rozpoczęły znajomą wędrówkę po jej ciele. Ale kształt tego ciała był mu obcy, zmuszał do opanowania - nie będzie się przecież zabawiał brodawkami ciężarnej kobiety! Miał erekcję i przekręcił się na plecy, żeby zmniejszyć ucisk.

Przyłgnęła do niego, obejmując ciasno penisa, aż podskoczył jej w dłoni.

- Jenny, nie wiem jak...

- Ciii - powiedziała. - Ja wiem.

Potem zasnął twardo, a ona tuliła się do niego, pozwalając myślom krążyć wokół dręczących pytań. W jaki sposób Scott zdobył szkic przesłuchania? Kim był mężczyzna, z którym rozmawiał prawie co wieczór, nazywając go ojcem? I co

to wszystko miało wspólnego z procesem, który był spiskiem przeciwko Masonowi?

Żałowała, że nie może podzielić się swoimi obawami z Danem. Ale on z miejsca okrzyknąłby Scotta mordercą, umocnił się tylko w przekonaniu o jego winie, ukazał dowody w takim świetle, by wspierały linię ataku. Prawda zagubiłaby się gdzieś po drodze tak, jak to się stało z Masonem, choć Dan jeszcze o tym nie wiedział. I nie mógł się dowiedzieć, aż do czasu, gdy ona złoży elementy tej układanki w jedną całość.

12

Jack Stengel nalał jeszcze jeden kieliszek koniaku i podał go Cassie, zanim ponownie sięgnął po telefon. Cassie wyciągnęła przed siebie długie nogi i wyjrzała przez boczne okno limuzyny. Jack wyszczeniwał rozkazy młodemu człowiekowi w kwaterze głównej w Nowym Jorku. Czasem trudno jej było uwierzyć, że ten prawie maniakałny tyran jest dowcipnym, światowym człowiekiem, który asystuje jej od paru miesięcy. Dawało to jej poczucie wyjątkowości, które sobie ceniła. Nikt jej tak nie rozpieszczał od czasu, gdy była małą dziewczynką.

Dziś spadł jej jak z nieba. Odwiózł do kościoła i ocalił przed chmarą Masonów. Podczas kolacji w Striped Bass udało się jej zapomnieć o kłopotach z ojcem. Przez dwadzieścia minut toczyli bardzo przyjemną dyskusję o akcjach Macoal, które kiedyś odziedziczy. Jack dał jej wyraźnie do zrozumienia, że marzy o ich posiadaniu, i nie krył, jak bardzo ją podziwia za to, że chce je zatrzymać.

W polu widzenia ukazało się lądowisko helikoptera i Jack zakończył rozmowę groźbą wznowienia jej natychmiast po wejściu na pokład maszyny. Rozłączył się i obrócił ku Cassie, by wziąć ją w ramiona.

- Nie zmienisz zdania co do dzisiejszego wieczoru? - zapytał.
- Nie mogę zostawić taty samego.
- Wobec tego nie będę dłużej odwlekał podróży.
- Singapur?
- Skinął głową.
- Pierwszym rannym lotem z Nowego Jorku.

Limuzyna zatrzymała się i Moi wysiadł, żeby zająć pozycję przy tylnych drzwiach. Był jedynym pracownikiem, któremu Jack nie wydawał rozkazów, bo też i nie musiał - Moi uprzedzał każde życzenie. Jack opowiedział jej intrygującą historię o tym, jak go znalazł. Było to w Sajgonie na początku lat osiemdziesiątych. Jack czekał na lotnisku na urzędników rządowych, z którymi miał negocjować prawa wydobywania ropy. Nagle przez salę zaczął się przedzierać chłopiec tak wysoki, że jego głowa sunęła ponad tłumem. Żołnierze deptali mu po piętach. Od swojej eskorty Jack dowiedział się, że chłopiec był bui doi, pyłem życia, osieroconym synem miejscowej prostytutki i amerykańskiego szeregowca. Nosił imię Moi, co po wietnamsku znaczy „dziki”. Pobił i okradł francuskiego biznesmena i właśnie próbował opuścić kraj na kradzionych papierach. Żołnierze dopadli go w końcu i aresztowali, ale kilka dobrze ulokowanych łapówek wystarczyło, by odzyskał wolność. „Najlepszy kierowca, jakiego kiedykolwiek miałem”, zakończył Jack swoją opowieść. Dla Cassie było oczywiste, że Moi jest czymś o wiele więcej niż kierowcą.

- Jak długo cię nie będzie? - zapytała.

- Cztery dni, najdalej pięć.

Cassie powiodła palcem po klapie jego marynarki.

- To bardzo długo. Zwłaszcza, jeżeli wziąć pod uwagę plany, jakie mieliśmy na dzisiejszy wieczór.

Uśmiechnął się. Miał wydatne usta, rys, który kiedyś wydawał się jej nieatrakcyjny u mężczyzny. Teraz uważała, że te usta są cudownie zmysłowe.

- Jedną z zalet mojego wieku i doświadczenia jest umiejętność docenienia korzyści płynących z cierpliwego czekania. - Pochylił głowę, żeby ją pocałować. - I umiem się nim cieszyć - tchnął jej w twarz.

Moi otworzył drzwi, Jack sięgnął po swoją aktówkę i już go nie było.

Cassie wyjęła wsuwki z włosów i ściągnęła kolczyki. Żałowała, że nie mogła się przebrać przed kolacją. Nadal miała na sobie czarną lnianą suknię od St. Laurenta, którą założyła do kościoła, bardzo wymiętą po całym dniu noszenia. Ale żeby się przebrać, musiałaby wstąpić do domu ojca. Zamierzała przedstawić mu Jacka, ale nie dzisiaj, nie w ten sposób. Ojciec nie zechciałby z nim rozmawiać, tak jak nie chciał rozmawiać z córką, z adwokatem, z lekarzem.

Limuzyna zatrzymała się przed domem. Gospodyni stała w holu z torebką w ręku, nie mogąc się doczekać końca pracy. Od dawna już gosposie nie mieszkały w domu. Cassie nie wiedziała, czy ma to związek z natężeniem erotycznego życia

ojca, czy przeciwnie - jego brakiem. Nie rozmawiali o jego preferencjach seksualnych, jeżeli nie liczyć aluzji do jego „sytuacji”. „Curt wie wszystko o mojej sytuacji” - powiedział jej ojciec. „Nie zawaha się ujawnić tego publicznie, jeżeli będzie mu to na rękę”.

- Jak on się czuje, pani Hastings?

- Dużo lepiej. Poprosił, żeby przygotować mu coś specjalnego na kolację. Na szczęście miałam w zamrażarce udziec jagnięcy. Zjadł, a potem wypił spory kieliszek porto.

- Gdzie jest teraz?

- Chyba w łóżku. Jakiś czas temu słyszałam, że napuszcza wody do wanny.

Cassie weszła rzeźbionymi schodami na piętro. W jej starej sypialni płonęła lampka, łóżko było pościelone, kołdra odchyłona. Położyła kolczyki na toalecie, rzuciła pantofle i wyszła boso na korytarz, żeby powiedzieć ojcu „dobranoc”.

- Tatusiu? - zapukała do jego drzwi.

Nie było odpowiedzi, zapukała więc ponownie, a potem otworzyła drzwi. Jego łóżko było również przygotowane na noc i nienaruszone.

- Tatusiu?! - zawołała głośniej.

Spod drzwi łazienki sączyło się światło. Przeszła przez pokój i zapukała.

- Tato! - krzyknęła. - Tato, jesteś tam?!

Pchnęła drzwi i krzyk uwiązł jej w gardle. Kosmyk włosów opadał mu na czoło. Okulary zsunęły się z nosa, a krew wypełniała wannę.

13

Dzwonek wdarł się w ciszę nocy. Dan sięgnął na oślep, ale telefon stał po drugiej stronie łóżka i to Jenny go odebrała. W słuchawce rozległ się płacz i Dan czuł, że Jenny zamiera.

- Cassie, co się stało?!

Zapalił nocną lampkę i zobaczył, jak jej oczy napędniają się łzami.

- Tak, oczywiście. Zaraz tam będę. - Rozłączyła się i odwróciła do Dana.

- Reese Chapman popełnił samobójstwo - powiedziała i wtuliła się w jego ramiona.

- Mój Boże! - Czuł jak drży. Przytulił ją mocniej. Ale już w następnej chwili wyzwoliła się i płynnym ruchem wstała z łóżka.

- Nie jedź tam! - zawołał.
- Prosiła mnie o to.
- Ona nie potrzebuje w tej chwili adwokata!
- Potrzebuje przyjaciela. Jadę.

Zobaczył stanowczy wyraz jej ust i już wiedział, że nie da rady wyperswadować jej tej eskapady. Wstał i sięgnął po spodnie.

- Zawiozę cię.

Ubrali się pośpiesznie i razem wyszli. Dan zajrzał do pokoju Tony'ego po drugiej stronie korytarza. Chłopiec leżał na plecach, z prześcieradłem okręconym wokół pasa, ramieniem zwieszonym z łóżka. Dan zawahał się, nie chcąc zostawiać brata samego.

- W lesie stoi wóz policyjny - Jenny jakby czytała w jego myślach - będzie bezpieczny.

Stał jeszcze przez chwilę, niepewny, potem skinął głową i ruszył za nią w dół schodów.

Jechali bocznymi, leśnymi drogami, niemal w zupełnym milczeniu. Jenny odzywała się tylko monosylabami, dając wskazówki. Dłonie trzymała splecione na kolanach, zagryzała dolną wargę, próbując powstrzymać płacz. Dan przeklął Reese'a Chapmana - nie, wszystkich Chapmanów, a także Masonów, a zwłaszcza Sterlingów - za to, że toczą głupie boje o głupie pieniądze i przyczyniają cierpień takim ludziom jak ona.

Wskazała ulicę. Domu nie musiał szukać, stało przed nim pół tuzina radiowozów i ambulans, błyskając niebieskimi i czerwonymi światłami. Dan zaparkował na podjeździe, a Jenny pobiegła do frontowych drzwi.

Cassie musiała jej wyglądać: otworzyła drzwi i upadła, szlochając, w ramiona Jenny. Ta objęła ją, szepcząc jakieś słowa pociechy. Na środku holu stały nosze przykryte zielonym całunem. Łagodnie odwróciła Cassie w inną stronę i zaprowadziła do biblioteki. Cassie rzuciła się na kozetkę, przez chwilę szlochała, z twarzą ukrytą w oparciu, a potem otarła oczy.

- Mogłabyś sprawdzić, czy nie ma tam wódki? - poprosiła.

Jenny obejrzała się na barek wbudowany w regał z książkami. Nalała trochę wódki do szklanki. Cassie przełknęła jednym haustem i podsunęła szklankę po następnej porcji. Jenny usiadła obok na kanapce, podczas gdy Cassie popijała alkohol.

- Co mogę zrobić? - zapytała. - Zadzwoń do kogoś?

- Nie. - Nadal miała na sobie zmiętą czarną suknię, pod oczami ciemne kręgi z rozmazanego tuszu. - Nie ma nikogo prócz taty i mnie. Był ostatnim Chapmanem. To znaczy, ja jestem ostatnia. Jest z tuzin Masonów, ale wątpię, czy przybiegną do mego boku.

- Dlaczego?

- Zastanów się! - powiedziała, Cassie z goryczą. - Teraz mają dowód, że tatuś zamordował Curtisa. Inaczej by się nie zabijał!

- Jesteś pewna, że to było samobójstwo?

- Zostawił list - powiedziała, przeciągając słowa. - „Kochana Catherine, chciałem ci pomóc, nigdy zranić. Proszę, wybacz mi”. Ha! Równie dobrze mógłby podpisać wyznanie krwii! - Zaczęła znowu płakać.

Jenny pogłaskała ją bezradnie po ramieniu.

- Co za ironia! - zawołała Cassie. - Cała ta idiotyczna walka o pozbawienie Curtisa funkcji powiernika! Wiele hałasu o nic. Trust wygasa automatycznie w chwili śmierci taty. Teraz ja mogę nim dysponować, jak mi się podoba. Zabawne, prawda?

Odrzuciła głowę i wybuchnęła śmiechem.

Jenny podeszła do okna i przyłożyła czoło do chromowej szyby. Widziała Dana na ulicy, pragnęła do niego pójść.

Za jego samochodem zatrzymał się mercedes. Jenny cofnęła się od okna, kiedy z limuzyny wyskoczył Jack Stengel.

Jego głos rozległ się w holu. Nie dało się rozpoznać słów, ale ton był rozkazujący. Cassie podniosła głowę i zerwała się z kanapki w chwili, gdy drzwi się otworzyły.

- Och, Jack! - zatkała i padła mu w ramiona.

- Przyjechałem, gdy tylko odebrałem wiadomość.

Jenny odwróciła się, żeby nie patrzeć na ich uścisk, ale w szybie dostrzegła odbicie Cassie tulącej się do mężczyzny i Stengela głaszczącego ją po plecach, szepczącego słowa pocieszenia.

- Jack, zrobisz coś dla mnie?

- Oczywiście. Wszystko, co zechcesz.

- Kup mój udział Macoal. Nadal go chcesz, prawda? Sprzedam ci całość, jak tylko stanie się to możliwe.

Jenny odwróciła się gwałtownie.

- Cassie, nie wiesz, co mówisz...

- Wiem doskonale! - Odsunęła się od Jacka ze złym błyskiem w oku. - Wiem, że mój ojciec i wuj nie żyją z powodu tego pieprzonego udziału. Nie chcę mieć z nim do czynienia!

Stengel skrzyżował ramiona i wsparł się o regał.

- Panna Lodge! Nie zauważyłem pani.

- Cassie, zastanów się jeszcze - powiedziała. - Może uznasz, że jednak chcesz go zatrzymać. Mogłabyś kierować firmą...

- Już się zastanowiłam. Jeżeli ty tego nie przeprowadzisz, Walter Boenning z pewnością to zrobi! - Postąpiła krok w stronę Stengela, potknęła się i przytrzymała oparcia kozetki. - Odkupisz je ode mnie, prawda, Jack?

- Oczywiście, jeżeli tego chcesz.

- Boże! - jęknęła Cassie. - Niech mi ktoś pomoże się położyć!

Dan stał oparty o maskę wozu, kiedy Jenny znów ukazała się w holu. Okrążyła nosze i natarła na grupkę sanitariuszy, zajętych papierkową robotą.

- Proszę to usunąć! Zaraz! - rozkazała. - Zabieram panią von Berg na górę. To ma stąd zniknąć.

Dan oderwał plecy od auta. W tej chwili rozpoznał swoją drugą Jennifer, dumną, zdystansowaną kobietę, którą ujrzał kilka miesięcy temu na baletowym parkiecie, i którą miał pokochać w następnej kolejności.

- Zabawne, spotkać cię tutaj - powiedział Mike di Maio, podchodząc z rękami w kieszeniach.

Popatrzył na niego bez zbytniego zdziwienia.

- Mógłbym to samo powiedzieć o tobie. To chyba nie jest twój rejon.

Mike pohnął się na piętach.

- Uważasz, że to zbieg okoliczności, że ci dwaj przekreścili się akurat po twoim procesie?

- Już dawno przestałem się nad tym zastanawiać.

- Też bym tak chciał.

Patrzyli, jak dwaj sanitariusze wytaczają wózek z noszami i holują go przez trawnik w stronę ambulansu.

- A co ty o tym sądzisz? - zapytał Dan.

- Prokurator przesłuchiwał Chapmana wczoraj. Jego alibi opierało się na zeznaniach gospośi, a trząsł się jak osika. A teraz z sobą skończył. Prokurator

uzna pewnie, że rozgryzł faceta. Dobre samobójstwo jest lepsze od przyznania się do winy, bo nie można go unieważnić.

- A to było dobre?

- Stary chłopiec wykazał klasę - powiedział Mike. - Podciął sobie żyły w wannie, jak starożytni Rzymianie. Tylko że on zrobił to całkowicie ubrany, żeby nikogo nie obrazić nagością.

Przez otwarte drzwi Dan zobaczył znowu Jenny, tym razem z córką Chapmana. Mike obserwował go spod oka.

- Co Jenny o tym sądzi?

- Nic nie wie. Jest tu jako przyjaciel. Mike wzruszył ramionami.

- Muszę cię przed czymś ostrzec. Twoja matka i siostra nie wiedzą, co się dzieje i strasznie są tego ciekawe. Chodzi o tę przeprowadzkę. Okropnie chcą poznać dziewczynę.

Jenny przeszła przez hol i zatrzymała się na chwilę w smudze światła, odwrócona do nich bokiem.

- Z drugiej strony, poczekalbym trochę, gdybym był na twoim miejscu - dodał Mike.

Dan odwrócił się ku niemu, pewny, że zobaczy kpiący uśmieszek, ale jego brak też go zirytował.

- To moje dziecko! - warknął.

Mike zamrugał i cofnął się o krok.

- Czekasz na gratulacje? - zapytał po chwili z gniewem. - A mnie się zdawało, że zrobienie dzieciaka porządnej dziewczynie to żaden powód do dumy.

Dan zdążył zapomnieć, jakim dżentelmenem potrafi być di Maio. Nagle cała ta rozmowa wydała mu się absurdalna. Odwrócił głowę, skrywając uśmiech. - Pobieramy się - powiedział w końcu.

Twarz Mike'a przeciął szeroki uśmiech, natychmiast wyciągnął rękę.

- Moje gratulacje!

Jenny obserwowała ich z okna sypialni na piętrze, zastanawiając się, co znaczy to całe klepanie po plecach. Detektyw di Maio wydawał się sympatycznym człowiekiem, chociaż wprowadził ją w zdenerwowanie, zauważając wszystko to, co zauważała ona, a co umykało uwadze innych. Miała wrażenie, że ich myśli podążają tym samym torem. Dopóki nie wiedziała, dokąd ją zaprowadzą, wołała iść sama.

Kiedy tak patrzyła, z domu wyszedł Stengel i ruszył w stronę limuzyny. Szofer czekał już na niego przy drzwiach, z telefonem komórkowym w wyciągniętej dłoni. Rozmawiając, Stengel odwrócił się tyłem, a Moi przyjął pozycję, jakby strzegł jego pleców.

- Szkoda, że nie znałaś taty, kiedy był młody - wybełkotała Cassie.

Jenny przeszła przez pokój i przysunęła krzesło do łóżka. Cassie leżała w halce, czarny jedwab odcinał się ostro od białej pościeli. Jenny wzięła różowy moherowy sweter i otuliła nim ramiona kobiety.

- Kiedy byłam mała - jakieś dwadzieścia lat temu? Ludzie zatrzymywali się, żeby na niego popatrzeć. Był łowczym, dzieci z klubu kucykowego oblegały go, walczyły o jego uwagę. Był jak Pied Piper. I taki przystojny! Wyjeżdżał na dziedziniec, prostował się w strzemionach i porywał mnie z ziemi, i okręcał wkoło, wkoło...

Potoczyła głową po poduszce, jakby jeszcze czuła tamto wirowanie.

- A najlepsze było to, że tylko ja należałam do niego! Tylko ze mną wracał do domu pod koniec dnia. Och, rozumiałam, dlaczego mama się w nim zakochała. Rozumiałam nawet wtedy, gdy poznałam prawdę.

Jeszcze przez kilka minut bełkotała jakieś zdania bez związku, potem jej głowa opadła na bok, oddech stał się płytki, miarowy.

- Cassie! - zawołała Jenny szeptem. Potem jeszcze raz.

- Śpi?

Stengel stał w drzwiach i patrzył na nią z uniesionymi brwiami.

- Nie, jest pijana - odparła. - Była pijana, kiedy proponowała panu sprzedaż udziałów. Rano zmieni zdanie.

- Idąc za rozsądną radą prawnika, jak sądzę?

- Słusznie pan sądzi - odparła zwięźle.

- A więc wszystko odbędzie się zgodnie z zasadą fair play. Pani będzie walczyła o swoje, ja o swoje i niech zwycięży lepszy.

Jenny wyminęła go w drzwiach i ruszyła ku schodom. Wyszedszy z domu, popatrzyła w górę, w okno Cassie, i ujrzała cień Stengela na ścianie.

Zadrżała pod wrażeniem czegoś złego, chciała się odwrócić i odejść, ale zamarła w pół obrotu. Na zworniku nad drzwiami wyryto herb rodowy z szybującym gołębiem i rumakiem spiętym do skoku. Odczuła nagły zamęt myśli, głowa ją rozboleła od ich natłoku. Wszystko to nie miało sensu.

Dan biegł do niej przez trawnik, ruszyła w jego stronę. Szara mgła świtu nadciągnęła ze wschodu, rozpraszając ciemności. Pragnęła już tylko wrócić do domu, do łóżka i przeleżeć resztę nocy w ramionach Dana.

Kierowca ambulansu zapalił silnik i Jenny odwróciła się w chwili, gdy wycofywał się z podjazdu. Światła wozu omiotły zielony MG Chapmana i w tej chwili Jenny przypomniała sobie, gdzie go widziała po raz pierwszy. Głos Scotta odbił się echem w jej umyśle. „Myślisz, że to był zbieg okoliczności, że spotkaliśmy się tamtego dnia na drodze?”.

- Boże! - jęknęła i ukryła twarz na ramieniu Dana.

14

W sobotę przespała południe i nie była w stanie unieść głowy, kiedy Dan wyszeptał, że zabiera Tony’ego na basen. Budziła się i drzemała na przemian, a jej myśli były równie chaotyczne, jak sny. Rumak spięty do skoku i szybujący gołąb, herb na zworniku nad drzwiami i na wiekowym zegarku kieszonkowym; mężczyzna z telefonem w zielonym sportowym wozie, spychający ją z autostrady na pustą boczną drogę, gdzie nikt by jej nie znalazł, chyba że otrzymał dokładne wskazówki. Reese Chapman składa niespodziewaną wizytę w sądzie, zostaje dłużej, po wyjściu prawników. Papiery w nocnym stoliku Scotta, otrzymane z negatywów fotograficznych.

Kiedy Dan i Charlie Duncan zadzwonili do Chapmana w styczniu, powiedział, że nie zna Sterlinga i zaproponował, żeby porozumieli się z powiernikiem funduszu. Ale Cassie napomknęła, że zna Scotta, odkąd nauczyła się jeździć konno. Scott uczestniczył w imprezach klubu myśliwskiego, a Chapman był łowczym. A więc się znali. Scott i Chapman znali się od dwudziestu lat, ale z jakiegoś powodu utrzymywali to w tajemnicy.

Dan powiedział kiedyś, że przesłuchując Scotta miał wrażenie, jakby czytali z jednego scenariusza i okazało się, że faktycznie to robili - czytali ze scenariusza napisanego przez Dana, ukradzionego przez Chapmana i wyuczonego przez Scotta podczas nocnych rozmów telefonicznych.

„Tak czy owak, wiele dramatów rozegrało się w salach sądowych”, powiedział Chapman do Jenny. Sam odgrywał komedię. Ciężko wypracowane zwycięstwo

Dana zostało podarowane mu przez Reese'a Chapmana, który działał w zмовie ze Scottem.

Nie wiedziała, co powiedzieć Danowi. Był przekonany, że Sterling ma coś na sumieniu. Mogła mu powiedzieć, że Curtis Mason jest ofiarą Scotta, a nie na odwrót, chyba że przestępstwem jest publiczne upokorzenie. Mogła powiedzieć Danowi, że cały proces był komedią, w której on odegrał rolę marionetki, ale wiedziała, że tego właśnie mu nigdy nie powie.

Późnym popołudniem zwlokła się z łóżka i zeszła do kuchni. Nalała sobie mrożonej herbaty i przyłożyła szklankę do policzka. W wozowni było zbyt gorąco. Mieszkać w tym domu to idiotyzm, powtarzali znajomi, marznąć w zimie, prażyć się latem. Do tego dach przeciekający jesienią i wiosną. Powinna się cieszyć, że się wyprowadza.

Odezwał się dzwonek u drzwi.

- Kto tam? - zapytała, nie zdejmując łańcucha.

- Mike di Maio! - zawołał przez drzwi. - I dobrze, że pytasz.

Otworzyła drzwi.

- Co się dzieje?

- Zdejmują ochronę. - Odwrócił się, pokazując samochód wyjeżdżający z kryjówki w lesie.

- A więc Scott przestał być podejrzanym - powiedziała, odprowadzając go wzrokiem.

- Po raz drugi w ciągu miesiąca zachowuje się jak przestępca i wychodzi czysty.

- Niestety, Dana nie ma w domu.

- Chciałem porozmawiać z tobą.

- Oczywiście. - Zebrała się w sobie. - Mogę ci podać mrożoną herbatę albo coś innego do picia.

- Z przyjemnością napiję się herbaty.

Podala mu szklankę.

- Cieszę się przez wzgląd na Scotta - powiedziała. - Wiedziałam, że nie mógł tego zrobić. Ale jeżeli mam być szczerą, nie wierzę również w winę Chapmana.

- Miał wiele sekretów.

- Z tej racji, że był gejem? Ale to nie...

- Nie był gejem - powiedział Mike z rozdrażnieniem.

Popatrzyła na niego szybko.

- Nie rozumiem.

Westchnął ciężko.

- Posłuchaj, to wszystko są informacje poufne. Nie chcemy, żeby to się rozeszło, ale wczoraj w nocy znaleźliśmy w jego domu pornograficzne zdjęcia dzieci.

- Cóż...

Uniósł dłoń.

- To nie wszystko. W całym domu są kamery wideo. Znaleźliśmy kasety, na których uprawia seks z chłopcami.

- O mój Boże! - wyjąkała Jenny z oczami jak spodki. Chapman nie był homoseksualistą, był pedofilem. Cassie się myliła.

Mike przyglądał się jej uważnie.

- Mam następującą teorię: Mason wiedział o jego chorobie, ostrzegł, że go zniszczy, jeżeli Chapman nie będzie mu posłuszny. Kazał mu zrezygnować z prawa do podważenia testamentu i Chapman usłuchał, choć kosztowało go to jedną trzecią majątku. Mason kazał mu siedzieć cicho, kiedy dwa miliony dolarów z trustu trafiło na jego konto i Chapman siedział cicho. Ale jego wytrzymałość miała swoje granice. Kiedy Mason nie chciał zrezygnować z powiernictwa, uderzył.

- A potem sam się zabił?

Mike wzruszył ramionami.

- Czasem człowiek nie zdaje sobie sprawy, jak ciężko będzie mu żyć ze świadomością tego, co zrobił.

Ale Jenny przypomniała sobie Chapmana siedzącego samotnie w pokoju, w ciemności, zalanego łzami. To było coś więcej niż poczucie winy. Zachowywał się, jakby mu pękło serce. Takiej krzywdy człowiek nie wyrządza sam sobie; ktoś musi przyłożyć do tego rękę.

- Nadal mam to uczucie - Mike ciągle się jej przyglądał - że wiesz coś, czego ja nie wiem.

Wzięła głęboki oddech i odwróciła się do niego.

- Wiem, że Jack Stengel ma w tym jakiś udział.

Przekrzywił głowę.

- To coś nowego. Umknęło mi.

- W zeszłym roku Stengel próbował wrogiego przejęcia Macoal. Mason stawiał opór i Stengel zaszył się gdzieś, żeby lizać rany. Wypłynął kilka miesięcy temu. Zaczął skupować pakiety akcji Macoal. Zaczął zabiegać o względy Catherine

Chapman. Żeby mógł położyć ręce na jej udziałach, musiała się wydarzyć jedna z dwóch rzeczy: Mason musiał zostać pozbawiony funkcji powiernika albo Chapman musiał umrzeć. W zeszłym tygodniu zdarzyły się obie te rzeczy. A zeszłej nocy Cassie zgodziła się odsprzedać mu swoje udziały.

- Sprawdzę to. - Mike dopił herbatę. - Ale istnieje możliwość, że Stengel ma po prostu fart.

Potrząsnęła głową.

- Coś w tym jest, czuję to.

- Opuściłbym sobie, w tych okolicznościach.

Jego głos nagle złagodniał i Jenny popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

Uniósł ramiona przeproszającym gestem.

- Wiem, że to tajemnica, ale życzę wam wszystkiego najlepszego.

- Dziękuję, Mike. - Uśmiechnęła się.

- Będziemy spowinowaceni.

- Wiem. Cieszę się.

- Kiedy się pobieracie?

- Za parę tygodni. Dan musi najpierw ustalić terminy przesłuchań.

- Pospieszcie się. Mam trudności z dochowywaniem tajemnic. Odniósł pustą szklankę do kuchni. Muszę już lecieć. Powiedz chłopakom, że byłem.

- Powiem. Do widzenia, Mike.

Jenny stała przy oknie, patrząc jak odjeżdża. Słoneczne światło zamigotało złotawo w koronach drzew, skrajem lasu przeszedł dostojnie jelen. Trudno było uwierzyć, że gdzieś tam kryje się niebezpieczeństwo, i jeżeli wierzyć Mike'owi, nie było podstaw, by tak sądzić.

Oby się nie mylił. I bez tego mieli dość spraw na głowie. Musieli znaleźć dom, zaplanować ślub i miesiąc miodowy, przygotować się do narodzin dziecka. Aż nadto. Skoro Mike był usatysfakcjonowany...

Gdyby tylko wiedziała, gdzie jest Scott.

15

Niedzielny ranek był gorący i pogodny. Przez cały dzień Jenny rozmyślała o Cassie i o jej udręczonym ojcu, aż w końcu zdecydowała się zadzwonić.

Odebrała gospoia.

- O, panna Lodge! Panna Chapman prosiła, żeby przekazać pani wiadomość. Wyjechała na kilka tygodni.

- Wyjechała? - powtórzyła Jenny. - Ale co z jej ojcem... To znaczy, z pogrzebem?

- Zostawiła instrukcje. Pogrzeb ma być cichy, a ona, biedaczka, nie jest w stanie w nim uczestniczyć.

- Ale dokąd pojechała?

- Do nadmorskiego domu pana Stengela.

Jenny ogarnął gniew. Stengel rozpoczął swoją kampanię, w dodatku po-grywał nie fair, wywożąc Cassie cichaczem do swojej posiadłości.

- Gdzie jest ten dom? - Jeżeli trzeba, poświęci dzień na wyprawę nad morze.

- Na Fidżi - odparła pani Hastings.

Po kolacji Dan i Tony poszli na podwórko pograć w piłkę. Jenny patrzyła na nich przez kuchenne okno, zmywając naczynia. Pies biegał od jednego do drugiego, wyskakiwał w powietrze, próbując przejąć piłkę. Gołębica siedziała na gałęzi starego klonu, jakby ona również obserwowała grę.

Przypomniła sobie, że trzeba dać jej pić. Nalała wody do miseczki i zaniósła do garażu, gdzie gołębica miała gniazdo. Świetnie radziła sobie ze zdobywaniem pożywienia, ale Jenny nadal się nią opiekowała, a ptak zdawał się to lubić.

Stała przez chwilę w mętym półmroku. Przypomniła sobie chwilę, kiedy Scott sięgnął do skrzyni, a gołębica wskoczyła mu bez wahania na rękę. Uważała go wtedy za dobrego, łagodnego człowieka i mimo wszystkich późniejszych odkryć nadal wierzyła, że właśnie taki jest. Kiedyś myślała o nim i o sobie jak o dwóch zranionych gołębiach; teraz wiedziała, że rany Scotta sięgały głębiej, być może były śmiertelne. Wróciłby, gdyby było inaczej.

Poszła do kuchni i stanęła przy zlewie, zagubiona w myślach, z rękami po łokcie w pianie. Dan zobaczył ją przez okno. Zostawił Tony'ego tarzającego się w trawie z psem, wszedł do kuchni i otoczył ją od tyłu ramionami.

- Co się stało?

Popatrzyła na niego, na tę twarz, którą kochała, żałując, że nie może mu wszystkiego powiedzieć.

Jego oczy spochmurniały.

- Scott się nie odezwał?

- Nie. Tak sobie tylko myślałam... Dan, co byś zrobił, gdybyś odniósł zwycięstwo na sali sądowej, niesłuszne z moralnego punktu widzenia?

Odchylił się, spoglądając jej pytająco w twarz.

- Myślisz o Gordonie St. Jamesie, prawda?

Akurat w tym momencie nie o nim myślała, ale wstrząsnęło nią zrozumienie, do jakiego stopnia to również jest prawdą.

- Nie masz się czym martwić, o ile świadomie nie wprowadziłaś przysięgłych w błąd - powiedział. - Przedstawiasz sprawę, obrona robi to samo, a ława orzeka, gdzie leży prawda.

- A jeżeli prawda nie wychodzi na jaw?

Pocałował ją w szyję.

- Byłaś niedoświadczoną prawniczką i był to twój pierwszy proces z udziałem ławy przysięgłych. Pójdzie ci lepiej, kiedy nabierzesz wprawy.

Zajrzała mu w twarz, dla niej aż boleśnie piękną, i zrozumiała, że prawda o Chapmanie i Sterlingu złamałaby mu serce. Położyła mokre dłonie na jego piersi i podsunęła usta do pocałunku.

We wtorek po południu dostarczono jej do biura list kurierski. Został napisany na papierze z adresem Cassie w Gladwyne, ale znaczek zdradzał zagraniczne pochodzenie. Rozpoznała eleganckie pismo Cassie.

Droga Jenny, przemyślałam jeszcze raz kwestię sprzedaży udziałów Macoal i uznałam, że mój pierwszy odruch był właściwy. Proszę o natychmiastowe przekazanie wszystkich moich udziałów Jackowi Stengelowi. Jego prawnicy skontaktują się z Tobą i przygotują wszystkie potrzebne dokumenty. Kopię tego listu wysyłam Walterowi Boenningowi, informując go tym samym, że oddaję sprawę w twoje kompetentne ręce.

Uściski, Catherine Chapman

Stengel wygrał, zanim Jenny przystąpiła do gry.

Mike di Maio zadzwonił w środę.

- Sprawdziłem Jacka Stengela - powiedział. - Wygląda na to, że zostałaś źle poinformowana.

- Jak to?

- To nie on skupował akcje Macoal.

- A kto?

- Curtis Mason. Jego prawnik, Barlow, nam o tym powiedział. Mason chciał się w ten sposób zabezpieczyć na wypadek, gdybyś wykopała go z trustu.

- Nie rozumiem.

- Jak mówiłem: Stengel miał po prostu fart.

- To nie wyklucza jego udziału...

- Daj spokój, Jenny. Masz ciekawsze rzeczy do roboty.

Mike miał rację. Faktycznie, miała co innego do roboty. Akcje należały do Cassie i mogła z nimi zrobić, co jej się podobało. Ich cena była zaniżona - Cassie może nie zna ich prawdziwej wartości - ale to jej sprawa, a zresztą pół miliona w tę, czy w tamtą nie robi jej istotnej różnicy. Podczas długich dyskusji o firmie, jakie toczyły w lecie, Cassie podchodziła entuzjastycznie do zreformowania Macoal, ale Jenny rozumiała, że ten entuzjazm mógł się wypalić. Teraz Cassie pragnie zacząć wszystko od nowa, z dala od Macoal, i kufer pełen pieniędzy Stengela stanowiłby dobry początek.

Jenny postanowiła, że pójdzie za radą Mike'a i sobie daruje. Ale przyszłoby jej to o wiele łatwiej, gdyby wiedziała, gdzie jest Scott.

Kilka dni później zadzwonił do niej asystent Marvin Glassera, młody człowiek o nazwisku Josh Berman i oznajmił, że będą wspólnie opracowywać szczegóły transakcji. Ich klienci już porozumieli się co do ceny. Wyśle jej projekt umowy. Gdyby była tak łaskawa, prosi o zaznaczenie uwag i odesłanie. A tymczasem, czy odpowiada jej termin dwudziestego drugiego września?

Zaznaczyła datę w kalendarzu i przekazała notatkę Waltowi Boenningowi.

Tego popołudnia zajrzał do jej gabinetu.

- Chcę ci pogratulować.

- Czego?

- Udanego interesu, oczywiście. To może prowadzić do wielkich rzeczy.

- Nie rozumiem, w jaki sposób. Cassie wycofuje się z firmy. Najprawdopodobniej przekaże pieniądze firmie inwestycyjnej i spędzi resztę życia, opalając się na Riwierze.

- Pozostaje Stengel - powiedział Boenning z naciskiem. - Kiedy przejmie Macoal, będzie potrzebował filadelfijskiego prawnika. Załatw przyzwoicie tę transakcję, a może przyniesie nam to korzyść w przyszłości.

Jenny nie odpowiedziała. Jeżeli Jack Stengel był klientem, którego Boenning chciał zabrać ze sobą, odchodząc z firmy, nie miała nic przeciwko temu.

16

W środę Dan i Jenny spotkali się na lunchu w Summerhouse. Czekał pod markizą i kiedy przybiegła, zdyszana, porwał ją w ramiona. Ludzie wymijali ich na chodniku, uśmiechali się na widok tak jawnie zakochanej pary oczekującej dziecka.

- Długo czekasz? - zapytała, kiedy w końcu znaleźli się w środku.

- Mniej więcej całe życie. - Uśmiechnął się od ucha do ucha.

Zamówili kanapki i zanieśli tacę do stolika za drewnianą kratką, udającą ogrodową altanę.

- Jak mecz? - zapytała, kiedy usiedli.

- Wygraliśmy, ale nie była to zasługa Tony'ego. Szkoda, że go nie widziałas. Chodząca agresja. Musi być tam, gdzie piłka i nie zwraca uwagi na nic innego. Przegapił co najmniej dwie czyste sytuacje strzeleckie i nawet tego nie zauważył.

- Niech zgadnę - powiedziała Jenny. - Zdobył najwięcej punktów.

- Tak, ale nie o to chodzi...

- Problem w tym, że masz wobec niego zbyt wielkie wymagania.

Wzruszeniem ramion przyznał jej rację i nagryzł kanapkę. Nie założył tego dnia okularów, od dawna już ich nie nosił.

- Dość pogaduszek, to jest lunch w interesach. - Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Masz już termin przesłuchania?

- Tak. Masz kalendarz?

- Tak jest. - Jenny wyjęła go z torebki.

- Tydzień od jedenastego? - zapytał, przewracając strony.

Pokręciła głową.

- Dwunastego mam uzupełnienie wyroku.

- Ja przesłuchanie w Buffalo od osiemnastego do dwudziestego pierwszego.

- W porządku. Finalizuję Macoal dwudziestego drugiego.

- Potem już nic?

- Zupełnie nic.

- A więc sobota, dwudziestego trzeciego? - Przygryzł wargę. - Trochę późno.

- To nam daje pięć tygodni do narodzin dziecka - powiedziała. - I tylko w ten sposób uda nam się wykroić podróż poślubną.

- A więc ustalone. - Dan zakreślił datę w kalendarzu i nagle się roześmiał. - Zdajesz sobie sprawę, jakie to absurdalne?

- Nawet w połowie nie tak absurdalne, jak próba ustalenia daty porodu.

- Kiedy to się stanie, wyrzucam terminarz.

Pochylił się nad stołem, żeby ją pocałować i wpadła mu w oko notatka w jej kalendarzu na następny wieczór.

- Co to jest? „Zajęcia, szpital Bryn Mawr”. - Notatka była przekreślona.

- A to! - Zaczzerwieniła się i zamknęła notatnik. - Zajęcia w szkole rodzenia, no wiesz...

- Dlaczego to przekreśliłaś?

- Ja... - odchrząknęła. - Trzeba mieć partnera, więc się wypisałam.

Nakrył ręką jej dłoń.

- Więc się znowu zapisz.

Oczy jej rozblęły.

- Następna kwestia... - Wyjął z kieszeni złożone kartki papieru.

- Co to jest?

- Agent nieruchomości przysłał mi listę obiektów, które powinniśmy obejrzeć.

Jenny westchnęła cicho.

- Daj spokój! - roześmiał się. - Poczekamy jeszcze trochę, a zaczną rozbierać dom z nami w środku.

- Wiem. Tylko chciałabym... - urwała.

- Posłuchaj! Co ty na to, żeby przyjrzeć się nowym domom, jakie tam budują?

- Osiedle Dundee? Och, Dan, te domy są okropnie drogie.

- Hej! Przecież żenię się z bogatą prawniczką! - droczył się z nią. - Więc co o tym sądzisz?

- Nie wiem. Może.

- Ale nie budzi to twojego entuzjazmu, co?

Popatrzyła na niego. Zawsze czuła smutek z powodu nowych domów powstających na ruinach starego pałacu, ale przecież ten smutek nie będzie miał dostępu do domu, w którym zamieszka z Danem.

- Wszędzie, byle z tobą - powiedziała.

Oczy mu rozblęły.

- Niech tak będzie zawsze.

Dokończyli kanapki, wstali niechętnie od stolika i zaczęli przeciskać się do wyjścia.

Rozległ się znajomy pisk i Jenny odwróciła się gwałtownie. Rzuciła się ku niej dziewczyna z burzą czarnych loków.

- Leslie!

- Jenny! Mój Boże! - Leslie uściskała ją i odsunęła na długość ramion. - Patrzcie państwo! - wykrzyknęła i idąc za własnymi słowami, utkwiała spojrzenie w talii Jenny.

- Leslie, jak miło cię widzieć. Co u ciebie?

Wzrok Leslie wędrował od Jenny do Dana, stojącego niepewnie obok nich.

- Och, przepraszam! - zawołała Jenny. - Leslie, to jest Dan Casella. Dan, to moja przyjaciółka, Leslie Maitland.

Uścisnęli sobie dłonie, przy czym oczy Leslie płonęły z ciekawości. - Proszę, przywitajcie się z Bruce'em.

Bruce stał obok stolika. Gdy tylko dokonano prezentacji, zwrócił się do Jenny.

- Masz jakieś wiadomości o Scotcie?

- Nie. A ty?

- Nic. Rodzice i była żona też nic nie wiedzą.

- To jest bez sensu - powiedziała Leslie. - Przecież nikt już nic od niego nie chce. Dlaczego nie wraca?

- Nie wiem. - Nagle Jenny uświadomiła sobie, że Dan stoi sztywno obok niej. - Musimy lecieć - powiedziała. - Tak się cieszę, że się spotkaliśmy.

- Musimy się umówić. - Uściskały się raz jeszcze.

Na ulicy Dan wziął ją za rękę, ale szedł w milczeniu i wiedziała, że to przez tę rozmowę o Sterlingu.

- Masz jeszcze godzinę wolną? - zapytał, kiedy znaleźli się na skrzyżowaniu.

- Chyba tak. Dlaczego?

- Chodźmy od razu do City Hali po zezwolenie na ślub.

Skinęła głową i skręcili za róg.

17

Pod koniec tygodnia z biura Marvin Glassera nadesłano umowę sprzedaży akcji. Była to skomplikowana transakcja. Udziały Cassie miały zostać przerzucone z trustu na rachunek firmy do niej należącej i stworzonej wyłącznie po to, żeby przetrzymać akcje, zanim zostaną przelane na konto jeszcze innej firmy, której

nominalnym właścicielem był człowiek Stengela. On z kolei miał je z miejsca sprzedać grupie inwestycyjnej Stengela.

Przez kilka dni Jenny i Cynthia Lehmann odcyfrowywały mechanizmy transakcji, a potem próbowały zdecydować jak je zmienić, by zmaksymalizować zyski Cassie. Między jej biurem, a Glasserem krążyły pokreślone na czerwono szkice dokumentów. Kiedy w końcu przybrały taką formę, jaką chciała, zostały przekazane Cassie do podpisu. Zwróciła je zjedną tylko adnotacją. Jej nazwisko brzmi teraz Catherine M. Chapman; otrzymała rozwód.

Uzgodniono, że sfinalizowanie transakcji nastąpi w Filadelfii i Jenny zarezerwowała w firmie salę konferencyjną na dwudziestego drugiego.

- Lepiej wpiszmy dokumenty w twój system - powiedział asystent Glassera, Josh Berman, na tydzień przed finalizacją. - Zawsze są jakieś zmiany w ostatniej chwili, a w tym wypadku - z twojej strony.

W środę po południu trzy razy próbowano przerzucić dokumentację modemem i za każdym razem coś było nie tak.

- Posłuchaj - powiedziała Jenny do sfrustrowanego Bermana. - Może po prostu przyslij mi ekspresem dyskietkę.

Dyskietka dotarła poranną pocztą w czwartek, dzień przed finalizacją. Żeby się upewnić, że nie będzie problemów ze zgodnością systemów, Jenny załadowała ją do komputera i przywołała menu.

Poznała od razu, że coś jest nie w porządku. Zgodnie z jej spisem, powinna otrzymać dwanaście dokumentów, a na dyskietce było ich dwadzieścia. Część musiała być kopią albo wcześniejszą wersją, którą należało usunąć.

Zabrała się do katorżniczej pracy. Przywoływała każdy dokument i sprawdzała go słowo w słowo z wydrukiem. Wszystko się zgadzało, aż do dziesiątej pozycji. Była to zgoda na przelew określonej liczby akcji Macoal, z firmy nominowanej do tego celu przez Stengela, jako kupującego, na rachunek M. Reese'a Chapmana, sprzedającego.

Z początku Jenny myślała, że to zwykły błąd, ale nazwisko M. Reese Chapman powtarzało się aż do końca pisma, nawet pod wykropkowaną linią na podpis. Wróciła na początek pierwszej strony i przeczytała: „Zważywszy że, M. Reese Chapman został mianowany powiernikiem trustu Elizabeth Mason Chapman dnia.... 1995 roku...

Druk rozmazał się jej w oczach. Reese Chapman nigdy nie był mianowany powiernikiem i nigdy nie mógł być potencjalnym sprzedawcą akcji, ponieważ kiedy negocjowano umowę, już nie żył.

Jenny wyszła z dokumentu i wróciła do menu, żeby sprawdzić, kiedy został sporządzony. W schludnym rządku dat przypadających na wrzesień, wybijał się dziewiąty stycznia, 1995.

Przeszło osiem miesięcy temu. Na długo przed przyznaniem się Scotta do winy, na długo przed skandalem, przed wszystkim, co wstrząsnęło trustem. W styczniu Curtis Mason był powiernikiem i z całą pewnością nie sprzedałby udziałów Stengelowi.

Jenny chwyciła za słuchawkę i wystukała numer w Haverford.

- Panny Chapman nie ma w domu - powiedziała pani Hastings.
- Mówi jej adwokat, Jennifer Lodge. Kiedy spodziewa się pani jej powrotu?
- Nie wcześniej niż wieczorem.

Przygryzła usta.

- Gdzie mogę ją znaleźć? To bardzo ważne. Muszę się z nią dzisiaj skontaktować.

- Nie wiem, przykro mi.

- Proszę jej powtórzyć, żeby do mnie zaraz zadzwoniła. Do biura albo do domu. To naprawdę ważne.

Odłożyła słuchawkę i dźwignęła się z krzesła, wygięta do tyłu, żeby zrównoważyć ciężar brzucha. Podeszła do drzwi Boenninga, zapukała energicznie i otworzyła, nie czekając na zaproszenie.

Boenning i Marilyn pochylali się nad jakimiś planami.

- O, przepraszam.
- O co chodzi? - zapytał Boenning nieuprzejmie.

Były to plany nowego biura w jego nowej firmie. Boenning odchodził, zabierał ze sobą Marilyn i Bóg wie, kogo jeszcze. Zabierał Cassie Chapman albo Jacka Stengela, w zależności od tego, kto z nich okaże się bardziej lukratywnym klientem.

Słowa zamarły jej na ustach.

- Ja... Chciałam tylko przypomnieć o jutrzejszej finalizacji - wydukała.
- Będę tam.

Jenny wróciła do biura i wychodząc do domu, wsunęła dyskietkę Bermana do aktówki.

18

Dan był na przesłuchaniu w Buffalo i w drodze do domu Jenny odebrała Tony'ego z meczu. Alexander odniósł kolejne zwycięstwo i Tony mógł mówić wyłącznie o meczu, drużynie i o sobie. Wystarczyło kilka zachęających uśmiechów, kilka „naprawdę?” i „o!”, żeby utrzymać go w tym nastroju przez całą drogę do domu.

Trochę liczyła na to, że Dan wróci wcześniej, że zobaczy jego samochód na dziedzińcu wozowni, że otworzy drzwi na jej powitanie. Rzuciłaby mu się w ramiona i opowiedziała wszystko, od początku do końca, jednym tchem. Ale powitał ich tylko Sam, i choć zrobił to entuzjastycznie, nie zaradził jej kłopotom.

Na kolację zrobiła kurczaka po chińsku, i Tony, któremu Dan kazał być użytecznym, zabrał się do krojenia warzyw. Robił to zabawnie i trochę brawurowo, wyrzucając paprykę w powietrze i nadziewając ją na czubek noża, kiedy leciała w dół. I Jenny musiała pamiętać o tym, żeby nagradzać jego wyczyny śmiechem.

Ale nie zdołała utrzymać maski pogody do końca obiadu. W końcu Tony to zauważył.

- Coś nie tak, Jenny? - zapytał, zbierając naczynia.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem i potrząsnęła głową.

- Mam trochę kłopotów. W pracy.

Skinął głową; nic nowego mu nie powiedziała.

- Nie będę cię męczył - obiecał. - Pooglądam sobie MTV.

Włączył telewizor i wyciągnął się na kanapie. Jenny odkręciła kurki w zlewie. Rockowy wideoklip rozpoczął się ostrym zgrzytem i poczuła w skroniach pulsowanie bólu.

- Tony, możesz to ściszyć?! - zawołała, ale nie usłyszał jej w tym hałasie. Rozkręciła zimną wodę i obmyła twarz.

Potem zawlokła się na piętro i padła plackiem na łóżko. Muzyka na dole zmieniła się w rozdzierające zawodzenie. Cassie była z Jackiem Stengelem, co oznaczało, że może wcale nie wrócić na noc. Może się okazać, że jutro rano Jenny będzie miała wszystkiego pięć minut, żeby ją gdzieś przydybać. Kiedy próbowała ułożyć sobie w głowie pięciominutowe przemówienie, które przekonałoby Cassie, że Stengel ją oszukuje, ból głowy jeszcze się nasilił.

Zadzwonił telefon, usiadła niezdarnie, sięgając po słuchawkę.

- Cześć, Jenny!

- Dan! - zawołała.

- Posłuchaj, jest przerwa. Mam minutę. Chciałem się tylko dowiedzieć, jak sobie radzicie.

Tylko minutę, a ona nie wiedziała, jak wyjaśni to Cassie w pięć!

- Myślałam, że może wrócisz dzisiaj.

Z dołu dobiegał przeraźliwy pisk, przycisnęła słuchawkę mocniej do ucha.

- Nadal mam taką nadzieję. Mój oponent chce zrobić przerwę do rana. Skończyły mu się pomysły i liczy na to, że w nocy coś mu przyjdzie do głowy. Ale zapowiedziałem, że siedzimy do skutku. Mają to sobie przemyśleć. Jeżeli nie dojdziemy do porozumienia, dzwoniemy do sędziego po decyzję.

- Trzymam kciuki - powiedziała. Może jednak uda mu się wrócić dzisiaj do domu, może potrafi przekonać ją, że wszystko to są przywidzenia i że nie ma się czym martwić.

- Co się stało, kochana? Jesteś jakaś przygaszona.

Na nocnym stoliku coś błysnęło w świetle lampki. Pochyliła się, żeby zobaczyć, co to jest.

- Tęsknię za tobą - powiedziała.

Był to zabytkowy kieszonkowy zegarek.

- Ja też za tobą tęsknię.

Nakryła go dłonią.

- Za czterdzieści osiem godzin będziemy już małżeństwem, w podróży poślubnej - powiedział Dan.

Scott był tu dzisiaj, w tym pokoju, zostawił wiadomość, którą tylko ona mogła zrozumieć.

- O niczym innym nie mogę myśleć - wyszeptała.

Zegarek zdawał się promieniować przez zaciśnięte palce. Czula, jak grawiura wypala jej dłoń. Herb z rumakiem na jednej ćwiartce, gołąb na drugiej.

- Kocham cię, Jenny.

- Ja też cię kocham.

Muzyka przebijała się przez podłogę, przez czaszkę. Jenny odłożyła słuchawkę, otworzyła dłoń, żeby popatrzeć na zegarek. Przypomniała sobie, kiedy widziała go po raz ostatni. To była wiadomość od Scotta, w ten sposób mówił jej, gdzie na nią czeka.

Chwyciła kluczyki od wozu, założyła tenisówki i zeszła szybko po schodach. Wideoklip skończył się w chwili, gdy dotarła na dół i w nagłej ciszy Tony obejrzał się z pytającym wyrazem twarzy.

- Muszę wyjść - powiedziała.

Skinął głową i odwrócił się w stronę telewizora.

Jenny wsiadła do samochodu. Z Coventry Road skręciła w prawo na Canterbury Lane i przemknęła obok nowych domów na szczycie wzgórza. Zawróciła, zatrzymała samochód.

Nikt za nią nie jechał. Tylko nowy mieszkaniec podlewał trawnik i zapóźniony cieśla pracował na dachu jednego z niewykończonych domów.

Wysiadła i ruszyła przez łąkę, czując na twarzy promienie zachodzącego słońca. Kiedy Scott ją wtedy prowadził, łąka pełna była tymotki, wysokiej do kolan, ale łatwej do przejścia. Teraz, we wrześniu, wyschnięte krzaki sięgały jej do pasa i każdy krok był udręką. Ciernie darły rajstopy i raniły skórę, ale brnęła przez nie z uporem, aż znalazła się w dębowym zagajniku. „Czułem się tu zawsze tak, jakbym wchodził do kościoła” - powiedział Scott, ale teraz wiedziała, że droga jaką obrał, nie prowadzi do niczego dobrego.

Ścieżka wiodła przez las, wzdłuż ogrodzonych łąk i kończyła się przy starych stajniach. Jenny zaczęło się kręcić w głowie, ze zmęczenia i upału, ale szła dalej. Minęła padok i weszła do budynku.

Drzwi boksów były zamknięte, światło padało jedynie przez szpary w deskach i dziury po sękach. Jenny dyszała ciężko, wdychając zapach koni, czekała, aż wzrok przyzwyczai się do półmroku. Wtedy minęła pomieszczenie na uprzęż, drabinę wiodącą na strych i przeszła na koniec budynku.

- Scott! - zawołała półgłosem.

Coś zaszurało w jednym z boksów po jej prawej ręce.

- Scott? - powtórzyła głośniej.

Z cienia wyłonił się czarny, nieokreślony kształt.

- Scott... - Głos jej zadrzał, wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. - Przyniosłam ci twój talizman. - Wyciągnęła ku niemu rękę, wnętrzem dłoni ku górze. Zegarek połyskiwał blado w przyćmionym świetle.

Zbliżył się i chwycił jej rękę.

- Dostałaś moją wiadomość - wykrztusił. - Przyszłaś.

Zmienił się przez ten miesiąc. Ciemny zarost zakrywał mu pół twarzy, był spalony słońcem. Zmierzwił włosy, przewiązane bandaną na indiańską modłę, zwisały w strąkach. Miał na sobie wyświechtaną sztruksową koszulę i dżinsy.

- Wiedziałem, że przyjdiesz. - Wtulił twarz w jej włosy.

- Scott, przyszedłem, żeby cię zabrać do domu.

- Nie mogę wrócić. Wiesz o tym.

- Tylko dlatego przyszedłem.

Odchylił głowę.

- Gdyby to było prawdą, przyprowadziłabyś Casellę albo di Maio.

- Nie mogłabym. Oni nie wiedzą tego, co ja wiem.

Wypuścił jej dłoń i odsunął się. Dawny uśmiech wykrzywił mu twarz.

- Och, Jenny, ty też nic nie wiesz.

Odwrócił się i na sekundę ogarnął go promień zachodzącego słońca. Tuż powyżej paska błysnął metal rewolweru.

Jenny zdławiła okrzyk.

- Wiem prawie wszystko. I wiem, że sprowadzisz na siebie nieszczęście, jeżeli spróbujesz użyć tej broni. Proszę, chodź ze mną.

Chyba jej nie słyszał. Przeszedł na tyły boksu i otworzył górną część drzwi, żeby wyrzeć na padok na zboczu.

- Chcesz się poddać - powiedziała. - Dlatego po mnie posłałeś.

- Nie dlatego. - Zamknął drzwi i podszedł do niej w ciemności. - Chciałem wiedzieć... To prawda, że Reese...?

- Tak. Popęłił samobójstwo.

Jęknął cicho i opadł na kolana, na słomę.

- Czy on... coś powiedział? - zapytał szeptem. - Zostawił list?

- Tylko do Cassie. Nie wspomniał o tobie.

Ukrył twarz w dłoniach.

- Scott, wróć ze mną, proszę. Jeżeli złożysz zeznania, prokurator pójdzie na ugodę, wiem to.

Nie słuchał jej. Odjął dłonie od twarzy i rozejrzał się po boksie, jakby nie pamiętał, gdzie się znajduje. Podniósł się, wyrzucił na główny korytarz, jeszcze raz rozejrzał się po boksie.

- To tutaj, prawda? - domyśliła się Jenny.

Odwrócił się i wlepił w nią wzrok.

- Tutaj przyprowadzał cię Reese, kiedy miałeś dwanaście lat, a on był łowczym.

Jego oczy przybrały dziki wyraz.

- Skąd to wiesz? Ja nigdy nikomu nie powiedziałem, nigdy...

- Reese ci to powtarzał, prawda? Nigdy nikomu nie mów.

- Skąd to wiesz?

Jenny odetchnęła głęboko i ostrożnie opuszczała się na słomę.

- Och, Scott! Tacy mężczyźni zawsze mówią to swoim ofiarom.

- Nic nie rozumiesz. To on był moją ofiarą.

Sięgnęła po jego rękę i pociągnęła go za sobą.

- Cokolwiek się tutaj stało, to nie była twoja wina.

- Byłem zdumiony, kiedy rozpiął spodnie. Nie wiesz, jak wtedy wyglądał, nam, dzieciom, jawił się jako bóg. Myślałem: po co on to robi i co ja będę z tego miał? Więc pozwoliłem mu się wypieprzyć.

Jenny trzymała go mocno za rękę.

- Potem płakał. Nie mogłem w to uwierzyć. Ten bóg, łowczy - płakał! Powiedział, że mu przykro, że nie mógł się powstrzymać, że nie wolno mi pisać nikomu ani słowa. Wyszarpnął portfel i zaczął wyciągać banknoty, ręce mu się trzęsły, banknoty fruwały w powietrzu, opadały w słomę. Zebrałem wszyściutkie. Nie miałem pojęcia, na czym polega jego problem. Wiedziałem tylko, że teraz on zabiega o mnie, a nie na odwrót. Potem miałem go już w kieszeni.

Jenny przypomniała sobie dwunastolatka z fotografii, chłopca, którego jedynym zmartwieniem powinien być następny pokaz jazdy konnej, którego życie miało upływać w beztrójce i dobrobycie - wszystko to zostało unicestwione, ponieważ padł na niego wzrok chorego człowieka.

- Jak to się skończyło? - zapytała.

- Któregoś razu był zbyt brutalny, zrobił mi krzywdę i trzeba było odwieźć mnie do lekarza. Wymyślił historyjkę, której miałem się trzymać, jak to jechałem konno przez las, kiedy nieznajomy ściągnął mnie z konia i zgwałcił. Reese obiecał, że będzie się mną opiekował przez resztę życia, jeżeli będę się trzymał tej wersji. Dał mi zegarek ojca jako symbol swojej świętej przysięgi. Zrobiłem wszystko, jak kazał, ale ojciec mi nie uwierzył. Wiedział, że coś się dzieje i zakazał jeździć konno. Więcej już się z Reese'em nie spotkałem. Ale ilekroć chciałem pieniędzy, dzwoniłem, a on jakoś je dla mnie zdobywał. Bał się odmówić.

- Nie, to nie był szantaż. Robił to, ponieważ cię kochał.

Scott potrząsnął głową.

- Chronił cię aż do końca - powiedziała. - Nigdy nie wymienił twojego nazwiska. Siedział w ciemnym pokoju, a łzy spływały mu po twarzy, jakby serce mu pękło.

Scott poderwał się na równe nogi.

- To nie tak miało być! - Uchylił drzwi i wyrzwał ponownie na dziedziniec.

- Oczywiście, że nie. Dlatego musisz wrócić. Musisz wyjaśnić, że chodziło o zmuszenie Masona do rezygnacji z trustu, żeby można było sprzedać akcje Stengelowi. I że od początku był to plan Chapmana.

Scott opadł na słomę obok niej, wsparł brodę o kolano.

- Reese miał wiele planów. Kazał mi się trzymać wujka Curta, mówił, że on będzie moją przepustką. Ale nie był - nigdy nie ruszył palcem, żeby mi pomóc. Żona Reese'a, stara zdzira, odcięła go od szmalu, niewiele mógł mi dać, ale obiecywał złote góry po jej śmierci. Wiesz, co się stało - praktycznie go wydziedziczyła.

Sto dwadzieścia tysięcy dolarów na koncie, przypomniła sobie Jenny. Przepuszcza je, żona-dziedziczka się z nim rozwodzi, traci szansę na zostanie współnikiem Harding & McMann. Latem potrzebował pieniędzy bardziej niż kiedykolwiek przedtem. A Reese Chapman był gotów na wszystko, by je dla niego zdobyć. Jego obsesyjna miłość do Scotta nie wygasła razem z pożądaniem.

- W truście było dość akcji Macoal, żeby zapewnić kontrolę nad firmą...

- A Stengel był gotów zapłacić za tę kontrolę - powiedziała.

- Obiecał, że da dziesięć milionów. O wiele więcej, niż wynosi wartość rynkowa. Cassie zrobiłaby dobry interes. I obiecał, że zapłaci Reese'owi sześć milionów na boku, za doprowadzenie do transakcji. Połowa z tego miała być moja.

- Był tylko jeden sposób, żeby doprowadzić do transakcji - dodała Jenny. - Pozbawić Masona funkcji powiernika.

- Wiedzieliśmy dwie rzeczy o wujku Curcie: że nie lubi paprać się w papierkowej robocie i że jest pazerny.

- Przekonałeś go, żeby ci powierzył zarządzanie trustem.

- To było łatwe - odparł Scott. - Trudniej było go przekonać, żeby powierzył mi własny rachunek. Ale Reese opracował przykładowe portfele, żeby mu pokazać, ile mógłby zgarnąć, gdyby dobrze inwestował i wujek Curt łyknął przynętę.

- Naprawdę wierzył, że zarabia te pieniądze, prawda? Nawet nie podejrzewał, że te dwa miliony pochodzą z funduszu.

- Oczywiście, że nie.

- Scott, jak mogłeś tak ryzykować? Przyznałeś się do oszustwa. Mogłeś pójść do więzienia!

- Nie skazaliby mnie, ponieważ nie wziąłem z tych pieniędzy ani centa. Mógłbym stracić licencję, ale co tam! Zyskałbym trzy miliony dolarów i już nigdy w życiu nie musiałbym pisać cholernych testamentów!

A więc tak wyglądał plan Chapmana! Kiedy Scott przyznał się do winy, Mason znalazł się w potrzasku. Powinien natychmiast złożyć rezygnację. Chapman zostałby nowym powiernikiem i sprzedaż akcji Macoal nastąpiłaby w styczniu, jak przewidziano w szkicu kontraktu.

- Ale Mason nie zrezygnował - powiedziała Jenny.

- Reese miał plan awaryjny.

To też wiedziała, Dan Casella stał się częścią tego planu. Najlepsza obrona Harding & McMann była jednocześnie najlepszym atakiem na Curtisa Masona. Walka Dana o oczyszczenie klienta była Champanowi bardzo na rękę.

- To nas trochę przystopowało - powiedział Scott. - Ale przyspieszony proces załatwiał sprawę, ponieważ Stengel obiecał poczekać do końca roku.

- Ale Mason odmówił również po procesie.

- Głupi sukinsyn! - wybuchnął Scott. - Po tym wszystkim! Po tym, jak zginął jego pies, po tych wszystkich telefonach, pieprzony idiota nie zrezygnował!

Jenny nie nadążała. Przecież pies Masona zginął w przypadkowej strzelaninie, która nie miała z tym wszystkim nic wspólnego.

- Co powiedziałaś o psie?

- Uczciwie ostrzegłem.

Scott dzwonił do niego z pogrózkami, Scott zastrzelił psa?

- Nie rozumiem...

- Reese zaczął się wykręcać - ciągnął wzburzony. - Nawet nie wiedziałem, że wujek Curt odmówił ustąpienia. Dopiero ty mi to powiedziałaś, tamtego dnia w szpitalu. On nie pisał słowa.

Jenny przypomniła sobie wybuch Scotta na parkingu. Myślała, że jest zły na nią, a on wściekł się na Chapmana.

- Przypuszczam, że chciał cię ochronić przed tym, co zamierzał zrobić.

- Nie, nie rozumiesz. On stracił do tego serce. Nie zamierzał zrobić już nic więcej.

- Scott, on planował zabójstwo Masona!

Zapadła cisza. Widziała tylko oczy Scotta, połyskujące punkty między włosami a brodą.

- Och, Jenny - odezwał się w końcu. - Mówiłem, że nic nie wiesz.

Potrząsnęła głową tak mocno, że pociemniało jej w oczach.

- Scott, byłeś w domu tamtej nocy, byłeś ze mną. Ugotowałeś obiad!

Wpatrywał się w nią pustym wzrokiem.

- Myślisz, że tylko chińskie restauracje sprzedają na wynos?

Aż się zachłysnęła. Scott skoczył ku niej, chwycił za ramiona tak mocno, że poczuła, jak jego kciuki tworzą wzór pękniętych naczynek na jej skórze.

- Musiałem to zrobić! - krzyknął. - Zaszliśmy za daleko. Zostałem na łodzi! Miałem jakiś wybór?

Pomyliła się - kłamała dla niego, ale się pomyliła. Wyszedł z domu tego wieczoru, pojechał do biura Masona, a w drodze powrotnej zatrzymał się we francuskiej restauracji i kupił obiad. A ona myślała, że gotował go przez parę godzin. Zabił człowieka, którego nazywał wujkiem, a potem wrócił do domu, żeby zaproponować jej małżeństwo.

Zdławiła krzyk, który narastał jej w gardle.

- Nie miałeś wyboru - powiedziała. - Nie było innej drogi.

Otoczyła go ramionami. Jego uścisk zelżał. Jenny położyła się na podłodze i przyciągnęła głowę Scotta do swoich piersi, gładziła jego włosy. Leżał obok niej wstrząsany łkaniem.

19

Promienie światła padające przez szpary gasły jeden po drugim jak zdmuchnięte świece. Rozpoczął się nocny chór świerszczy i żab, w lesie pohukiwała sowa.

Scott leżał obok Jenny, przygniatając ją swoim ciężarem. Rękojeść rewolweru uciskała ją boleśnie, ale wiedziała, że nie mogłaby go użyć i on też to wiedział. Nie było szans, żeby namówić go do poddania się. Mogła jedynie liczyć na ucieczkę. Ale do samochodu miała kilometr drogi przez trudny teren, a jej stan wykluczał bieg na przełaj.

- Scott... - odezwała się cicho i odsunęła go delikatnie.

Zerwał się na równe nogi i skoczył do drzwi, żeby wyjrzeć na zewnątrz.

- Policja cię nie szuka. Są przekonani o winie Chapmana, ty jesteś czysty. Nie musisz się bać. Nic ci nie zagraża, ani z ich strony, ani z mojej.

Zaśmiał się zgrzytliwie.

- Myślisz, że ukrywam się przed glinami?

- Więc przed kim?

- Przed Stengelem. A raczej przed Moi.

- Tym szoferem?

- Tak. To tylko jego dzienne zajęcie.

- Ale dlaczego?

- Stengel nigdy nie zamierzał zapłacić tych sześciu milionów. Reese o tym wiedział. Bo i dlaczego miałby płacić? Co moglibyśmy mu zrobić? Pozwać do sądu? Ale Reese o tym pomyślał. Miał na kasecie trzy godziny nagrań Stengela omawiającego szczegóły umowy.

Jenny przypomniała sobie dom Chapmana, obstawiony kamerami wideo, przypomniała sobie paczkę, która przysłała do Scotta. Zostawiła ją w jego pokoju i potem już nie widziała.

- Wysłał ci kasetę, żebyś mógł szantażować Stengela?

- Zadzwoń do niego. Zaraz po śmierci wujka Curta zadzwoniłem i powiedziałem: „Dotrzymaliśmy warunków umowy, nawet nie próbuj wystawić nas do wiatru, bo jakby co, to policja FBI i komisja papierów wartościowych dostaną pocztą paczki z kasetami wideo”.

- Powiedział: jasne, nie ma sprawy. Ale kiedy wyszedłem od ciebie tamtego wieczoru, ktoś mnie śledził. Zgubiłem go i zaszedłem od tyłu. To był Moi. Ściga mnie od tamtego czasu.

- Chodzi mu tylko o kasetę, tak?

- Powiedziałbym, że zniszczy to, co mu pierwsze wpadnie w ręce.

- Więc oddaj mu kasetę! Gdzie ona jest?

- W bezpiecznym miejscu. - Uśmiechnął się.

Jenny musiała się uwolnić, uciec od niego. Z trudem dźwignęła się z podłogi.

- Nie możesz się wiecznie ukrywać. Jeżeli nie chcesz oddać się w ręce policji, przynajmniej pozwól, żebym cię gdzieś zawiozła.

Wlepił w nią wzrok.

- Zawiozłabyś mnie na lotnisko?

- Oczywiście.

- Nie w Filadelfii. W Newark?

- Jeżeli tego chcesz.

- Okay.

Scott sięgnął po plecak i zarzucił go na ramię. Chwycił Jenny za rękę i poprowadził korytarzem do drzwi stajni.

Gwiazdy oświeślały drogę, kiedy pięli się zboczem w stronę zagajnika. Jenny potknęła się i wydała cichy okrzyk irytacji.

- Ciii! - syknął Scott i w martwej ciszy, która nastąpiła później, rozległ się jakiś dźwięk. Trwał ułamek sekundy. Popatrzyli na siebie, bojąc się usłyszeć pytanie: Czy ty też to słyszałeś?

- Komu powiedziałaś?! - wycharczał Scott. - Kto jeszcze wie, że tu jestem?

- Nikt! - wyszeptała.

Zamarli przed wielką ścianą ciemności, nasłuchując, czy dźwięk się nie powtórzy. Kiedy nic się nie stało, ruszyli przed siebie, w cieniu drzew i krzaków, przez las, na szczyt wzgórza. Coś błysnęło metalicznie w poświacie gwiazd.

- To mój samochód - wyszeptała ponad ramieniem Scotta.

Ruszyli w tamtą stronę, kiedy dźwięk rozległ się ponownie.

Upuścił plecak, chwycił rękę dziewczyny i pociągnął ją do szaleńczego biegu w dół zbocza, przez zarośniętą łąkę, w stronę lasu. Jenny potknęła się i przytrzymała pnia. Kiedy się obejrzała, ujrzała postać na tle nocnego nieba.

- Dalej! - krzyknął.

Ciągnął ją za sobą, z powrotem do stajni. Nie mogła złapać tchu, nic nie widziała w ciemności.

- Scott! - wydyszała. - Scott, gdzie jesteś?

Znów chwycił ją za rękę i skierował w stronę drabiny na strych. Podsadził, żeby mogła odnaleźć po omacku szczeble i wdrapać się na górę. Upadła na siano, nasłuchując w ciszy.

- Scott, gdzie jesteś?! - zawołała szeptem w dół drabiny.

- Cicho! - padła ostra odpowiedź z boku.

Wyteżała słuch, próbując rozeznaczyć dźwięki dochodzące z zewnątrz, przeniknąć wzrokiem ciemność, ale była zbyt gęsta. Na czworakach, po omacku, dobrnęła do ściany strychu i posuwała się wzdłuż, aż trafiła na drewniane okno. Pchnęła okiennice i do środka wpadło dość światła, by mogła wrócić normalnie na skraj poddasza.

Scott stał w boksie z okiem przyciśniętym do szpary w drzwiach. W dłoni miał rewolwer. Chciała się cofnąć, ale w tym momencie Scott pochylił się naprzód,

przyłożył lufę do szpary. Patrzyła ze zgrozą, jak jego ciało tężeje, ręka się podrywa. Dopiero potem usłyszała huk.

Zakryła rękami głowę i upadła na siano. Rozległo się popiskiwanie myszy, ptak przemknął z furkotem, dążąc ku oknu.

Zabrzmiął kolejny strzał i wiedziała, że nie padł z rewolweru Scotta, zanim jeszcze kula rozłupała deskę ściany. Scott strzelał raz za razem i otrzymywał błyskawiczną odpowiedź.

Jenny huczało w uszach. Przycisnęła do nich dłonie, czując na policzkach łzy. Siarkowy odór palił w gardle, w nosie. Szeptala imię Dana, ale nikt jej nie słyszał.

Potem nastąpiła cisza.

Wychyliła się w chwili, gdy Scott wymierzył i nacisnął spust. Tym razem wystrzał nie nastąpił. Nacisnął jeszcze raz. Rozległ się jedynie suchy trzask.

Scott odskoczył od drzwi, rozglądając się w panice za swoim plecakiem. Jenny przypomniała sobie, że upuścił go na wzgórzu. Biegł teraz korytarzem, zaglądając do wszystkich boksów, aż do końca stajni, ale nie było tam nic, co nadawałoby się do obrony. Nic poza zgniłą słomą i uporczywym zapachem koni.

Skrzypnęły zawiasy drzwi.

Był tylko bezkształtnym cieniem sunącym bezgłośnie po klepisku. Po chwili dał się słyszeć cichy trzask i płomień zapalki oświetlił twarz i okrągłe niebieskie oczy Moi, nieugiętego totumfackiego Stengela.

Wrzucił płonąca zapalkę na stryszek, w siano. Zaskwierczało, zajmując się ogniem, buchnęło światłem. Jenny odsunęła się w ciemny kąt.

Cień ruszył korytarzem, przykucnął i wskoczył bezgłośnie do pierwszego boksu. Sprawdził, że jest pusty, po czym przeszedł do następnego.

Ogień rozprzestrzeniał się szybko i kiedy Jenny się obejrzała, płomienie lizały już krokwie dachu.

Zdjęła buty i posuwała się wzdłuż korytarza razem z cieniem, równie bezgłośnie jak on. Dwadzieścia lat baletu opłaciły się teraz każdym cichym krokiem. Kiedy patrzył w górę, cofała się, kiedy ruszał naprzód, posuwała się z nim razem. Zobaczyła Scotta w ostatnim boksie. Oczy płonęły mu dziko. Czuł dym i wiedział, co to oznacza.

Coś wbiło się w bok stopy Jenny i zdławiła krzyk, kiedy ból eksplodował jej w nodze. Chwyciła się belki, żeby utrzymać równowagę i zacisnęła zęby, zmuszając się, żeby spojrzeć w dół. Krew buchała z rany w stopie i spływała na zęby starych wideł, na wpół zakopanych w sianie.

Znalazła trzonek i wyciągnęła je z siana. To było to, broń, której szukał Scott. Tutaj, na górze, poza jego zasięgiem.

Stopa pulsowała i Jenny czuła, jak krew wylewa się z rany z każdym uderzeniem jej serca. Ale uniosła widły i przeszła na skraj stryszku.

Cień zbliżał się do Scotta. Wiedziała, że jeżeli krzyknie, Moi zabije ich oboje. Jeżeli będzie cicho, zabije Scotta, a potem powoli i metodycznie przeszuka stajnię. I znajdzie ją, o ile wprawdzie nie zginie w płomieniach.

Został mu jeszcze jeden boks.

Dach zajął się z hukiem i nagle strych zmienił się w ognisko. Wokół kłębił się dym. Oczy ją piekły, walczyła, żeby nie kaszleć, nie zdradzić swojej obecności i ciągle posuwała się wraz z cieniem w stronę boksu, gdzie krył się Scott.

Cień zgiął się wpół, przyczał i skoczył, i w tym momencie Jenny wycelowała. Cisnęła widłami, używając całej swojej siły. Widły wirowały, drgały i migotały w blasku ognia, a ona chwiała się na nogach, patrząc ze zgrozą, jak mkną. Miała wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie.

Cień odwrócił się z pistoletem w dłoni, w tej samej chwili widły trafiły go w kark i ramiona, i powaliły na ziemię. Pistolet wyleciał mu z ręki i po-turlał się po klepisku. Moi zerwał się na nogi i rzucił w jego stronę, ale to samo zrobił Scott.

Huk odbił się echem od ścian i kiedy krew rozprysła się po stajni, Jenny krzyknęła dziko. Był to ostatni dźwięk, jaki usłyszała. Ogień zgasł, gwiazdy znikły, świat pogroził się w mroku.

20

Wozownia była ciemna, kiedy Dan zajechał na dziedziniec, ale czego mógł się spodziewać o pierwszej w nocy? Pies rozpoznawał już dźwięk silnika jego wozu i przybiegł się przywitać. Dawało to pewną gwarancję bezpieczeństwa; okraść ich mogli jedynie złodzieje w jaguarach.

- Dobry pies! - powiedział i poklepał Sama po łbie.

Był wykończony po całym dniu użerania się z oponentem, czekania, kto zmięknie pierwszy. Dla człowieka dorosłego był to piekielny sposób na życie. Telekonferencja z sędzią przekształciła się w godzinną orację pełną oskarżeń i zadawnionych żalów. Sędzia twierdził, że czuje się jak pracownik poradni małżeńskiej, który próbuje pogodzić ludzi kłócących się od trzydziestu lat. Było to

nużące, ale zakończyło się zwycięstwem Dana. Przesłuchanie wznowiono, jednakże na krótko; miał rację, mówiąc, że oponentowi wyczerpały się pomysły. O ósmej trzydzięści przesłuchanie skończyło się na dobre.

Było to w interesie jego klienta, ale Dan wiedział, że walczył tak ostro, ponieważ chciał wrócić do domu, do Jenny.

Zostawił bagaże w holu i wszedł na palcach na zdezelowane schody. Rozmawiając z nią przez telefon odniósł wrażenie, że jest zmęczona, więc nie będzie jej budził. Chciał tylko wśliznąć się do łóżka i tulić ją przez resztę nocy.

Księżyc wpadał przez otwarte okno sypialni, połyskiwał na mosiężnej ramie, nad pustym łóżkiem.

- Jenny?

Zapalił światło, przeszedł do pokoju Tony'ego i tam też nacisnął włącznik. Tony schował twarz w poduszkę.

- Tony, obudź się! - Dan przekręcił go na plecy. - Gdzie jest Jenny?

Zakrył sobie oczy i coś wymamrotał.

Dan oderwał jego ręce od twarzy i powtórzył:

- Tony! Gdzie jest Jenny?

Chłopak budził się wolno, zamrugał oczami.

- Nie wiem - wychrypiał. - Wyszła po kolacji i nie wróciła.

Idiota, pomyślał Dan o sobie. Jej samochodu nie było na podjeździe, a on tego nie zauważył.

- Gdzie poszła? - Potrząsnął Tonym, nie pozwalając mu zasnąć.

- Nie powiedziała - odpowiedział brat słabo.

Dan wrócił biegiem do ich sypialni poszukać kartki z wiadomością. Łóżko było posłane, toaletka i nocny stolik puste, ani śladu kartki. Zbiegł pędem na dół i przeszukał parter. Nic! Zrozumiałe, nie spodziewała się go dzisiaj, nie pomyślała o zostawieniu wiadomości.

Chwycił telefon i wykręcił numer jej biura - może pracuje nad jutrzejszym zamknięciem umowy. Kiedy uzyskał połączenie z pocztą głosową, próbował sobie wytłumaczyć, że pewnie pracuje w sali konferencyjnej.

Sam w to nie wierzył.

Spacerował po pokoju, próbując przeniknąć wzrokiem ciemność za oknami, ale w szybie odbijała się tylko jego własna, przerażona twarz.

Coś jej się stało - zrozumiał to nagle - i rzucił się w stronę telefonu, żeby zadzwonić do Mike'a.

Telefon zadzwonił mu pod dłoń i ulga przetoczyła się przez niego jak narkotyk. Chwycił słuchawkę.

- Halo?!

- Casella?

Głos mężczyzny, niemal szept, dziwnie znajomy.

- Tak, kto mówi?

- Jenny jest ranna.

Pokój zawirował mu w oczach.

- Kto mówi?! - Dan trzymał słuchawkę obiema rękami. - Gdzie ona jest?

- Szpital Bryn Mawr.

- Sterling? Sterling, czy to ty?

Połączenie zostało przerwane. Przez chwilę Dan gapił się na słuchawkę, potem upuścił ją i wybiegł z domu.

Zaparkował przed wejściem do izby przyjęć, w niedozwolonym miejscu. Wypadł z samochodu, zawrócił i dał nura do środka, żeby wyłączyć silnik. Z karetki wyciągano nosze, Dan przytrzymał drzwi i spojrzał na chorego, ale był to korpulentny starszy pan o zszarzałej twarzy. Przepchnął się przez tłum i dopadł kobiety w niebieskim fartuchu w recepcji.

- Jennifer Lodge? - Uświadomił sobie, że krzyczy i powtórzył jeszcze raz nazwisko, już normalnym tonem. - Gdzie ona jest? Została przyjęta?

Kobieta spuściła wzrok i niczym nie dała poznać, że słyszy. Wydęła usta i zwróciła głowę w stronę kobiety stojącej przy szafkach katalogowych.

- Suze? Gdzie zabrali tę kobietę w ciąży, tę z krwotokiem?

Krwotokiem! Miał wrażenie, że i z niego uchodzi krew.

- Tę, którą podrzucił facet? Na porodówkę - odparła druga kobieta.

Dan jakby zdrętwiał od środka, z trudem zrozumiał instrukcje, jak dojść na oddział położniczy. Krwotok. Czy to groziło jej życiu, życiu dziecka, i czy ona to w ogóle przetrzyma?

Wybiegł z windy i pędził opustoszałym korytarzem. Za zamkniętymi drzwiami rozległ się jęk kobiety, przeszedł w zawodzenie, a potem wysoki krzyk.

- Proszę pana?! - zawołał ktoś. - Proszę pana! Tu nie wolno wchodzić!

Odwrócił się. Kobieta w zielonym mundurku biegła obok niego.

- Jennifer Lodge! - wybuchnął.

Kobieta zwolniła kroku.

- Pan jest mężem?

Skinął głową.

- Proszę ze mną.

Wyprowadziła go przez podwójne drzwi na korytarz pełen ludzi.

- Proszę tu poczekać. Pójdę po lekarza.

- Chcę zobaczyć Jenny! - zawołał, ale ona zniknęła za zasłoną.

Wokół kłębił się tłum i Dan natychmiast stracił rozeznanie. Było zupełnie inaczej niż na sali sądowej, gdzie nawet kretyń w minutę połapie się w sytuacji, rozpozna głównych graczy. W sądzie każdy miał swoje miejsce, strój odpowiedni do roli. Tutaj nikt nie stał w miejscu przez trzydzieści sekund, wszyscy mieli na sobie wymięte niebieskie albo zielone uniformy. W sądzie akcja toczyła się według reguł i zasad, tutaj panował chaos.

Zza zasłony wyłonił się mężczyzna ze szpakowatą brodą, w zielonym uniformie. Jego oczy spoczęły na Danie.

- Pan... - Zerknął w jakąś rozpiskę. - Lodge?

- Tak. - Dan doskoczył do niego. - Jak ona się czuje? Co się stało?

- Doznała krwotoku tętniczego w wyniku przebicia stopy. Podrażnienie oskrzeli dymem. Niewykluczony tężec - profilaktycznie podaliśmy domięśniowo antybiotyk. Do tego dochodzi szok, prawdopodobnie psychiczny, a także wtórny pourazowy. Dostaje leki.

Danowi zabrakło nagle tchu, oparł się o zimną wyłożoną glazurą ścianę.

- Dziecko...?

- Nadal przy życiu. Tętno regularne. Czy to jej pierwsza ciąża?

Skinął głową. Gardło miał ściśnięte i mówił z trudem.

- Cóż, to zwiększa szansę. Szyjka macicy lepiej trzyma.

- Szansę na co? - zapytał Dan z lękiem.

- W tej chwili grozi jej przedwczesny poród.

- Nie! Jest za wcześnie...

- Robimy co w naszej mocy, żeby do tego nie dopuścić. Potrzeba jej jedynie całkowitego odpoczynku w pozycji leżącej.

- Jasne!

Leżała na wąskim łóżku z uniesionymi nogami, w małym pokoju oznaczonym „Poród 3”. W nosie miała przezroczyste rurki, kroplówkę podłączoną do ramienia.

Szeroki plaster w cielistym kolorze przytrzymał elektronik monitor na jej brzuchu. Wskaźnik na ekranie kreślił wzór gór i dolin.

Dan przysunął stół do łóżka. Głowę miała przechyloną na bok, skórę bladą i wilgotną, sieć niebieskich żyłek znaczyła zamknięte powieki. Oddychała płytko, nieregularnie.

- Wkrótce się obudzi - powiedziała pielęgniarka, widząc strach na jego twarzy. - Zobaczy pan. Za godzinę wróci jej rumieńce.

Patrzył z napięciem, jakby mógł ją obudzić siłą wzroku, a jego myśli biegły szybciej niż puls.

Przebiecie stopy, powiedział lekarz, podrażnienie oskrzeli dymem. Scott Sterling był z nią, przywiózł ją do szpitala i zatrzymał się tylko po to, żeby zadzwonić.

W końcu obróciła głowę, wzięła głęboki oddech.

- Jenny - wyszeptał, chwytając jej rękę.

Potoczyła głową po poduszce, otworzyła oczy i popatrzyła wprost na niego.

- Dan - wymruczała.

Chwilę później cień przemknął po jej twarzy, źrenice się rozszerzyły.

- Dziecko! - jęknęła. - O mój Boże! Dziecko!

Próbowała usiąść, zaczęła zrywać plaster z brzucha.

- Nie! - Dan chwycił ją za ramiona. - Jenny, nie! Dziecku nic się nie stało!

Rzucała się w jego objęciach do chwili, gdy pochwycił jej spojrzenie.

- Kochanie, dziecko ma się dobrze.

Opadła wolno na poduszkę.

- Och, Dan - wyjęczała. - Tak się bałam...

- Już wszystko w porządku. Teraz musisz tylko odpocząć.

Łzy wezbrały w jej oczach i spłynęły na skronie.

- Miałaś rację co do Scotta. We wszystkim miałaś rację!

Opowiedziała mu tę historię od początku do końca, jasno i zwięźle, jakby przedstawiała sprawę ławie przysięgłych. Wyszedł z pokoju tylko raz, żeby zadzwonić na policję, potem siedział przy niej i słuchał, trzymając ją za rękę.

A kiedy doszła do momentu, kiedy rzuciła widłami w cel z odległości sześciu metrów, co sprawiłoby kłopot sprawnemu mężczyźnie, co dopiero kobiecie w ósmym miesiącu ciąży, uniósł ją z poduszki i przytulił. Przypomniawszy sobie jej drugie, ja". Teraz już wiedział, że wszystkie wcielenia Jenny składają się na nią

jedną. Słodką dziewczyną jest zdolną prawniczką, odważną, silną kobietą, która sama ocaliła sobie życie. Kochał je wszystkie tak bardzo, że to go przerażało.

21

Szpital zaczął się budzić o szóstej. Wmaszerowała pielęgniarka, podniosła żaluzje i dzienne światło przeniknęło do pokoju. Jenny otworzyła oczy, najpierw spojrzała na monitor, rejestrujący silne, regularne tętno dziecka, potem na Dana.

- Dzień dobry! - Uśmiechnął się.

- Wyglądasz na wykończonego.

Pochylił się, żeby ją pocałować.

- Czego nie da się powiedzieć o tobie. Już wyglądasz lepiej.

- Lepiej się czuję. Może pójdziesz do domu, trochę się prześpisz?

Zawahał się, powędrował wzrokiem do ekranu.

- Nie martw się - powiedziała. - Nic mi... nam nic nie będzie. Prawdopodobnie prześpię cały dzień.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie!

- Nie potrzebujesz czegoś? Może do kogoś zadzwonić?

- A! Do biura. Mógłbyś zadzwonić do Marilyn. Przychodzi koło ósmej trzydzieści.

- Załatwione! - Pochylił się i pocałował ją delikatnie. - Kocham cię.

Po wyjściu Dana przywieziono śniadanie. Zjadła parę kęsów i odstawiła tacę. Potem wtargnęła pielęgniarka, odłączyła monitor i tlen, i pomogła Jenny przejść do łazienki. Kilka minut później przyszedł lekarz i oznajmił, że ona i dziecko mają się dobrze. Tak jej ulżyło, że po jego wyjściu drzemała przez dwie godziny.

Przyszedł ktoś z administracji z papierami, które powinny zostać podpisane zeszłej nocy, kiedy Scott ją przywiózł. Tego nie mogła odłożyć na potem, uniosła się więc na łokciu i zaczęła czytać.

W rogu pierwszej strony widniała data. Dwudziesty drugi wrzesień. Brzmiała jakoś znajomo. Czyjes urodziny? Nie był to w każdym razie dzień jej ślubu; miał się odbyć jutro. Pewnie trzeba go będzie odłożyć. Szkoda, mieli tyle kłopotu ze

znalezieniem wolnego tygodnia. Dan musiał skończyć przesłuchanie w Buffalo, ona finalizację Maccoal...

Finalizacja Maccoal.

Jenny usiadła i wyciągnęła rękę po telefon. Był za daleko, nacisnęła więc dzwonek przy łóżku i odjęła palec dopiero, gdy do pokoju wbiegła przestraszona pielęgniarka.

- Proszę podać mi telefon! - krzyknęła Jenny.

Kobieta wyduła wargi, położyła aparat delikatnie na stoliku i przytoczyła do łóżka.

- Chwileczkę! - zawołała Jenny, kiedy pielęgniarka ruszyła do drzwi. - Co trzeba wykręcić, żeby wyjść na miasto?

- Instrukcja leży na stoliku...

- Proszę mi powiedzieć!

Dodzwoniła się do Marilyn. Tak, pan Casella dzwonił z samochodu, powiedział, co się stało, modła się za nią. Nie, ma się nie martwić, sfinalizują transakcję zgodnie z planem, pan Boenning osobiście zabrał jej akta.

- Przełącz mnie do Walta.

- Poszedł z panem Glasserem na śniadanie.

- Dokąd?

- Nie powiedział.

- Kiedy wróci?

- Przypuszczam, że przed dziesiątą. Mówili, że pójdą bezpośrednio do sali konferencyjnej. Asystent pana Glassera już tam jest.

- Cassie Chapman też już przyszła?

- Nie, zostawiła wiadomość, że przyjedzie z panem Stengelem o dziesiątej.

Jenny rozejrzała się w panice po małym pokoju. Walt i Cassie zostali osaczeni przez Stengela i jego prawnika. Nie zdoła rozmówić się z nimi przed dziesiątą, i nie ma żadnej gwarancji, że zdoła to zrobić później.

- Dziękuję, Marilyn - powiedziała i odłożyła słuchawkę. Odepchnęła stół, rozłączyła monitor i spuściła nogi z łóżka. Prawą stopę miała opatuloną gazą i elastycznym bandażem, ale stanawszy na podłodze, dokuśtykała jakoś do szafy. Wyjęła żółtą zakrwawioną sukienkę, znalazła lewy pantofel.

Wysiłek, jakiego wymagało ubranie się, zupełnie ją wykończył. Nie da sobie rady sama. Pokuśtykała z powrotem do aparatu, zadzwoniła do domu, ale odpowiedział automat: linia została uszkodzona. Zdziwiona, wykręciła numer

telefonu w jaguarze, ale nikt nie odpowiadał. Spróbowała numeru biurowego, licząc że odbierze Betty, ale została połączona z pocztą głosową.

Odłożyła słuchawkę. Nie było czasu; musiała wstrzymać finalizację.

Pokuśtykała do drzwi, skręciła za róg i wpadła w silne ramiona Mike'a di Maio.

22

Zawiózł ją do domu i czekał w salonie, kiedy poszła się przebrać. Zmieniła ubranie, wyjęła z aktówki dyskietkę Josha Bermána i zaczęła schodzić ze schodów.

Po chwili zwolniła. Niewłaściwa data na dyskietce komputerowej, szkic dokumentu z niewłaściwym nazwiskiem sprzedającego - czy takimi dowodami wskóra coś przeciwko Jackowi Stengelowi? Reese Chapman wiedział, że trzeba czegoś więcej, żeby go pokonać, dlatego nagrał go w chwili, gdy przedstawiał plan idealnego przestępstwa. Gdyby tylko Scott dał jej kasetę, albo przynajmniej powiedział, gdzie jej szukać. Ale nie, on musiał wysilić się na dowcip: „W bezpiecznym miejscu”.

- Proszę! - wręczyła dyskietkę Mike'owi.

Nagle słowo „bezpieczne” odbiło się echem w jej umyśle. „To sprawa tego miejsca”, powiedział Scott, kiedy gołębnica usiadła mu na ręk. „Czuje się tutaj bezpiecznie”.

Scott był tu wczoraj, w tym domu, zostawił zegarek na nocnym stoliku. Czy tylko zegarek?

- Zaczekaj chwilę! - powiedziała i pokuśtykała na tyły garażu, gdzie gołębnica miała gniazdo. Uniosła drewnianą skrzynię służącą jej za poślanie.

Pod spodem, ubrudzona odchodami, leżała kasetka wideo.

Mike gwizdnął cicho za jej plecami.

- Nie wiemy, niestety, co na niej jest - powiedział, podnosząc ją z podłogi. - Muszę poprosić kogoś, żeby ją odegrał w obecności sędziego.

- Bez tego nie dostaniesz nakazu?

- Zrobię, co się da.

Jenny ruszyła do drzwi.

- Jedziemy!

- Chwilę! - Mike zastąpił jej drogę. - To nie jest dobry pomysł. Dopiero co wyszłaś ze szpitala.

- Nic mi nie jest. Dziecku też nie. Nie ma powodu do niepokoju.

- Lekarz ci to powiedział?

- Tak! Mike, muszę jechać. Zanim dotrzesz tam z nakazem, będzie za późno. Już może być za późno, jeżeli natychmiast nie zaczniemy działać.

Ustał niechętnie.

- Ale nie wolno ci się forsować.

- Załatwione.

Podczas jazdy do miasta omówili wszystko jeszcze raz. Jenny wyjęła notatnik z aktówki i Mike podyktował jej paragrafy na prawdopodobieństwo winy.

Zaparkował w niedozwolonym miejscu przed budynkiem firmy i powtórzyli wszystko od początku. On zdobędzie nakaz i wróci ze wsparciem tak szybko, jak się da. Ona ma zostać w swoim biurze, wywołać Cassie z sali konferencyjnej i zatrzymać ją do jego przyjazdu.

- To wszystko, zrozumiałaś? Jeżeli nie będzie chciała wyjść, masz siedzieć w biurze i czekać na mnie.

- Zrozumiałam.

Kiedy kuśtykała przez hol, ból przeszył jej podbrzusze i oparła się o ścianę windy, obezwładniona. Skurcz minął, zanim dojechała na swoje piętro.

Marilyn zachłysnęła się na jej widok.

- Czy Walt wrócił?! - zawołała, idąc do swojego gabinetu.

- Tak. Jest w 38C.

Jenny opadła na krzesło przy biurku i wykręciła numer sali konferencyjnej.

- Boening.

- Walt, kto jest tam z tobą?

- Jennifer, to ty?

- Daj mi Cassie, proszę!

- Tak nam przykro z powodu twojego wypadku...

- Dziękuję, Walt. Proszę, daj mi Cassie.

Kiedy się znów odezwał, głos miał stłumiony i Jenny wyobraziła sobie, jak się odwraca tyłem do zebranych, zasłania dłonią słuchawkę.

- O co chodzi?

- Musisz odwołać finalizację.

- Jennifer, na pewno dobrze się...

- Przed paroma miesiącami Jack Stengel i Reese Champan zaplanowali wykupienie udziałów z trustu za dziesięć milionów dolarów, plus premia dla Chapmana wysokości sześciu. Cassie sprzedaje udziały za dziewięć milionów. To oszustwo. Musisz to odwołać.

- Dobry Boże! - powiedział wolno. - Powiem Catherine. Natychmiast przerywamy spotkanie.

Poczuła ulgę, przekazawszy pałeczkę komuś innemu.

- Dziękuję, Walt - powiedziała i z westchnieniem odłożyła słuchawkę.

No! Teraz musiała tylko poczekać, aż zjawi się Mike z nakazem. Stengela może już nie być, ale daleko nie ucieknie. A ona może się zrelaksować z nogami w górze. Zadzwoi do Dana.

Wykręciła numer jego biura, ale dodzwoniła się tylko do poczty głosowej. Nie było go w samochodzie, a kiedy spróbowała numeru domowego, urzędniczka z biura napraw poinformowała ją, że telefon jest wyłączony.

A więc Dan był w domu i spał, jak mu kazała. Bardzo dobrze. Zanim się obudzi, ona będzie już z powrotem w szpitalnym łóżku i oszczędzi mu paru godzin niepokoju.

Trochę kręciło jej się w głowie i pożałowała, że nie zjadła śniadania. Postanowiła napić się chociaż soku, wstała z trudem i wyszła z gabinetu, kierując się w stronę automatu z napojami.

Marilyn rozmawiała cicho przez telefon. Na jej widok umilkła.

Zajrzała przez otwarte drzwi do gabinetu Boenninga. Powinien już wrócić.

- Gdzie jest Walt?

Marilyn zarumieniła się i pokręciła głową.

Jenny oparła się o jej biurko i Marilyn odłożyła słuchawkę, wymazując nazwisko na konsolce telefonicznej.

Rozmawiała z Boenningiem. Nie odwołał transakcji, zamierzał ją sfinalizować mimo wszystko.

Jenny wróciła do swojego biura i wykręciła numer sali konferencyjnej. Po sześciu sygnałach odłożyła słuchawkę.

Zmienili salę. Jenny pokuśtykała na korytarz pod czujnym spojrzeniem Marilyn. Była lojalna przede wszystkim wobec Boenninga, Jenny wiedziała to od początku. Prawdopodobnie kazał jej trzymać Jenny z dala, aż do podpisania umowy. Miała nadzieję, że nastąpi to w budynku firmy.

- Źle się poczułam - powiedziała do swojej sekretarki. - Będę w toalecie.

Zaczęła od trzydziestego ósmego piętra. Sala 38C była pusta, jak się spodziewała, A i B zajęte przez inne zespoły prawników. Wjechała windą na trzydzieste dziewiąte piętro i przeszukała wszystkie sale, bez rezultatu. Wcisnęła guzik, wzywając ponownie windę, a kiedy nie przyjeżdżała, weszła po schodach na czterdzieste, schodek po schodku, podciągając się na poręczy. Dotarła do celu, dysząc.

Ból przeszył ją na wskroś tak, że zabrakło jej tchu. Wsparła się o ścianę, czekając, aż przejdzie, po czym ruszyła do 40A, tak szybko jak pozwalało na to jej ciało. Sala była pusta. Przeszła do 40B, ale kiedy otworzyła drzwi, okazało się, że ktoś urządza tam urodziny. „Przepraszam”, bąknęła i przetoczyła się do 40C.

Ze środka dochodził gwar głosów, ale nikt nie odpowiadał na pukanie. Nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi na oścież.

Cassie i Boenning siedzieli po jednej stronie stołu, Stengel i dwaj jego prawnicy naprzeciwko. Boenning ze starszym prawnikiem, bez wątpienia Marvinem Glasserem, rozmawiali pochyleni ku sobie, Josh Berman sortował papiery na samym końcu stołu. Pośrodku siedziała Cassie, z okularami zatkniętymi na czubku nosa, i przeglądała dokumenty. Naprzeciwko niej rozsiadł się Jack Stengel. Leżało przed nim jedynie wieczne pióro.

Boenning obejrzał się gniewnie na drzwi i jego irytacja wzrosła na widok Jenny.

- Przepraszam... - Jenny z trudem łapała oddech. - Cassie, mogłabym porozmawiać z tobą chwilę na osobności?

Cassie podniosła głowę.

- Jenny! Myślałam, że...

Boenning poderwał się z miejsca.

- Jennifer, proszę ze mną na korytarz!

Nawet na niego nie spojrzała.

- Cassie, to ważne!

Stengel odchylił się na krześle, patrząc na nią z umiarkowanym zaciekawieniem.

- O co chodzi? - zaprotestował Glasser. - O trzeciej muszę być w Nowym Jorku.

- Jenny, co się stało? - Cassie zdjęła okulary, ale nie ruszyła się z krzesła.

- Nic się nie stało. - Boenning ujął Jenny za ramię. - Jennifer miała wypadek i jeszcze nie przyszła po nim do siebie. Zajmę się tym. Kontynuujcie beze mnie.

Zacisnął palce na jej ramieniu i obrócił ją w stronę drzwi.

- Bo wezwę ochronę - ostrzegł.

Zamachnęła się i trafiła go łokciem w brzuch. Puścił jej ramię z okrzykiem, a ona postąpiła w stronę Cassie.

- Cassie, odwołaj sprzedaż. Stengel od miesięcy próbuje pozbawić cię udziałów Macoal. Razem z twoim ojcem i Scottem Sterlingiem próbował zmusić Masona do wycofania się z trustu. Przyznanie się Scotta, proces - wszystko to miało jeden cel - zmusić Masona do rezygnacji z funkcji powiernika, żeby twój ojciec mógł sprzedać udziały Macoal Stengelowi.

- To niesłychane! - ryknął Glasser.

- Wezwę ochronę! - Boenning chwycił za słuchawkę.

Cassie siedziała zupełnie nieruchomo.

- To prawda - powiedziała Jenny. Chwycił ją kolejny skurcz, ale zagryzła wargi i nie poddała się.

Catherine zwróciła oczy na Stengela. Napotkał jej spojrzenie i pokręcił głową, wolno, niemal z politowaniem.

- Tak! - krzyczał Boenning do słuchawki. - Proszę natychmiast przysłać ochronę! Trzeba wyprowadzić intruza z budynku.

- Zapytaj jego. - Jenny wskazała Josha Bermana. Młody człowiek poczerwieniał jak rak. - Zapytaj go, dlaczego w styczniu sporządził umowę kupna-sprzedaży akcji między twoim ojcem a Stengelem. Zapytaj, dlaczego dokument wymieniał twojego ojca jako powiernika.

- To kłamstwo! - powiedział Glasser.

- Dowód znajduje się na dyskiecie komputerowej, którą mi wczoraj przysłał. A ty nadal masz to na twardym dysku w swoim komputerze, prawda? - zwróciła się do młodego prawnika.

Jabłko Adama skoczyło w górę i w dół szyi Bermana.

- Ja... Robiłem tylko to, co mi pan Glasser kazał. Nie wiedziałem, że coś jest nie w porządku...

- Zamknij się! - wrzasnął Glasser.

Cassie patrzyła na Stengela.

- Jack?

Stengel jeszcze raz pokręcił głową.

- Twój ojciec i ja rozmawialiśmy kiedyś o możliwości sprzedaży, gdyby został powiernikiem trustu. Poprosiłem Marva, żeby przygotował dokumenty, na wszelki wypadek. W ten sposób pracuję.

Spojrzała pytająco na Jenny.

- Cassie - powiedziała Jenny prosząco. - On miał zapłacić twojemu ojcu sześć milionów dolarów premii za doprowadzenie do tej sprzedaży. Ale twój ojciec nie wierzył, że Stengel dotrzyma umowy. Więc nagrał na wideo ich rozmowę.

Cassie rzuciła Stengelowi spojrzenie.

- Gdzie ta cholerna ochrona?! - wrzasnął Boenning i znów sięgnął do telefonu.

- Scott próbował szantażować Stengela tą kasetą i Stengel nasłał na niego Moi, żeby go zabił.

- To absurd! - grzmiał Glasser.

- Byłam przy tym. Moi próbował zabić Sterlinga i Scott go zastrzelił. Moi nie żyje.

Jenny zerknęła na Stengela, ale wyraz jego twarzy nie uległ zmianie. Zwróciła się znów do kobiety.

- Twój ojciec nie miał nic wspólnego z morderstwem Masona. Zabił się, kiedy zrozumiał, że to Scott je popełnił.

Cassie zbladła.

Rozległo się pukanie do drzwi i Boenning z ulgą rzucił słuchawkę.

- Proszę wejść! Nie wiem, co z tobą zrobią - zwrócił się do Jenny - ale jutro możesz już nie przychodzić do biura.

Do pokoju wszedł Mike di Maio, odsunął Boenninga na bok.

- Policja. Proszę zostać na miejscach.

Czterech umundurowanych policjantów wkroczyło za nim, w towarzystwie oficera ochrony budynku.

Glasser poderwał się od stołu.

- Powiedział: „Zostać na miejscach” - mruknął policjant i pchnął Glassera na krzesło.

- Jacku Stengel, mam nakaz aresztowania pana - powiedział Mike. - Pozostali, mam nakaz rewizji tej sali, także aktówek i papierów znajdujących się na tym stole.

- Pod jakim zarzutem? - zapytał Glasser.

- Spisek w celu popełnienia oszustwa, oszustwa oraz zbrodni morderstwa.

Stengel nadal rozpierał się na krześle.

- To parodia - powiedział. - Nie pan najmniejszego dowodu przeciwko mnie.

- Niech się zastanowie - powiedział Mike. - Mam dwa trupy, dyskietkę komputerową i... Tak, film wideo z Jackiem Stengelem w roli samego siebie.

Tym razem twarz Stengela uległa zmianie. Usta utworzyły wąską, długą linię.

- Zakuć go i przeczytać prawa - powiedział Mike. - Reszta z was, panowie, proszę otworzyć aktówki.

23

Cassie i Jenny siedziały przy konferencyjnym stole jeszcze długo po tym, jak policja oczyściła salę. Stengel był w areszcie, Glasser i Berman na przesłuchaniu u wiceprokuratora, Boenning udął chorobę i poszedł do domu. Od czasu do czasu Cassie zadawała kolejne pytanie, ona odpowiadała, ale poza tym siedziały w milczeniu.

Zadzwonił telefon i Jenny podniosła słuchawkę.

- Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć... - powiedział Mike. - Zwinęli Sterlinga. No i odzyskali twój samochód.

- Gdzie go znaleźli?

- Na lotnisku w Newark, tak jak mówiłaś.

Oplakiwała go w duchu przez chwilę, ale to nie był on, to nigdy nie był on. Iskierka pokrewieństwa okazała się sztucznym światłem i już wygasła.

Chwycił ją kolejny skurcz. Następowaly teraz co dwie minuty i nie mogło być już żadnych wątpliwości.

- Mogę cię o coś prosić, Mike?

- Oczywiście.

- Znajdź Dana i powiedz, żeby jechał do szpitala.

Cassie stanęła tuż obok.

- Ja cię odwiozę - wyszeptala i Jenny skinęła głową na znak podziękowania.

- W porządku - mówił Mike. - Ale to może zająć kilka godzin.

- Dlaczego? Gdzie on jest?

- W drodze z Newark. To on dorwał Sterlinga.

24

Zimny wiatr przemknął przez parking, rzucając Danowi pod nogi suche liście. Niebo miało barwę ołowiu, a w powietrzu wyczuwało się marcową niepewność - w każdej chwili mógł zacząć padać śnieg, ale mogło też wyjść słońce i rozświecić świeżą trawę. Zostawił płaszcz w samochodzie; z doświadczenia wiedział, że w więzieniach nie ma szatni.

Przy pierwszej bramie pokazał dokumenty i przeszedł do następnej, gdzie został obszukany za pomocą wykrywacza metalu. Na trzecim posterunku czekały formularze do wypełnienia i w końcu skierowano go do poczekalni dla adwokatów. Była sobota i oprócz niego w pokoju znajdowała się tylko młoda Murzynka zaczytana w raporty sprawy.

- Casella? - zapytał strażnik.

- Tak. - Dan poszedł za nim długim, nieoświetlonym korytarzem, wzdłuż metalowych drzwi z kwadratowymi okienkami na poziomie oczu.

Pokój miał wymiary trzy na trzy metry, ściany pomalowane na musztardowy kolor, jarzeniówkę na suficie i był pozbawiony okna. Na podłodze pokrytej linoleum stał metalowy stół i dwa winylowe krzesła. Ściany były poznaczone czarnymi rysami do wysokości półtora metra. Dan zastanowił się przelotnie, kto częściej po nich chodzi, mieszkańcy czy czekający tu na nich adwokaci.

Usiadł na popękany krześle i otworzył aktówkę. Miał w niej papiery dotyczące sprawy o pomówienie, ale rozłożył je na blacie na wypadek, gdyby strażnik zerknął w okienko i nabrał podejrzeń.

- Dlaczego sobie nie odpuszczisz? - zapytał Mike, kiedy Dan poprosił go o załatwienie widzenia.

Może po dzisiejszym dniu będzie mógł to zrobić. Może przestanie się tak strasznie obwiniać o numer, jaki wykręcił Masonowi. Może zdoła przetrwać noc bez Sterlinga wyglądającego z zakamarków każdego snu.

Rozległ się metaliczny chrzęst klucza w zamku i drzwi się otworzyły. Więzień wszedł do pokoju i zmrużył oczy przed światłem. Ubrany w przepisowe więzienne ubranie, miał brudne jasne włosy zwisające strąkami na ramiona i brązową kozią bródkę. Zamrugął jeszcze raz i uśmiech wykrzywił mu twarz.

- Piętnaście minut - zapowiedział strażnik i zatrzęsął drzwiami.

- Od kiedy to jesteś moim adwokatem?

Żrenice miał nienaturalnie rozszerzone - narkotyki, pomyślał Dan, a może tylko szaleństwo. Od dawna wyobrażał go sobie w więzieniu, ale zawsze w zakładzie dla przestępców w białych kołnierzykach, a tymczasem Sterling trafił do więzienia o zaostrzonym rygorze, z ustaloną reputacją podwójnego zabójcy.

- Nie jestem twoim adwokatem. Chcę ci zadać parę pytań.

Sterling podszedł bliżej rozkołysanym krokiem, którego Dan nie zauważył rok temu. Chwycił krzesło i odwrócił je oparciem do przodu.

- Skończyłem z odpowiadaniem na pytania.

Usiadł okrakiem na krześle, splatając ramiona na oparciu. Liczne świeże zmarszczki tworzyły sieć wokół jego ust i oczu. Kimkolwiek był kiedyś, już tak samo wyglądać nie będzie.

- Uważam, że jesteś mi winien parę odpowiedzi powiedział Dan. - Po tym, co mi zrobiłeś.

- Co ja ci zrobiłem?! - powtórzył szyderczo. - Gdyby nie ty, wsiadłbym do samolotu i teraz smażyłbym się na jakiejś plaży.

Ta scena powtarzała się w snach Dana. Lotnisko pełne gliniarzy i nikogo, kto potrafiłby rozpoznać Sterlinga z dyplomowego zdjęcia nadesłanego faksem. Możliwe, że i on by go nie rozpoznał, gdyby Sterling sam się nie zdradził - rzucił się do ucieczki, kiedy zobaczył Dana przeszukującego tłum przy rękawie samolotu. Zbiegł po schodach na halę odlotów, a miał taką przewagę, że pewnie dopadłby drzwi, gdyby sienie pośliznął na świeżo umytej podłodze. Dan zważył się na niego i nie wstał, aż nadbiegli policjanci.

- Poza tym... - Sterling wzruszył ramionami. - Zapewniłem ci kolejne zwycięstwo w twojej bogatej karierze, nie wspominając o honorariach.

Dan zacisnął zęby.

- Wolałbym się wyrzec jednego i drugiego. To było oszustwo, nie podoba mi się, że zostałem w nie wplątany.

- Pozwij mnie do sądu. - Sterling jeszcze raz wzruszył ramionami.

- I nie podoba mi się, co zrobiłeś Jenny.

Światło w oczach Sterlinga przygasło. Wyjął papierosa z kieszeni więziennego ubrania, wsadził w usta i potarł zapalnik o blat stołu.

- Wyszła z tego obronną ręką - zaciągnął się głęboko. - Słyszałem, że zdobyła Macoal jako klienta. Nieźle jak na pracownika z trzyletnim stażem. Nie może się uskarżać.

- Omal nie zginęła i to przez ciebie!

- Jakoś przetrwała.

Dan zerwał się z krzesła i odwrócił twarzą do ściany, jakby się bał, że skręci Sterlingowi kark. W kwadracie szkła ukazała się twarz strażnika i Dan nabrał głęboko powietrza, żeby się uspokoić. Ale nie mógł już usiąść naprzeciwko Sterlinga. Oparł się plecami o musztardową ścianę.

- Powiedz mi jedno - zaczął. - Dlaczego Jenny? Jaka miała być jej rola? Tego ciągle nie rozumiem.

- Rola w czym?

- Chapman powiedział ci, że jego córka zatrudniła Jenny, wprowadziłeś się do niej, żeby zdawała ci relacje z przebiegu procesu. Ale chodziło o coś więcej, prawda? Wiedziałeś o nas. Więc co? Myślałeś, że to będzie dla mnie dodatkowy bodziec, żeby oczyścić cię z zarzutów? A może ona miała skraść moje notatki, zanim zrobił to Chapman?

Sterling zaciągnął się jeszcze raz i pstryknięciem posłał niedopałek w kąt pokoju. Odwrócił się do Dana i patrzył na niego tymi palącymi oczami, podczas gdy jego usta ułożyły się w krzywy uśmiech.

- Czy naprawdę tak trudno uwierzyć, że po prostu się w niej zakochałem?

Dan zaniemówił. Sterling wstał, podszedł do drzwi i uderzył kłękami w okno. Zgrzytnął klucz i drzwi się otworzyły.

- Skończyliśmy - powiedział strażnikowi i zniknął w ciemnym, długim korytarzu.

25

Rano chmury wisiały nisko, ale kiedy Jenny wyszła w południe z zajęć, nie zostało po nich śladu, świeciło jasne słońce. Wrzuciła torbę z balet-kami do bagażnika, obok składanego wózka, i usiadła za kierownicą. Kiedy dojechała na miejsce, było już tak ciepło, że Leslie i dziecko siedzieli na kocu przed domem.

- Cześć! Jak zajęcia?! - zawołała Leslie.

- Zupełnie straciłam formę. - Uśmiechnęła się szeroko do Petera i przyklęła obok niego na kocu. Zaczynał już siadać, ale teraz Leslie podpierała go jeszcze jedną ręką.

- Wątpię, czy ktoś zauważył - powiedziała. - Jesteś o wiele za dobra do tej grupy. Monsieur duBret umarłby, gdyby wiedział, co naprawdę umiesz.

- Wystarczy mi, że mogę znów tańczyć. Czy Peter był grzeczny? - zapytała Jenny wysokim głosem, który rozbieszał go tak, że trzęsły mu się policzki. Już dawno wyzbył się cech wcześniaka i był teraz pulchnym bobasem.

- Był bardzo, ale to bardzo grzeczny - oznajmiła Leslie, całując go w szyjkę, co sprawiło, że malec rozchichotał się na nowo. - Z przyjemnością zajmę się nim po południu, jeżeli chcecie pobyć z Danem sami.

- Dzięki, ale nie ma go dzisiaj w mieście.

- Między wami wszystko w porządku?

Jenny uniosła dziecko wysoko w powietrze, żeby ukryć twarz. Leslie miała wyostrzony zmysł obserwacji.

- Wspaniale - odparła i byłaby to prawda, gdyby nie budziła się tak często w pustym łóżku, nie znajdowała Dana zadumanego posepnie w salonie. Gdyby nie miała wrażenia, że kiedy się obejmują, jakaś nieznana siła próbuje ich od siebie odciągnąć. Gdyby Dan nie uważał, że musi odbyć tę dzisiejszą podróż.

- To musi potrwać - powiedziała Leslie. - Wiele przeszłście.

Skinęła głową. Ale minęło już sześć miesięcy. Coraz częściej miała wrażenie, że ich wspólne życie zamarło i potrzeba czegoś więcej niż czasu, by znowu ruszyło naprzód.

- Chcesz jechać na zakupy? - zaproponowała Leslie. - Pomogę ci wybrać ubranka dla Petera.

- Dzięki, ale jest tak ładnie, że chyba pojedę za miasto i wezmę Petera na spacer.

- Dobry pomysł.

Ale Jenny miała coś innego w planach. Umieściła dziecko w foteliku i ruszyła do Radnor. Nie była w starej posiadłości od urodzenia Petera, co miało miejsce dokładnie w godzinę po ceremonii ślubnej. Nie był to ślub, jaki sobie wymarzyła. Sędzia okręgowy był zdegrustowany faktem, że został wyciągnięty z sali sądowej w środku popołudniowego posiedzenia. Mike di Maio i Cassie Chapman tworzyli najbardziej niedobraną parę świadków, jaką sobie można wyobrazić, a lekarz wsadził głowę pod okrywające ją prześcieradła w chwili, gdy recytowała przysięgę. Ale zaspokoilo to staroświecką potrzebę Dana, żeby wziąć ślub przed narodzinami dziecka. Podczas gdy ona i dziecko dochodzili do siebie, Dan spakował wozownię, znalazł domy dla psa i kotów, i prosto ze szpitala przywiózł ich do swojego mieszkania.

Penthouse był wspaniały, ale nie został zaprojektowany z myślą o czteroosobowej rodzinie. W zimie było im tak ciasno, że Tony zaczął spędzać weekendy u matki. Już dawno powinni się przeprowadzić, ale kwestia mieszkania była jedną z tych rzeczy, których nie potrafili popchnąć naprzód. Najpierw Jenny nie miała serca do szukania domu, potem Dan. Od tygodni podsuwała mu broszury, ale nie wzbudziła zainteresowania, tak jak nie zakończyła jego bezsennych nocy.

Kiedy próbowała o tym rozmawiać, wzruszył tylko ramionami i powiedział, że musi wpięrować demony. Wiedziała, że te demony, wszystkie razem i każdy z osobna nazywają się Scott Sterling. Dan mógł być częścią planu

Chapmana, ale to ona zaufała niewłaściwemu człowiekowi, otworzyła siłą zła drogę do ich życia.

Skręciła w Coventry Road i dalej w Canterbury Lane. Zaparkowała obok kamiennego łuku z napisem „Osiedle Dundee”.

- Pójdziemy na spacer? - zapytała śpiewnym głosem i Peter zagulgotał, wyrażając zgodę. Wyciągnęła wózek z bagażnika, posadziła w nim synka i ruszyła drogą na szczyt wzgórza.

Całe osiedle wyrosło na zboczu. W okrągłych doniczkach wokół skrzynek na listy kwitły krokusy, na podjazdach stały samochody, drewniane kratki na dzikie wino zdobiły frontowe drzwi. Wiosenne słońce działało na ludzi jak magnes, wyciągając ich z domów. Kobiety sadziły bratki wzdłuż alejek, mężczyźni usuwali zeszłoroczne rupiecie z podwórek, dzieci dokazywały z psami na trawnikach.

W miejscu starego pałacu powstał nowy dom. Jenny przypominała sobie dzień, kiedy stała ze Scottem na szczycie wzgórza i snuła wspomnienia o dawnych, lepszych czasach. Widziała w nim wtedy tragicznego bohatera, porządnego człowieka, na którego zważyło się zbyt wiele nieszczęść. Uważała, że ich życie toczy się równoległym torem i wmówiła sobie, że dopóki on wytrwa, wytrwa i ona.

Mike powiedział kiedyś, że Scottowi udało się oszukać Curtisa Masona, ponieważ mówił mu dokładnie to, co Mason chciał usłyszeć - odmiana starego porzekadła: „Nie da się oszukać uczciwego człowieka”. Jenny została oszukana w takim samym stopniu i tymi samymi środkami. Gdyby była uczciwa względem siebie, nie uwierzyłaby w to, co jej mówił, obojętnie jak bardzo pragnęła to usłyszeć.

Zbocze porastał las, a za nim stały ruiny starej wozowni. Przedsiębiorca budowlany powiadomił ją, że rozbiórka nastąpi ostatniego dnia września, na wypadek gdyby chciała przyjść popatrzeć. Postanowiła, że zrobi to teraz.

- Peter, biegniemy! - zawołała, a on gaworzył radośnie, kiedy biegła truchtem w dół zbocza tak, żeby czuł wiatr na twarzy.

Droga przez las powinna być już zaorana i zarosła trawą. Zdziwiła się, widząc, że jest wyasfaltowana tak samo jak Canterbury Lane. Na skraju lasu zwolniła kroku i zdumiała się jeszcze bardziej, kiedy między gałęziami ukazał się dach wozowni.

Dom nadal stał. Miał zostać wyburzony we wrześniu, ale nadal stał. Jenny wtoczyła wózek na dziedziniec wyłożony kocimi łbami i ze środka dobiegło postukiwanie młotka.

Dom nadal stał, ale był inny. Dach został pokryty nowym cedrowym gontem, do obu skrzydeł dodano piętra z mansardowymi oknami, żeby harmonizowały z centralną częścią budynku. Na parterze nadal mieściły się garaże, ale wewnętrzne części skrzydeł zostały wyremontowane i miały teraz francuskie okna wychodzące na dziedziniec. Wymieniono wszystkie okna, a wokół frontowych drzwi zbudowano ganek z małym daszkiem.

To wszystko nie mieściło się jej w głowie. Wozownia miała zostać zburzona - tak zakładał plan - a jednak stała, wyremontowana i piękna ponad wszelkie wyobrażenie. Lub prawie wyremontowana, ponieważ w środku nadal pracowali stolarze.

Wyciągnęła Petera ze spacerówki, wzięła na ręce i podeszła do frontowych drzwi.

- Halo?! - zawołała i siwowłosego mężczyznę wyjrzał z nad opaski drzwiowej, którą właśnie przybijał.

- Kiedyś tu mieszkałam - wyjaśniła. - Myślałam, że budynek został zburzony.

- Jakiś facet namówił przedsiębiorcę, żeby mu odsprzedał i przerobił chałupę. Może się pani rozejrzeć.

- Dzięki.

Weszła do środka. Tylne ściany składały się prawie wyłącznie z okien wychodzących na nowe ceglane patio. Zniknął komin, a jego miejsce zajęły dwa kominki w przeciwległych końcach ogromnego pokoju. Zniknęła również kuchnia, a wolno stojące schody sprawiały wrażenie rzeźby łączącej piętra.

- Kuchnia jest teraz tam - powiedział stolarz, wskazując stary skład. - A na górze jest pięć sypialni.

- Niewiarygodne! - Jenny rozglądała się ze zdumieniem po starym, kochanym domu. Był taki jak dawniej, tylko piękniejszy, o wiele piękniejszy.

Na dziedzińcu rozległ się chrzęst opon.

- O, jest właściciel - powiedział stolarz, wyglądając przez frontowe drzwi.

- Ciekawe, czy odsprzedałby dom - powiedziała pół żartem, pół serio. - Nie liczyłbym na to. Pilnuje robót tak, że na moje oko, musieliby go stąd wynieść nogami do przodu.

Jeszcze raz ogarnęła wzrokiem pokój i westchnęła.

- Lepiej już sobie pójdę.

Przełożyła dziecko na drugie biodro i ruszyła w stronę drzwi. W progu zderzyła się z kimś, kto wchodził.

- Prze... - zaczęła, po czym wykrzyknęła: Tony!

Wytrzeszczył na nią oczy, po czym okręcił się na pięcie.

- Nie powiedziałem jej! Przysięgam, że nie powiedziałem!

Za nim stał Dan.

Jenny wlepiła w niego wzrok.

- Dan, co ty tu...? - Nagle zrozumiała. - Dan, tyto zrobiłeś?!

Wziął od niej dziecko i zaczął coś do niego mówić, zanim w końcu skinął niepewnie głową.

- Miałem nadzieję, że ci się tu spodoba, ale jeżeli nie, możemy sprzedać dom. Miałem już dwie dobre oferty.

- Czy mi się podoba? - Głos uwiązł jej w gardle, musiała przełknąć łzy, żeby mówić dalej. - To najpiękniejszy dom, jaki w życiu widziałam.

- Mogę potrzymać Pete'a? - zapytał Tony i Dan oddał mu dziecko. - Chodź, młody człowieku - powiedział Tony. - Pokażę ci twój pokój.

Dan patrzył za nimi z miłością. Malutka twarzyczka Petera była odbiciem twarzy Tony'ego. Podobieństwo było tak silne, że widział je nawet Tony, a ludzie ciągle brali ich za braci.

Jenny zamrugała, próbując ogarnąć pokój, dom, uczucia malujące się na twarzy Dana. Było tego wszystkiego za wiele.

- Widziałaś to? - wskazał drzwi po drugiej stronie dziedzińca, w skrzydle, gdzie kiedyś mieściło się jej studio baletowe.

Pokręciła głową.

- Chodź!

Poszła za nim przez dziedziniec, przez francuskie drzwi i zamarła w progu.

Studio było tu nadal, ale nieporównywalnie lepsze. Błyszcząca drewniana podłoga rozciągała się przed nią, od jednej lustrzanej ściany do drugiej. Do lustek przymocowano poręcze, a pod sufitem ciągnęły się rzędy okien, przez które wpadało słońce. W szafce wbudowanej w ścianę znalazł się odtwarzacz kompaktowy i magnetofon. W drugiej zlew i mała lodówka.

Postąpiła jeden krok naprzód, po czym odwróciła się w miejscu.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała bez tchu.

- Chyba właśnie dla tej chwili.

Krążyła po sali, a jej odbicie przesunęło się po ścianach. Wspomnienia pchały się natrętnie, wspomnienia wszystkich zdarzeń, jakie miały tu miejsce. Codzienne ćwiczenia z Leslie, noc z Danem, Scott rozbijający lustra świecznikami. Wyczuwała żywiołową obecność Leslie, Dan był wszędzie wokół niej, nie było jedynie Scotta. Nie wychylał się z cienia, nie było cieni w tym pokoju.

- Jenny... - Dan wymówił jej imię jakby pieścił dzikie zwierzątko, głosem pełnym miłości, zdumienia i tkliwości.

Podniosła na niego oczy. Ten mężczyzna, przed którym rozstępowały się tłumy, dał jej to, co najcenniejsze - dom.

Weszła w krąg jego ramion i kiedy się obejmowali, czuła, że jakaś siła pcha ich ku sobie.

- Jak twoja podróż? - wyszeptała, zaglądając mu badawczo w twarz.

- Jest już za mną - powiedział i pocałował ją.

Trzymając się za ręce, zwiedzili wszystkie pokoje, zanim wyszli na patio, gdzie Tony bawił się z dzieckiem na trawie usianej słonecznymi cętkami. W domu zawyła elektryczna piła i na ten dźwięk z derenia zerwał się spłoszony ptak. Przez chwilę trzepotał skrzydłami na tle bezchmurnego nieba, po czym zniknął za koronami drzew.